

Suzanne Enocft

Bohater bez skazy

Z angielskiego przełożyła Krystyna Chmiel

POL^NORDICA Otwock

Dedykuję

Nancy Bailey, Sheryl Law, Sally Wulf i Sharon Lyon - najlepszej paczce od wspólnych obiadków

Dzięki, dziewczyny

## **Prolog**

Deszcz mocniej zadzwonił o szyby, jakby chciał zagłuszyć sprzeczkę toczoną w saloniku Lucindy Barrett.

- Musimy to zapisać - podsumowała Lucinda, podnosząc głos, aby przekrzyczeć zarówno letnią ulewę, jak i namiętą dyskusję swoich gadatliwych przyjaciółek. Doszły bowiem do wniosku, że większość mężczyzn nie ma pojęcia, jak powinien zachowywać się prawdziwy dżentelmen. Wprawdzie wszyscy o tym wiedzieli, jednak nic z tego nie wynikało oprócz dąsów i wzajemnych pretensji. Był już najwyższy czas, aby podjąć zdecydowane działania.

Wyjęła z szuflady biurka kilka czystych arkuszy papieru, jeden podała Georgianie, drugi Evelyn, a trzeci zachowała dla siebie.

- Możemy wiele zdziałać, szczególnie wśród tych rzekomych dżentelmenów, do których nasze zasady powinny się odnosić - przekonywała.

- A jaką przysługę oddamy innym damom! - dodała Georgiana Halley, u której złość ustąpiła miejsca zadumie.

- Owszem, ale taka lista nie przyda się nikomu poza nami - zaproponowała Evie Ruddick, biorąc do ręki ołówek, który podała jej Lucinda. - Jeśli w ogóle na coś się przyda.

- Ależ na pewno, o ile zastosujemy nasze zasady w praktyce - przekonywała Georgiana. - Proponuję, aby każda z nas wybrała jakiegoś mężczyznę i nauczyła go, jak ma się zachowywać, jeśli chce zaimponować damie.

To rzeczywiście miało sens!

- O, tak, koniecznie! - podchwyciła Lucinda, uderzając piąstką w blat stołu.

Georgiana zaczęła notować, uśmiechając się pod nosem.

- Powinnyśmy wydać to drukiem - stwierdziła. - Na przykład pod takim tytułem: "Lekcje miłości, pióra trzech dam z wyższych sfer".

Lista Lucindy wyglądała następująco:

*1. Rozmawiając z damą, dżentelmen powinien słuchać jej uważnie i nie rozglądać się po pokoju, jak gdyby czekał na kogoś bardziej zajmującego.*

*2. Podczas tańców dżentelmen powinien brać w nich czynny udział. Niegrzecznie jest przychodzić na wieczorek tańczący tylko po to, aby się umizgać bądź aby samemu być widzianym.*

*3. Dżentelmen powinien interesować się czymś więcej niżli tylko najnowszą modą. Bystry umysł jest dalece bardziej zajmujący niż elegancko zawiązany krawat.*

*4. Jeżeli dżentelmen uderza w konkury, nie oznacza to, że musi zgadzać się ze wszystkim, co mówi ojciec wybranki - niemniej jednak winien okazywać mu szacunek, nawet za jego plecami.*

- To nawet zabawne - zauważyła Evelyn, zdmuchując ze swojej kartki grafitowy pył.

- Jedno mnie tylko dręczy - rzekła Lucinda, czytając napisane linijki. - Jeśli wychowamy trzech idealnych dżentelmenów, czy tym samym wyświadczymy towarzystwu przysługę, czy raczej zaszkodzimy innym panom, którym trudniej będzie znaleźć żony?

- Och, Luce! - zachichotała Georgie. - Rzecz w tym, czy uda się nauczyć mężczyznę takich manier, aby zaskarbił sobie szacunek i podziw u dam.

- Dobrze, ale gdybyśmy, dajmy na to, wyszkoliły trzech takich panów, musimy wcześniej pomyśleć, co z nimi potem zrobimy - upierała się panna Barrett. - Zakładając, oczywiście, że nam się to uda.

- Widzę, Luce, że nie brak ci pewności siebie, ale zważ, że Georgie i ja mamy braci, z których nie zawsze możemy być dumne - przypomniała z uśmiechem Evie.

- A ja mam ojca generała! - przelicytowała ją Lucinda.

- Myślę, że wszystkie jesteście w stanie sprostać temu wyzwaniu - pogodziła je Georgiana, przesuwając po stole swoją listę. Sama wzięła kartkę Lucindy. - O, to jest dobre!

Podawały sobie z rąk do rąk swoje listy, kolejno je czytając. Lucinda była zaszokowana, jak wiele mówiły one o ich autorkach.

- No więc od kogo zaczynamy? - niecierpliwiła się Evelyn.

Przyjaciółki spojrzały po sobie i, jak na komendę, wybuchnęły śmiechem.

- Wiem tylko jedno - podsumowała Lucinda. - Na pewno nie zabraknie nam kandydatów. Będziemy mogły przebierać jak w ulegałkach!

*Nie widziałem nigdy człowieka tak nikczemnej postury.*

*- Robert Walton, "Frankenstein"*

*Czternaście miesięcy później*

- Wcale nie uważam, Evie, abyś oszukiwała. Nawet tak nie mów - zganiała przyjaciółkę Lucinda Barrett, rozsiadając się wygodnie przy wykuszowym oknie.

- Wiem, ale myślałam, że skończy się na dawaniu temu łajdakowi lekcji, nie przypuszczałam, że za niego wyjdę! - tłumaczyła się Evie, przemierzając pokój tam i z powrotem z grymasem niezadowolenia na twarzy. - Pomyśleć tylko, jeszcze dwa miesiące temu byłam zwyczajną Evie Ruddick, a teraz jestem markizą St. Aubyn. Wprost nie do uwierzenia...

- Nigdy nie byłaś zwyczajna - sprostowała Georgiana, wsuwając się dyskretnie do salonu. Dała przy tym znak kamerdynerowi, aby zamknął za nią drzwi. - To raczej ja powinnam się usprawiedliwiać, bo spóźniłam się na własną proszoną herbatkę, a co więcej również poślubiłam własnego ucznia.

- Ani jedno, ani drugie nie jest tak nagannym postępkim, abyś musiała się z tego powodu tłumaczyć! - roześmiała się Lucinda.

Georgiana z uśmiechem wskazała Evie miejsce na kanapie i sama też tam przysiadła.

- Może i tak, ale jeszcze niewiele ponad rok temu zastrzełiłabym każdego, kto by mi wspomniał o poślubieniu Tristana Carrowaya. Tymczasem nie dość, że noszę tytuł lady Dare, to jeszcze za dwa miesiące wydam na świat następnego Carrowaya!

- A jeśli to będzie dziewczynka? - zachichotała Evelyn.

- To zaledwie częściowo zniwelowałyby ich przewagę nade mną. - Georgie poruszyła się niespokojnie. - Nie rozumiem, jak matka Tristana odważyła się urodzić jeszcze czterech chłopców, mając przed oczami jego

przykład. Gdyby nie jego ciotki, zostałabym kompletnie sama, kiedy oni wyjechali do wód w Bath.

- Jeśli już mowa o braciach Carroway - weszła jej w słowo Lucinda, celowo starając się zyskać na czasie, bo zdecydowała się powiedzieć przyjaciółkom o swoich planach - to czy nie od ciebie słyszałam, że porucznik Carroway wraca do Londynu?

- Tak, pod koniec tygodnia okręt Bradshawa powinien już zacumować w Brighton. Podobno mają go teraz wysłać do Indii Zachodnich! - Lady Dare spojrzała na przyjaciółkę spod oka. - A co, czyżby zainteresował cię Shaw? Masz może zamiar udzielać mu lekcji?

- Uchowaj Boże! - Panna Barrett lekko się zarumieniła. - Wiesz, co powiedziałby mój ojciec na taką poufałość z marynarzem? Co prawda, udzielanie lekcji nie oznacza, rzecz jasna, nieuchronnego małżeństwa.

- Niemniej wszystko na to wskazuje - śmiejąc się, wtrąciła Evie.

- W każdym razie nie można wykluczać takiej możliwości - sprostowała Georgie, spoglądając przenikliwie znad filiżanki herbaty, jakby była jasnowidzącą Cyganką. - Na pewno wybrałaś już sobie ucznia.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła z entuzjazmem markiza St. Aubyn. - I cóż to za łotr spod ciemnej gwiazdy?

Lucinda zwlekała z odpowiedzią, wodząc wzrokiem od jednej szczęśliwie zamężnej wychowawczynie mężczyzn do drugiej. Była ciekawa, co by powiedziały, gdyby wiedziały, z jaką zazdrością obserwowała ich manewry. Czy zdawały sobie sprawę, że od ślubu Evie z markizem St. Aubynem szukała nie tyle kandydata na ucznia, ile kandydata na męża? Z westchnieniem skonstatowała, że musiały o tym wiedzieć, przecież były jej najlepszymi przyjaciółkami.

- No cóż, w każdym razie zawęziłam zakres poszukiwań... - odrzekła powoli. Głośno nie dodała, że zawęziła tylko do jednego człowieka.

- Wykrztuś nareszcie! - domagała się Georgiana. - Przecież te lekcje były głównie twoim pomysłem. Nie ma co dłużej owijać w bawełnę.

- Wiem, wiem. Chodzi tylko o...

- Żadnych wykrętów, moja droga! - przerwała jej Evie.

- No więc... - Lucinda wzięła głęboki oddech. - To lord Geoffrey Newcombe. - Umilkła, czekając na reakcję przyjaciółek.

Lord Geoffrey, czwarty syn księcia Fenleya, był niewątpliwie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Znajome damy nie nazywały go inaczej jak "Adonise". Z wijącymi się, złotymi włosami, jasnozielonymi oczyma, szerokimi barami i uśmiechem tak zniewalającym, że mógłby zaklinać węże - cieszył się nieustającym powodzeniem u płci pięknej.

Sęk w tym, że Lucinda także zupełnie otwarcie zagieła na niego parol. Dawanie lekcji wydawało się w tym wypadku kiepskim pretekstem. Przecież w samym tylko Mayfair roiło się od gorzej wychowanych kawalerów. Choćby taki John Talbott - co szkodziło, że jego brwi zbiegały się w jedną grubą krechę od ucha do ucha? Albo Phillip R...

- Ach, lord Geoffrey... - powiedziała powoli lady Dare. - To doprawdy wspaniały wybór.

- O, tak, zgadzam się! - zawtórowała jej markiza z łobuzerskim uśmiechem.

Lucinda poczuła wielką ulgę i rozluźniła napięte mięśnie ramion.

- Dziękuję wam. - Odetchnęła. - Widzicie, ja naprawdę długo nad tym myślałam. Po pierwsze to bohater wojenny, co mój tatuś wysoko w nim ceni, no i całkiem przystojny, co jednak nie znaczy, że nie potrzebuje kilku lekcji. Potrafi być taki arogancki i bezduszny... - zawiesiła głos. - No i chyba nie da się ukryć, dlaczego wybrałam właśnie jego, prawda?

- Ależ nic podobnego - sprzeciwiła się Evelyn. - Po prostu, jak zawsze, miałaś świetny pomysł. Zresztą nie mogłaś przecież nie zauważyć, że Georgie i ja zakochałyśmy się w naszych uczniach, a potem ich poślubiłyśmy. Musiałaś wziąć to pod uwagę.

- Zresztą jesteś tak zżyta ze swoim ojcem - dodała Georgie - że polubiłby każdego, komu zdecydowałabyś się udzielać nauk, bez względu na to, czy poza tymi lekcjami doszłoby jeszcze do czegoś, czy nie.

- Otóż to! - Lucinę śmieszyło, jak usilnie przyjaciółki starały się uzasadnić jej wybór. - Z tego, co wiem, generał wysoko ocenia pozycję towarzyską lorda Geoffreya. Poza tym martwi się, żebym nie została całkiem sama, w razie gdyby on, jak zwykł mawiać, wyciągnął nogi!

Gospodyni powoli podniosła się i sięgnęła po czajniczek, aby dolać przyjaciółce herbaty.

- Nie wyobrażam sobie, abyś kiedykolwiek uczyniła fałszywy krok, Luce - zachichotała. - Czy możemy ci jakoś pomóc?

- Och, myślę, że dam sobie... - zaczęła, ale zagapiła się i nie zauważyła, kiedy herbata przelała się przez brzegi filiżanki i spodka, ochlapując przód jej sukni. - Georgie!

Markiza aż podskoczyła, cofając rękę z czajniczką i odwracając przy tym wzrok od okna.

- Och, przepraszam, ale popatrz tylko...

Na podjeździe od frontu najmłodszy szwagier Georgiany, dziesięcioletni Edward, wdrapując się właśnie na kozioł wyścigowego faetonu o wysokich osiach. Pomagał mu w tym nowo poślubiony mąż Evie, markiz St. Aubyn.

- Saint! - wydyszała Evie, wybiegając na dwór jak oparzona. - Przecież te dwa szatany powyrywają Edwardowi ramionka! Saint!!!

- Edwardzie! Ani mi się waż! - przestrzegała Georgie, następując jej na pięty.

Podśmiewając się pod nosem, panna Barrett ostrożnie odstawiała przepełnioną filiżankę.

- Nic takiego się nie stało - mruknęła. - Tylko dzban gorącej herbaty wylał mi się na suknię...

W ciągu minionego roku zdążyła już dobrze poznać Carroway House, rzuciła więc tylko okiem na podjazd, aby się upewnić, że nikogo tam nie mordują, po czym skierowała się do pokoi gościnnych.

Nie wiedziała, jak Georgiana radzi sobie na co dzień z Tristanem, jego czterema młodszymi braćmi i dwiema ciotkami, ale na pierwszy rzut oka mogła stwierdzić, że jej przyjaciółce najwidoczniej odpowiada panujący w tym domu bałagan. Evie też chyba nie przeszkadzały złośliwości prawione przez Sainta. Lucinda natomiast przyzwyczajona była do ciszy i spokoju, bo już jako pięcioletnia dziewczynka przebywała w Barrett House sama, tylko z ojcem, generałem Augustusem Barrettem.

W gościnnej sypialni zmoczyła szmatkę w umywalce i próbowała zetrzeć plamę z herbaty, rozszerzając się na gorsie jej spacerowej sukni z zielonego muślinu.

- A niech to wszyscy diabli! - mruzczała, widząc w lustrze, jak mokry materiał pociemniał. W tym samym lustrze dostrzegła także nieznaczne poruszenie, które przykuło jej uwagę. Nagle zdała sobie sprawę, że wpatruje się w nią para błyszczących oczu, tak błękitnych jak szkockie jeziora w lecie.

Przerażona, szybko się odwróciła.

- Och, przepraszam, naprawdę nie chciałam... - wyjąkała.

Na krześle przy oknie siedział z książką w ręku jeden z braci Carrowayów. *Ten* Carroway, jak go określały plotkarki w salonach, czyli średni brat, Robert, ranny w bitwie pod Waterloo. Po kątach szeptano o nim, że "nie był całkiem w porządku". Może dlatego, że rzadko pokazywał się w towarzystwie - od jego powrotu z wojny widziała go najwyżej kilka razy, nawet na ślubie Tristana i Georgie nie miała okazji zamienić z nim ani słowa.

- O, nie, to ja przepraszam, to moja wina - wyrzekł cichym, jakby zmęczonym głosem, powoli zamykając książkę i wstając.

- Proszę, niech pan nie wychodzi! - Dopiero teraz oderwała od gorsu rękę z mokrą szmatką, przy czym się zarumieniła. - Chciałam tylko wyczyścić sobie suknię, a tymczasem pański brat Edward koniecznie chce powozić wyścigowym faetonem mimo sprzeciwów Georgiany.

Robert zatrzymał się w połowie drogi do drzwi.

- Czy to on oblał panią herbatą?

- Skądże znowu, to Georgie mnie oblała, kiedy zobaczyła przez okno, jak chłopiec coś knuje z St. Aubynem! - Uśmiechając się pod nosem, potarła szmatką plamę w bardziej widocznym miejscu. - Powinnam była się uchylić.

Jak mógł tak prędko się domyślić, że została oblana herbatą? Przypomniała sobie, co o nim szeptano - że te przenikliwe, niebieskie oczy były w stanie przejrzeć człowieka na wylot! Nie, to niemożliwe, pewnie po prostu wyczuł zapach herbaty.

Carroway tymczasem przyglądał się jej badawczo przez dłuższą chwilę. Trzy lata pobytu w domu sprawiły, że zdążył nabrać nieco ciała, choć nadal pozostał szczupły i... nieufny jak wilk - przemknęło jej przez myśl. I chyba w



plotkach tkwiło ziarno prawdy, bo to jego spojrzenie było rzeczywiście... niepokojące!

Trochę potrwało, zanim napięte mięśnie ramion Roberta przestały tworzyć linię prostą, a on sam przez zaciśnięte zęby wycedził:

- Czy pani już wybrała?

- Co miałam wybrać? - Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

Dopiero wtedy oderwał od niej spojrzenie szafirowych oczu, a nawet zdawało jej się, że mrugnął.

- Och, nic takiego. Miłego popołudnia! - rzucił i kilkoma krokami, lekko utykając, opuścił pokój.

Lucinda przez chwilę patrzyła w ślad za nim, a następnie zwróciła uwagę na książkę pozostawioną na parapecie. Była to powieść Mary Shelley "Frankenstein, czyli Prometeusz naszych czasów", zaczytana dosłownie na śmierć - z postrzępionymi brzegami kartek i załamany w środku grzbietem.

- Luce? - Rozległ się głos.

- Tu jestem! - odpowiedziała.

Po chwili w sypialni pojawiła się Georgie.

- Na miłość boską, chyba cię nie utopiłam? Czy ta plama z herbaty dała się wywabić?

- Skądże, wcale mnie nie utopiłaś - zaprzeczyła żywo Lucinda, z powrotem biorąc się do czyszczenia sukni. - Co tam wyczynia Edward?

- A wozi się po ulicy, ale na szczęście St. Aubyn trzyma lejce - odparła z westchnieniem Georgiana. - Przykro mi, że oblałam cię herbatą.

- Nic się nie stało. - Lucinda zawahała się chwilę, po czym spytała: - Georgie, czy mówiłaś komukolwiek o naszych lekcjach?

Wicehrabim zmarszczyła czoło.

- Tylko Tristanowi i tylko o mnie - zapewniła. - A bo co?

Rzeczywiście, o co jej chodziło? Czyżby o to pytał ją Robert Carroway? Chyba że istotnie umiał czytać w myślach...

- Nic takiego, tak się tylko zastanawiałam - ucięła i wraz z gospodynią wyszła na korytarz. Na pierwszych stopniach schodów obejrzała się za siebie - w samą porę, aby dostrzec szerokie bary znikające w drzwiach sypialni.

- Słuchaj, Georgiano - zaczęła szeptem, kiedy już zeszły na dół. - Jak się teraz czuje brat Tristana? To znaczy, chodzi mi o Roberta.

- Ach, Mały? - Wicehrabina wzruszyła ramionami. - Chyba dobrze. Prawie już nie kuleje. A bo co?

- Nic takiego, po prostu... spotkałam go na górze.

- Wiem, że on potrafi zrobić wrażenie - przyznała Georgie. - Mam nadzieję, że cię nie przestraszył?

- Oczywiście, że nie. Jeśli już, to raczej zaskoczył.

Przyjaciółki wróciły do salonu, ale Lucinda nie mogła się powstrzymać od rzucania ukradkowych spojrzeń w kierunku schodów. O cóż to on chciał ją zapytać? A jeśli to było to, co podejrzewała, w takim razie skąd o tym wiedział?

Robert Carroway wyszedł na schody, podczas gdy jego bratowa i panna Barrett wróciły do salonu, gdzie czekała na nie markiza St. Aubyn. Słyszał, jak Georgie przemawia w jego imieniu. Nieraz już to robiła, ale tym razem wyglądało to tak, jakby go usprawiedliwiała. Tristan, Georgie, Shaw, Andrew i ciotki zawsze mieli w zanadrzu gotowe odpowiedzi, w razie gdyby ktoś wypytywał o niego lub - co bardziej prawdopodobne - o przyczynę jego nieobecności.

Na pewno Tristan zapytał, czy zechce dziś rano pojechać z nimi do Tattersalla. Zawsze pytał Roberta, czy chce towarzyszyć braciom, bo jeśli odmawiał - proponował to Georgianie. Robert zastanawiał się nawet, kiedy wreszcie jego wieczne odmowy zniechęcą resztę rodziny do tego stopnia, że przestaną pytać. Od czasu do czasu przystawał na ich propozycje tylko dlatego, by nie zrezygnowali z kolejnych prób. Najbliżsi krewni mogli nie rozumieć motywów jego postępowania, ale nie wzbraniali mu siedzieć cicho, kiedy miał na to ochotę, ani wychodzić, kiedy czuł, że dusi się w czterech ścianach.

Natomiast przy gościach trzeba było na siłę podtrzymywać rozmowę o pogodzie, modzie i tym podobnych głupstwach. Robert wzdrygał się na samą myśl o takim marnowaniu czasu. Pociągając nogą, wrócił z książką do gościnnej sypialni. Jego własny pokój oferował mu więcej wygód, ale lubił czuć miłą, popołudniową chłód, a poza tym stąd lepiej słychać było pogaduszki i chichoty dam w salonie. Potrafił rozróżnić śmiech Lucindy i był ciekaw, co

powiedziała, gdyby wiedziała, że podczas jej wizyty tak manewrował, aby zawsze znajdować się w pobliżu.

- I komu to, do wszystkich diabłów, przeszkadza? - mruzczył głośno, mimowolnie spoglądając w stronę otwartych drzwi. Sam sobie przykazał, aby wyzbyć się tego nawyku, bo przecież był już u siebie, w Anglii, wolny i bezpieczny. Od trzech lat nikt nie ośmieliłby się ukarać go biciem lub pozbawieniem racji żywnościowej za odezwanie się bez pozwolenia.

- Dość tego! - wymówił na głos, starając się skoncentrować na lekturze. Wstydził się przyznać sam przed sobą, że choć na dworze było jeszcze jasno, najchętniej zamknąłby się w swoim pokoju na klucz. - Dość tego, dość...

- Więc co takiego miałam wybrać?

Wzdrygnął się i gwałtownym ruchem obrócił głowę ku drzwiom. Równie szybko zerwał się na nogi, jeszcze zanim uświadomił sobie, że to robi.

- Panna Barrett!

Jej włosy zawsze wydawały mu się brązowe, ale teraz wpadające przez okno popołudniowe słońce nadawało długim lokom upiętym na czubku głowy, a stamtąd opadającym kaskadą czerwony połysk. Jedno niesforne pasemko wiło się na policzku o cerze białej i gładkiej jak śmietanka.

- Tak mi przykro, nie chciałam pana przestraszyć - sumitowała się, a jej twarz lekko poróżowiała.

Minęło kilka chwil, zanim Robert zdał sobie sprawę, że gapi się na pannę, podczas gdy wypadało odpowiedzieć.

- To raczej ja powinienem był usłyszeć, że pani weszła - wyjąkał.

Łagodne, orzechowe oczy zmierzyły go od stóp do głów, a on wciąż czekał, aż padnie zdawkowy frazes o pogodzie. Zwykle, jeśli dotrwał do tego etapu, w oczach rozmówcy widział najwyżej niesmak, pogardę, obawę lub, co gorsza, litość. Tymczasem Lucinda Guinevere Barrett patrzyła na niego z lekkim uśmiechem.

- Przez cały zeszły tydzień mój ojciec czytał pracę o taktyce wojennej amerykańskich Indian, zwłaszcza Irokezów - rzuciła lekko. - Podziwiał szczególnie ich umiejętność podkradania się niepostrzeżenie, więc celowo to ćwiczyłam. Jak widać, jestem w tym lepsza, niż myślałam.

Robert unikał spotkań towarzyskich między innymi także ze względu na generała Augustusa Barretta, który kojarzył mu się ze zgiełkiem bitewnym, kanonadą z muszkietów i jękami rannych. Teraz jednak zmusił się, aby nie myśleć o takich rzeczach, i skierował wzrok ku drzwiom, gdzie stała wysmukła dama, która miała nieszczęście być córką generała. Siłą woli nakazał sobie się odezwać.

- Swojego ucznia! - wyrzucił z siebie i dopiero potem przygryzł wargi, za późno, aby powstrzymać się przed palnięciem głupstwa.

- Słucham? - Zamrugła oczami.

*Wyrażaj się jasno!* - skarcił w myśli sam siebie. *Umiesz chyba mówić całym zdaniem?*

- Chciałem zapytać, czy wybrała pani już sobie ucznia?

Rumieniec znikł z jej policzków.

- Jak... to znaczy skąd... pan o tym wie?

Jej zaskoczona mina pomogła mu odzyskać pewność siebie, bowiem przez ostatnie trzy lata często widywał takie reakcje. Zwykle oznaczało to, że powiedział coś niegrzecznego lub bezceremonialnego, a wtedy przezornie obracał się na pięcie i znikał. Tym razem jednak nie mógł tego zrobić, bo Lucinda blokowała mu drogę odwrotu. Musiał więc zostać, a właściwie po części i chciał, przynajmniej dopóki ona stała w drzwiach. Wzruszył tylko ramionami.

- Po prostu zaobserwowałem, że Georgiana wybrała Tristana, a pani przyjaciółka, panna Ruddick, zdecydowała się na St. Aubyna, ku wielkiemu zmartwieniu pani i mojej bratowej.

- Czyżbyśmy... zachowywały się tak ostentacyjnie?

Spodobało mu się, że nawet nie próbowała zaprzeczać.

- Pani nie - oświadczył stanowczo.

- Ale pan... - Odchrząknęła i zaczęła od początku. - Mam nadzieję, że pan nie mówił nikomu o tym odkryciu.

Robert poczuł, że kąciki jego ust powędrowały ku górze i ułożyły się w pozycji, która wydała mu się sztywna i nienaturalna.

- Ja z zasady nikomu nic nie mówię, panno Barrett.

Wyraz jej twarzy złagodniał i pojawił się na niej uśmiech, mający w sobie dużo więcej wdzięku niż jego.

- Dziękuję panu, bo gdyby rozeszły się plotki o tym, jak sporządzałyśmy listy i wybierałyśmy sobie uczniów, postawiłoby to nas w kłopotliwej sytuacji.

A więc sporządzały jeszcze jakieś listy! O tym nawet nie wiedział. Był natomiast ciekaw, co mogło znajdować się na jej liście. Na szczęście umiał maskować swoje emocje, więc nie okazał zdziwienia. Przypuszczał, że na jej wybór mógł liczyć dżentelmen biegły w sztuce konwersacji, a przynajmniej umiejący poskładać dwa zdania do kupy.

- Może pani być pewna, że dochowam tajemnicy - przyrzekł, nie oczekując niczego więcej poza policzkiem. - Ale czy w końcu pani wybrała?

- Wybrałam? - powtórzyła, a na jej twarzy odbiło się wyraźne rozczarowanie. - Aha, chodzi panu o mojego ucznia? Tak, już wybrałam.

Znów się zawahał, bo obawiał się, że prowadzenie uprzejmej rozmowy zupełnie mu nie wychodzi, choć wydawało się to takie łatwe.

- Czy mogę zapytać, któż dostąpił tego zaszczytu?

Już się ucieszył, że wykazał należyte maniery i wyraził się poprawnie pod względem gramatyki, gdy Lucinda zamknęła się w sobie i cofnęła o krok. Zaklął pod nosem, bo po trzech latach od powrotu do Anglii powinien był już zdawać sobie sprawę, że nie ma pojęcia o dobrym wychowaniu ani nawet nie chce mieć. To znaczy zwykle nie miał, ale inaczej przedstawiała się sprawa, kiedy Lucinda Barrett sama go odszukała, aby dokończyć rozpoczętą rozmowę.

- Tak mi przyk... - zaczął się usprawiedliwiać, lecz nie dokończył, bo panna Barrett weszła mu w słowo.

- Lord Geoffrey Newcombe - odpowiedziała.

- Pani zamierza poślubić Geoffreya Newcombe'a?! - powtórzył, zaskoczony jej wyborem. - Ale dlaczego, na miłość boską?

Zarumieniła się jeszcze bardziej, ale nie tak ładnie jak za pierwszym razem.

- Wymyśliłyśmy te lekcje po to, aby nauczyć mężczyzn, żeby zachowywali się po dżentelmeńsku. Chcę sprawdzić, czy potrafię przekonać

któregoś z nich, aby zastosował się do zasad przedstawionych na mojej liście. I to wszystko.

- A więc ostatecznym celem nie jest złapanie męża?

- Chyba pan nie myśli, że próbowałabym podstępem skłonić kogokolwiek do małżeństwa?

- Ja...

- Tak nisko jeszcze nie upadłam, mój panie, i wypraszam sobie podobne insynuacje! - Panna Barrett odwróciła się na pięcie i wypadła z pokoju. W chwilę potem jej obcasiki zastukały po schodach. Najwidoczniej nie próbowała już więcej skradać się niepostrzeżenie.

Robert przez chwilę nie ruszał się z miejsca, potem przykucnął, aby odszukać książkę, którą upuścił, sam nie wiedząc kiedy. Doszedł przy tym do wniosku, że nie jest ani trochę bardziej przygotowany do powrotu na salony niż trzy lata temu. Jeszcze pięć minut temu nie dbałby o to, gdyby nie zaczął już przelotnie marzyć o tej samej kobiecie, którą obraził.

Spróbował czytać książkę, ale patrzył tylko na jej strony niewidzącym wzrokiem. Kiedy Lucinda uśmiechnęła się do niego, poczuł się prawie jak człowiek. Logiczne więc było, że jeśli kiedykolwiek chciał jeszcze zobaczyć jej uśmiech, musiał ją przeprosić. I to szybko, dopóki jeszcze mógł tym coś wskórać.

## 2

*W lepszych czasach musiał być kimś szlachetnie urodzonym, bo i teraz, choć wrak człowieka, potrafi jeszcze budzić sympatię.*

- Robert Walton, "Frankenstein"

Na wieczorek tańczący u Wellcristów Lucinda przyszła z ojcem. Jeszcze półtora roku temu generał Barrett uważał takie rozrywki za nudy na pudy i wołał spędzać czas w klubie ze znajomymi o zbliżonych poglądach politycznych. Jednakże półtora roku temu jego córce miał kto towarzyszyć we wszystkich ważniejszych wydarzeniach londyńskiego sezonu.

Chodziła wtedy wszędzie z Georgianą i Evelyn, trzymały się razem jak papużki nierozłączki, do tego stopnia, że w wyższych sferach przezwano je "trzema siostrami". Oczywiście wciąż się przyjaźniły, ale Georgie i Evie, jako mężatki, miały obecnie inne zobowiązania towarzyskie. Generał zdał sobie z tego sprawę jeszcze wcześniej niż jego jedynaczka i jako dobry strateg dostosował taktykę postępowania do zmienionej sytuacji. Już to, że zdecydował się sam wprowadzać Lucinę na salony, świadczyło, że martwił się o nią, a to z kolei martwiło jego córkę.

Dlatego właśnie wpadła na pomysł, aby zagiąć parol na lorda Geoffreya Newcombe'a.

Lekcje stały się dobrym pretekstem, i bez tego jednak wiedziała dobrze, dlaczego wybrała właśnie tego dżentelmena. Generał pragnął, aby znalazła męża, który uczyniłby ją szczęśliwą i dbałby o nią, a ona znów chciała znajdować się zawsze blisko ojca, aby ulżyć mu w kłopotach, a w razie czego móc się nim zaopiekować. Uważała to za swój obowiązek. Sama zresztą przyjęła go na siebie i skrupulatnie wypełniała, odkąd skończyła pięć lat, z przerwą jedynie na czas wojny.

Po gruntownym namyśle zdecydowała więc, że małżeństwo z czwartym, a zarazem najmłodszym synem księcia Fenleya stanowi dla niej idealne rozwiązanie. Lubiła lorda, jej ojciec też go lubił, a jej posag w połączeniu z mężowskimi apanażami zapewniłby im dostatnie życie. Ponadto młody lord zdawał się wolny od przykrych nałogów i długów karcianych, miał miły sposób bycia i łagodny charakter. Dawało to pewną rękojmię, że nie stanie się dla niej ciężarem ani nie będzie miał nic przeciwko utrzymywaniu przez nią tak bliskich stosunków z ojcem, jak tylko zechce.

- O, proszę, admirał Hunt przyszedł już z tym dorobkiewiczem Carrowayem! - zauważył generał, a w jego stalowoszarych oczach pojawił się niepokojący błysk. - Zaraz my tu zatopimy tego marynarza!

Bradshaw Carroway istotnie zdążył wcześniej wrócić do Londynu, ale jego przedsiębiorczość bynajmniej nie zaskoczyła Lucindy. Przeciwnie, czarujący porucznik wysoko lokował się na liście kandydatów do jej ręki,

jednak jej ojciec dostałby apopleksji na samą myśl o wydaniu córki za oficera marynarki.

- Tatusiu, bądź miły dla pana admirała! - przestrzegła pół-żartem. - Nie chcę tu żadnych awantur!

- Nie bój się, kochanie, najwyżej mu naurągam - zapewnił, ale urwał i zaczął z zupełnie innej beczki: - Chyba żebyś...

- Poszła sobie? - dokończyła i pomachała mu ręką. Nie czekała, aż zaoferuje jej swoje towarzystwo na cały wieczór. - Pewnie, idź już.

Generał cmoknął ją w policzek i pomaszerował na spotkanie ze starym przyjacielem, a jednocześnie największym rywalem. Wszystko wskazywało na to, że biedny porucznik Bradshaw Carroway znajdzie się w najgorętszym ogniu. Lucinda z uśmiechem podążyła w stronę bufetu. Uśmiechnęła się szerzej i przyspieszyła kroku, gdy dojrzała tam Evelyn, ale zaraz zwolniła, bo u boku jej przyjaciółki pojawił się markiz St. Aubyn z dwoma kieliszkami madery. Westchnęła, bo w tym przypadku trzy osoby to już byłby tłok.

- Panna Barrett? - odezwał się za nią męski głos.

Odwróciła się zaskoczona i spojrzała prosto w okrągłą, roześmianą facjatę jednego z jej najwytrwalszych konkurentów.

- Ach, pan Henning! - Skinęła mu głową. Nie potrafiła na poczekaniu zdecydować, co jest gorsze - czy wepchnąć się na trzeciego pomiędzy kochającą się parę, czy na siłę stworzyć parę z kimś, do kogo się nic nie czuje.

- Proszę, niech pani mówi mi Francis, przecież między sobą nie musimy być tacy oficjalni, prawda? - Zajrzał do jej karnetu, nim zdążyła go schować. - O, widzę, że walca ma pani wolnego. Cudownie! Czy mogę prosić... Musi pani przywitać się z moją babcią. Kochana staruszka szaleje za mną i na pewno się ucieszy, kiedy zobaczy mnie w towarzystwie takiej pięknej panienki!

Ostatnią rzeczą, jakiej Lucinda sobie życzyła, była rozmowa z despotyczną Agnes Henning. Kiwnęła więc głową i zbyła Francisca zapewnieniem:

- Chętnie, ale muszę najpierw trochę się tu rozejrzeć. Potem oczywiście przyjdę złożyć babci uszanowanie. - Na pocieszenie rzuciła mu zniewalający uśmiech i szybko się ulotniła, zanim zdążył przypomnieć jej o walcu.



- Mało brakowało! - usłyszała za plecami nieco mniej znajomy głos. Wieczór zapowiadał się coraz lepiej.

- Ach, lord Geoffrey! - Opadła przed nim w głębokim dygu, czując jednocześnie podniecający dreszczyk.

Tylekroć podziwiane oczy koloru szmaragdu zmierzyły głęboko wycięty dekolt jej sukni w odcieniu kasztanów, a potem zatrzymały się na jej twarzy.

- Witam, panno Lucindo. Gratuluję bezbłędnej strategii, jaką pani zastosowała wobec tego natręta Henninga. Już chciałem przyjść pani z pomocą, ale wspaniale poradziła sobie pani sama. Dobrze, że nie zdążył wpisać się pani do karnetu!

Lucinda zarumieniła się, załując, że w swoim własnym interesie Henning nie zaczepił jej w mniej widocznym miejscu. Przecież nie zależało jej wcale na stawianiu go w kłopotliwej sytuacji!

- Ależ ja nie... - zaczęła, ale Newcombe nie zważał na jej słowa.

- To zaś, jeśli się nie mylę, oznacza, że ten walc nadal jest wolny. Mogę? - Wyjął z jej ręki karnet i ołówek, po czym wpisał tam swoje nazwisko. - I o to nam właśnie chodziło - mówił dalej, odpowiadając na ukłon młodych ludzi otaczających debiutantkę, Elizabeth Fairchild - aby trzymać Henninga z dala od parkietu. Ten człowiek zagraża wszystkim dwunożnym istotom!

- Rzeczywiście, pan Henning potrafi raz czy drugi nastąpić na nogę - wyjąkała, starając się nie marszczyć brwi, bo Georgie uśmiechała się do niej z drugiego końca sali - ale nie on jeden...

- To prawda, panno Lucindo, ale wystarczy jeden dureń na raz. Kiedy damy jemu nauczkę, zajmiemy się innymi. - Lord Geoffrey skłonił się nad jej ręką, przy czym złocisty lok spadł mu na oko. - Do zobaczenia w walcu!

Ledwo odszedł, obstąpili ją jego przyjaciele. Z trudem udało się Lucindzie zachować jedno wolne miejsce w karnecie dla biednego Francisa Henninga. Wprawdzie nie paliła się zbytnio do tańca z nim, ale nie zniosłaby myśli, że kogokolwiek miałyby spotkać bojkot towarzyski, szczególnie gdy ten ktoś przybył tu z babcią aż z Yorkshire.

Z daleka obserwowała szerokie bary lorda Geoffreya, który wpisywał się w tej chwili do karnetu innej młodej damy. Nie była tym zachwycona, ale przynajmniej miała podstawy, aby zająć się udzielaniem lordowi lekcji.

- Jak się masz, Luce - przywitała ją Georgiana, ciągnąc za sobą swego męża, lorda Dare'a. - Widzę, że zrobiłaś dobry początek - szepnęła konspiracyjnie, całując przyjaciółkę w policzek.

- Psst!

- Dobrze, już dobrze. - Wicehrabina od razu się wyprostowała. - Widziałam właśnie, jak generał rozmawia z admirałem Huntem. Czy nie powinniśmy ich rozdzielić?

- Po co? - prychnął jej mąż. - Shaw wygląda na sparaliżowanego strachem. Mojemu braciszкови nie zaszkodzi, jeśli się trochę poboi.

- Tatuś obiecał, że obejdzie się bez rozlewu krwi - zachichotała Lucinda. Przyjrzała się z bliska przyjaciółce, a że zauważyła jej zaróżowione policzki i wyraźnie zaokrąglone biodra, dodała z przyganą w głosie: - Myślałam, że nie będziesz dziś wychodzić z domu. Na dworze jest tak zimno!

- To samo jej powiedziałem - podchwycił lord Dare, podnosząc do ust rękę żony i całując jej palce. - Cóż z tego, kiedy ona chciałaby przez cały czas tańczyć tylko ze mną?

- Mój biedny, zawojowany Tristan! - uśmiechnęła się z czułością Georgiana, obejmując męża ramieniem. - W istocie przyszedłam tu głównie z myślą o wetach...

- Ach, wety! - Lord Dare od razu złagodniał. - Jeśli już o tym mowa, to słyszałem o wyśmienitych... - Zawiesił głos, bowiem dostrzegł coś za plecami żony. - A cóż o n tu, do wszystkich diabłów, robi?

Panna Barrett spojrzała w tym samym kierunku, gdyż wicehrabia minę miał rzeczywiście poważną. W drzwiach sali balowej, odziany w modny, ciemnoszary garnitur, stał Robert Carroway z ponurym i udręczonym wyrazem twarzy.

- O matko! - wyszeptała Georgiana. - Czyżby coś się stało w domu?

- Zaraz się dowiem - obiecał jej mąż.

Nie zdążył jednak wykonać najmniejszego ruchu, bo Robert zauważył go i rozplątał się w tłumie z taką łatwością, że przeraził tym Lucinę. Zanim zdołała się zastanowić, po co średni z braci Carrowayów w ogóle się pojawił, skoro zaraz zamierzał zniknąć, ten ukazał się ponownie między lordem Northrumem a lady Bryce.

- Mały, czy coś się stało? - spytał go Tristan ściszym głosem. Najwidoczniej podchody brata nie zaskoczyły go tak jak Lucindy.

- Przecież wiesz, że zostałem zaproszony - przypomniał mu Robert.

- Wiem o tym, ale... - zaczął wicehrabia.

- O, Mały? - Wszedł mu w słowo Bradshaw, przedarłszy się przez tłum gości. - Niech mnie kotwica trzaśnie, co ty tu robisz?

- Kotwica? Trzaśnie? - powtórzył z kpina lord Dare. - Co z ciebie za marynarz?!

- Ja...

Robert nie dał mu dokończyć.

- Chciałbym zamienić parę słów z panną Barrett.

Lucinda zauważyła uniesioną brew Tristana i wyraźnie zaskoczone miny Bradshawa i Georgiany. W spojrzeniu Roberta dostrzegła natomiast czystą desperację, zdecydowała się więc udzielić mu twierdzącej odpowiedzi:

- Oczywiście, panie Carroway.

- Mały, jeśli masz zamiar... - rzucił ostrzegawczo lord Dare.

- Później! - uciał Robert krótko, dając Lucindzie znak, by poszła za nim.

- Nic dziwnego, że ludzie biorą pana za upiora - skomentowała. - Zjawił się pan tak nagle, że musiało to zrobić wrażenie.

Ani nie odpowiedział, ani nie zaoferował jej ramienia, ale nie sprawiło jej to przykrości. Wystarczająco rozstrajała ją jego bliskość, a gdyby jej dotknął, chyba przepaliłby jej skórę!

Spojrzenia innych, bardziej ciekawskich gości, odprowadzały ich dopóty, dopóki Carroway nie zwolnił kroku i nie spiorunował któregoś z nich wzrokiem. Nim się obejrzel, znaleźli się tylko we dwoje u podnóża schodów w głównym hallu. Robert odwrócił się wtedy twarzą do Lucindy i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, podczas gdy mdłe światło kandelabrow odbijało się w jego szafirowych oczach.

- Chciałbym panią przeprosić za wczoraj - odezwał się w końcu.

W pierwszym porywie chciała powiedzieć mu, że przeprosiny są zbędne, bo ani przez chwilę nie myślała o tamtej krótkiej rozmowie. Na szczęście w porę ugryzła się w język, gdyż to, że Robert ją odszukał, świadczyło, że sam się tym zadreślał.

- Dziękuję - wymówiła powoli. - Był pan po prostu szczery, co, zważywszy na to, jak wiele pan wiedział o naszym planie, miało logiczne podstawy.

- Zachowałem się jak grubianin - sprostował.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, bo rozczulił ją ten wysoki, postawny, a zarazem intrygujący mężczyzna, który z takim uporem chciał się przed nią kajać.

- Po prostu zaskoczył mnie pan, jak przystało na dobrego żołnierza. - Spróbowała obrócić sprawę w żart, ale Carroway tylko lekko się wzdrygnął.

- Wcale nie jestem dobrym żołnierzem - uciał i zerkając w stronę szepczących po kątach gości, rzucił zdawkowo: - Życzę pani miłego wieczoru.

- Mam jeszcze wolnego kadryla, gdyby chciał pan ze mną zatańczyć - zawołała za nim, kiedy był już odwrócony plecami.

- Niech pani zatańczy z Henningiem! - mruknął przez ramię. - Wszyscy się od niego odwrócili...

- Tak też zamierzałam, ale myślałam, że może pan by chciał... - Nie dokończyła, bowiem Robert zniknął jej już z oczu. Przypuszczała wprawdzie, że mógł w tej chwili znajdować się akurat za nią, ale kiedy się odwróciła, by to sprawdzić, nikogo nie zobaczyła.

Hm... Kiedy sześć lat temu debiutowała na londyńskich salonach, dwudziestojednoletni wówczas Robert Carroway tańczył z nią właśnie kadryla. Zastanawiała się, czy mógł to pamiętać. W tamtym sezonie bawił w Londynie tylko przejazdem, w drodze powrotnej ze studiów w Cambridge. W jej pamięci utrwalił się jako dobry tancerz i dobrze zapowiadający się młody człowiek, nie tylko olśniewająco przystojny, lecz także inteligentny. Niestety, niedługo potem zaciągnął się do wojska, aby walczyć przeciwko Bonapartemu.

- Wszystko w porządku, Lucindo? - zagadnęła Georgiana, podchodząc do niej.

- Owszem, w jak najlepszym. - Otrząsnęła się ze wspomnień. - Wydawało mu się, że wczoraj mnie obraził, więc chciał przeprosić.

- I zrobił to? To znaczy, chciałam spytać, czy naprawdę cię obraził?

- Ależ skąd! To była tylko taka wymiana poglądów.

- Poglądów? - powtórzyła z niedowierzaniem Georgiana.

Lucinda uśmiechnęła się i wzięła ją pod ramię.

- Tak, poglądów, a teraz chętnie napiłabym się madery. Wystarczy, że w ciągu jednego tygodnia aż dwa razy rozmawiałam z Robertem Carrowayem, abyśmy zrobiły z tego sensację. - Zachichotała, osłaniając się tym śmiechem jak tarczą przed gwarem sali balowej, chociaż naprawdę marzyła o kilku chwilach ciszy. - Może wzbudzi to zazdrość lorda Geoffreya...

- Uważaj, bo o wilku mowa - syknęła jej przyjaciółka, wskazując lorda podbródkiem.

Złotowłosy Adonis wynurzył się z tłumu i stanął między Lucindą a lady Dare.

- Zaczyna się nasz walc! - oznajmił, jak zwykle pełen wdzięku i dobrego humoru.

- Ach, przepraszam, zupełnie o tym zapomniałam.

- To zrozumiałe, zważywszy...

Newcombe oplótł Lucindę ramieniem w talii, na co zareagowała leciutkim uśmiechem. Dopiero co żartowały z Georgianą na temat prowokowania męskiej zazdrości, a Robert Carroway mógł spodobać się każdej kobiecie!

- Zważywszy na co? - podchwyciła.

- A chociażby sam fakt, że ten milczek, mało tego, że się tu pojawił, to jeszcze przemówił, i to właśnie do pani! - wyjaśnił lord, splatając w tańcu palce z jej palcami. - Prawie już myślałem, że umarł, a Dare zakopał go w swojej piwnicy lub czymś podobnym.

- Cóż za nedorzeczność! - oburzyła się Lucinda, zanim uprzytomniła sobie, że podobną gruboskórność przejawiała większość panów z towarzystwa.

Miała więc jeszcze jeden powód, aby poddać lorda edukacji. - Przecież to żołnierz, ranny na froncie.

- Ja też pod Waterloo dostałem kulkę w ramię - zareplikował Newcombe, obdarzając ją zawadiackim uśmiechem. - Bolało jak diabli. Czy mam opowiedzieć pani o swoich bohaterskich czynach?

Lucinda nie wątpiła, iż istotnie otrzymał postrzał, bo mało kto wracał z wojny bez takiej "pamiątki". Słyszała nawet już opowieść o tym, jak to się stało. Uśmiech lorda Geoffreya był jednak tak zniewalający, iż uznała, że może pozwolić mu uraczyć się wiązką żołnierskich przechwałek. Jej samej pozwoli to ocenić skuteczność obranej strategii, a ponadto zapomnieć o udręczonym spojrzeniu innego żołnierza.

- O, tak, proszę! - zachęciła.

Robert wracał do Carroway House okrężną drogą, zawadzając o obrzeża Hyde Parku. Wiedział, że dobrze po północy nie zastanie tam żadnego szanującego się dżentelmena, więc mimo chłodnego powietrza, w którym jego oddech tworzył mgiełkę, oddał wodze swojemu wałachowi i trącił go łydkami w żebra. Dobrze umięśniony, gniady koń o lśniącej sierści od razu ruszył galopem.

Na oświetlonej mdłym blaskiem księżycy ścieżce Tolley rozwinął maksymalną szybkość, tak że nachylony nad jego kłębem Robert przymykał oczy, aby nie podrażnił ich wiatr. Wokół panowała cisza, słychać było jedynie chrzęst siodła, tętent kopyt i stękanie konia.

Takie noce Robert często spędzał na szalonych galopach po ciemnym, opustoszałym parku. Czuł wtedy tylko wiatr na twarzy, a cały świat stał przed nim otworem. Mógł zapomnieć o murach, kratkach, krzykach torturowanych czy jękach konających. Kiedy samotnie pędził na szybkim koniu, nikt nie był w stanie go schwytać ani uwięzić.

Dopiero kiedy Tolley zaczął ciężko oddychać i wyraźnie skracać krok, pozwolił mu zwolnić i skierował konia w stronę domu. Maształerze twardo

spali, ale Robertowi to odpowiadało. Wolał sam spokojnie rozetrzeć gniadego, dać mu jabłko i odprowadzić do boksu. Drzwi od frontu stały otworem, gdyż służba oczekiwała powrotu Tristana, Georgiany i Shawa, mógł więc po cichu wśliznąć się do domu.

- Gdzieś ty się, u diabła, włóczył? - padło nagle pytanie.

Robert wzdrygnął się, ale zaraz rozluźnił napięte mięśnie, gdyż rozpoznał dziecienny głosik.

- A co ty tu, u diabła, robisz i dlaczego nie leżysz w łóżku? - odparował, zwracając się w stronę drobnej figurki chłopca siedzącego na najniższym stopniu schodów.

Gdyby to Tristan, Bradshaw czy nawet Andrew ośmielili się go indagować, Robert dawno znalazłby się w swojej sypialni i zatrzasnął drzwi za sobą. Co innego jednak, gdy czekał na niego Edward, trzęsąc się z zimna w nocnej koszulce i ściskając w piąstce ołowianego żołnierzyka!

- Miałem coś do załatwienia, Cherlaku. - Podniósł chłopca do góry i próbował się nie wzruszyć, kiedy cienkie ramionka i objęły go za szyję.

- Ale ja się martwiłem o ciebie! Widzisz, jestem chyba za mały, aby być jedynym mężczyzną w domu, ale nikogo innego nie ma!

Robert przerzucił sobie malca przez ramię i rozpoczął wspinaczkę po schodach, starając się nie zdradzić z bólem niesprawnego kolana, które właśnie dodatkowo obciążył. Przynajmniej ten jeden braciszek uważał go za niezniszczalnego, więc prędzej szlag by go trafił, niżby pozwolił, aby to się zmieniło. W głębi duszy czuł zaś, że szlag go trafi dopiero wtedy, g d y to się zmieni.

- Dlaczego nie śpisz?

- Obudziłem się, bo mi się przyśniło, że okręt Shawa zatonął.

- Shaw tańczy teraz na balu u Wellcristów. Jutro możesz go skrzyczeć, że cię nie zbudził, kiedy wcześniej wrócił do domu.

- Pewnie, że na niego nakrzyczę - obiecał Edward sennym głosem, kiedy Robert doniósł go do jego sypialni. - Ale ty już nigdzie nie wyjedziesz?

Robert położył chłopca do łóżka i otulił kołdrą.

- Nie, nigdzie się nie wybieram. Dobranoc, Cherlaku.

- Dobranoc, Mały.

Zamknął drzwi sypialni Edwarda i ruszył do swojej, po drodze zastanawiając się, dlaczego Cherlak w nim, a nie w kim innym, szukał oparcia. To, że częściej przebywał w domu, nie oznaczało, że był godny zaufania! Może inni bracia śmiali się z Edwarda, że bał się zostawać sam w domu, kiedy wyjeżdżali do miasta - chociaż jak mógł czuć się samotny w domu pełnym służby i ciotek?

Jeszcze pięć lat temu Robert nie byłby pewien, czy potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie. Tylko że pięć lat temu nie wiedział jeszcze nic o Chateau Pagnon ani o generale Jean-Paulu Barrerze.

Zrzucił surdut, podszedł do okna i otworzył je na oścież. W wygasłym kominku tlił się jeszcze żar, jednak od podmuchów zimnego powietrza zaczął całkiem zamierać. Robert nie zważał na chłód. Byleby nie padał śnieg - aby zasnąć, potrzebował świeżego powietrza, cokolwiek to oznaczało w Londynie.

Wkrótce potem leżał już na wznak w swoim wygodnym łóżku, założywszy ręce pod głowę. Dziś dowiedział się, że Lucinda Barrett poważnie myślała o małżeństwie z lordem Geoffreyem Newcombe'em. Zaczął więc ich obserwować i stwierdził, że stanowili ładną parę, szczególnie gdy tańczyli walca na balu u Wellcristów. Lucinda wyglądała ślicznie, otoczona przyjaciółmi, uśmiechnięta i rozszczebiotana, wyróżniająca się jak diament na tle innych kamieni szlachetnych.

Robert westchnął. Nie powinien był wyśmiewać jej wyboru, jakby miał blade pojęcie, co przesądza o czymś powodzeniu w towarzystwie. Mimo to jednak potraktowała go życzliwie, przyjęła jego przeprosiny, ba, nawet proponowała, aby pozostał! Sam się sobie dziwił, że zmusił się do uczestnictwa w wieczorku tańczącym, a w rozmowie z damą usiłował zachowywać pozory.

Przewrócił się na bok, twarzą do okna. Jeszcze dzień wcześniej nie potrafiłby wyobrazić sobie, że dobrowolnie zgodzi się tracić czas na zatłoczonej sali. Przyszło mu to z trudnością, ale dał radę. I nawet wiedział dlaczego.

Po prostu nie myślał wtedy o dusznej sali i tłumach ludzi odgrywających idiotyczną farsę, tylko o pannie Barrett. Teraz zaś myślał, jak doprowadzić do powtórnego spotkania. Przez trzy lata wyglądał jej zza bram swego prywatnego piekła, a dziś nawet z nią rozmawiał! Ona, oczywiście, nie zdawała sobie sprawy, że nieco przybliżyła mu światło dzienne i że od tej pory wszystko wyglądało inaczej.



Po raz pierwszy od trzech lat udało mu się zasnąć, mając pod powiekami pogodny kobiecy uśmiech, a nie drżąc ze strachu, czy dożyje do rana.

### 3

*Ty masz nadzieję i cały świat przed tobą, więc nie masz powodów do rozpacz. Ja natomiast utraciłem wszystko i nie mam szansy na rozpoczęcie nowego życia.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Lucinda wyjrzała przez drzwi gabinetu ojca.

- Ależ, tatusiu, nie przypuszczam, aby lord Milburne był Anarchistą. Niby dlaczego miałby nim być?

General Augustus Barrett spojrzał na nią przez ramię z wyrazem udawanej powagi, ale w jego szarych oczach tliła się iskierka humoru. Zazwyczaj sypały się z nich błyskawice, które niejednego rekruta skłoniły do rezygnacji z kariery wojskowej.

- Tylko popatrz na niego. - Zachęcił jedynaczkę gestem, by podeszła do okna. - Czerwony surdut, biała kamizelka i zielone spodnie. To oznacza albo anarchistę, albo flagę Hiszpanii.

Lucinda przycisnęła się do ojcowskiego ramienia, aby wyrzeć na ulicę.

- Wielkie nieba! - zachichotała. - Dobrze, że przynajmniej Hiszpania jest naszym sojusznikiem.

- Ale długo nim nie zostanie, jeśli Anglicy będą robili sobie kpiny z ich barw narodowych! - Mars na czole generała pogłębił się jeszcze. - I na dodatek on do nas kiwa! Mam nadzieję, że nie stara się o twoją rękę? Zastrzeliłbym go, gdyby zbliżył się do naszego domu.

Lucinda cofnęła się od okna i pokręciła przecząco głową.

- Nie bój się, tatusiu, na pewno nie zamierzam wyjść za żadną flagę. Masz już może dla mnie nowy rozdział? - Wskazała na mahoniowe biurko, na którym piętrzyły się gęsto zapisane kartki papieru.

- Jeszcze nie, bo moje notatki z Salamanki wymagają więcej pracy, niż myślałem. Nie zmieniaj tematu, kochanie, dobrze?

- Jakiego tematu?

Generał postukał ręką po oparciu fotela przystawionego do jego masywnego biurka.

- Konkurentów do twojej ręki.

*Ładnie, ładnie!*

- Tatusiu, błagam cię, tylko nie zaczynaj znów zapraszać wszystkich znajomych oficerów! Wśród trzydziestu panów w czerwono-białych mundurach czułam się jak flaga Francji podczas oblężenia. Naprawdę wolę pokojowe negocjacje, a ty się nie wykręcaj, bo jesteś mi winien następny rozdział.

Augustus Barrett ciężko opadł na fotel.

- Kiedy w tych notatkach mam straszny bałagan! Tylko niepotrzebnie się namęczysz, bo i pamięć już mi szwankuje...

- Hm, sądząc po obowiązkach, jakich nie szczędzi ci dowództwo Gwardii Konnej i Ministerstwo Wojny, nie przypuszczam, aby wierzyli w twoje ułomności bardziej niż ja.

- Współczucie to miły gest, córeczko.

- Tak jest, panie generale! - Nie wierzyła wprawdzie w pogarszającą się pamięć ojca, ale mogła zyskać kolejny pretekst do udzielania swoich lekcji. Poczwała miły dreszczyk emocji. - Wiesz, tato, słyszałam, że lord Geoffrey Newcombe walczył pod Salamanką. Dziś wieczorem ma być u Almacka, więc mogę poprosić go, aby wpadł do nas i pomógł ci przy porządkowaniu twoich zapisków.

- Ach lord Geoffrey? Ten arogancki, uszczypliwy młokos? Pamiętam, był ranny w ramię pod Waterloo. Wczoraj tańczyłaś z nim walca.

Generał obrzucił córkę badawczym spojrzeniem, ale ta udała, że jest zajęta ustawianiem książek na półce.

- Tańczyłam z różnymi panami, jak zawsze - odpowiedziała spokojnie. - Po prostu lord Geoffrey wspomniał o wojnie, więc pomyślałam sobie, że mógłby ci w czymś pomóc.

- Wiesz, kochanie, że może i masz rację - stwierdził generał po chwili milczenia. - Napiszę do niego i poproszę, żeby do nas przyszedł.

- Cudownie!

Ojciec jakby dopiero teraz zauważył, że Lucinda ma na sobie znoszoną suknię z niebieskiego muslinu i słomkowy kapelusz.

- Chyba mamy ogrodnika, prawda? - zwrócił jej uwagę.

- Wiem, ale uwielbiam pielęgnować róże. Nie bój się, nie pokłuję sobie palców, bo nakładam rękawiczki.

Augustus Barrett zanurzył ręce w szufladzie, jakby nagle odczuł potrzebę zatemperowania pióra.

- Całkiem jak twoja matka! - mruczał pod nosem. - Marie i jej róże...

- Narwę ci kwiatów do wazonu - obiecała Lucinda z uśmiechem. Zaopatrzyła się w grube rękawiczki i sekator i zaczęła, aż kamerdyner otworzy jej drzwi.

- Będę w ogrodzie, Ballow - poinformowała.

- Tak jest, proszę jaśnie panienki.

Ogrodnik Worley zawczasu przygotował dla niej wiaderko na wyrwane chwasty, więc nucąc walca z wczorajszego balu, panna Barrett ruszyła spacerkiem do ogródka po drugiej stronie domu. Po jej urodzeniu matka co roku dosadzała kolejny krzak róży, a Lucinda kultywowała tę tradycję. W zeszłym tygodniu sprowadziła z Turcji dwudziestą czwartą różę o pełnych, żółtych kwiatach, pachnącą cynamonem.

- Jak się masz, kochanie? - zagadła do krzewu, przyklękając dla sprawdzenia, czy jest należycie podlany. - Oj, chyba przydałoby ci się trochę wody!

Nucąc, przycięła kilka zwiędłych liści, które nie przetrzymały długiego transportu. W duchu cieszyła się, że tak sprytnie użyła wspomnień ojca jako pretekstu do zwabienia pod swój dach lorda Geoffreya.

Pod jej bokiem nagle pojawiła się konewka, więc rzuciła za siebie:

- Dziękuję ci, Worley. Chyba umiesz czytać w myślach!

Sięgała już po konewkę, gdy w pół drogi zatrzymała się z ręką w powietrzu, bo zamiast ciężkich, roboczych buciorów ogrodnika zobaczyła eleganckie oficerki. Spoglądała więc wyżej i wyżej, dostrzegając najpierw irchowe bryczesy, nad nimi czarny surdut, brązową kamizelkę, śnieżnobiały krawat, a jeszcze wyżej pociągłą twarz z idealnie wykrojonymi ustami i szafirowymi oczami, na które spadały niesforne, dawno niestrzyżone, czarne włosy.

- Ach, to pan Carroway! - wykrzyknęła, zrywając się na nogi. W pośpiechu nastąpiła sobie na spódnicę i omal nie wpadła prosto na krzak róży.

Robert błyskawicznie złapał ją pod ramiona, ale gdy tylko odzyskała równowagę, natychmiast ją puścił, cofnął się i założył ręce za plecami, jakby jej dotknięcie sprawiało mu przykrość.

- Chyba nie gryzę, na miłość boską! - burknęła Lucinda, celowo długo otrzepując spódnicę, aby dać trochę czasu gościowi i sobie.

- Wiem - rzucił chłodno.

Bądź dla niego miła, nakazała sobie w duchu. Musiał mieć przecież jakiś istotny powód, jeśli przyszedł ją odwiedzić. Georgiana nie powiedziała jej wiele o swym szwagrze, ale zarówno jej słowa, jak i jego trzyletnia nieobecność na salonach świadczyły, że niechętnie ruszał się z domu.

- Nie chciałam być dla pana opryskliwa - sumitowała się. - Po prostu pan mnie zaskoczył.

- Spróbowałem podkraść się niepostrzeżenie, bo zdawało mi się, że pani to lubi - odpowiedział cichym, beznamiętnym głosem.

Lucinda obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, ale nie zmienił wyrazu twarzy, tylko w lazuruwej głębi jego oczu błysnęły łobuzerskie iskierki. Dobrze, że przynajmniej miał poczucie humoru!

- Na pewno jest pan w tym lepszy ode mnie - stwierdziła pojednawczo. - Wie pan co? Umówmy się, że nie będziemy wpadać na siebie zniecka, bo moglibyśmy tylko narobić szkody.

- Zgoda. - Carroway przesunął się w bok na tyle, że patrzył teraz nie na nią, lecz na dom. - Wie pani, wczoraj wieczorem przyszła mi do głowy pewna myśl... - Mówiąc, cedził słowa, jakby z wyraźną niechęcią.

- A mianowicie... - zachęciła, by dokończył zdanie.

Nabrał w płuca dużo powietrza.

- Doszedłem do wniosku, że z tym Geoffreyem Newcombe'em tylko traci pani czas.

- Doprawdy? - Lucinda uniosła brew. - A jakimże to sposobem?

Robert zawahał się, widząc, jak dziewczyna zmieniała się na twarzy.

- Obraziłem panią, prawda?

- Tak - odparła wprost, wychodząc z założenia, że jeśli on może być szczery, to i ona także. - Czy mogłabym prosić o wyjaśnienie?

- Owszem. Newcombe jest bezczelny i zepsuty do szpiku kości.

Lucinda nie była pewna, czy ma się czuć urażona, czy raczej zaintrygowana.

- Dlatego właśnie potrzebuje moich lekcji - wytłumaczyła. - Czego mogłabym nauczyć dżentelmena o nienaganych manierach?

Logika jej wywodów nie wywarła na Carrowayu najmniejszego wrażenia.

- Ja... - zaczął, ale dorzuciła następny argument.

- Poza tym zawsze wydawało mi się, że w obecności damy jeden dżentelmen nie mówi źle o drugim.

- Rzeczywiście, na ogół tak się nie robi - przytaknął Robert - ale ja nie jestem dżentelmenem, a pani przyjaźni się z Georgianą. Chciałbym zwrócić pani

uwagę, że Tristan i St. Aubyn są może arogancy i popełniają błędy, ale żaden z nich nie jest tak zepsuty jak lord. Wątpię, aby Newcombe chciał słuchać pani lekcji, chyba że znajdzie w nich korzyść dla siebie. Jemu się wydaje, że ma cały świat u stóp.

- Jak na kogoś, kto unika dawnych towarzyszy, wydaje się panu, że dużo pan o nich wie! - ripostowała Lucinda, gdyż zrozumienie szybko przeszło u niej w rozdrażnienie. - Ciekawam, jakie wnioski wysnuł pan na mój temat?

- Na pani temat? - powtórzył, zdumiony.

- Tak, na mój. Skoro tak wnikliwie zanalizował pan charakter lorda Geoffreya, St. Aubyna i własnego brata, na pewno ma pan wiele do powiedzenia również o mnie.

Schyliła się, aby podnieść upuszczony sekator, sama sobie się dziwiąc, że ciekawi ją to, co może powiedzieć taki Robert Carroway. Może zachowała się wobec niego zbyt obcesowo, ale nie pytała go przecież o zdanie na temat jej prawdopodobnego, czy raczej przyszłego, męża.

- Wiem o pani tyle, że zasługuje pani na kogoś lepszego niż Newcombe - dobiegł ją jego cichy głos.

- Dziękuję panu za troskę - odrzekła, prostując się - ale umówmy się, że...  
- Zanim dokończyła zdanie, zorientowała się, że Roberta już przy niej nie ma. Rozejrzała się wokół siebie, ale znikł, jakby od początku do końca istniał tylko jako wytwór jej wyobraźni.

- Na miłosierdzie boskie! - wymamrotała, obrywając jakiś zabłąkany listek. - Mogłabym ci niejedno powiedzieć o twoim charakterze, ty grubianinie!

- Cóż to, mówisz sama do siebie? - Zza rogu domu wynurzył się jej ojciec i zdążył ku niej między rzędkami róż.

Jakie to okropne, kiedy wszyscy podkradają się niepostrzeżenie!

- Skądże znowu, rozmawiałam tylko z tym nowym krzakiem róży - wyjąkała, czując, że policzki jej płoną.

- Ach, tak. A przynajmniej odpowiedział?

- Nie, wydaje mi się, że jest raczej nieśmiały.

- Mam nadzieję, że mnie poinformujesz, kiedy w końcu coś ci powie?

- Bardzo zabawne!

Dopiero teraz generał ujawnił cel swego przybycia i wyciągnął do niej rękę z listem.

- Popatrz, właśnie przyniósł to posłaniec.

Lucinda wzięła bilecik.

- A ty oczywiście musiałeś osobiście mi to przynieść, ponieważ wszyscy nasi służący połamali nogi? - zażartowała. - Bo na pewno nie wynika to stąd, że ociążasz się z zakończeniem trzeciego rozdziału?

- Przykro mi, ale na razie nie doszedłem nawet do środka trzeciego rozdziału. - Kąciki ust generała wygięły się ku górze. - Właśnie odkryłem, że prowadzenie wojny jest dziecinnie łatwe, natomiast pisarstwo, podobnie jak polityka, szalenie trudne.

Lucinda roześmiała się, próbując wyrzucić z pamięci niemiłą wizytę pana Carrowaya. Przynajmniej starała się to zrobić, bo coś musiało być na rzeczy. To "coś" zetknęło ich ze sobą trzy razy w ciągu trzech dni, podczas gdy ostatnie trzy lata Robert spędził w prawie zupełnej samotności. Otrząsnęła się jednak z tych myśli i zwróciła się ponownie do ojca.

- Wydaje mi się, że dobrze sobie radzisz z jednym i drugim. Oczywiście, jeśli chcesz, możesz pomóc mi obcinać zwiędłe liście.

- Dziękuję, kochanie, ale wolę oddać ci prymat w tym zakresie i wrócić do moich gryzmołów.

- Słuszna strategia, panie generale!

Po odejściu ojca Lucinda uważnie rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy jeszcze ktoś się do niej nie podkrada. Dopiero gdy upewniła się, że jest sama, otworzyła liścik. Od razu poznała charakter pisma Evelyn, która zapytywała, czy ona i generał mają ochotę przyjść na proszoną kolację u lorda i lady St. Aubyn w sobotę. Najbardziej jednak rozśmieszył Lucinę dopisek w nawiasach u dołu kartki. Wynikało z niego, że takie samo zaproszenie otrzymał również lord Geoffrey Newcombe.

Panna Barrett wsunęła bilecik do kieszeni sukni. Nie miała wątpliwości, że przyjaciółki pragnęły jej pomóc, ale coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, iż pomysł z lekcjami, który sama podsunęła, okazał się jedną wielką fikcją. Georgiana i Evelyn wybrały sobie uczniów, szczerze wierząc, że

ich czegoś nauczą, natomiast gdy przyszła kolej na nią - ani one, ani nawet taki odludek, jak Robert Carroway, nie ukrywali, że owe "lekcje" to ledwie wykrętna wymówka. Co gorsza, jej przyjaciółki jawnie chciały podać jej lorda Newcombe'a jak na tacy, nie udając nawet, że chodzi im o co innego niż zwykłe swaty.

- A niech to wszyscy diabli! - mruknęła pod nosem, używając jednego z łagodniejszych wojskowych przekleństw, jakich nauczyła się od ojca i jego podwładnych. Z kwaśną miną skropiła ziemię wokół róży wodą przyniesioną przez Roberta. Nie tak to sobie wyobrażała, chociaż gdyby udawała, że jest inaczej, oszukiwałaby tylko samą siebie - no, może jeszcze lorda Geoffreya.

Cóż, skoro już powiedziała "a", musi teraz powiedzieć "b". A pan Robert Carroway bardzo się myli, jeśli sądzi, że potrzeba jej rady. Nie musi się także tłumaczyć przed takim nieobytym dzikusiem, który nie raczy nawet przeprosić, tylko zwyczajnie znika. Miał szczęście, że zainteresowała się lordem Geoffreym, ponieważ to raczej on potrzebował jednej czy dwóch lekcji.

Robert przeszedł na Tolleyu do stępa, gdyż zbliżył się już do granic rodowej posiadłości Carrowayów. Przed stajnią stali akurat Bradshaw i Edward, oglądając nowe siodło, które ten ostatni dostał na urodziny. Wziąwszy głęboki oddech, Robert wprowadził konia na podjazd. Po tym, jak podczas rozmowy z panną Barrett popsuł wszystko, chyba nic gorszego nie mogło już go spotkać.

- Hej, Mały! - Edward wybiegł mu na spotkanie i kurczowo uczeplił się jego buta. - Shaw nic ci nie powiedział?

- Daj spokój, Cherlaku... - starszy brat próbował protestować, ale malec nie zważał na to.

- Będzie teraz miał własny okręt, bo został kapitanem! - obwieścił.



- Powiedzmy: prawie kapitanem - sprostował Bradshaw, wytrzymując spojrzenie Roberta. - Dostanę nominację dopiero za dwa miesiące, chyba że Bonaparte znów wydobędzie się na wolność.

- Gratuluję! - Robert stłumił dreszcz, który nim wstrząsnął. Zeskoczył z Tolleya, niechętnie oddając wodze chłopcu stajennemu. Do dziś mile wspominał czasy poprzedzające małżeństwo jego brata z Georgianą, której posag znacznie podwyższył poziom życia rodziny. Przedtem przynajmniej mógł sam obrządzać Tolleya i nie musiał czekać północy, aby niepostrzeżenie wymknąć się na przejażdżkę.

- Gdzieś ty jeździł? - spytał najmłodszy Carroway.

- Załatwiałem różne sprawy - odrzekł mu jak zwykle.

W duchu dopowiedział, że tym razem jeździł na próżno, bo niczego nie załatwił. Nie był nawet pewien, po co tam pojechał. Może dlatego, że lubił sposób mówienia Lucindy Barrett. Mało kto bowiem chciał z nim dłużej rozmawiać, nawet gdy dawał temu komuś szansę, co zdarzało się nader rzadko. W którymś momencie miał nawet zamiar zaofiarować się jej z pomocą. Cha, cha! Jak mógłby pomóc komuś, jeśli nie potrafił pomóc sam sobie?

- Przejechałbyś się z Shawem i ze mną? - dopytywał się Edward.

- Mam kilka listów do napisania - wymówił się, chociaż tak naprawdę nie chciał przeciskać się przez tłumy spacerowiczów, jakich pełno było w Hyde Parku o tej porze. Kiwnął bratu głową, obrócił się na pięcie i skierował w stronę domu.

- Poczekaj, Mały! - zawołał za nim Shaw, oddając Edwardowi wodze jego kucyka. - Zaraz wracam, Cherlaku.

- Dobrze, tylko szybko, bo mam ochotę na lody cytrynowe!

Robert zwolnił, aby Bradshaw mógł się z nim zrównać. Zanim jeszcze którykolwiek z nich się odezwał, mógł słowo po słowie odtworzyć całą rozmowę, jaka prawdopodobnie miała nastąpić. Ten sam schemat powtarzał się bowiem, ilekroć któryś z członków jego rodziny wracał do domu po okresie nieobecności.

- U mnie wszystko w porządku - zaczął od razu, aby skrócić nieuniknione śledztwo.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że na moim okręcie wakuje stanowisko trzeciego oficera - rzucił beznamiętnie Bradshaw, celowo kierując wzrok w stronę kamerdynera otwierającego drzwi od frontu. - Myślę, że mógłbyś...

- Nie! - przerwał mu Robert ostro. Propozycja Shawa zaskoczyła go, więc nie zdążył powstrzymać biegu myśli i od razu wyobraził sobie, jak zamknięty w ciasnej kajucie walczy z żywiołem gdzieś na środku oceanu.

- To, że odszedłeś z wojska, nie oznacza, że nie możesz robić innych pożytecznych rzeczy - przekonywał brat.

Robert zatrzymał się w miejscu i zastąpił mu drogę.

- Co za pożytek z opływania kuli ziemskiej naokoło? - rzucił mu w twarz.

Shaw od razu spochmurniał.

- Nie masz... - zaczął.

- Daj mi spokój, Shaw. Ja nie wtrącam się do twojego życia.

- A mógłbyś, bo swojego dawno już nie masz.

Robert minął w drzwiach Dawkinsa i pociągając nogą, wszedł na schody.

- Wiem o tym! - warknął, kierując się do swojej sypialni.

- Ale tak być nie musi! - krzyknął za nim Bradshaw.

- Owszem, musi - wydyszał, ciężko chwyając oddech. Potrzebował teraz ciszy i spokoju, aby ochłonąć i przestać myśleć o zamknięciu w ciasnej klitce bez możliwości wyjścia na zewnątrz.

Kiedy jednak znalazł się w sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi, zdało mu się, że ściany okrążają go ze wszystkich stron. Przybliżały się coraz bardziej, podczas gdy on nerwowo przemierzał trasę do okna i z powrotem. Ręce zaczęły mu drżeć, więc zacisnął je w pięści. Wiedział, że zbliża się napad panicznego lęku, któremu nie był w stanie zapobiec. Niech licho porwie tego Bradshawa!

Zamknął oczy i osunął się na podłogę pod oknem. Czuł, że najzwyczajniej w świecie przeciągnął strunę. Żeby po trzech latach spędzonych w samotności i ciszy w ciągu dwóch dni wziąć udział w dwóch spotkaniach towarzyskich, i jeszcze znieść te wszystkie wścibskie spojrzenia i szeptki za swoimi plecami?

Nakazał sobie spokój. Przecież nigdzie się nie wybierał, nic mu nie groziło, był bezpieczny, więc powinien zachowywać się zupełnie spokojnie. Słowa "spokojnie i bezpiecznie" powtarzał tak długo, aż zlały się w jeden, nieartykułowany bełkot.

- Mały? Robert? - To Tristan dobijał się do jego drzwi.

Otworzył oczy i zorientował się, że siedzi skulony na podłodze w zupełnych ciemnościach. Powoli rozprostował zgięte palce i dźwignął się na nogi, przewyciężając ból zeszywniałych mięśni.

- Hej, Mały, dobrze się czujesz?

W drodze do drzwi trochę go mdliło, ale wiedział, że to oznacza, iż najgorsze już za nim. Czuł się jak stuletni starzec, ze skórą napiętą na kościach. Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi.

- U mnie wszystko w porządku - wystękał, patrząc na zatroskaną minę najstarszego brata.

- Mogę wejść?

- Nie.

- Wyglądasz fatalnie.

- Wiem o tym.

- Shaw powtórzył mi, co ci zaproponował - wycedził Tristan przez zaciśnięte zęby.

Robert ponownie poczuł wzbierającą falę strachu. Chryste, czy musi jeszcze raz przez to przejść? Może przynajmniej nie tak prędko!

- I pewnie sądzisz, że powinienem się zgodzić? - wykrztusił.

- Bynajmniej, uważam, że Shaw jest głupi i powiedziałem mu to.

- Dobrze zrobiłeś.

Wicehrabia zamilkł na chwilę.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - rzekł ściszym głosem. - Może mógłbym coś zrobić dla ciebie... jakoś ci pomóc?

Robert cofnął się o pół kroku, zaciskając palce na framudze drzwi.

- Przecież wiesz, że ciągle próbuję... - wyszeptał, bo nie był pewien, czy przy normalnym tembrze głosu uda mu się opanować jego drżenie.

- Wiem. Powiedz tylko, czego potrzebujesz, a będziesz to miał.

- Nie potrzebuję... - zaczął, ale Tristan nie dał mu skończyć.

- Wiesz, o czym myślałem?

- No, o czym? - W tej chwili było mu wszystko jedno, czy ma zostać sam w ciemnym pokoju, czy zejść na dół, gdzie czekała reszta rodziny.

- Wydaje mi się, że potrzebujesz jakiegoś zajęcia. Nic nie mów, wiem, że dużo czytasz, a i Tolley zażywa ruchu pod dostatkiem. Nie proponuję ci, żebyś haftował czy coś w tym rodzaju, zresztą sam nie wiem, co to właściwie miałyby być. Myślę, że cokolwiek, aby od czegoś zacząć, żebyś...

- Miał co robić, prawda? - dokończył Robert.

- Nie gniewaj się na mnie, ja...

- Wcale się nie gniewam. - Ponownie nabrał dużo powietrza w płuca. - Może i masz rację.

- Naprawdę? Jeszcze nigdy tego od ciebie nie słyszałem. Koniecznie powiedz o tym Georgie, dopiero się zdziwi!

Widząc na twarzy Tristana zaskoczenie, a zarazem ulgę, Robert poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Zmusił się do uśmiechu, jeszcze raz spojrzął za siebie i otworzył szeroko drzwi na korytarz.

- Chyba nie czekacie na mnie z kolacją?

- Właśnie w tej sprawie przyszedłem. Cherlak już się odgrażał, że zje własne nakrycie.

Robert uniósł brew.

- Przecież nie musieliście na mnie czekać!

- Owszem, musieliśmy, ale nie przejmuj się tym.

Po zejściu do jadalni Robert trzymał powieki spuszczone, dopóki nie zajął miejsca przy stole. Czuł na sobie zatroskane spojrzenia wszystkich członków rodziny, z których każdy próbował powiedzieć coś, co by go ośmieliło. Tylko Shaw był zły, zarówno na siebie, jak i na Roberta, bo przecież nie zrobił nic złego - chciał dać młodszemu bratu szansę zrobienia kariery w marynarce.

- Evie i Saint zaprosili nas wszystkich w sobotę na kolację - przerwała milczenie Georgiana.

- W ogóle wszystkich czy tylko dorosłych? - chciał wiedzieć Edward.

- Jeśli mówię, że wszystkich, to wszystkich, kochanie. To znaczy nas, Luce, generała i lorda Geoffreya Newcombe'a.

- Wspaniale, tak lubię lorda Geoffreya! - ucieszył się Edward. - Umie opowiadać piękne historie i znał Wellingtona!

- Podobnie jak Saint - dodał Bradshaw.

Robert czuł na sobie spojrzenia innych biesiadników, oczekujących, że przyłączy się do rozmowy. Spuścił więc głowę i zajął się posiłkiem. Wiedział, że czy się odezwie, czy nie - i tak za chwilę ktoś zmieni temat i konwersacja potoczy się dalej bez jego udziału. Tak to zazwyczaj wyglądało i wszyscy o tym wiedzieli.

- Mały, a ty znasz Wellingtona?

To, że wszyscy o tym wiedzieli, nie obejmowało Edwarda. Początkowo chciał puścić to pytanie mimo uszu, ale wówczas obraziłby chłopca, a ten mógłby przestać się do niego odzywać. No, a wtedy straciłby jedyny fragment zdrowej tkanki, który go łączył z życiem.

- Nieraz widziałem go, jak przejeżdżał obok mnie konno - udzielił odpowiedzi. - A raz wypiliśmy razem whisky i tyle.

- Jak to piliście razem whisky? - indagował najmłodszy z rodu Carrowayów, podskakując na krześle.

- Bo miałem butelkę, a wtedy padał śnieg, więc Wellington poprosił, żebym dał mu się napić, bo sobie jaja odmrozi.

- Wellington powiedział "jaja"?

- Edwardzie! - pisnęła przeraźliwie Georgiana.

- Mały powiedział to pierwszy!

Shaw dziwnie zakaszłał w serwetkę, a kamerdyner Dawkins udawał, że nagle zainteresowało go coś za oknem. Tristan i Georgie wyglądali na rozbawionych.

Robert natomiast, po trzech godzinach nękających go lęków, najchętniej zamknąłby oczy. Bolały go napięte mięśnie i czuł się tak zmęczony, jakby biegiem przebył odległość do Newcastle i z powrotem. Sen też nie przyniósłby mu ulgi, bo mimo zmęczenia nachodziły go koszmary. Może Tristan miał rację, że jakieś łatwe, bezpieczne zajęcie pozwoliłoby mu zapomnieć o ciężkich przeżyciach.

- Ogród... - wymamrotał, niepewny, czy wypowiedział to słowo wystarczająco głośno, dopóki nie zauważył zdziwionej miny najstarszego brata.

- Słucham? - Tristan prosił go o powtórzenie.

On tymczasem utwierdził się w przekonaniu, że istotnie chciałby hodować rośliny. One przynajmniej nie krzyczą i nie krwawią, kiedy umierają. Nie patrzą też na człowieka jak na wariata, kiedy nie bardzo wie, co właściwie chce robić. Tak, to rzeczywiście miało sens!

- Chciałbym założyć ogród - sformułował pełne zdanie.

- A jaki to miałby być ogród? - zapytał Bradshaw głosem ciekim i niepewnym.

*Aha, nie chcesz zrażać niemowy* - pomyślał Robert, ale starał się zdystansować od tych ostrożnych odezwań i zatroskanych spojrzeń. Pamiętał tylko, że Lucinda pracowała w ogródku, gdy do niej przyszedł. Co za roślinę pielęgnowała, kiedy klęczała na ziemi, dyskutując z nim i spierając się, jakby uważała go za zupełnie normalnego człowieka?

- Róże - wykrztusił.

- Aha, róże! - podchwyciła Georgiana, patrząc na niego uważnie. - Rzeczywiście, najwyższy czas, aby choć jeden z Carrowayów zajął się czymś innym niż wyrabianie sobie kiepskiej reputacji!

- Ja nie mam kiepskiej reputacji! - oburzył się Edward, zaskoczony tym, co usłyszał od starszego brata. Ze złością odepchnął porcję słodkich bulw na drugą stronę talerza. - Wolisz sadzić róże, niż jeździć ze mną konno?

Czyżby rzeczywiście nie stać go było na więcej? Oczami duszy zobaczył już siebie jako zidiociałego staruszka, plotącego coś od rzeczy do trzymanyh w garści, wędnących kwiatków! Wiedział jednak, że jeśli nie zdobędzie się przynajmniej na ten jeden krok naprzód - rzeczywiście stanie się zidiociałym staruszkiem plotącym coś do siebie w czterech ścianach pokoju.

Rozpaczliwie chwytając oddech, dźwignął się na nogi.

- Przepraszam, ale muszę wyjść.

- Tylko obiecaj, że będziesz sadił białe róże - zawołała za nim Georgie, kiedy opuszczał pokój. - Uwielbiam białe róże!

## 4

*Może uważasz mnie za romantyka, droga siostró, ale ja przede wszystkim jestem spragniony przyjaźni.*

*- Robert Walton, „Frankenstein”*

- Georgiano, czy ja zwariowałam? - Lucinda zbiegła ze schodów, aby czym prędzej powitać przyjaciółkę. - Zdawało mi się, że dopiero jutro wybieramy się po zakupy.

- Rzeczywiście się wybieramy, a ty wcale nie zwariowałaś - uspokoiła ją wicehrabina, ściskając jej rękę. - A to wcale nie jest wizyta towarzyska!

Georgie nie wyglądała na zaniepokojoną, ale Lucinda natychmiast przypomniała sobie wczorajszą, urwaną w pół zdania rozmowę z Robertem.

Czyżby najlepsza przyjaciółka miała zamiar wyłajać ją za obrazę jej szwagra, inwalidy wojennego?

- W takim razie, co mogę dla ciebie zrobić? - dopytywała się, zapraszając gościa do pokoju śniadaniowego.

- Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale czy mogę cię prosić, abyś przez chwilę mnie wysłuchała?

- Oczywiście, kochanie.

Georgiana odchrząknęła i zaczęła mówić:

- No więc Tristan próbuje znaleźć dla Małego... to znaczy dla Roberta... jakieś zajęcie, które pomogłoby mu odzyskać spokój. Wiem, że to głupio brzmi, ale...

- To wcale nie brzmi głupio - przerwała jej Lucinda, choć serce jej podskoczyło na sam dźwięk imienia "Robert". - Proszę cię, mów dalej.

- Dziękuję. Wczoraj wieczorem Mały wspomniał, że chętnie zająłby się uprawą róż...

- Róż? - Lucinda gwałtownie zamrugała oczami, bo zrodziło się w niej nagłe podejrzenie.

- Tak. Nie wiem, skąd przyszedł mu do głowy ten pomysł, ale myślę, że nie wystąpiłby z tym bez przyczyny. Chciałam zaproponować mu pomoc, ale obawiam się, że to mogłoby go zrazić. - Lady Dare spletała i rozplatała palce w geście zakłopotania. - Nie powinnam rozmawiać na ten temat z obcymi osobami, ale ciebie, Luce, uważam za członka naszej rodziny.

- Ja ciebie też. - Panna Barrett wyprostowała się i przestała podejrzewać, że chcą wplątać ją w jakąś intrygę. Najważniejsze, że Georgie jej potrzebowała i Robert chyba też. To zaś ciekawiło ją bardziej, niż chciała się przyznać. - Mogę przygotować mu trochę sadzonek, mam też książki o uprawie róż. Najlepiej będzie, jeśli podrzucę je niby przypadkiem, aby zaskoczyć pana Carrowaya.

- Zaskoczyć? - powtórzyła Georgiana. - Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Ale wtedy będzie mu trudniej odmówić albo zmienić zdanie! - zaśmiała się Lucinda.



- Dobrze, zaryzykuję, że najwyżej na mnie się pogniewa. Przecież chcę dla niego dobrze, żeby nareszcie mógł zwyczajnie się śmiać!

Lucinda uścisnęła przyjaciółkę.

- Jak sądzisz, Georgie, czy te pięć postrzałów, które otrzymał pod Waterloo, mogło nie pozostawić śladu? I te wszystkie okropności, które tam widział?

Lady Dare jakby się zawahała, ale zaraz odzyskała kontenans.

- Oczywiście - potwierdziła, nie patrząc jednak gospodyni prosto w oczy.  
- Zgodzę się na wszystko, co mogłoby mu pomóc.

Dopiero ta reakcja wicehrabiny zaintrygowała Lucindę na dobre. Nie miała jednak już czasu na mnożenie pytań. Zdecydowała, że później spróbuje dociec, czego Georgiana jej nie powiedziała.

- Dobrze, wpadnę przed obiadem - obiecała.

Chwilę po wyjściu gościa do pokoju śniadaniowego wszedł generał.

- Zdaje się, że twój pomysł, kochanie, uratuje mój rozdział o Salamance - oznajmił, wyjmując z kieszeni list. - Lord Geof-frey pisze, że z przyjemnością przejrzy moje zapiski razem ze mną i pomoże mi je uzupełnić.

- To cudownie.

- Wpadnie do mnie po obiedzie. Byłbym rad, gdybyś nam asystowała, aby notować jego uwagi.

- Chętnie, tatusiu. - Wstała i ucałowała go w policzek. - Do tej pory powinnam już wrócić.

- A dokąd to się wybierasz?

- Chcę zanieść Robertowi Carrowayowi szczepy róż, bo ma zamiar zająć się uprawą ogródka.

Generał zacisnął palce na jej ramieniu, co zmusiło ją do zatrzymania się.

- Robert Carroway, powiadasz? Mam nadzieję, że on nie aspiruje do twojej ręki.

- Ależ nie, to tylko znajomy. - Zdziwił ją poważny wyraz twarzy ojca. - O co chodzi?

- Nie lubię takich żołnierzy jak on. Ani w ogóle takich ludzi.

- Dlaczego, tatusiu?

- Wiem, że jest on teraz szwagrem Georgie, ale staraj się trzymać go na dystans. Nie próbuj się z nim zaprzyjaźniać, bo jego reputacja rzuci cień na twoją, a w konsekwencji - również na moją.

- Jakąż on może mieć reputację, jeśli od trzech lat nie pokazuje się publicznie? Przecież to bohater, był ranny pod Waterloo! Ojciec nie od razu odpowiedział na te argumenty.

- Zgadza się, tak niektórzy mówią - przyznał. - Jednak nie on jeden był ranny pod Waterloo, a inni jakoś nie zaczęli się bać własnego cienia. Weź na przykład takiego lorda Geoffreya. Posłuchaj mnie, Luce, nie zwracaj sobie głowy tym Carrowayem i staraj się zachować dystans.

Nie przypuszczała, że spełnienie któregośkolwiek z tych żądań może sprawić jej trudność, więc skwapliwie zapewniła:

- Dobrze, tatusiu, będę ostrożna.

- Grzeczna dziewczynka. Dzięki tobie staruszek będzie mógł spać spokojnie.

Lucinda roześmiała się, wsuwając mu ręce pod ramię.

- O jakim staruszku mówisz? Musisz mnie mu koniecznie przedstawić.

Rodzina Carrowayów rzadko spożywała śniadania razem.

Każdy z nich prowadził inny tryb życia, miewał w różnych terminach spotkania towarzyskie, wyjazdy, a w przypadku Edwarda - lekcje. Robert nie miał żadnych zobowiązań, ale samotność mu nie ciążyła. Schodził do pokoju śniadaniowego o wpół do dziesiątej i nie dziwił się, że oprócz dwóch lokajów nie było tam nikogo więcej. Nawet mu to odpowiadało.

Lubił poranki, a wschód słońca zdawał mu się cudem, który regularnie kontemplował. U szczytu stołu, gdzie zwykle zasiadał Tristan, czekał na niego świeży, jeszcze ciepły numer londyńskiego "Times'a", ale Roberta to nie interesowało. Nie dbał o to, co dzieje się w Londynie ani w reszcie świata. Z pomocniczego kredensu nałożył sobie na talerz szynkę i grzanki.

Usiadł przy końcu stołu i właśnie niósł do ust plaster szynki, gdy do jadalni wszedł kamerdyner.

- Proszę jaśnie pana, ma pan gościa - zaanonsował z wyraźnym skrępowaniem. Służący nie lubili bowiem odzywać się do Roberta, chociaż na ogół nie dawał im ku temu powodów. Nie zważając na przyspieszone bicie serca, dokończył kęs.

- Powiedz, że mnie nie ma - polecił.

- Tak jest, proszę jaśnie pana - odpowiedział służbiście Dawkins.

Kiedy wyszedł, Robert wrócił do przerwanej posiłku. Nikt go nigdy nie odwiedzał, więc musiała to być jakaś pomyłka. Pewnie ktoś pytał o Shawa, ale lokaj zaraz to wyjaśni.

Niebawem Dawkins ponownie zajrzał do pokoju śniadaniowego.

- Proszę jaśnie pana, panna Barrett chciałaby wiedzieć, czy ma zostawić to pudło, czy przynieść je kiedy indziej.

*Panna Barrett?* - zdumiał się w myślach, ale głośno zapytał:

- Jakie pudło?

- Nie wiem, proszę jaśnie pana. Mam się dowiedzieć?

Robert wstał od stołu.

- Nie, czekaj, już ja się tym zajmę.

W hallu czekała Lucinda Barrett, a u jej stóp stała niewielka drewniana skrzynka. Robert rzucił na nią okiem, ale zaraz przeniósł wzrok wyżej i od razu

zauważył modny, żółty kapelusz na kasztanowatych włosach Lucindy i dobraną do niego suknię w kolorach żółtym i zielonym. Może się mylił, ale miał wrażenie, że w orzechowych oczach przybyłej tliły się iskierki humoru.

Spróbował wziąć się w garść. Nie zapraszał tej damy, ale była jego gościem, więc powinien był odezwać się pierwszy.

- Co pani tu robi? - spytał opryskliwie.

Zamiast odpowiedzieć, rzuciła w jego kierunku parę grubych, roboczych rękawic, które odruchowo złapał w powietrzu.

- Proszę, niech pan to podniesie - wskazała na skrzynkę - i pójdzie za mną.

Już się schylił, ale w ostatniej chwili się zreflektował i ponownie przybrał wyprostowaną postawę.

- Nie - uciął krótko.

Panna Barrett założyła ręce na obfitym biuście.

- Wczoraj zachował się pan niegrzecznie wobec mnie, prawda? - spytała obcesowo.

- Do czego pani zmierza?

- Chcę się panu zrewanżować. - Z uśmiechem znamionującym pewność siebie wskazała czubkiem buta skrzynkę. - Proszę iść za mną, to niedaleko, i uspokajam, że to, co tam jest, z pewnością pana nie ugryzie. - Nastroszyła brwi i dodała: - Przynajmniej o ile zachowa pan ostrożność.

Tymczasem na korytarzu pojawił się Dawkins, a za nim dwóch innych lokajów. Przynajmniej jedna pokojówka podsłuchiwała ze schodów, a z pokoju Edwarda słychać było, jak chłopiec spierał się ze swoim guwernerem na temat... Madagaskaru!

Robert wzruszył ramionami, rzucił rękawice na wieko skrzynki i podniósł ją z podłogi.

Lucinda otworzyła drzwi od frontu, zanim Dawkins zdążył to zrobić. Nie dawała już Robertowi znaków, żeby szedł za nią, tylko zeszła po schodkach i skierowała się na podjazd.

Dziwne, ale nawet poczuł z tego powodu ulgę, że nareszcie zniknie z oczu wścibskim służącym.

Jego przewodniczka skierowała się w stronę stajni, unosząc spódnicę na mokrej trawie.

- O, to miejsce dobrze wygląda - zawyrokowała, obchodząc dookoła krótszą ścianę stajni. - Jest słoneczne, ale ma także osłonę przed złą pogodą.

Naciągając rękawiczki, odwróciła się do Carrowaya i poleciła:

- Niech pan to tu postawi.

Robert nie ruszał się z miejsca i nie spuszczał z niej oczu. Dopiero gdy zobaczył ją w rękawiczkach do pracy w ogródku, wszystko zaczęło mu się układać w jedną całość. Przecież udało mu się przez krótką chwilę porozmawiać z Georgianą i pochlebić jej miłymi słówkami. Nie wiedział, co bratowa powtórzyła Lucindzie, ale faktem jest, że ta się na to zgodziła.

Postawił skrzynkę na ziemi i cofnął się o krok.

- Życzę pani powodzenia, ale na drugi raz niech pani weźmie ze sobą lokaja do noszenia bagażu - poradził. - Miłego dnia!

- Panie Carroway! - Nie ustępowała, choć odwrócił się już do niej plecami. - Jest ogólnie przyjęte, że jeśli ktoś komuś daje w prezencie szczepę rzadkiej odmiany róż, to mu się przynajmniej dziękuje.

Te słowa poskutkowały o tyle, że się zatrzymał.

- Nie prosiłem pani o nic.

- Dlatego właśnie użyłam słowa "prezent". Dołożyłam panu jeszcze kilka książek o pielęgnacji róż, aby nie zniszczył ich pan przez niewiedzę. Mogłabym także udzielić panu kilku wstępnych instrukcji.

Robert zawrócił w jej stronę.

- Nie potrzebuję od pani róż, instrukcji ani tym bardziej litości! - warknął.

Dopiero gdy zamrugła oczami, zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie ją przestraszył. Ładnie, ładnie! - pomyślał. Cały szkopał w tym, że nie lubił niespodzianek.

- Wczoraj przyszedł pan do mnie - wycedziła, wytrzymując jego spojrzenie. - Dziś rano widziałam się z Georgie i wtedy wspomniała mi o różach. Pomyślałam sobie, że przydałyby się panu sadzonki, co bynajmniej nie znaczy, że litowałam się nad panem. Nazwałabym to raczej uprzedzeniem pytania, którego pan jeszcze nie zadał.

Że też chciało się jej znosić jego idiotyczne zachowanie! Przecież to, że odszedł, oznaczało chyba niedwuznacznie, że nie chciał więcej rozmawiać z nią o czymkolwiek.

Równocześnie jej "prezent" stawiał go w niewygodnej sytuacji. Potrzebował korzystniejszej pozycji negocjacyjnej, jeśli chciał, aby dostrzegła w nim kogoś więcej niż inwalidę. Najbardziej jednak przerażał go fakt, że miało to dla niego jakieś znaczenie.

- Może mógłbym zaproponować pani małą transakcję? - skłamał gładko, układając w myśli wszelkie możliwe scenariusze.

- Transakcję? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Cóż to miałyby być?

Robert nabrał powietrza w płuca. Po prawdzie miał zamiar powiedzieć to już wczoraj. Sam przed sobą udawał, że wystraszył się nadchodzącego generała, ale dobrze wiedział, że to tylko wymówka. Nie wystąpił ze swoją propozycją, bo nie był pewien, czy słowa przejdą mu przez gardło.

Nagle uświadomił sobie, że robi to teraz albo nigdy! Jeśli chciał, choćby i kuśtykając, wrócić do społeczeństwa, nie mógł wiecznie podpierać się swoją rodziną jak kulą. Nikt bowiem, nawet on sam, nie potraktowałby tego poważnie. Jedna Lucinda podsunęła mu coś, na czym mógłby się skupić, a co nie budziłoby w nim lęku. Mało tego - nie ustawała w wysiłkach, aby traktować go jak człowieka!

- Umyśliłem sobie, że jeśli pani pomoże mi założyć ogród różany - zebrał się wreszcie na odwagę, zachęcony spokojnym brzmieniem własnego głosu - to ja w zamian pomogę pani z lordem Newcombe'em.

- Nie rozumiem. Jak mógłby pan mi z nim pomóc?

Teraz przydałyby się mu zawczasu ułożony plan działania!

- No, gdyby pani chciała widywać się z nim, aby... udzielać mu lekcji czy czegoś podobnego, w moim towarzystwie te spotkania bardziej wyglądałyby na przypadkowe.

- Ja chciałabym?

- Przecież Georgie i lady Aubyn, jako mężatki, nie będą już pani bardzo pomocne. Ja zaś jestem kawalerem, znam też Geoffreya dosyć dobrze, a to może dać pani pewną przewagę.

Panna Barrett zadarła głowę i obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Będzie pan udzielał mi rad i asystował podczas wspólnych przejażdżek, wiedząc, że ułatwi mi to spotkanie się z lordem Geoffreym?

- Tak - odpowiedział głośno, a w duchu dodał: - *Dopóki mnie to nie zabije.*

Lucinda podeszła do przyniesionej przez siebie skrzynki i zdjęła z jej wieka drugą parę rękawiczek.

- No to zaczynajmy - rzekła i wręczyła je Robertowi.

Tristan nie mógł znaleźć żony. Wyszła z domu wczesnym rankiem, aby załatwić drobne sprawunki. Wiedział, że już wróciła, ale nie było jej ani w sypialni, ani w jej saloniku na piętrze, ani w cukierkowo urządzonej buduarce ciotek, ani nawet w pokoju śniadaniowym!

Rozzłościł się za to na nią, bo przecież była już prawie w ósmym miesiącu ciąży. Odgrzązał się, że jeśli nie zwolni tempa, wywiezie ją do majątku Dare Park w hrabstwie Devon, czy będzie tego chciała, czy nie.

- Georgiano!

- Psst! - doleciało z biblioteki. - Tu jestem. Tylko błagam, zachowuj się cicho!

Zaciekawiony wicehrabia otworzył drzwi biblioteki. Jego małżonka stała przy uchylonym oknie, dyskretnie zerkając przez nie na zewnątrz.

- Cóż ty tu, do wszystkich...

Położyła mu rękę na ustach i szepnęła:

- Popatrz tylko!

Na środku zaniedbanego trawnika stała Lucinda Barrett z otwartą książką w ręku. Naprzeciw niej stał Robert, wymachując trzymanym w ręku ulistnionym, kolczastym krzaczkiem. Na oczach Tristana Mały wydeptał kwadrat o boku około pięciu metrów, wracając do punktu wyjścia.

- Co tu się dzieje? - wymamrotał lord Dare, nie mogąc oderwać oczu od brata.

- Róże! - odpowiedziała mu Georgie takim samym, ściszym głosem. - Poprosiłam Lucinę, żeby przyniosła mu sadzonki.

- Ale on z nią rozmawia!

Lady Dare przytuliła się do ramienia męża.

- Otóż to właśnie!

Tristan nie przerywał obserwacji. Wprawdzie Mały trzymał się w pewnej odległości od panny Barrett, ale widać było, że coś ich łączy. A na wieczorku u Wellcristów wyraźnie jej poszukiwał!

- Georgie, czy on... to znaczy... - Zrobił przerwę dla złapania oddechu i dokończył inaczej: - Czy Lucinda go lubi?

- Lucinda lubi wszystkich - odszepnęła wicehrabim, znacząco ściskając męża za ramię. - Tak samo jak ją wszyscy lubią.

- Ale...

- Nie, Tristanie, to nie to, o czym myślisz. Nie mogę powiedzieć więcej, ale wiem, że ona ma kogoś na oku i tym kimś nie jest Mały.

Pewnie, jakżeby mógł!

- Musimy więc zejść na dół i przerwać tę schadzkę.

- Nie - wstrzymała go Georgie. - Zostawmy ich w spokoju. Mały miałby żal do ciebie, gdybyś im przeszkodził. Przecież oni tylko rozmawiają, a ty nie wiesz o niczym, rozumiesz?



Tristan westchnął. Za wszelką cenę pragnął chronić brata, a przynajmniej zrobić wszystko, aby mieć pewność, że czuje się dobrze, ale na to było już co najmniej o trzy lata za późno. Równocześnie jednak zdał sobie sprawę, że Georgiana, jak zwykle, ma rację.

- Dobrze, na razie ani ty, ani ja o niczym nie wiemy - zgodził się, składając pocałunek na jej miękkim policzku. - Zastrzegam jednak, że w razie czego chcę być natychmiast powiadomiony.

- Miejmy nadzieję, że oboje będziemy mogli pozostać w błogiej nieświadomości.

Wicehrabia odciągnął żonę od okna i wziął ją w ramiona.

- Powiedzmy raczej, że jeszcze pięć minut temu byłem w błogiej nieświadomości. Teraz jednak mam złe przeczucia.

- Wiem, ale on nie stałby tu z nią, gdyby nie chciał. A jeśli chce, to może oznaczać, że próbuje wrócić do nas.

- Obyś się nie myliła!

Słuchając wykładu panny Barrett, jakiego gatunku ryb najlepiej użyć do użyźniania gleby pod róże, Robert spojrzął w górę, w stronę okna biblioteki. Z tego, co tam zobaczył, wywnioskował, że Georgie i Tristan nie nadawaliby się na szpiegów. Wiedział, że bratowa zaaranżowała wizytę Lucindy, ale miał nadzieję, że podsłuchuje nie dlatego, aby sterować dalszym rozwojem sytuacji, bo tego sobie nie życzył.

Gdyby był dawnym Robertem sprzed wojny, przypuszczałby, że Georgiana próbuje ich swatać. Pewnie wtedy zalecałby się do Lucindy, choć głównie ze względu na jej urodę. Teraz ona w interesowała się już kimś innym, a z kolei jego najbardziej pociągała w niej pogoda ducha i emanujące z niej ciepło. Mimo że dobrze się czuł w jej bliskości, starał się jej unikać, bo zdawał

sobie sprawę, że nie jest już tym samym Robertem, tylko małą cząstką tego, czym był kiedyś, i dlatego nazywano go "Mały".

Oczywiście byłby głupcem, gdyby odmawiał jej urody - ze swoimi ciemnymi włosami i takimiz oczyma na tle gładkiej, śmietankowej cery przywodziła na myśl piękności średniowiecza. Włosy jej pachniały różami - z lubością wyobrażał ją sobie w basenie napełnionym ich jedwabistymi płatkami. Miał jednak świadomość, że już od czterech lat nie stykał się z kobietami, a ta w dodatku była najlepszą przyjaciółką Georgiany i jedyną niespokrewnioną z nim osobą płci żeńskiej, do której w tym okresie wypowiedział więcej niż jedno zdanie. Skrzywił się, bo wynikało stąd, że zamknął się w sobie jak mnich w celi; dobrze, że religia nie zabraniała mu przynajmniej patrzeć na kobiety.

- Panie Carroway! - Lucinda przywołała go do rzeczywistości. - Mówię, że za dużo ryb może zaszkodzić glebie.

- Aha, rozumiem.

W rękach obracał szczep białej róży odmiany felicite parmentier. Według słów Lucindy, nie powinien się zdziwić, gdyby połowa sadzonek się nie przyjęła. Te kolczaste patyki, pozbawione korzeni i gleby, nie wyglądały na żywe. Ciekawe, czy krążyły w nich żywotne soki, czy były uśpione. A czy coś czują, kiedy umierają? A gdyby to on był przyczyną ich śmierci?

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - podsumował, odkładając sadzonkę z powrotem do skrzynki.

- A niby dlaczego? - Lucinda zrobiła wielkie oczy.

- Nie mam czasu na łowienie ryb ani chodzenie za pługiem. - Cofnął się, próbując spokojnie oddychać. Wystarczyła jedna przypadkowa myśl, aby znowu oładnął nim paniczny strach.

Panna Barrett wzięła głęboki oddech.

- W porządku, generał też nie lubi pracować w ogródku - rzuciła lekko.

Na samo wspomnienie o jej ojcu Robert zacisnął zęby i wycedził:

- Nie, żebym nie lubił...

- Mam na myśli, że nasza umowa jest nieaktualna. - Odłożyła książkę na ziemię i ściągnęła rękawiczki. - Dobrze, w końcu nic takiego się nie stało.

Robert odprowadzał ją wzrokiem, gdy skierowała się z powrotem ku frontowi domu.

- A co z tymi sadzonkami? - zawołał za nią.

- Z tymi? - Machnęła ręką w kierunku skrzynki. - U siebie nie mam miejsca na nową plantację róż. Niech pan po prostu je wyrzuci.

Wpatrywał się w nią, gdy wsiadała do czekającego powozu, który wkrótce zniknął za rogiem ulicy. Zdziwiło go to, co powiedziała, bo te róże były jej dumą i radością, a niektóre należały nawet do rzadkich odmian. Czy naprawdę nie zależało jej na nich, czy raczej potrafiła czytać w jego myślach wtedy, kiedy sam nie był pewien, co go gryzie?

Z westchnieniem przeciągnął skrzynkę w cień, pod ścianę stajni, i zawrócił ku domowi, aby przebrać się w stare rzeczy, bardziej odpowiednie do prac ogrodniczych.

Zanim przekopał kawałek ziemi, przypomniał sobie, że ze śniadania zjadł zaledwie dwa kęsy, a obiadu w ogóle nie zdążył zjeść. Odniósł więc, acz niechętnie, szpadel do stajni. Wiedział, że o tej porze nie dostanie już świeżej ryby, o jaką mu chodziło, więc zaplanował, że jutrzejszy dzień zacznie od wycieczki do doków nad Tamizą. Lucinda zapewniała, że szczepy róż przeżyją bez ziemi dzień lub dwa, jeśli będą trzymane w chłodzie, więc przykrył skrzynkę wiekiem, zabrał książki, które mu zostawiła, i poszedł do domu.

Pod jednym względem dobrze trafił - z ziemią ani z roślinami nie musiał przynajmniej prowadzić konwersacji! Odniósł nawet wrażenie, że cisza lepiej im służy, czego nie mógł powiedzieć o swojej rodzinie.

Zazwyczaj wszyscy krewni akurat obecni w domu po kilka lub kilkanaście razy dziennie sprawdzali, gdzie on się znajduje, i naprzykrzali mu się pytaniami, czy dobrze się czuje lub czy chciałby pójść na spacer, przejechać się konno albo powozem.

Tym razem, chociaż spędził prawie cały dzień na dworze, zauważył zaledwie kilku masztalerzy, co świadczyło, że członkowie rodziny Carrowayów wiedzieli, co robił, i woleli mu nie przeszkadzać.

Dopóki nie domagali się wyjaśnień, udawali, że nic się nie zmieniło, a on nawet nie próbował wydobyć się z dołka - wybieg okazał się skuteczny.

Trudniej mu było podjąć decyzję, czy przyznać się Lucindzie, że jednak spróbuje zająć się uprawą róż. Gdyby ją o tym powiadomił, musiałby przecież

spełnić swoją część zobowiązania, a to dopiero byłby dla niego życiowy sprawdzian. Naturalnie wolałby zawczasu znać odpowiedź, zanim poddałby się próbie. Jednak przede wszystkim chciałby uwierzyć, że wcale nie musi wiedzieć, co Lucinda o nim myśli.

## 5

*Im więcej wiedziałem, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, jakim byłem nędznikiem i wyrzutkiem społeczeństwa.*

*- Potwór, "Frankenstein"*

Lucinda wpadła do Barrett House i pobiegła na piętro, by przebrać się w suknię bardziej odpowiednią do przyjmowania gości. Ojciec wprawdzie uprzedził ją, że lord Geoffrey przyjdzie dopiero po obiedzie, ale spędziła w Carroway House więcej czasu, niż planowała, i nie zdążyła nic zjeść poza brzoskwinia, którą służąca przyniosła jej z kuchni.

Z Robertem Carrowayem załatwiła sprawy, jak potrafiła najlepiej. Nie czuła się winna, że go opuściła. Teraz wybór, czy chce uprawiać ogród, czy nie, należał do niego. Wiedziała zresztą doskonale - nie była przecież taka głupia - że dla niego znaczyłoby to coś więcej niż zwykle sadzenie kwiatów.

Nie była pewna, jaką to miało odgrywać rolę, ale im więcej czasu spędzała w towarzystwie Roberta, im więcej bólu odkrywała w jego przepastnych, szafirowych oczach, tym większą miała nadzieję, że jej prezent mu pomoże. Szybko jednak otrząsnęła się z tych rojeń, gdy zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu gapi się niewidzącym wzrokiem na swoje odbicie w lustrze.

Ledwo Helena zapięła jej na karku zameczek naszyjnika, a już z dołu dobiegł dźwięk otwieranych frontowych drzwi i melodyjny głos lorda Geoffreya odpowiadający na przywitanie Ballowa. Od razu serce zabiło jej szybciej. Przyszedł już - to znak, że należało zacząć lekcje!

Celowo opóźniała zejście na dół, strosząc loki nad czołem i obmyślając taktykę. Łatwiej by jej to przyszło, gdyby spotkanie z Robertem nie pozbawiło jej resztek inwencji. Nigdy nie przypuszczała, że rozmowa z człowiekiem, który rzadko się do kogokolwiek odzywał, może być tak zajmująca, gdyby nie fakt, że tym razem rozmawiał właśnie z nią.

Drzwi jej sypialni uchyliły się i pojawiła się w nich głowa kamerdynera.

- Proszę jaśnie panienki, pan generał prosi, żeby panienka zeszła do jego gabinetu - zaanonsował.

- Oczywiście, już idę - odpowiedziała grzecznie, nakazując sobie skupienie. Wiedziała przecież, że nie chodzi tu o zwykłą, towarzyską wizytę, jak jej odwiedziny u Roberta. Dziś miały się ważyć losy jej przyszłego małżeństwa. Schodząc na dół za Ballowem, starała się więc zapomnieć o tym, co działo się przed południem.

Weszła do gabinetu generała i przywitała gościa głębokim dygiem.

- Dzień dobry, tatusiu... dzień dobry, milordzie.

- Witam, panno Barrett - odpowiedział syn księcia Fenleya, podnosząc się z miejsca, aby uścisnąć końce jej palców. - Pan generał wspomniał mi, że zgodziła się pani uwiecznić nasze wysiłki na piśmie.

- Tak, rzeczywiście - potwierdziła, wyciskając przelotny pocałunek na policzku ojca i zapraszając panów, aby zajęli miejsca. - Usiądę przy oknie, żeby nie przeszkadzać panom w pracy.

- A broń Boże! - zaprotestował lord Geoffrey, podsuwając jej krzesło. - Dużo lepiej mi się opowiada, kiedy mam słuchaczy, szczególnie takich uważnych, którzy notują!

Lucinda usiadła więc na krześle z ołówkiem i kartką papieru, a generał otworzył sfatygowany, miejscami nadpalony i poplamiony pamiętnik, który prowadził pod Salamanką.

- Z tej przeklętej galery strzelano do okrętu, na którym wracałem do Anglii, zanim Bonapartego zesłali na Elbę - mruczał, aczkolwiek mimo pozornej

nonszalancji w głosie, przerzucał kartki ostrożnie. - Mój dziennik z Pampeluny przepadł przez tego durnia pułkownika, który miał chorobę morską i zachciało mu się grzanek!

- Mam nadzieję, że pan go zdegradował - odezwał się lord Newcombe. - Na szczęście ja także widziałem niektóre walki pod Pampeluną, aczkolwiek na pewno nie tyle, ile pan generał. To dla mnie prawdziwy zaszczyt móc podzielić się z panem moimi wspomnieniami, oby tylko się na coś przydały.

- To miłe z pana strony, milordzie.

- Och, proszę mi mówić Geoffrey! Mam trzech starszych braci, więc raczej marne szanse na odziedziczenie tytułu.

- Dobrze więc, Geoffrey - uśmiechnął się generał. - Pod Salamanką przeszedłeś swój chrzest bojowy, prawda?

- Tak, i to od razu w najgorętszym ogniu walk. Nie minęły dwie minuty, a już francuska kula muszkietowa strąciła mi kapelusz.

Lucinda przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, notując daty, uwagi na temat pogody, ruchów wojsk i spostrzeżenia natury osobistej. Wydawało jej się, że czuje żar bitewny, widzi dymy wystrzałów i natarcie armii Wellingtona, następującej na pięty oddziałom portugalskim dowodzonym przez marszałka Auguste Marmonta.

Nie zdołała powstrzymać okrzyku, kiedy Geoffrey realistycznie opisywał, jak o mało co nie wpadł do wody, kiedy jego szwadron forsował rzekę Tormes.

- Och, przepraszam! - wykrztusiła. - Pan to tak barwnie opowiada...

Lord dwornie skłonił głowę.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic takiego, co mogłoby przerazić dobrze urodzoną damę?

Lucinda skwapliwie skorzystała z okazji.

- Zapewniam pana, milordzie, że choć sama nigdy nie widziałam bitwy, przeczytałam wszystkie notatki mojego ojca i jego listy z frontu, a teraz jeszcze pomagam mu spisywać wspomnienia. Zaraz po wojnie pielęgnowałam także rannych żołnierzy w szpitalach. Córka generała Augustusa Barretta nie mogłaby wzrastać, nie wiedząc nic o wojnach i potyczkach!

- Jak również o żołnierskich przechwałkach - uzupełnił generał, uśmiechając się do niej czule. - Moją Lucindę niełatwo przestraszyć!

- Dobrze więc, myliłem się - przyznał lord Geoffrey. - Myślę jednak, że pani ojciec zgodzi się ze mną, iż o niektórych przypadkach wojennych dżentelmen nie powinien mówić w obecności damy.

- Ja... - zaczęła, ale nie zważał na to i tokował dalej:

- O to właśnie walczą żołnierze, aby zachować pokój i zgodę w naszych domach - stwierdził pompatycznie.

- Bardzo trafna konkluzja, Geoffreyu! - podchwycił generał. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby Lucinda to zanotowała?

- Ależ bynajmniej! - Newcombe wyjął zegarek kieszonkowy i porównał jego wskazania z tarczą zegara stojącego na gzymsie kominka. - Przepraszam, ale o czwartej mam spotkanie z moim bankierem.

- Oczywiście, rozumiem. - Generał zaznaczył w swoim zniszczonym dzienniku miejsce, do którego doszli. - Grunt, że zrobiliśmy dobry początek.

Spojrzał na kalendarz stojący na biurku i dodał:

- Może przyszedłbyś do nas we wtorek na obiad, to porozmawialibyśmy jeszcze o tej bitwie? Mój kucharz znakomicie przyrządza pieczone kurczęta.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Geoffrey posłał Lucindzie gorące spojrzenie.

- A więc widzimy się w południe? - upewniała się, wstając z miejsca.

- Tak, w południe.

Przy pożegnaniu lord Geoffrey ujął jej rękę, a Lucinda nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ścisnął ją dłużej, niż nakazywały dobre maniery. Wynikało stąd, że wszystko układało się po jej myśli. Niedługo zresztą nadarzała się lepsza okazja do porozmawiania, bo oboje byli zaproszeni na kolację u St. Aubynów.

- Sympatyczny i godny szacunku młody człowiek - podsumował generał, gdy gość dosiadł już swego konia i ruszył skróconym galopem.

- Rzeczywiście, robi dobre wrażenie.

- Szkoda, że już nie jest w służbie czynnej i doszedł tylko do rangi rotmistrza. Gdyby Bonaparte zwyciężył pod Waterloo, Geoffrey pewnie byłby teraz majorem, a może nawet podpułkownikiem. Szkoda, że wojna trwała za krótko, bo miał ku temu wszelkie predyspozycje.

- Jak dla mnie, wystarczająco długo, dziękuję pięknie! - Lucinda wzdrygnęła się, bo przez myśl przemknęło jej wspomnienie czyichś błękitnych oczu. - Cieszę się, tatusiu, że służysz w Gwardii Konnej i spisujesz wspomnienia zamiast polowego dziennika.

- Masz rację, córeczko! - Generał wrócił do pracy przy założonym papierami biurku. Była pewna, że spędzi cały wieczór na przygotowywaniu następnego rozdziału swojej książki. - W każdym razie jestem rad, że podsunęłaś mi pomysł, by poprosić lorda o pomoc.

- Ja też - mruknęła Lucinda, idąc do biblioteki. Miała zamiar odszukać tam mapę Hiszpanii i plan miasta Salamanki. Zastanawiała się, czy Robert też tam walczył i czy jego wspomnienia byłyby podobne do wspomnień lorda Newcombe'a i jej ojca. Wątpiła jedynie, czy kiedykolwiek ośmieli się go o to zapytać.

Robert wkładał płaszcz i rękawiczki do jazdy konnej, gdy usłyszał, jak Edward, głośno tupiąc, zbiega po schodach. Zaklął pod nosem, właśnie dlatego wolał odbywać przejażdżki w środku nocy niż za dnia.

- Dokąd się wybierasz? - zagadnął młodszy braciszek.

- Załatwiać różne sprawy. - Odebrał z rąk Dawkinsa kapelusz i nałożył go na głowę. Zauważył przy tym, że kamerdyner z dezaprobatą spoglądał na jego zbyt długie włosy.

- Zawsze tak mówisz! - narzekał Edward. - Chciałbym, żebyś choć raz zabrał mnie z sobą!



- Ale to, co chcę robić, jest bardzo nudne - próbował malca zniechęcić, czekając z niecierpliwością, aż lokaj otworzy mu bramę.

- Wszystko jedno i tak chciałbym z tobą pojechać. Shaw wybiera się z jakąś panienką na piknik, Tris ma swój parlament, a Georgie zakupy.

Jeśli się nie mylił, robi te zakupy razem z Lucindą Barrett.

- Przecież jest jeszcze pan Trost - podpowiedział, bo wyleciało mu z głowy, że gubernator miał dziś wolny dzień.

- Pojechał odwiedzić swoją matkę, a ja nie chcę uczyć się wtedy, kiedy nie muszę.

Robert westchnął. W duchu żałował, że jeszcze tydzień został do powrotu ich następnego brata, Andrew, z Cambridge.

- No, to idź po płaszcz - polecił.

- Hurra! - Edward zadudnił nogami po schodach, ale na podeście nagle się zatrzymał. - Nie pojedziesz beze mnie, prawda, Mały?

W głowie zaświtała mu pewna myśl.

- Nie, będę czekał na ciebie w stajni. Każę osiodłać Tolleya i Storm Cloud.

- Już biegnę!

Robert wyszedł na dwór, a czekając na konie, przyglądał się bacznie kawałkowi ziemi, który wybrał sobie na ogród. Najwidoczniej reszta rodziny jeszcze nie wiedziała, że zajął się tą pracą, bo ani przy obiedzie, ani przy pospiesznie przełykanym śniadaniu nikt o tym nie wspomniał. Wątpił jednak, czy Edward potrafi długo utrzymać język za zębami.

Położył się spać zmęczony, a o wschodzie słońca obudził go ból mięśni ramion. I tak jednak był mile zaskoczony, bo przespał twardo prawie całą noc i nie pamiętał dręczących go we śnie koszmarów. To wystarczyło, aby z entuzjazmem myślał o perspektywie uprawy róż we własnym ogródku.

Na razie jednak, dostrzegłszy Edwarda wybiegającego z domu, szybko wskoczył na grzbiet Tolleya.

- Dokąd pojedziemy? - zapytał Cherlak, stawiając nogę na podłożonych dłoniach masztalerza Johna, który w ten sposób podsadził go na Storm Cloud.

- Nad rzekę.

Skróconym galopem przejechali przez podjazd i skierowali się na południowy wschód. Na wysokości Pall Mail korciło Roberta, aby ruszyć pełnym galopem, lecz zwalczył tę pokusę. Było jeszcze dość wcześnie, ale w Mayfair jak zwykle kłębiły się tłumy. Mleczarze, handlarze kośćmi i szmatami, wędrowni sprzedawcy warzyw i owoców, służący biegający za różnymi posyłkami, dostawcy węgla i drewna opałowego, dziewczęta handlujące pomarańczami, jak również nieliczni dobrze urodzeni obywatele lubiący wcześnie wstawać przepychali się nawzajem, pokrzykując, nawołując się lub nawet śpiewając.

- Dlaczego jedziemy nad rzekę? - zaciekał się Edward.

- Po rybę.

- Będziemy łowić ryby?

Pytał z taką nadzieją w głosie, że Robert opanował grymas i wyjaśnił:

- Nie, potrzebuję świeżej ryby do ogrodu.

- Co ty gadasz, Mały, przecież ryby nie rosną w ogrodzie! Nie jestem już dzieckiem i nie dam się nabrać na takie brednie.

- Widzisz, one mają służyć jako nawóz, żeby róże lepiej się ukorzeniły. Przynajmniej w teorii.

Chłopiec otworzył usta i zaraz je zamknął.

- Aha.

- Aha, to znaczy co?

- Nie wolno mi pytać cię o ten różany ogród. Nie powinienem nawet wymawiać słowa "róża".

- Kto ci nagadał takich rzeczy?

- Wszyscy. Najpierw Georgie, potem Tristan, a na końcu Shaw przestraszył mnie śmiertelnie, bo wyskoczył nagle z salonu, tylko po to, aby mnie przestrzec, żebym nie mówił z tobą o różach. Chyba zdążyłem już je znienawidzić.

- Jeśli nam się poszczęści, do obiadu zdążysz jeszcze bardziej znienawidzić ryby.

- A pozwoliłbyś mi pomagać ci w tym ogrodzie? Bo Georgie powiedziała, że nie powinienem nawet o to pytać.

Wyjechali już z Mayfair, ale inne ulice zdawały się nawet bardziej zatłoczone. Robert poczuł ucisk w piersiach, więc starał się oddychać miarowo i spokojnie. Wolał nie myśleć, co mogłoby się stać z Edwardem, gdyby spadł z konia. Dopóki jeszcze panował nad sytuacją, próbował skupić uwagę na czym innym.

- A ty chciałbyś mi pomagać? - odpowiedział pytaniem. - Myślałem, że wolisz jeździć konno z Shawem lub Tristanem.

- Z tobą także mógłbym jeździć. Lubię patrzeć, jak prowadzisz Tolleya, prawie nie używając wodzy. Chciałbym się nauczyć tak jeździć na Storm Cloud.  
- Edward zmarszczył czoło i po namyśle dodał: - W ogrodzie też będę ci pomagał, jeśli nikt inny nie chce nawet o tym mówić. Nie powinienś pracować sam.

- Dziękuję ci, Cherlaku.

Chłopiec rozpromienił się, najwyraźniej zadowolony z życia. Robert zazdrościł mu, kiedyś też miał ku temu powody, ale świadomość tego, co miał, a potem stracił, jeszcze pogarszała sytuację. Nie mógł nawet nikomu się poskarżyć, bo to, co zrobił, nie miało prawa nigdy wyjść na światło dzienne.

- Czy ten dziadek sprzedaje ryby? - wyrwał go z zadumy brat.

- Tak - odparł Robert, mrugając oczami. Zeskoczył z konia i pokuśtykał w stronę zasuszonego staruszka stojącego przy sfatygowanym wózku.

- Chciałbym kupić trochę ryby.

- Służę uprzejmie jaśnie wielmożnemu panu. Wszystko świeżutkie, w najlepszym gatunku. Wielmożny pan życzy sobie dorsza, makrelę czy może stynkę?

- Wziąłbym ze dwa tuziny - przerwał mu Carroway, licząc, że towar będzie pachniał lepiej niż handlarz.

- Dwa tuziny? Już się robi, proszę jaśnie wielmożnego pana. A jakie to mają być rybki?

- Mniej więcej tej wielkości. - Robert podniósł do góry dłonie rozstawione na szerokość około dziesięciu cali.

- Mam tu takie, które lepiej się nadadzą na stoły jaśnie państwa. Te, oczywiście, są droższe.

- Ale one mają służyć do użyźniania ogrodu! - wtrącił się Edward, nie zsiadając z grzbietu Storm Cloud.

- Do czego?

- Takiej wielkości - powołał żądanie Robert.

- Panowie chcecie moje pyszne, świeżutkie rybki zakopać do ziemi?! - wrzasnął staruszek, który dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi. - Jeśli ludziska zaczną gadać, że moje ryby nadają się tylko do zakopania, to nikt ich...

- Wszyscy kiedyś pójdziemy do ziemi - warknął Carroway. Zapragnął nagle wracać do domu, i to szybko. - Ile płacę?

- Dziesięć szylingów - wykrztusił przekupień, przetykając ślinę.

- Powiedzmy, osiem. - Robert wyjął z kieszeni garść monet.

- Niech będzie, proszę jaśnie wielmożnego pana, ale za jakość nie ręczę.

Carroway wsypał ryby do płóciennego worka, który miał ze sobą. Wsiadł na Tolleya i przytroczył worek do przedniego łęku.

- Jedźmy, Cherlaku - zakomenderował.

Nie minęło jednak nawet kilka minut, gdy zdał sobie sprawę, że Edward zachowuje się nienaturalnie spokojnie. Kiedy przyjrzał się dokładniej najmłodszemu braciszкови, zauważył jego nieruchomy wzrok wbity w punkt między uszami konia, ściągnięte wargi i zaciśnięte zęby.

- Co się stało, Cherlaku? - zapytał.

- To było brzydkie, co powiedziałeś - wymamrotał Edward, nie patrząc mu w oczy. - I uraziłeś tego człowieka!

Robert przełknął ciętą ripostę, zaskoczony, że brat w ogóle o czymś takim pomyślał. Byłoby mu lżej, gdyby Edward widział w nim tylko wrak człowieka, czyli to, co widzieli wszyscy inni. Prawie wszyscy - poprawił się, bo przypomniał sobie uśmiech Lucindy Barrett.

- Przepraszam - zreflektowałem się. - Nie czuję się dobrze. Chciałbym już wracać do domu.

- Pamiętam, kiedy wróciłeś z tej wojny z Napoleonem - kontynuował chłopiec. - Shaw powiedział wtedy, że chciałbyś umrzeć, ale ja wiedziałem, że wcale nie chciałeś.

- Skąd mogłeś coś takiego wiedzieć?

- Bo napisałeś mi w liście, że kiedy będę starszy, nauczysz mnie skakać przez przeszkody. W zeszłym roku, kiedy byłeś w Szkocji, Andrew chciał mi pokazać, jak się skacze, ale wolę, żebyś to ty mnie uczył.

Robert przełknął ślinę, bo całkiem zapomniał o tym liście. To była ostatnia wiadomość, jaką zdążył przesłać do rodziny, zanim... wszystko się zmieniło. Tej nocy bowiem zaczęło się piekło.

Tymczasem zbliżyli się już do domu.

- Powinieneś być pozwolić, żeby Andrew cię tego nauczył - mruknął pod nosem i skłonił Tolleya do szybszego biegu.

Pod stajnią zsunął się z siodła, rzucił worek z rybami obok skrzynki ze szczepami róż i szybkim krokiem pomaszerował do domu. Otworzył drzwi na oścież, zanim Dawkins zdążył to zrobić.

- Gdzieś ty był, do wszystkich diabłów?! - ofuknął go Tristan, wyglądając ze swego gabinetu.

- Na przejażdżce - odpowiedział spokojnie, ignorując gniew brata i kierując się ku schodom.

- Z Edwardem?

- Tak.

- Wiesz przecież, że nie wolno ci z nim wyjeżdżać, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybieracie! - gderał wicehrabia.

- Dobrze.

- Robercie, jeszcze z tobą nie skończyłem!

Robert natomiast nie miał wątpliwości, że on skończył. Znowu doznał ataku panicznego lęku, jakby upazurzona łapa ścisnęła mu klatkę piersiową tak mocno, że nie mógł nabrać powietrza.

- Niech to diabli! - syknął, wpadając do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. - Dostyc już tego, dostyc!

A więc zaufanie Edwarda do niego opierało się na liście, który w swojej naiwności napisał, kiedy jeszcze o niczym nie wiedział! Przypominał sobie, jakie pogawędki prowadził z przyjaciółmi podczas przekraczania granicy między Hiszpanią a Francją, jak ignorowali uporczywe zimno, bo krzepiły ich wieści o abdykacji Bonapartego. Wszyscy ludzili się wtedy, że wojna jest skończona i wrócą do domu. Miał nadzieję, że to nie jego pułk otrzyma rozkaz pozostania na miejscu i umacniania pokoju w zwyciężonym kraju. Tak się rzeczywiście stało, jednak już bez niego.

- Robercie!

To Tristan dobijał się do drzwi, ale nie zwracał na to uwagi. Nawet słabo słyszał łomot, bo energicznymi krokami przemierzał pokój tam i z powrotem, próbując uciec od ogarniających go ciemności.

Złożył wtedy podanie o zwolnienie, które zostało przyjęte. To dlatego koledzy z pułku sądzili, że wrócił do Anglii, natomiast jego rodzina - że został w Hiszpanii.

- Robercie, otwórz te przeklęte drzwi! Ja nie żartuję!

Gniew i przestach w głosie brata przywróciły go do rzeczywistości. Na paluszkach podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem.

- Na pewno nie dopuściłbym, aby coś się stało Edwardowi - wychrypiął.

Cokolwiek Tristan chciał powiedzieć, ugryzł się w język.

- O Boże, Mały, czy coś cię boli? - zapytał. - Jesteś blady jak...

Robert ponownie zatrzasnął drzwi.

- Idź sobie! - warknął, opierając czoło o grubą, chłodną deskę. - Po prostu potrzebuję spokoju.

- Dobrze.

Po chwili doszedł go odgłos oddalających się kroków brata.

Robert ze świstem wciągnął powietrze. Zamierzał kontynuować wędrówkę po pokoju, gdy wzrok jego padł na znoszone ubranie, którego używał do pracy w ogródku. Musiał przecież zakopać kupione ryby, zanim ich woń zwabi wszystkie bezdomne koty z Mayfair, a jeśli jeszcze dziś nie zasadzi szczepów róż - równie dobrze może posłuchać porady Lucindy i wyrzucić je do śmieci.

Drżącymi rękami zdjął płaszcz i przewiesił go przez szafkę nocną. Lepiej poszło mu z surdudem i kamizelką, gdyż znalazł w sobie siły, aby zwyczajnie powiesić je w szafie.

Tristan do znudzenia proponował, że przydzielili mu służącego. Najwidoczniej nie rozumiał, jak ważną dla Roberta była świadomość, że nikt nie może bez przeszkód wchodzić do jego pokoju ani dotykać jego rzeczy. To, że ubierał się samodzielnie i sam dbał o swoją odzież, pozwalało mu czuć się mężczyzną przynajmniej w tym ograniczonym zakresie.

Naciągając swoje najstarsze buty i pożyczone od Lucindy rękawice, stwierdził ze zdziwieniem, że przyspieszone bicie serca ustało, a oddech się wyrównał. Rozejrzał się więc dookoła, otworzył drzwi sypialni i wyszedł na korytarz. Wciąż odczuwał zmęczenie i drżały mu ręce, ale tym razem potrafił się z tym uporać. Po raz pierwszy nie dał się ogarnąć ciemnościom, co zawdzięczał różom, lecz i panie Lucindzie Barrett.

## 6

*Od tego czasu nowe życie wstąpiło w obumierające cielsko cudzoziemca.*

*- Robert Walton, "Frankenstein"*

Lucinda odruchowo zwolniła kroku, kiedy razem z generałem wchodzili po frontowych schodach Halboro House. Zanim Evie wyszła za St. Aubyna, przekroczyła ten próg tylko raz, a i wtedy nie zapuściła się dalej niż do hallu. Jeszcze bowiem kilka tygodni temu porządne kobiety omijały ten dom z daleka, ale teraz wszystko się zmieniło - Lucinda bez obaw przyjęła zaproszenie na kameralną kolacyjkę w gronie rodziny i przyjaciół, wśród których mógł się także znajdować jej przyszły mąż.

- Witamy, panie generale, panno Barrett... - Uprzejmy kamerdyner zaprosił ich do środka. - Lord i lady St. Aubyn czekają w salonie.

- Dziękujemy, Jansen.

Drzwi salonu były w półprzymknięte, więc Lucinda głośno odchrząknęła dla kurazu, bo w ostatniej chwili przypomniała sobie, że Evie i Saint pobrali się dopiero miesiąc temu.

- Wiesz co, tatusiu? - zadała pytanie ostentacyjnie donośnym głosem. - Na wieczorku u Wellcristów zauważyłam, że aż dwa razy przyniosłeś pani Hull kieliszek madery.

- Musiałem, bo na tej sali panował straszny zaduch, a biedna pani Hull zapomniała wachlarza - tłumaczył się generał. - Gdyby...

W tym momencie otworzyły się drzwi do salonu.

- Dobry wieczór! - pozdrowiła ich Evie. Z uśmiechem ucałowała Lucinę w policzek i pociągnęła gości do środka. - Przyszliście jako pierwsi.

St. Aubyn wynurzył się zza pleców żony, zaborczym gestem obejmując ją ramieniem. - I w samą porę, bo właśnie dyskutowaliśmy i prawie wygrałem!

Evelyn zarumieniała się, ale zaprzeczyła:

- Wcale nie wygrałeś!

- W takim razie później jeszcze porozmawiamy - oznajmił Saint, obrzucając żonę krytycznym spojrzeniem zielonych oczu. - Panie generale, pozwoli pan, że zaproponuję partyjkę bilarda, bo nasze panie na pewno będą chciały poplotkować.

Generał uniósł brew.

- Lucinda jest tak zaprzyjaźniona z Evelyn, że może pan śmiało nazywać mnie Augustusem - zezwolił.



- Oj, chyba wszedłem do większej rodziny, niż się spodziewałem! - Markiz pokiwał głową. - Chodźmy więc, Augustusie, a jeśli wygram, możesz nazywać mnie Saintem. Gdyby jednak zdarzyła się rzecz niemożliwa i przegrałbym, będę się upierał przy tytule jego lordowskiej szczodroliwości markiza St. Aubyna.

- Nie myśl, że mnie onieśmielisz, młody człowieku! - zaśmiał się pod nosem generał.

Obaj panowie niebawem znikli w drugim końcu hallu. Lucinda odprowadziła ich wzrokiem, a dopiero potem zagadnęła przyjaciółkę:

- Wiesz, nadal nie bardzo to rozumiem...

- Czego nie rozumiesz? - spytała Evie, sadwiąc się na kanapie.

- Jego lordowskiej szczodroliwości! - przyznała z uśmiechem Lucinda. - A ściślej mówiąc, Michaela Halboro. Pamiętam przecież, do czego się posuwał, aby cię zdobyć, ale... ty, na miłość boską, wysłaś za markiza St. Aubyna.

- Moja matka też nie może w to uwierzyć - przyznała Evelyn z lekkim skrzywieniem ust. - A mój brat dotąd prawie się do nas nie odzywa.

- Wiem, bardzo mi przykro.

- A mnie nie. Michael też myśli, że mnie to martwi, ale naprawdę nie dbam o to. Muszą pogodzić się z faktami, że jestem odważna, niezależna i kocham Santa równie mocno, jak on mnie. Na pewno nie zamierzam się teraz wycofać, bo zbyt wiele wysiłku kosztowało mnie wejście w progi tego domu.

Panna Barrett nie była pewna, o jaki wysiłek chodzi. Nagle przyszło jej do głowy, aby zadać z pozoru dziwne pytanie:

- Czy sądzisz, że oszukuję? Proszę cię, powiedz mi prawdę!

Markiza przytrzymała jej rękę i siłą posadziła z powrotem na kanapie.

- Prawdę mówiąc - rzekła, patrząc przyjaciółce prosto w oczy - nie rozumiem, co podjęcie decyzji i zmierzanie krok po kroku do celu ma wspólnego z oszukiwaniem.

- Tak, ale chodzi mi o nasze lekcje.

- Luce, to też nie jest żadne oszustwo. Myślę, że tamtego dnia wszystkie byłyśmy po prostu... niezadowolone z życia!

- Ja nie potrzebuję męża, aby być szczęśliwą - sprostowała Lucinda.

- Nie o to mi chodzi! - westchnęła Evie. - Jestem z Saintem szczęśliwa, ale nie tylko dlatego, że za niego wyszłam, lecz tak-że dlatego, że rodzina przestała się wtrącać do mojego życia.

- Może na tym właśnie polega kłopot ze mną? - wyznała cicho Lucinda. - Prawdę mówiąc, nie mam wyższych ambicji niż opieka nad generałem i spokojne życie, z dala od zgiefku.

- W takim razie dobrze się stało, że nie zakochałaś się w Dare - podsumowała ze śmiechem Evie.

Panna Barrett na chwilę zmarszczyła czoło, bo przypomniała sobie pechowego młodszego brata Dare'a, ale odgoniła tę myśl od siebie, zanim Evie zaczęłaby coś podejrzewać. Jak na kogoś starającego się unikać kłopotów i tak za dużo czasu już poświęciła pewnemu właścicielowi pary szafirowych oczu!

- Ani w twoim Saincie - zażartowała. - Tym bardziej, że już go polubiłam!

Markiza wróciła na swoje miejsce na kanapie.

- To, że masz inne wymagania niż Georgiana i ja, nie oznacza bynajmniej, że oszukujesz - tłumaczyła z powagą.

Lucinda przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

- Tak, ale za coś muszę cię przeprosić - zmieniła temat.

- Za co tym razem?

- Zawsze wiedziałam, że jesteś moją dobrą, szczerą i oddaną przyjaciółką - wyliczała. - Nie przypuszczałam jednak, że w ostatnim czasie aż tak zmądrzałaś.

- Oho, widzę, że ominięło mnie coś ciekawego! - zawołała od drzwi Georgiana, która nagle się tam pojawiła. - To wszystko przez Tristana, bo uparł się, żeby...

- Daj spokój, kochanie - przerwał jej wicehrabia, wynurzając się zza jej ramienia. - Nie ma sensu teraz tego roztrząsać. Lepiej spytaj pań, gdzie są nasi panowie.

- Tristan! - Georgiana splonęła krwawym rumieńcem.

Tymczasem gospodyni się roześmiała.

- W sali bilardowej - wyjaśniła.

Jak na zamówienie z hallu dobiegł głos Edwarda:

- Hurra! Saint nauczy mnie, jak oszukiwać!

- Dobry Boże! - wyszeptała lady Dare, ruszając tam, skąd dobiegało tupanie męskich butów. - Edwardzie, ty chyba nie...

- Czasami wcale nie zazdrozczę Georgie - wyznała Evie, nie przestając chichotać.

- Szczególnie gdy wraca Andrew i będzie miała na głowie pięciu Carrowayów rodzaju męskiego! - zawtórowała jej Lucinda. Sama była ciekawa, czy dołączy dziś do nich jeszcze jeden z braci Carrowayów, ale przezornie wolała nie zaprzętać sobie tym głowy. Teraz przede wszystkim musiała zadbać o to, aby lord Newcombe nie powziął żadnych podejrzeń co do celu, dla którego został zaproszony. Zakładając oczywiście, że w ogóle się pojawi.

- Evie, czy oczekujesz kogoś jeszcze? - spytała cicho.

- Tak, powinien tu być lada chwila - zapewniła przyjaciółka, ale jej szare oczy niespokojnie spoglądały to tu, to tam.

Punktualnie co do minuty w drzwiach salonu pojawiła się wysmukła, ciemna postać. Lucinda podniosła wzrok, spodziewając się ujrzeć lorda Geoffreya, ale tak przepastne, ciemnoniebieskie oczy mogły należeć tylko do jednego mężczyzny.

- Ach, pan Carroway! - przywitała go, zaskoczona, że nagle zaczęło jej braknąć powietrza. Nic dziwnego, w końcu nie spodziewała się, że go tu zobaczy!

- Lady St. Aubyn, panno Barrett... - odpowiedział na pozdrowienie charakterystycznym, niskim głosem.

Evelyn wyglądała na równie zaskoczoną, jak Lucinda.

- Miło mi, że pan przyszedł, panie Carroway. Zapraszamy do kompanii. - Próbowała robić dobrą minę.

Przybyły gość przelotnie rzucił na nią okiem, a na dłużej zatrzymał spojrzenie na Lucindzie.

- Czy mógłbym najpierw zamienić kilka słów z panną Barrett?

- Ależ oczywiście.

Unikając zaciekawionego spojrzenia Evie, Lucinda wstała i podążyła za Carrowayem do hallu, gdzie panował względny spokój. Zauważyła, że z wyjątkiem białego krawata Robert przyodział się od stóp do głów na szaro. Na tym tle i w przyćmionym świetle jego oczy wydawały się ciemniejsze, przez co nie mogła się wyzbyć przeświadczenia, że ich właściciel potrafi czytać w jej myślach.

- Posadziłem już te róże - pochwalił się bez żadnych wstępów. - I zakopałem ryby.

- Naprawdę zrobił to pan? Wspaniale!

- A przedtem zawarłem z panią pewną umowę...

*Tego tylko brakowało!*

- Ależ, panie Carroway, zupełnie niepotrzebnie...

- Proszę mnie nazywać Robertem - przerwał jej w pół zdania.

- Dobrze więc, Robercie, doceniam twoją propozycję, ale naprawdę...

Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, przesuwając palce po skórze tak delikatnie, jakby obawiał się, że zniknie.

- Powiedziałem, że mógłbym pomóc i pomogę - wyszeptał.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie spodziewała się bowiem, że Carroway wspomni jeszcze kiedykolwiek o tej umowie, bez względu na to, czy zajmie się uprawą róż, czy nie. Nie przypuszczała również, że jego dotknięcie tak ją... podnieci. Kiedy jednak podniosła wzrok, napotkała poważne spojrzenie jego błękitnych oczu.

- Ro... - zaczęła.

- Dobry wieczór, panno Lucindo! - rozległ się za nią melodyjny głos lorda Geoffreya. - I ty, Carroway, tu jesteś? Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś.

Robert szybko opuścił rękę, ale Lucinda od razu zdała sobie sprawę, że Newcombe zauważył ten gest i że Robertowi właśnie o to chodziło. Przeniósł

spojrzenie z niej na lorda, potem odwrócił się na pięcie i wycofał w stronę sali bilardowej.

- Hm, to ciekawe... - mruknął Geoffrey, schylając się, aby ucałować jej rękę.

Lucinda siłą woli zapanowała nad sobą, aby nie odchrząknąć.

- Jesteśmy przyjaciółmi - usiłowała się tłumaczyć.

- To akurat widziałem. Czy pójdzie pani ze mną, aby odszukać naszych gospodarzy?

- Oczywiście. Proszę tędy.

Lord Newcombe podał jej ramię, więc złożyła dłoń na jego rękawie i wskazała drogę do salonu. Musiała przyznać, że wieczór zapowiadał się dość dziwnie. Jeszcze pięć minut temu gotowa była iść o zakład, że Robert Carroway nie pojawi się w Halboro House, a nawet jeśli spróbuje udzielić jej jakiejś pomocy, to i tak przyniesie to więcej szkody niż pożytku. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że w obu sprawach się myliła.

Ukradkiem dotknęła policzka w miejscu, gdzie ją przedtem dotknął. Dziwne, ale okazało się, że skóra wciąż jeszcze pozostała ciepła.

Robert oddychał już powoli i miarowo, gdy otwierał drzwi sali bilardowej. Od razu uderzył go gwar męskich głosów, jakby wszyscy mówili równocześnie. Z tego hałasu wychwytił wyższy i bardziej melodyjny głos Georgiany, która, jak zwykle, starała się opanować zamęt. Skupił się więc przede wszystkim na niej, aby zyskać na czasie, zanim będzie musiał stanąć twarzą w twarz z panem domu znajdującym się w tylnej części sali.

- Trzymam cię za słowo, Saint - mówiła właśnie Georgie.

- Dobrze, masz moje słowo, że będę dzielił się z nim tylko takimi umiejętnościami, które są akceptowane w przyzwoitym towarzystwie.

- Georgie, chcesz mnie zniszczyć! - jęknął Edward.

- Przeciwnie, robię, co mogę, aby do tego nie dopuścić - zareplikowała. W biegu cmoknęła Tristana w policzek i cofnęła się ku drzwiom.

Robert usunął się na bok, aby na niego nie wpadła.

- Georgiano... - rzekł, otwierając jej drzwi.

Zanim wyszła z pokoju, w przelocie dotknęła jego ramienia. Po części znała jego historię, przynajmniej tyle, ile jej powiedział. Powtórzyła ją Tristanowi, ale na pewno wiadomości te nie przedostały się poza ścisły krąg rodzinny. Która bowiem rodzina życzyłaby sobie, aby się rozniosło, że jeden z jej członków, rzekomo dzielny żołnierz, nie tylko nie został ranny pod Waterloo, ale w ogóle nie brał udziału w tej bitwie? Że przez siedem miesięcy siedział w więzieniu, wskutek czego ominęła go dwukrotna kapitulacja Bonapartego? Czy takie postęпки zasługiwały w ogóle na usprawiedliwienie?

Robert ze świstem wciągnął powietrze, bo wyobraził sobie, jak zareagowaliby jego krewni, gdyby wiedzieli wszystko o tych siedmiu miesiącach uwięzienia. Wzdrygnął się na samą myśl o tym i celowo podniósł wzrok na mężczyznę, którego w swoim czasie chciał zabić.

- Nie martw się, chłopcze. - Generał Augustus Barrett pocieszał Edwarda.  
- Nic ci nie obiecuję, ale trzymaj się blisko przy mnie, to się tego czy owego nauczysz.

W tym momencie do sali wkroczył lord Newcombe, więc goście zgromadzili się wokół niego, a Robert odsunął się jeszcze dalej. Nie zdziwił się, kiedy generał wystąpił pierwszy, aby powitać przybysza.

- Geoffreyu, znasz tu wszystkich, prawda? - zapytał dla formy, ściskając rękę czwartego syna księcia Fenleya. - To nasz gospodarz, lord St. Aubyn...

- Saint - poprawił markiz ze złośliwym uśmiechem.

- Miło mi - odwzajemnił mu się Geoffrey. - Dziękuję za zaproszenie. Nie spodziewałem się go, ale byłem mile zaskoczony.

- Bo ja w ogóle lubię niespodzianki - zareplikował Saint.

Generał kontynuował prezentację.

- Wszyscy ci panowie należą do rodziny Carrowayów. Tristan, lord Dare, jego brat, porucznik Bradshaw, który, niestety, służy w marynarce, Edward...

- Wszyscy mnie nazywają Cherlakiem, bo jestem najmłodszy! - oznajmił z dumą Edward.

- Jak się masz, Cherlaku! - Geoffrey z całą powagą uściśnął wyciągniętą rękę chłopca.

- ...a tamten to Robert - zakończył generał, ledwie prześlizgując się po ostatnim z braci spojrzeniem.

- Mieliśmy już zaszczyt się poznać. - Geoffrey zwrócił się ku Carrowayowi.

Ten skłonił głowę, ale nie spuszczał oczu z generała. Przy okazji dowiedział się, że dla Barretta był zaledwie "tamty", ale w pełni odwzajemniał tę pogardę.

- Dziękuję! - odezwał się tuż za nim niski głos. Wsparty na kiju bilardowym, Saint nie przestawał równocześnie obserwować gry.

- Za co? - mruknął Mały.

- Za to, że do nas dołączyłeś. Dotychczas myślałem, że to mnie unikasz przy różnych okazjach towarzyskich. - Markiz nie podnosił głosu. - Teraz widzę, że to nie chodzi o mnie, tylko o Barretta, prawda?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Za to ja rozumiem, aczkolwiek nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś mnie oświecił, o co wam poszło. Zazwyczaj moje pierwsze wrażenia są trafne, a wyglądacie, jakbyście darli ze sobą koty. Powiedz, jeśli się mylę.

- Owszem, mylisz się, i to co do nas obojwóch - odparował Robert.

- To ciekawe. W takim razie chyba nie będziesz mieć mi za złe, jeśli nie zaprzestanę obserwacji.

Robert chętnie dałby mu ostrą odprawę, ale znał markiza na tyle dobrze, że nie chciał mieć w nim wroga. Rzucił więc tylko:

- Rób, jak uważasz.

- Zawsze tak postępuję - podchwycił Saint, dając znak jednemu z lokajów stojących w różnych punktach sali. - Tymczasem pewnie zmienię porządek miejsc przy stole, bo podejrzewam, że Evie usadziła cię obok Augustusa.

Niech to wszyscy diabli! Zmusił się, aby tu przyjść, bo za wszelką cenę chciał jakoś pomóc Lucindzie. O kolejności usadzania gości przy kolacji nawet nie myślał, bo prawie nigdzie nie zabawił na tyle długo, aby musiał zasiadać do stołu.

- W każdym razie dziękuję.

- Pan służył na Dreadnoughcie? - lord Geoffrey zwrócił się do Bradshawa.

- Tak - odparł Shaw. - Braliśmy udział w kilkunastu bitwach morskich w czasie wojny.

- W kilkunastu, ha? - Generał Barrett zaniechał na chwilę udzielania Edwardowi instrukcji. - A w ilu z nich atakowaliście francuskie barki próbujące przerwać blokadę?

- No, w kilku. - Shaw szeroko się uśmiechnął.

- W tylu, ile było trzeba, aby Shaw mógł zostać kapitanem - dodał lojalnie Edward.

- Gratuluję, Carroway. - Lord Newcombe podjął przerwany wątek. - Może sam powinienem spróbować szczęścia w marynarce?

- Uchowaj Boże, w armii lądowej będziesz miał dużo więcej szans na awans.

- A Mały poznał Wellingtona! - wtrącił Edward, koncentrując się na następnym uderzeniu kijem.

- Nie wątpię w to - przyznał generał, obrzucając Roberta stalowym spojrzeniem. - Jego wysokość chętnie odwiedza rannych oficerów.

- To było wcześniej. Wypił z nim razem butelkę whisky.

Geoffrey uniósł brew.

- Opowiedz o tym, Carroway - zaproponował. - Musisz podzielić się z nami taką ciekawą historią!

- Nie - odpowiedział Robert beznamiętnym tonem, wytrzymując jego wzrok.

Tristan i Bradshaw, jak na komendę, równocześnie wystąpili naprzód.

- Teraz twoje uderzenie, Cherlaku - zakomenderował wicehrabia, wsuwając się, niby niechcący, między Roberta i lorda Newcombe'a.

- Pragnę zauważyć, że dziś celowo przegrywam - wtrącił Saint, ustawiając się tak, aby odizolować Roberta od generała Barretta, nie wiadomo, czy przypadkowo, czy nie. - Gościnnie ze mnie gospodarz, prawda?

W tym momencie do sali bilardowej wkroczył kamerdyner. Skłonił się lekko swemu chlebodawcy i otworzył drzwi na oścież.



- Podano do stołu - zaanonsował.

Panowie stopniowo zaczęli przechodzić do salonu, aby dołączyć do pań. W tym czasie Edward odszukał Roberta.

- Kogo mam odprowadzać do stołu? - spytał szeptem.

Robert błyskawicznie przeprowadził obliczenia w pamięci.

Przy trzech damach ostatnim mężczyzną, któremu przypadnie asystować gościowi płci przeciwnej, będzie Newcombe i to on poprowadzi Lucindę Barrett.

- Możesz mnie - odszepnął.

- Dobrze, że przyszedłeś! - ucieszył się chłopiec. - Inaczej musiałbym iść sam.

Robert odetchnął z ulgą, że przynajmniej jeden człowiek cieszył się z jego obecności. Kiedy jednak dołączyli do Shawa, zamykającego pochód par zdążających do jadalni, musiał zrewidować ten pogląd, bo Georgie obdarzyła go serdecznym uśmiechem, podobnie Tristan i Bradshaw zaszczylicili go spojrzeniem, choć udawali, że patrzą w inną stronę.

Jeżeli więc wszyscy Carrowayowie byli radzi, że wytrzymał w ich towarzystwie przynajmniej do kolacji - może powinien z wdzięczności dla nich wytrzymać przez cały wieczór? Rzucił okiem w stronę Lucindy, która kontemplowała właśnie profil lorda Geoffreya. Będąc na jego miejscu, na pewno nie traciłby czasu na grę w bilard! Przestał jednak porównywać się z nim, gdy zobaczył, gdzie St. Aubyn wyznaczył mu miejsce.

- Panno Barrett... - rzekł, zajmując krzesło przy niej.

Wyglądała elegancko, a zarazem swobodnie. Pamiętał, co to za uczucie, choć zwątpił, aby jeszcze kiedykolwiek go doświadczył. Wiedział, że chętnie z nim rozmawiała, ale był ciekaw, czy nie żałuje, że tamtego dnia wpadła na niego w gościnnej sypialni. Zapamiętał też, że niemal nie oddychała, kiedy dotknął jej policzka, a i jego serce, jak się zdawało, przestało wtedy bić. Czy to oznaczało, że jeszcze nie jest z nim zupełnie źle, czy po prostu dostał bzika na punkcie Lucindy Barrett?

Komu więc chciał pomóc - jej czy samemu sobie? W każdym wypadku musiał przede wszystkim wyjść z cienia. Zrobił już krok w pożądanym kierunku, ale jedno dotknięcie, choćby nawet zapierające dech, to za mało.

Odczekał, aż sąsiedzi przy stole wdadzą się w rozmowę i dopiero wtedy ściszym głosem zagadnął:

- Wydaje mi się, że mógłbym pani bardziej pomóc, gdybym wiedział, co pani umieściła na swojej liście.

- Ach, nie! - syknęła prawie bezgłośnie.

W duchu pomyślał, że nietrudno będzie się tego dowiedzieć, a głośno, acz z wymuszonym uśmiechem, zapewnił:

- Nawet jeżeli pani mi tego nie powie, i tak się domyślę.

Lucinda pociągnęła duży łyk madery.

- Panie Carroway... to znaczy, chciałam powiedzieć, Robercie... doceniam pańską propozycję, ale naprawdę nie potrzebuję pomocy. Te szczepy róż dałam panu w prezencie, nie oczekując nic w zamian.

W jego głosie zabrzmiała taka sama desperacja, jaką w tej chwili odczuwał.

- A gdybym powiedział pani - szepnął - że Geoffrey uważa się za bohatera, ale to on wszystkich o tym przekonał?

Panna Barrett zerknęła na niego spod oka, a po chwili przeniosła spojrzenie na pogrążonego w konwersacji z jej ojcem lorda. Teraz zrozumiała, dlaczego Evelyn piorunuje wzrokiem swojego męża. Na pewno chciała posadzić Newcombe'a obok Lucindy, a tymczasem Saint pomieszał jej szyki, bo usadowił na tym miejscu "milczka". Robert miał za co być wdzięczny Saintowi!

- Lord Geoffrey pomaga mojemu ojcu w odtwarzaniu brakujących fragmentów jego polowego dziennika - wyjaśniła. - Jeszcze raz dziękuję, ale sam widzisz, że w pełni panuję nad sytuacją.

- W porządku, proszę podać mi tylko jeden punkt swojej listy, a przestanę się pani naprzykrzać.

- Ani myślę... - zaczęła, zaciskając miękkie wargi, a przynajmniej wyobrażał sobie, że były miękkie. - Tylko jeden punkt?

- Wystarczy jeden.

- Dobrze więc. - Lucinda rozłożyła sobie serwetkę na kolanach. - Zdradzę jeden punkt, jeśli i ty coś mi powiesz.

Zmroziła go tym ultimatum, bo co się stanie, jeśli zapyta o coś, na co nie będzie mógł odpowiedzieć? A jeśli on wtedy znów zamknie się w sobie i nie wykrztusi ani słowa? Potrzebował roku, aby wyczołgać się ze swej kryjówki na światło dzienne. Nikt ani nic nie było w stanie skłonić go, aby tam się cofnął.

- No więc jak, zawrzemy układ? - ponagliła go.

*Dość tego!* - przywołał się do porządku, jak zwykle czynił w takich wypadkach. Postawiła mu proste wyzwanie, które mógł przyjąć albo odrzucić. Tak samo mogła potraktować każdego normalnego człowieka.

- Dobrze, zawrzyjmy - wychrypiał.

- Naprawdę?

Na chwilę jego twarz okraślił przelotny uśmiech, obejmujący także oczy. Lucindzie znów na moment zabrakło tchu. Boże, gdyby ten człowiek nie był w tak pożałowania godnym stanie, któż by mu się oparł?

- Pani nie przypuszczała, że się zgodzę, prawda? - zagadnął.

W tym momencie zauważyła, że lord Newcombe im się przygląda. Oznaczało to, że popełniła głupstwo, bo takie przekomarzenie się z Robertem mogło tylko opóźnić jej plany wobec lorda lub wręcz im zagrozić. W głębi duszy przyznawała jednak, że Robert Carroway ją intryguje.

- Rzeczywiście, nie spodziewałam się tego - przyznała i przywołała na pamięć kolejne pozycje na swojej liście. - Zatem lekcja pierwsza: Kiedy rozmawiasz z damą, poświęcaj jej całą uwagę. Nie zachowuj się tak, jakbyś czekał tylko, aż zjawi się ktoś bardziej zajmujący.

Robert spojrział na nią zdziwionym wzrokiem.

- I to wszystko?

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- To tylko pierwsza lekcja, ale uważam, że ważna. Nie tylko dla mnie, ale dla każdej kobiety. A teraz ty musisz mi coś powiedzieć.

- Co to miałyby być?

Wyczuła napięcie w jego głosie, więc szybko zmieniła zdanie. Nie chciała go urazić, pytanie o przyczynę jego kłopotów mogło poczekać.

- Teraz, kiedy uprawiasz róże, powinieneś wiedzieć, z czego pochodzą te słowa: "Wiosna nadeszła, więc chwasty w ogrodzie/jeszcze się mocno nie zakorzeniły./ Wyrwij je teraz, nim narobią szkody, / bo potem na to nie będziesz miał siły".

- Słucham? - Carroway zamrugął oczami.

- Przecież słyszałeś, co powiedziałam.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż zaczęła się zastanawiać, czy będzie chciał - lub mógł - odpowiedzieć. W kołach towarzyskich, w których się obracała, ten cytat był powszechnie znany. Jednak po pewnym wahaniu na wargi Roberta wypełził nieśmiały uśmiech.

- To z Szekspira, "Henryk VI", część druga. Oczywiście on nie miał na myśli roślin.

- Wiem o tym, ale ten urywek najbardziej mi pasował. - Poczowała zarówno ulgę, jak i zadowolenie, bo z jednej strony udało się jej Roberta zaskoczyć, a z drugiej - okazało się, że wiedział, skąd pochodzi zacytowany fragment. Odwzajemniła więc jego uśmiech. - Widzę, że czytujesz nie tylko "Frankensteina".

- Ja czytam wszyst...

- Luce! Lucindo, chodź, posłuchaj! - Evie pomachała do niej ręką. - Lord Geoffrey opowiada nam właśnie, jak nocą forsował rzekę Tormes!

- Tak, idź, posłuchaj tej błazenady! - mruknął Carroway, powtórnie zamykając się w sobie i zwieszając głowę nad talerzem.

- To brzydko tak mówić! - odszepnęła. - Co w tym złego, że zachował się jak bohater?

- Bohaterowie się nie chwala - wyjaśnił ledwo dosłyszalnie. - Jestem pewien, że on popisuje się przed panią.

Lucinda niezbyt uważnie słuchała początku opowieści Geoffreya. Obrąła lorda za cel swych zabiegów po części dlatego, że wybór ten wydał się jej łatwy i przyjemny. Pod tym względem nie zmieniła zdania, ale odkąd Robert Carroway zaoferował jej swoją pomoc - "polowanie" stało się czymś zupełnie innym. Pociągnęła kolejny łyk madery, czując ciepło emanujące od tego wielkiego, silnego mężczyzny, który siedział przy niej. Stanowczo, udzielanie lekcji stawało się coraz bardziej interesujące!

## 7

*Oni mieli w duszy spokój i pogodę, a ja - z każdym dniem coraz większy zamęt.*

*- Potwór, "Frankenstein"*

Robert zatrzymał się przed drzwiami do pokoju śniadaniowego. Wstał tego dnia później niż zwykle, bo szum deszczu za oknem działał usypiająco, a tej nocy koszmary znów nękały go prawie do świtu.

- ...nie rozumiem, dlaczego zawsze myślisz, że coś knuję - doszedł go głos Georgiany.

- Bo rzeczywiście knujesz! - odparował Tristan. - Nie jestem przecież ślepy i widzę, że razem z twoimi przyjaciółkami zagięłyście parol na nową ofiarę.

- Nie mam pojęcia, jakim sposobem...

- Poczekaj. Wprawdzie nie od razu wpadłem na to, że Evie wzięła na cel St. Aubyna, ale odkąd tylko Lucinda pozostała panną na wydaniu...

- Daj spokój, Tristanie - przerwała mu żona, bardziej rozbawiona niż zła. - Co ty możesz wiedzieć o naszych lekcjach?

- Wszystkie trzy stosowałyście jednakową strategię - kontynuował niezrażony wicehrabia. - Dobrze wiedziałyście, czego szukacie, więc trudno było tego nie zauważyć. I to nagłe zaproszenie Geoffreya Newcombea na kolację? Przynajmniej ze względu na Lucindę mam nadzieję, że dla lorda nie było to tak jednoznaczne, jak dla mnie.

- No, nareszcie rozjaśniło ci się w głowie! - zachichotała Georgiana. - A więc trzymasz stronę Lucindy?

- Nie trzymam niczyjej strony i proszę cię, nie mieszaj mnie do tego. - Zamilkł, by po chwili zapytać: - A co w tym wszystkim robi Mały?

Robert mocniej przywarł do ściany. Wiedział, że brzydko jest podsłuchiwać, ale wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że ta czynność ma swoje zalety.

- Mały nie ma z tym nic wspólnego - wyjaśniła wicehrabina. - Ani ja, ani Luce nie chcemy mieszać go do takich rzeczy. Sam sugerowałeś, że powinien znaleźć sobie jakieś zajęcie, a Lucinda zna się na hodowli róż i jest raczej niegroźna.

Jeśli "niegroźna" oznaczało to samo, co pogodna, wrażliwa i uczuciowa - to Georgie miała rację. Przez całe trzy lata marzył, żeby choć z daleka zobaczyć Lucinę. Wydawała mu się światłem po długiej, ciemnej nocy i choć nadal ukrywał się w cieniu, aby żar słońca nie spalił go na popiół - do niej lgnął jak ćma do płomienia świecy.

W końcu odsunął się od ściany i wkroczył do pokoju z gromkim "Dzień dobry".

Siedzący obok siebie Tristan i Georgiana podnieśli wzrok znad talerzy.

- Dzień dobry - odpowiedziała mu bratowa. - Jak się czujesz?

- Przede wszystkim jestem głodny. - Ruszył w stronę półmisek ustawionych na pomocniczym kredensie, zastanawiając się, dlaczego to, co kiedyś przychodziło mu łatwo, wydawało się dziś takie niedosiężne. Wziął głęboki oddech i odważył się zapytać Tristana:

- Będziesz dzisiaj na obiedzie w klubie?

Brat i bratowa wymienili między sobą spojrzenia, po czym brat odpowiedział:

- Owszem, to właśnie planowałem.

- A mógłbym pójść tam z tobą?

- Oczywiście - odrzekł Tristan po chwili ciszy.

- Dziękuję ci.

Od razu stracił apetyt, ledwo uświadomił sobie, w co się wpakował. Nałożył sobie jednak na talerz kilka grzanek i trochę owoców, bo z pustym żołądkiem czuł się jeszcze gorzej, a teraz szczególnie potrzebował wszelkich przewag.

Zaraz po tym wkroczył do pokoju Bradshaw, niosąc Edwarda przerzuconego przez ramię.

- Jestem cięższy niż torba czy worek! - protestował Cherlak.

- Na pewno wierzysz się bardziej niż przeciętny pakunek, to fakt - przyznał brat, stawiając chłopca na podłodze.

- Phi!

Bradshaw skwitował to śmiechem.

- Jak się macie, kochana rodzinko. Słuchaj, Tris, czy mógłbym zabrać Perkinsa z nami na obiad? Od lat już ubiega się o rekomendację do naszego Towarzystwa.

- Dziś może jeszcze nie, Shaw - zaproponował wicehrabia. - Na razie lepiej, żebyśmy tam byli tylko: ty, Mały i ja.

- Rzeczywiście, to dobry pomysł. Po co ktoś obcy ma się wtrącać między Carrowayów?

- Coś podobnego! - wymamrotała Georgiana, uśmiechając się pod nosem.

- Ja też chcę iść z wami! - Edward wcisnął się na miejsce obok Roberta i zwędził połówkę pomarańczy z talerza brata. - Jestem Carrowayem z krwi i kości.

- Musisz ważyć więcej niż torba lub worek, zanim będziesz mógł jadać w klubie, Cherlaku.

- Możesz zjeść obiad ze mną, Lucindą i Evie - podsunęła Georgie.

- Z samymi babami?

- Ale za to w muzeum - uzupełniła wicehrabina.

- I będziemy mogli zobaczyć mumie?

- Oczywiście. Myślę zresztą, że Evie zabierze ze sobą niektórych swoich podopiecznych.

- Sierotki? - spytał Edward, nakładając na chleb tyle dżemu, że spłynął na talerz.

- Tak, chyba z dwanaścioro, tych najmłodszych.

- Więc byłbym najstarszy?

- Tak, starszy od wszystkich innych - uśmiechnęła się Georgiana.

- Dobrze, pójdę z wami.

- Dziękuję, Edwardzie.

Po wyjściu ciotek Robert miał Carroway House przez całe popołudnie praktycznie tylko dla siebie. Tak przemijała mu większość dni, więc miał już serdecznie dość tej powtarzającej się rutyny. Nie wiedział jeszcze, czy po obiedzie poczuje się podobnie, ba, nie był nawet pewien, czy w ogóle przeżyje ten obiad.

Wiedział już, że jako samotnik i odludek nie przyda się na nic pannie Barrett ani nie pomoże sobie. Jeśli członkowie towarzystwa pomyślą, że do nich wrócił, to na pewno zauważą, której damie asystuje. Lord Geoffrey Newcombe z pewnością też to zauważy.

Robert wepchnął do ust jeszcze jedną grzanekę. Starał się nie myśleć zbyt wiele o czekającym go spotkaniu, ale jeśli udałoby mu się nie skompromitować, może byłby to kolejny krok na drodze do wyjścia z cienia. Jeśli światło słoneczne nie będzie go zbyt razić, kto wie, dokąd zaprowadzi go następny krok?



- Muszę usiąść, przynajmniej na chwilę! - jęknęła Georgiana. Odszukawszy wypatrzoną wcześniej przy dziale znalezisk egipskich w British Museum kamienną ławeczkę, z westchnieniem na nią opadła.

Lucinda przysiadła się do niej, podczas gdy Evie, przy wydatnej pomocy Edwarda, objaśniała dzieciom, na czym polegała mumifikacja. Sądząc po zadartych w górę noskach i stłumionych okrzykach, sieroty najwyraźniej były tym zachwycone.

- Chyba przez godzinę Tristan będzie musiał masować mi stopy! - narzekała Georgie, ukradkiem zrzucając pantofel.

- Nie powinnaś już w ogóle brać udziału w takich eskapadach.

- Jeszcze i ty zaczynasz? Przecież zostały mi wszystkiego trzy tygodnie, zanim Tristan wywiezie mnie do Dare Park, gdzie mam oczekiwać rozwiązania... A propos, co za dureń wymyślił tę nazwę? "Rozwiązanie", jakbym przedtem była związana!

- Więc jeszcze tylko trzy tygodnie? - powtórzyła panna Barrett.

- Niestety, termin wypadł mi całkiem nie w porę. Ty dopiero zaczęłaś lekcje, Bradshaw lada chwila otrzyma dowództwo okrętu, a Robert wybiera się na obiad do klubu. Może nareszcie lepiej się poczuł? Cóż, gdyby potrzebował pomocy Dare'a lub mojej, najwyżej dłużej zostanę w Londynie.

Lucinda niedowierzająco zamrugła oczami. Czyżby Robert celowo zaczął pokazywać się publicznie? To musiało mieć coś wspólnego z ich umową. Boże, gdyby poczuł się urażony, byłoby to z jej winy i musiałyby zaraz wszystko odwołać - chyba że to on tak perfidnie próbował urozmaicić jej życie. Skrzywiła się na myśl o tym, bo jej życie nie było wcale nudne, tylko uporządkowane, a on ten porządek zburzył. Nie tłumaczyło to bynajmniej, dlaczego w takim razie nie próbowała go unikać i myślała o nim prawie przez cały czas.

- Luce?

- Słucham? Och, przepraszam. Byłam myślami gdzie indziej.

- A gdzie konkretnie?

Lucinda spojrzała na Georgianę, ale przyjaciółka miała dziwnie poważną minę.

- O co ci chodzi?

- O Roberta.

Przypuszczała, że Robert raczej nie byłby zachwycony tym, co miała zamiar powiedzieć, ale Georgie była jej najlepszą przyjaciółką, w dodatku szczerze zatroskaną o dobre samopoczucie swego szwagra. Ona zresztą też, z czego sobie coraz bardziej zdawała sprawę. Wmawiała sobie, że traktuje go wyłącznie jak przyjaciela, poznanego niespodziewanie, kiedy już zdążyła zaplanować sobie resztę życia.

- Powiem ci, ale niech to pozostanie między nami.

- Dobrze.

- Georgiano, ja mówię poważnie.

Wicehrabina spuściła oczy, najwidoczniej rozważając tę kwestię.

- Nie bój się, nikomu o tym nie powiem.

- Zaproponowałam Robertowi pomoc przy założeniu ogrodu różanego - zaczęła powoli. - Na początku odmówił, bo pewnie przypuszczał, że robię to z litości. Potem nakłonił mnie, byśmy zawarli umowę.

- Umowę?

- W rewanżu za szczepy róż i fachowe porady zaoferował się, że pomoże mi skłonić lorda Geofreya do spełnienia warunków z mojej listy.

Georgiana zerwała się na równe nogi, co nie było proste dla kobiety w tak zaawansowanej ciąży.

- Powiedziałaś mu o naszych lekcjach?! - wykrzyknęła, blednąc.

- Ja? Ależ skąd! To on pierwszy poruszył ten temat. Przykro mi, Georgiano, ale wiedział wszystko zarówno o naszych lekcjach, jak i o tym, w jaki sposób z Evie złapałyście Dare'a i St. Aubyna.

Lady Dare powoli osunęła się na ławkę.

- A niech to lichy! Powinnam była to przewidzieć. On zawsze wiedział o wszystkim, co się święci.

- Pewnie dzięki temu, że prawie go nie zauważyliśmy.

- My jego? Zresztą mniejsza o to, nie będziemy się przecież kłócić. Ty nas na pewno nie szpiegowałaś, za to on podsłuchiwał.

- Nie przypuszczam, aby chciał komukolwiek przez to zaszkodzić. Pewnie po prostu był ciekaw. - Otoczyła przyjaciółkę ramieniem. - Próbowałam go przekonać, że te róże to prezent, ale on się uparł, że musi mi się zrewanżować.

- Aha, to dlatego zrobił się ostatnio taki ruchliwy? A czy wie o twoim zainteresowaniu Geoffreyem?

Zabrzmiało to bardziej jak oświadczenie niż jak pytanie, ale Lucinda skinęła głową.

- Wie, ale wydaje mu się, że wybierałyśmy naszych panów, aby zaciągnąć ich do ołtarza.

Georgiana skrzywiła się z niesmakiem.

- Tak sobie przyszedł do ciebie i powiedział ci to wszystko?

- Tttak...

Wicehrabina podniosła się z ławki, bo dzieci zaczęły wychodzić z sali poświęconej dawnemu Egiptowi.

- No, to będziemy dziś wieczór mieli z Małym do pogadania!

- Ach, nie rób tego! Broń Boże, nie wspominaj mu o tym, co ci powiedziałam. Niech sobie wyobraża, że może mi pomóc. Nie chcę brać na swe sumienie, że... - zastanowiła się nad doбором odpowiednich słów - mógłby znowu się rozchorować?

Pochód dzieci z sierocińca zamykał Edward. Lucinda nieraz zachodziła w głowę, jak też musi się czuć chłopak mający czterech dużo od siebie starszych braci, którzy właściwie go wychowali. Widać było jednak, że nie brakuje mu pewności siebie, na co niewątpliwie wpływało posiadanie tak utytułowanej rodziny.

Od reszty braci wyraźnie odbijał Robert. Jakieś silne przeżycie lub też coś, czego był świadkiem, musiało go do głębi odmienić. Mimo wszystko jednak z jakichś powodów doszedł do wniosku, że nie kto inny, tylko właśnie on i ona mają sobie coś do zaofiarowania. Lucinda doskonale zdawała sobie sprawę, że cokolwiek próbowałyby sobie wmówić - z jej strony było to coś więcej niż tylko spełnianie dobrych uczynków. Ani altruizm, ani miłosierdzie nie tłumaczyły tego, że zwróciła uwagę na kolor oczu Roberta, najbardziej niebieski, jaki w życiu widziała.

- Panno Barrett... - Nieoczekiwanie Edward wyrwał ją z zadumy.

- Słucham cię?

- Byłbym zapomniał, że miałem pani to oddać. - Chłopiec wygrzebał z kieszeni kurtki wielokrotnie złożoną kartkę.

- Dziękuję. - Lucinda rozłożyła papier i od razu rozpoznała charakter pisma Roberta. Liścik był napisany tak starannie, jakby autor ważył każde słowo. Zapytywał w nim, czy Lucinda nie wybrałaby się z nim rano na przejażdżkę konną. Zamiast podpisu widniały tylko inicjały "R. C. "

Lord Geoffrey zapowiedział się z wizytą na obiad, więc w pierwszej chwili zamierzała odmówić. Z drugiej jednak strony stanowiło to dobrą wymówkę, aby nie przedłużać wycieczki nad miarę. Ponadto nie musiałyby jeszcze rozstrzygać, czy dalsze kontakty z Robertem byłyby wciąż aktem miłosierdzia, czy już nie.

Wyjęła z torebki ołówek i na dole kartki napisała odpowiedź. Potem powtórnie złożyła liścik i wręczyła Edwardowi, mówiąc:

- Proszę, oddaj to nadawcy.

Lady Dare spoglądała na nią wyczekująco, ale Lucinda udała, że tego nie widzi. Uważała bowiem, że gdyby Robert chciał angażować członków rodziny w swoje przedsięwzięcia, byłby to czynił.

Spodziewała się więc jutro odwiedzin dwóch panów. Jeden miał jej pomóc w usidleniu drugiego, przy czym ten ostatni nie miał pojęcia o zastawionych na niego sidłach. A jeszcze niedawno Lucinda głosiła, że pragnie życie bez komplikacji. Ha!

Kiedy Robert zszedł do hallu, Tristan i Bradshaw czekali już tam na niego, starając się nie ujawniać zdenerwowania. Obaj bowiem wiedzieli równie dobrze, jak on, że od ponad pięciu lat, odkąd wyruszył na wojnę w Hiszpanii, jego noga nie postąpiła w żadnym londyńskim klubie.

- Kazałem wyprowadzić powóz - poinformował Tristan. - Chyba że wolałbyś pojechać konno?

Wybór nie był łatwy: albo mógł spędzić piętnaście minut w ciemnym, ciasnym wnętrzu powozu, albo zмагаć się z pokusą ucieczki na grzbiecie Tolleya. Ostatecznie odpowiedział:

- Skąd, może być powóz.

- To i dobrze. Jesteś gotów?

Robert bynajmniej nie był gotów, bo każdy napięty mięsień jego ciała protestował przeciw zadawaniu mu gwałtu. Oddech też stawał się coraz szybszy i siłą woli musiał nakazywać sobie, by nabierać powietrza wolniej. Przekonywał siebie jednak, że wytrzyma tę godzinę albo dwie, a w nagrodę nazajutrz, wczesnym rankiem, czeka go miła przejażdżka w towarzystwie Lucindy albo bez niej, gdyby miała dosyć rozsądku, aby odmówić.

Nawet kamerdyner otwierający panom drzwi miał zatroskaną minę. Robert pozostał w tyle, gdy starsi bracia wsiadali do powozu. Miał świadomość, że w każdej chwili może się wycofać i nikt nie powie mu marnego słowa. Pamiętał jednak również, co kiedyś rzekł mu Bradshaw - że zmarnował swoje życie.

Wziął głęboki oddech i wsiadł do powozu. Bracia na pewno zauważyli, że zrobił to niechętnie i w napięciu, ale nie dostrzegali jego śmiertelnego strachu. Nie była to obawa przed jazdą powozem ani wizytą w klubie, tylko przerażenie, że nie uda mu się opanować, kiedy znów ogarną go ciemności.

- Mam pomysł - przerwał milczenie Bradshaw.

- Coś podobnego! - skwitował sucho Tristan.

- Rzeczywiście, bardzo śmieszne! Chciałem powiedzieć, że teraz, kiedy St. Aubyn trzyma z nami, moglibyśmy przy pomocy jego i księcia Wycliffe'a starać się o powtórne przyjęcie do White'a.

Lord Dare uniósł brew.

- O ile pamiętam, tylko mnie wyrzucili z White'a, i to przez ciebie!

- Właśnie dlatego próbuję jakoś wprowadzić cię z powrotem.

- Nie fatyguj się, Shaw, bo status wyrzutka w zupełności mi odpowiada. Przypomina to Georgianie, jak bardzo ją kocham.

Robert lubił czarny humor i cieszył się ze zmiany tematu, więc dorzucił:

- Żeby sobie tylko nie przypomniała, Shaw, jaka była wtedy na ciebie wściekła.

- O tym także myślałem. Mam jeszcze dużo takich pomysłów.

- To akurat nie twój pomysł, tylko Małego, ale mnie to i tak nie interesuje. Pomyślcie, panowie, że za kilka tygodni zostanę ojcem, a to ma dla mnie większe znaczenie niż cokolwiek innego.

Robert obserwował, jak twarz jego brata przybiera na zmianę wyraz rozbawienia i czułości. Jasne, że perspektywa zostania ojcem cieszyła go i podniecała. On zapomniał już, co to znaczy czekać na coś z utęsknieniem - zbyt długo bał się każdej nocy i nie wierzył, że wstanie po niej świt.

Wreszcie stangret zatrzymał konie, a klubowy lokaj w liberii otworzył drzwiczki powozu i opuścił stopień. Robert zawahał się przez chwilę, ale w końcu niezdarnie zszedł na ziemię. Wmawiał sobie, że chce i może to zrobić.

- Witamy, lordzie Dare, panie Carroway - kłaniał się zarządzający klubem. Zaprosił gości do jadalni, spoglądając ciekawie na Roberta.

- Siadajmy przy oknie - szepnął Robert, ogarniając spojrzeniem gwarną salę wyłożoną boazerią z ciemnego drewna i stoły ustawione blisko siebie.

- Watson, prosimy o miejsce przy oknie - wycedził wicehrabia, kłaniając się znajomym, których zauważył.

Zarządzający skierował się w inną stronę, opanowując skurcz pyzatego policzka.

- Nie byłem na to przygotowany - mruczał, nakazując lokajom, aby sprzątnęli z któregoś wolnego stołu i nakryli go na nowo. - Może być ten stół?

- Co ty na to, Mały? - spytał szeptem Tristan.

Robert machinalnie skinął głową, więc bracia zajęli miejsca. On zaś cieszył się ze swego kolejnego osiągnięcia - udało mu się wejść do środka! Teraz pozostało mu tylko zjeść posiłek i wyjść.

- O, Carroway! - zahuczał za nim tubalny, męski głos. - Słyszałem, że można ci już gratulować awansu na kapitana! - Wielka, mięsista łapa wyciągnęła się w stronę Bradshawa.

- To jeszcze nieoficjalnie... - wykręcał się Shaw, ściskając podaną mu rękę. - W każdym razie formalności są w toku. Znasz moich braci, Dare'a i Roberta, prawda, Hedgely? Tristanie, Mały, to jest lord Hedgely.

- Dare'a znam, a to jest ten drugi, tak? - Hedgely przysunął sobie krzesło od sąsiedniego stołu i usadowił na nim potężną postać. - Słyszałem, że stracił pan nogę pod Waterloo. Zaraz, może to nie była noga, tylko rozum? Ale na wariata pan mi nie wygląda.

Robert podniósł wzrok na lorda i przez chwilę wytrzymał spojrzenie jego małych, piwnych oczek w okrągłej, nalanej twarzy. Zaraz jednak Hedgely skierował spojrzenie w inną stronę. Gdyby Robert miał od tej pory mieć w nim wroga, nie zyskałby większych powodów do zmartwienia.

- Pamiętam, poznaliśmy się kilka lat temu na balu w Devonshire - odezwał się cichym, lecz spokojnym głosem. - O ile się nie mylę, asystował pan wtedy lady Wedgerton. Ciekawe, czy jej mąż kiedykolwiek dowiedział się o waszym flircie?

Hedgely przez chwilę siedział jak przymurowany, szczęka mu opadła, a twarz poczerwieniała. Szmer komentarzy przeszedł po sali, ale Robert ani drgnął, czekając na następne posunięcie lorda. W pewnym sensie to, że nie miał nic do stracenia, dodawało mu sił - jakby zwisał nad przepaścią, kurczowo wczepiając się palcami w krawędź skały.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wyrzucił z siebie Hedgely.

- Ja też nie wiem, o czym pan mówi - odparował Robert. - Widocznie jednak coś nas łączy.

- Daruje pan sobie te impertynencje! Ja tu chciałem okazać inwalidzie trochę miłosierdzia, a pan...

- Pan nawet nie wie, ile miłosierdzia j a panu okazałem - przerwał mu Robert. Zauważył, że Shaw już podnosił się ze swego miejsca, ale Tristan

gestem nakazał mu, aby usiadł. - Dużo już pan zdążył narobić długów karcianych?

Hedgely zerwał się na równe nogi.

- Nie mam zamiaru znosić tego dłużej! - warknął. - Dare, radzę ci lepiej pilnować brata albo zamknąć go z powrotem do klatki!

Tristan ze stoickim spokojem wyciągnął z kieszonki cygaro.

- Dlaczego, przyjemnie mi się z panem rozmawia - odrzekł - ale jeśli panu sprawia to przykrość, cóż - życzę miłego dnia, Hedgely.

Bradshaw odprowadził wzrokiem lorda, który wycofał się do swojego stolika i przyjmował wyrazy współczucia od współtowarzyszy.

- To było ciekawe! - mruknął, skrywając stłumiony śmiech za kieliszkiem porto.

- Zadałem mu tylko pytanie - rzucił Robert z wymuszoną nonszalancją, rozprostowując palce zaciśniętej pięści i czując, jak krew zaczyna w nich z powrotem krążyć. Przynajmniej przekonał się, że bracia w razie czego staną za nim murem. Niby nie wątpił w to, ale zrobiło mu się lżej na sercu. - Przepraszam was za to.

- Nic wielkiego się nie stało, chyba że ktoś zagrozi mi wyrzuceniem z klubu - podsumował Tristan. - Dziwię się tylko, że sam chciałeś przyjechać tu z nami na obiad. Mogłeś się spodziewać, że ludzie będą ci się przyglądać.

Jasne, że to wiedział, i o mało się nie wzdrygnął.

- Mogli się gapić, ile chcieli - wystękał. - Nic mi to nie przeszkadza, byleby trzymali się z daleka. A z wami przyjechałem dlatego, bo tak mi się chciało. Jeśli to nie wystarczy...

- Wystarczy. Jeśli to będzie dla ciebie jakąś pociechą, to nie przypuszczam, aby po Hedgelym ktoś jeszcze chciał cię zaczepić.

- To i dobrze.

Shaw odchrząknął i dodał od siebie:

- Wiesz, nie dopraszam się bynajmniej o fangę w nos, ale wtedy naprawdę nie chciałem cię urazić.



Robert wzruszył ramionami, pożądliwie muskając palcami kieliszek porto, który Tristan przed nim postawił.

- Nie zawsze wiem, co mogłoby... - zaczął, ale po chwili zbladł i zawiesił głos. Mało brakowało, a byłby się wygadał o napadach panicznego lęku, które go prześladowały. Znalazłby się wtedy u "czubków" szybciej, niż przypuszczał.  
- Dobrze, przeprosiny przyjęte - mruknął, odstawiając kieliszek.

- Wydaje mi się, że to - Tristan znacząco stuknął palcem w szkło, aż zadźwięczało - pozwoliłoby ci łatwiej znieść taki dzień jak dzisiejszy.

- Pewnie tak, ale to byłoby tylko złudzenie - odpowiedział Robert, powstrzymując drżenie rąk.

- Czy jesteś tego pewien?

- Nie mam zamiaru pić - oświadczył, wciągając w płuca dużo powietrza. - Boję się, że jeśli zacznę, nie dam rady przestać.

Lord Dare skinął na lokaja.

- Stephen, pieczeń baranią dla wszystkich - zamówił, a widząc minę Bradshawa dodał: - I lemoniady.

- W tej chwili służę, proszę jaśnie pana.

Lokaj pomaszerował do kuchni, a Tristan zapalił cygaro i rozsiadł się wygodniej.

- Dostałem wczoraj list od Andrew - oznajmił. - Wraca z Cambridge dyliżansem i jutro po południu powinien być w Londynie.

- To dobrze. - Andrew pewnie w szkole miał więcej rozrywki, ale Robert czuł się lepiej, kiedy wiedział, gdzie przebywa reszta domowników. Wydawało mu się wtedy, że jest w stanie ich obronić. Zabawne, jakby mógł obronić kogokolwiek!

- Wracasz z nami do Dare Park, kiedy będę odwoził tam Georgianę?

- A Edward jedzie z wami?

- Nie tylko on, ale i ciotki. Uparły się, że Georgie będzie potrzebowała ich pomocy.

- No, nie wiem. - Robert wzruszył ramionami. Nie przypuszczał, że przed oczami stanie mu w tej chwili sympatyczna buzia z orzechowymi oczami i ciemnymi włosami, na których słońce wywoływało miedziane refleksy. Przypomniało mu to, że Lucinda zostanie w Londynie i nadal będzie próbować usidlić Geoffreya Newcombe'a. Niby nie powinno go to być obchodzić, ale to dla niej męczył się teraz przy stoliku w klubie.

- Nie musisz od razu podejmować decyzji - zauważył Tristan.

- Ja do tej pory wrócę już na okręt - wtrącił Bradshaw - ale miło mi będzie, jeśli dasz dzieciakowi moje imię.

- Nie przypuszczam, aby Georgie chciała nazwać dziecko "Półgłówkiem", ale przekażę jej twoją propozycję.

Tymczasem przyniesiono zamówione potrawy. Robert uspokoił się i nawet nabrał apetytu. Uznał to za zwycięstwo nad sobą - małe, bo małe, ale zawsze zwycięstwo.

Okazało się jednak, że poczuł się już zanadto pewnie. Poznał to po tym, że Tristan najpierw zaklął pod nosem, a potem skrzywił się i spod zmarszczonych brwi spojrzał ku wejściu.

Wkrótce przyczyna irytacji brata stała się widoczna, gdyż tłum bywalców klubu wyraźnie się rozstał, dając przejście księciu Wellingtonowi, który w asyście gwardii przybocznej zmierzał do stolika odległego od nich zaledwie o dwanaście stóp. Po prawicy księcia usadowił się generał Augustus Barrett. Zauważył Tristana, więc skinął mu głową.

W pierwszym impulsie Robert chciał po prostu wstać i wyjść, i to szybko, dopóki wyorderowani oficerowie nie zaczną snuć opowieści o swoich wojennych przewagach. Obejrzał się na braci, którzy w milczeniu pochłaniali posiłek, najwidoczniej czekając, jak on się zachowa.

Gdyby wyszedł, przypuszczalnie razem z nim opuściliby salę, jednak wycofanie się z towarzystwa w chwilę po przybyciu Wellingtona i jego świty mogłoby mieć poważne reperkusje polityczne. Robert nakazał więc sobie ignorować gości - prawdopodobnie i tak go nie zauważą. Ostentacyjnie nałożył więc na widelec kęs baraniny i poniósł do ust.

- Mały! - syknął Bradshaw.

- Ależ ja się...

- Rotmistrz Robert Carroway? - Tuż za nim rozległ się głos Wellingtona. Mało tego - książę położył mu rękę na ramieniu!

- Wasza wysokość... - pozdrowił go uprzejmie, zdumiony spokojem własnego głosu. Widocznie dopiero teraz uświadomił sobie, że to, co obecnie przeżywa, jest niczym w porównaniu z tym, co wydarzyło się w Hiszpanii.

- Chyba wciąż jestem ci winien butelkę whisky - przypomniał książę.

- Ależ to nic takiego...

- A naród winien ci wdzięczność - kontynuował Wellington. - Twój udział w naszym zwycięstwie pod Waterloo doprawdy trudno oszacować...

*On nic nie wie, kompletnie nic!* - pomyślał Robert, a głośno odpowiedział:

- Dziękuję, wasza wysokość.

Na sali rozległy się oklaski, skierowane raczej pod adresem księcia. Robert dziękował Bogu, że księciu nie przyszło do głowy uścisnąć mu prawicę, bo gdyby musiał wstać, zrobiłoby mu się niedobrze. Na szczęście Wellington tylko klepnął go jeszcze raz po plecach i wrócił na swoje miejsce.

- Robercie... - szepnął do niego Tristan.

Czuł, że lada chwila może ogarnąć go paniczny lęk. Nawet jego bracia nie zauważyliby, kiedy pograżyliby się w otchłani strachu. Musiał sam walczyć, aby utrzymać się na powierzchni. Rozpaczliwie chwytając powietrze, wydyszał:

- Muszę coś zjeść...

Nakazywał sobie, aby wytrzymać jeszcze piętnaście minut. Jeśli przynajmniej tyle odsiedzą, będą mogli wyjść, nie obrażając nikogo. To znaczy, Tristan ani Shaw nikomu się nie narażą.

Zaczął więc odliczać sekundy każdej upływającej minuty, bo im więcej ich było, tym większą miał szansę, że przetrzyma tę ciężką próbę. Już miał za sobą dwanaście sekund, potem trzy minuty i dwadzieścia osiem sekund, następnie dziewięć minut, a każdą sekundę przeliczał na około siedmiu miesięcy życia. Tym sposobem mógł jakoś przetrwać, bo kiedy odliczał - nie zdawało mu się, że tonie. Otuchy dodawała mu też świadomość, że jutro czeka go przejażdżka w towarzystwie Lucindy Barrett, a przy niej sekundy rozrastały się do rozmiaru minut.

W końcu naliczył pełny kwadrans.

- Wychodzę! - oznajmił, odsuwając się od stołu.

- Wszyscy wychodzimy - uspokoił go Tristan, dając znak, że prosi o rachunek. Szybko podpisał czek i razem opuścili salę.

- To był miły gest ze strony Wellingtona - przypomniał Shaw, wsiadając do podjeżdżającego powozu. - Wątpię, aby osobiście dziękował każdemu, kto brał udział w bitwie pod Waterloo.

Robert zatrzasnął za sobą drzwiczki. Tym razem wołał ciasną przestrzeń od zatłoczonej sali.

- On nie wiedział o niczym! - warknął, zakładając ręce na piersi, aby brat nie zauważył ich drżenia.

- Nie bądź taki skromny, Mały. Jeśli ci dziękował, to znaczy, że zasłużyłeś...

- Ja wcale nie byłem pod Waterloo! - uciął Robert, a potem zamknął oczy, aby nie widzieć zaskoczonej miny Shawa. Teraz jeszcze jeden z jego braci miał powody do niezadowolenia z życia!

## 8

*Ucieszysz się, gdy się dowiesz, że żadne nieszczęście nie towarzyszyło uruchomieniu przedsięwzięcia, z którym wiązałeś takie złe przeczucia.*

*- Robert Walton, "Frankenstein"*

- Tatuś opowiadał, że wczoraj Wellington specjalnie cię wyróżnił!

Lucinda naciągnęła rękawiczki do jazdy konnej, kątem oka obserwując Roberta, który przechadzał się po frontowym podjeździe przed jej domem. Jego gniadosz chodził za nim krok w krok, skręcając w tych samych miejscach, co i jego pan, chociaż fizycznie nic ich ze sobą nie łączyło - wodze były zarzucone na przedni łęk siodła.

- Podobno dziękował ci za twoją odwagę pod Waterloo - ciągnęła, nie otrzymawszy odpowiedzi. - To ładnie z jego strony.

- A dlaczego? - wykrztusił Robert, nie przerywając wędrówki, chociaż masztalerz wyprowadził już ze stajni klacz panny Barrett, Isis.

Lucinda pomyślała, że równie dobrze mogła dziś rano plewić ogródek, a głośno wyjaśniła:

- Bo jeśli ktoś komuś dziękuje za jego wysiłek, to powszechnie uważa się, że postępuje ładnie.

Carroway spojrział spod oka na masztalerza i kulejąc, postąpił kilka kroków naprzód, aby podsadzić swą towarzyszkę na siodło.

- Akurat, chciał w ten sposób podkreślić, że to on dowodził pod Waterloo i to jemu naród winien wdzięczność - sprostował niskim głosem. - Myślę, że raczej urabia już grunt pod swoją nominację na premiera. To, gdzie ja byłem i co robiłem, nie ma z tym absolutnie nic wspólnego.

Lucinda postawiła nogę na jego dłoniach i pozwoliła usadowić się w damskim siodle.

- Czy wiesz o tym, czy tylko się domyślasz? - zagadnęła.

On w tym czasie oddalił się, aby szybkim ruchem dosięść swojego konia, więc nawet nie spodziewała się, że usłyszy odpowiedź. Zresztą cokolwiek by powiedział, nie miało znaczenia. Najważniejszy pożytek z jego wczorajszej wizyty w klubie polegał na tym, że po raz pierwszy jej ojciec wymienił jego nazwisko bez gniewu.

- Słuszne rozumowanie - pochwalił ją z opóźnieniem, podjeżdżając bliżej.  
- Czy chce pani przejechać się konno, czy tylko pojechać do Hyde Parku?

Wiedziała, co miał na myśli, bo o tej porze poruszanie się i po parku nawet wolnym stępem graniczyło z cudem. Aby naprawdę pojechać, musieliby skierować się na północ, czyli wyjechać poza miasto, a co za tym idzie - spędzić

więcej czasu razem i zaryzykować spóźnienie się na obiad, na który zaproszony był lord Newcombe.

Równocześnie miała świadomość, że szafirowe oczy uważnie ją obserwują. Ich posiadacz przypuszczalnie wiedział o umówionym spotkaniu jej ojca z lordem, ponieważ wiedział wszystko. Mimo to jednak ośmielał się stawiać ją przed koniecznością wyboru, jakby sam aspirował do jej ręki, podczas gdy miał tylko pomagać jej w edukowaniu Geoffreya.

- Wolę porządną przejażdżkę - zdecydowała.

W głębi przepastnych oczu Carrowaya błysnęła wesoła iskierka, zanim potakująco kiwnął głową.

- Dobrze, wrócimy na obiad - obiecał i mocniej nacisnął łydkami boki konia, kierując go na podjazd.

- Aha, Robercie! - W ostatniej chwili coś sobie przypomniała.

- Czyżby zmieniła pani zdanie? - Zatrzymał konia.

- Przywiozłeś kogoś jako przyzwoitkę?

Przez chwilę patrzył na nią, nie rozumiejąc, ale zaraz się roześmiał. Widać było, że poprawił mu się humor, bo w kącikach jego oczu migotały łobuzerskie błyski, a uśmiechał się tak szeroko, że miała ochotę najpierw westchnąć, a potem odpowiedzieć mu takim samym uśmiechem. Coś podobnego!

- Nie... - Przerwał, aby odchrząknąć. - Przepraszam, nie pomyślałem o tym.

Odwróciła się w stronę domu.

- Benjaminie! Osiodłaj sobie konia, pojedziesz z nami.

- Tak jest, proszę jaśnie panienki. - Masztalerz wynurzył się z drugiej strony domu.

- Rzeczywiście, nie postąpiłem jak dżentelmen, prawda? - Usprawiedliwiał się, ale w jego oczach wciąż migały wesołe ogniki.

- W pewnym sensie trochę mi to pochlebia - uśmiechnęła się Lucinda.

- Jak to?

- No, bo przyzwoitka ma chronić dobrą, małą dziewczynkę przed dużym, złym chłopcem, a to, że nikogo takiego nie przywiozłeś, świadczy, że traktujesz nas jak równych sobie.

- W miły sposób daje mi pani do zrozumienia, że nie mam zębów - zażartował, ale nie wyglądał na obrażonego jej aluzją. Lord Geoffrey z pewnością zachowałby się zupełnie inaczej. Gdyby zaoferował jej przejażdżkę lub spacer, nie darowałby sobie uwagi, że potrzebna będzie przyzwoitka dla obrony jej panińskiej cnoty przed jego męskimi żądzami.

- Nie o to chodzi - sprostowała. - Myślę, że masz zęby, ale rzecz w tym, że masz także i honor.

Przez chwilę Carroway spoglądał na nią, teraz już chłodnym okiem.

- Wprawdzie myli się pani, ale dziękuję - skwitował krótko.

Zza rogu domu wyjechał kłusem Benjamin. Skierowali się więc na północ, z masztalerzem podążającym o kilka metrów za nimi.

- Georgiana zawsze uważała cię za dobrego jeźdźca - odezwała się Lucinda, kiedy pierwszą milę przejechali w milczeniu. - Teraz widzę, że miała rację.

Istotnie, Robert ze swoim koniem zdawał się tworzyć jedno, jakby w ogóle nie potrzebował używać wodzy.

- Owszem, lubię jeździć konno. Kiedy wróciłem z Hiszpanii, nie byłem pewien, czy Tolley mnie pozna, ale poznał. - Poklepał gniadego po szyi, okazując mu czułość zarówno tym gestem, jak i tonem głosu. - Ma lepszą pamięć niż ja - dodał już ciszej.

Lucinda przełknęła ślinę. Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że ten zamknięty w sobie samotnik pozwolił jej zajrzeć na chwilę do swego wnętrza. Nagle przyłapała się na tym, że nie wie, czy w ogóle zasługuje na ten zaszczyt. Od razu zobaczyła wszystko w innym świetle. Tym razem to już nie było spełnianie dobrego uczynku - to on wyświadczał jej przysługę, odkrywając przed nią choćby maleńki wycinek swojego życia.

- Zanim zaczniemy pracować nad lordem Geoffreyem, aby spełnił warunki pani pierwszej lekcji - Robert zmienił ton na bardziej swobodny - może zdradziłaby mi pani, na czym polega druga?

Znów przełknęła, bo oznaczało to, że powrócili do formuły wymiany usług. Bała się nawet pomyśleć, czy kiedykolwiek ich rozmowa nabierze innego charakteru.

- Dobrze więc, w jaki sposób nauczymy lorda Geoffreya, żeby poświęcał wyłączną uwagę tej kobiecie, z którą rozmawia?

- Czyli - w tym wypadku - pani? - uściślił jej pomocnik.

Wprawdzie Lucinda nigdy nie wyznała wprost, że ma wobec lorda Newcombe'a plany matrymonialne, ale nie widziała powodu, dla którego miałaby się tego wypierać.

- Dajmy na to, że mnie - zgodziła się. - Więc jakbyś to zrobił?

- Trudne pytanie. - Robert ociągał się z odpowiedzią.

- No, przecież jestem taka inteligentna! - Próbowwała doprowadzić do tego, aby się odprężył. - Proszę, zabawiaj mnie!

- Przepraszam - odchrząknął. - Jak mógłbym lepiej dobierać słowa, jeśli używam tak niewiele?

Nie mogła powstrzymać śmiechu, ale też nie spodziewała się po Carrowayu takiego poczucia humoru. Przedtem dostrzegała zaledwie jego iskierki, a raz czy drugi słyszała o tym od Georgie, ale założyła z góry, że nigdy nie dał się poznać z tej strony obcym. Tym bardziej więc poczuła się zaszczycona i ze zdziwieniem stwierdziła, że przekomarzenie się z nim sprawia jej przyjemność.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - zapewniła. - Powiem ci, jeśli poczuję się urażona. I nie zmieniaj tematu. Jak zamierzasz odbyć lekcję numer jeden?

- Niech pani spojrzy w prawo - wymamrotał, podjeżdżając do niej bliżej.

Spojrzała we wskazanym kierunku i zorientowała się, że przejeżdżają akurat obok głównego wejścia do zakładu należącego do niejakiego pana Jacksona. Kiedy go mijali, hrabia Clanfeld i William Pierce przerwali rozmowę i odprowadzali ich wzrokiem.

- Lord Clanfeld i pan Pierce?

- Obaj są dobrymi przyjaciółmi lorda Newcombe'a i trzeba trafu, że właśnie jadą na spotkanie z nim u White'a.



- Skąd o tym wiesz?

Robert wzruszył ramionami.

- Po prostu dobrze ich obserwowałem.

Ciekawe, czy wiedział wszystko o wszystkich i jak wiele potrafił podsłuchać, zważywszy na fakt, że potrafił stać się praktycznie niewidzialnym? Nic dziwnego, że krążyły o nim plotki, jakoby umiał czytać w myślach.

- No więc dobrze, dajmy na to, że wkrótce spotkają się u White'a. Co z tego dla nas wynika?

- Ano, wiedzą, że lord Geoffrey wybiera się dziś do was na obiad. Na pewno więc w rozmowie poruszą pani temat, a w tym i to, że spędziła pani przedpołudnie z innym mężczyzną. Spróbujemy także przyjechać do domu nieco później, aby zobaczyć panią, jak wraca ze mną z przejażdżki.

- Chodzi ci o to, aby wzbudzić w nim zazdrość? Czy nie za wcześnie na taką taktykę?

- Nie chodzi mi o zazdrość, tylko o to, żeby mu uzmysłwić, że nie jest pani jedynie sekretarką swego ojca, lecz także damą, która nie może się opędzić od wielbicieli.

Wielbicieli? Ciekawe, czy Robert zaliczał siebie do tej kategorii? Albo rzeczywiście traktował to jako rekompensatę za szczepę róż. Lucinda wpatrzyła się w punkt między uszami Isis i zdecydowała, że nie będzie przykładać wagi do jego motywacji. Ubili po prostu interes i kwita!

- A co by było, gdybym wolała pojechać do Hyde Parku? - zagadnęła przekornie.

- Wiedziałem, że pani nigdy by tego nie wybrała.

- Skąd ta pewność? - Uniosła brew. - Mogłeś najwyżej domniemywać.

- Pani jest taka troskliwa i uważająca, a przecież pani wie, że nie cierpię przejażdżek w Hyde Parku przed południem. - Na jego twarzy znów zagościł przelotny uśmiech. - Na wypadek gdyby pani wybierała się do parku, powiem tylko, że szwagierka lorda Geoffreya, markiza Easton, we wtorki i czwartki paraduje tam ze swoją świtą. To tylko tak dla informacji, bo przez dwa najbliższe wieczory nie spotka się ani z Geoffreyem, ani z resztą rodziny.

- Ależ z ciebie chytrus! - wykrzyknęła. - Żebyś wiedział, że sama też nie lubię Hyde Parku.

- Będę miał to na uwadze.

Nie wątpiła w to, więc tylko potrząsnęła głową, udając, że nie słyszy w jego głosie zmysłowej nuty, która powodowała, że zasychało jej w gardle, a puls przyspieszał.

- Czy mamy szansę spotkać jeszcze kogoś, komu będziemy chcieli zaimponować? - spytała, siląc się na lekki ton.

- Nie przypuszczam. Możemy być tak niemili, jak tylko nam się spodoba.

- To krzepiące, aczkolwiek przekonałam się, że łatwiej być miłym, kiedy się nie musi.

Tymczasem zostawili za sobą tereny zabudowane i znaleźli się wśród łąk i polan. Robert nieco przytrzymał konia i znów zaczął się badawczo Lucindzie przyglądać.

- Odwykłem trochę od prowadzenia rozmów - wyznał nieśmiało. - Teraz znów tyle o tym myślę, że nieraz tracę okazję do porozmawiania.

- Jak to, przecież rozmawiasz ze mną?

- Z panią idzie mi łatwiej.

Lucinda poczuła, że policzki jej płoną. Myślałby kto, że była spragniona komplementów! Na szczęście, zanim zdążyła wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, Carroway mocniej ścisnął Tolleya kolanami i ruszył galopem na przełaj przez łąkę. Nie musiała podtrzymywać rozmowy, więc popędziła klacz, aby za nim nadążyć.

Panna Barrett była dobrą amazonką. Wprawdzie częściej jeździła na spacerach stępem niż galopem, ale miała wystarczające pojęcie o jeździe konnej, aby ryzykownie nie szarżować.

Robert obserwował ją zaledwie przez kilka chwil, lecz to wystarczyło, by się zorientował, że raczej nie spadnie z konia i nie skręci karku.

Dla niego, podobnie jak dla Tolleya taki wypad za miasto stanowił miłą odmianę. W świetle dziennym nie czuł się tak odcięty od świata, ewentualny brak towarzystwa świeże powietrze i blask słońca wystarczająco mu kompensowały.

Na galopadach minęły im dwie godziny. Dla rozrywki urządzali sobie wyścigi, wskutek czego nie mieli czasu na rozmowy. Nigdy w ciągu ostatnich trzech lat Robert nie czuł się tak wolny, więc kiedy sięgał po kieszonkowy zegarek, uśmiechał się zupełnie naturalnie i swobodnie.

Otworzył kopertę zegarka, sprawdził godzinę i schował go z powrotem. Zawrócił Tolleya wokół klaczy panny Barrett i zaanonsował:

- Musimy już wracać.

Długie, ciemne włosy Lucindy, z miedzianymi i złotymi refleksami, spływały jej na plecy spod cylinderka. Jedno, niesforne pasemko wiło się jej na policzku, kiedy z szerokim uśmiechem zwróciła się do Roberta:

- A co, czas na drugą część naszego planu?

Przytaknął i pierwszy skierował się w stronę drogi. Nakazywał sobie przy tym, żeby tak na nią nie patrzeć, wszak jest tylko jego przyjaciółką, a przyjaciół nie miał ostatnio zbyt wielu. Mało tego - bez ogródek dawała mu do zrozumienia, że uważa go za niegroźnego, a poza tym interesuje się kimś innym.

Ona też przez całą drogę powrotną nie próbowała sprowokować go do rozmowy. Zgodnie z jego teorią Geoffrey Newcombe powinien był ich obserwować, kiedy skręcili na podjazd.

Robert szczerze żałował, że nie spędzili całego dnia poza miastem. Wziąwszy głęboki oddech, podjechał bliżej do Lucindy.

- Miała pani powiedzieć mi, czego dotyczy lekcja numer dwa - przypomniał.

- Nic podobnego nie miałam - zaprzeczyła, tłumiąc śmiech. - To raczej ty nie pochwaliłeś mi się, czego cię nauczyła lekcja pierwsza.

- Najpierw muszę opracować strategię przed postawieniem następnego kroku. Chyba pani zdaje sobie sprawę, jakich skomplikowanych przemyśleń to wymaga?

Na jej policzki wypełził rumieniec.

- Teraz, kiedy lepiej to przemyślałam, wydaje mi się to straszną głupotą. Zresztą ta lekcja nie dotyczy wyłącznie mnie, ale wszystkich kobiet.

- Proszę mi powiedzieć! - naciskał, wiedząc, że są już blisko jej domu.

- Dobrze. - Lucinda ze świstem wypuściła z płuc powietrze. -Ta lekcja zwraca uwagę panom, że jeżeli już przyszli na tańce, to powinni tańczyć. Szczególnie na takich balach, na których jest więcej dżentelmenów niż dam. Nie masz pojęcia, jak przykro jest samotnym paniom, kiedy nie tańczą, a panowie stoją obok i rozmawiają.

- Geoffrey już tańczył z panią.

- Tak, ale on tańczy, z kim zechce. A ja uważam, że każda młoda dama powinna zatańczyć na balu przynajmniej raz. Jestem pewna, że najbardziej rozrywani panowie nawet nie spojrzą na te biedactwa, które siedzą pod ścianą lub udają, że interesuje je coś z bufetu.

- Za to pani od razu je dostrzegła - zwrócił uwagę. Miał rację, bo i jego też. Taniec był dziedziną, w której lord Newcombe wykazywał zdecydowaną przewagę, skoro jednak podjął się pomóc Lucindzie - musiał wymyśleć coś lepszego.

- Muszę opracować dokładny plan - skłamał, przepuszczając ją przed sobą, choć naprawdę wolałby nikomu jej nie odstępować. Ku jego zdziwieniu panna Barrett także zatrzymała klacz, na szczęście między dwoma rozrostłymi krzewami, za którymi z okien domu nie było ich widać. Mało tego - położyła rękę na jego ramieniu.

- Robercie, taka lekcja nie jest dla ciebie żadną zniewagą - zapewniła z poważną miną.

Zanim zdążył uświadomić sobie głupotę swego postępu czy chociażby zastanowić się, gdzie w tej chwili mógł znajdować się towarzyszący im masztalerz - wychylił się z siodła i dotknął ustami jej ust. Zdawało mu się, że na ten ułamek sekundy zatrzymał się czas. Zaraz się jednak wyprostował i zanim Lucinda zdążyła odskoczyć, rzucił szybko:

- Wiem, wiem, że nie myślała pani o mnie, sporządzając tę listę!

Wyglądała na równie oszołomioną, jak on, więc klepnął Isis po zadzie, aż pognąła naprzód. Pojechał za nią, przy czym zauważył, że w pokoju na piętrze, którego okna wychodziły na tę stronę, po ruszyły się firanki. Oznaczało to, że ktoś ich obserwował.

Zeskoczył szybko z Tolleya i kulejąc podszedł, aby podać Lucindzie rękę przy zsiadaniu.

- Przepraszam panią najmocniej. - Zdobył się nawet na uśmiech. - Proszę dać mi znać, jak udała się pierwsza lekcja.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wrócił do swego konia i wsiadł na niego. Lucinda przez chwilę patrzyła za nim, gdy odjeżdżał.

- Dam ci znać, jeśli mnie obrazisz - wyszeptała, wodząc palcami po wargach.

Robert wracał do domu okreśną drogą. Wcale nie zamierzał pocałować Lucindy, nawet nie myślał o czymś takim! Zdeklarował się przecież jako jej przyjaciel i wypierał się wszelkich zawołowanych intencji, ale nie mógł opanować przemożnej chęci jej dotknięcia. Pewnie dlatego, że od dłuższego czasu nie dotykał nikogo, choć to niczego nie tłumaczyło.

- Co za dureń ze mnie! - wymamrotał, aż Tolley nastawił uszu.

Przypuszczał, że mógł odtąd uważać za niebyłe wszelkie umowy zawarte z Lucindą. Byłaby głupia, gdyby po czymś takim chciała mieć z nim jeszcze coś wspólnego, a ona przecież nie była głupia! Czy jeden pocałunek wart był utraty szansy powrotu na łono społeczeństwa? Czy nie była to za wysoka cena za krótką, lecz słodką chwilę ucieczki z piekła?

Otóż nie!

Ze stajni wyszedł koniuszy John, aby odebrać od niego wodze Tolleya. Robert wyciągnął z kieszeni ostatnią marchewkę i dał ją koniowi. W końcu ranek minął całkiem przyjemnie.

O tej porze jego rodzina rozeszła się już za swoimi sprawami, na spotkania towarzyskie, obiady czy przechadzki. Nawet Cherlak i jego guwerner, pan Trost, zaplanowali, że spędzą popołudnie w londyńskim zwierzyńcu.

- Za pozwoleniem jaśnie pana - spytał Dawkins, otworzywszy mu frontowe drzwi - czy pani Haller ma podać coś na obiad?

- Wystarczy kanapka - odrzekł. - Będę w bibliotece.

- Tak jest, proszę jaśnie pana.

Między hallem a biblioteką mieścił się jeszcze gabinet Tristana. Robert zawahał się w drzwiach, ale w końcu wszedł do środka. Na rogu biurka wicehrabiego leżał bowiem stosik zaproszeń na przyjęcia, a bez względu na to, czy swoim postępkami zniszczył przyjaźń z Lucindą, czy nie - chciał ją

zobaczyć. W najgorszym razie ryzykował, że oberwie po gębie. Poza tym jej druga lekcja dotyczyła tańca, a jak miałby tańczyć, gdyby nie poszedł na bal?

Właśnie, tańczyć! Mało tego, że bolało go lewe kolano, nie był pewien, czy pamięta jeszcze choćby najprostsze kroki. Zrobiłby z siebie niezłe widowisko, gdyby kuśtykał po parkiecie z miłosierną panną Barrett, a w końcu wywalił się przed nią jak długi! Skrzywił się na samą myśl o tym. Przynajmniej ośmieliłby tym innych panów, żeby szybko prosili obecne panie do tańca, zanim on zdążyłby to zrobić.

Na wszelki wypadek dwa razy przerzucił stosik zaproszeń. Nie zaszkodzi, jeśli będzie wiedział, co w trawie piszczy. Na przyjęciach, w których weźmie udział Tristan i Georgiana, z pewnością będzie obecna także Lucinda. Dwie lub trzy imprezy sprawiały wrażenie skromniejszych i mniej formalnych, chociaż wolałby zawczasu wiedzieć, czy Lucinda gniewa się na niego, zanim zacząłby rozważać, czy przyjąć zaproszenie.

Nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi, więc szybko ułożył zaproszenia tak, jak leżały przedtem. Już zbierał się do wyjścia, lecz przystanął, bo ktoś szedł po posadzce hallu, głośno tupiąc.

- Panicz Andrew! - wykrzyknął Dawkins. - Oczekiwaliśmy jaśnie panicza dopiero wieczorem.

- Udało mi się zabrać z przyjacielem. Kto jest w domu?

- W tej chwili tylko pan Robert. Jest akurat w bibliotece.

- Dziękuję, Dawkins. Gdyby jeszcze pani Haller przygotowała coś do zjedzenia, może nie zacznę obgryzać mebli.

Kamerdyner zaśmiał się pod nosem.

- Obiad jest gotowy, paniczu!

Robert skrzywił się, gdy kroki Andrew zadudniły w hallu. Wiedział, że nie da rady przedostać się dyskretnie z gabinetu do biblioteki, więc brat od razu posadziłby go, że się skrada. Zresztą bezwiednie zachowywał się tak, jakby się skradał. Na wszelki wypadek przybrał więc przyjemny wyraz twarzy i wyszedł młodszemu bratu na spotkanie.

- Mały! - Osiemnastoletni Andrew stanął w miejscu jak wryty. Otworzył już ramiona do kordialnego uścisku i zaraz je opuścił, jakby właśnie zdał sobie sprawę, którego ze swych braci spotkał.

- Urosłeś! - zauważył Robert, wyciągając do niego rękę.

Z błyskiem zaskoczenia w jasnoniebieskich oczach Andrew uściśnął podaną prawicę.

- Prawie dwa cale! - pochwalił się. - Chyba przerosłem już Shawa. - Równocześnie spoglądał poza plecami brata, w kierunku gabinetu Tristana.

Robert przypomniał sobie, że nie ma nic do ukrycia i wyjaśnił swobodnie:

- Przeglądałem akurat zaproszenia na przyjęcia. Chodźmy do biblioteki, to mi opowiesz, jak ci minął semestr.

- Chcesz tego, naprawdę...? No to chodźmy! - ucieszył się Andrew. - A po co ktoś oczyścił z chwastów ten kawałek ziemi pod stajnią?

- To będzie mój ogród różany. - W tym momencie przypomniał sobie, że powinien podlać posadzone szczepy. Lucinda poleciła mu, aby to robił codziennie.

- Twój... - Andrew z wrażenia aż zwolnił kroku. Kiedy znów odwrócił się twarzą do brata, zauważył jego kurtkę. - O, widzę, że jeździłeś konno?

- Tak, z przyjaciółką - przytaknął Robert, chociaż to, czy Lucinda jeszcze była jego przyjaciółką, czy już nie, miało dopiero się okazać.

- Ach, ze... "słodkim Lucyferem"? - Andrew zarzucił bratu rękę na szyję i mocno go uściśnął.

W pierwszym impulsie Robert chciał się cofnąć, bojąc się każdego ograniczenia swobody ruchu. *Spokojnie, to tylko Andrew!* - zdołał się upomnieć. Zdobył się nawet na klepięcie brata po plecach.

- Przepraszam! - zreflektował się Andrew, wypuszczając go z objęć. - Dobrze się czujesz?

Robert powściągliwie skinął głową.

- Tak, tylko mnie zaskoczyłeś.

- Ty mnie też. - Brat przyjrzał mu się badawczo, a przy tym z pewną troską. - Na drugi raz zawczasu cię uprzedzę.

Rozsiedli się wygodnie w bibliotece i przez blisko godzinę Andrew zabawiał brata relacjonowaniem najważniejszych wydarzeń, jakie miały miejsce

na drugim semestrze jego studiów w Cambridge. W istocie po przedpołudniu spędzonym w towarzystwie Lucindy i jego późniejszym głupim postępku Robert najbardziej pragnął ciszy i spokoju. Widział jednak, jaki Andrew był zachwycony "poprawą jego stanu", jak to nazwał Tristan, nie miał więc sumienia sprawiać mu zawodu.

Niemniej świadomość czyjejs nieustannej obecności i konieczność wystłuchiwania opowieści o bujnym życiu studenckim, tyleż szczęśliwszym niż jego własne, wprawiła go w takie zdenerwowanie, że ręce zaczęły mu drżeć. Porwał więc pierwszą z brzegu książkę i rozłożył ją na kolanach, aby ukryć tę swoją słabość. W żaden sposób nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że przestrzeń się wokół niego zacieśnia, a skóra napina mu się na mięśniach. Niech to diabli! Jeśli zostanie tu choć chwilę dłużej, znów ogarną go dobrze znane ciemności.

Zerwał się gwałtownie na równe nogi, czym tak zaskoczył Andrew, że ten zamilkł.

- Muszę wyjść! - wystękał, zmiierzając już ku drzwiom.
- Potrzebujesz czegoś? - zawołał za nim brat.
- Nie. Do zobaczenia przy kolacji!

Doszedł do swojej sypialni i zatrzasnął drzwi za sobą. Tylko oddychaj spokojnie - nakazywał sam sobie.

Przez kilka następnych minut zmuszał się do chodzenia w kierunku okna i z powrotem oraz do utrzymywania równego, rytmicznego oddechu. Aż się zdziwił, że szło mu to coraz łatwiej, a w końcu sam się zatrzymał, aby wyjrzeć przez okno.

Na dziedziniec przed stajnią kładły się już długie cienie. Gdy zatrzymał wzrok na swoim ogródku, przypomniał sobie, że dotąd go nie podlał. Wiedział jednak, że kiedy wyjdzie z pokoju, może napotkać na swojej drodze służących lub tych członków rodziny, którzy akurat wrócili do domu. Nie obejdzie się wtedy bez rozmowy lub przynajmniej wymiany grzecznościowych formułek...

Dosyć tego!

Wmawiał sobie, że jego obawy są śmieszne. Chodziło przecież tylko o podlanie kilkunastu małych roślinek. Poszedł więc śmiało do drzwi i otworzył je, przepowiadając sobie po kolei każdą czynność. Ależ to proste, trzeba najpierw zejść ze schodów, potem przejść przez hall... Wykonał te zadania,



zawczasu wyznaczając sobie następny cel: - *Teraz wyjdź na dwór głównym wejściem i obejdź dom dookoła...* Dawkins wyczuł odpowiedni moment i otworzył mu drzwi frontowe, szczęśliwie nie zadając żadnych pytań.

Wydał więc sobie następne polecenie: - *Weź wiadro, idź do studni i nabierz wody.* Kiedy już znalazł się na dworze, kolejne kroki wydały mu się łatwiejsze. Nie musiał już myśleć o każdym ruchu, napełnił więc wiadro wodą ze studni znajdującej się za stajnią i pieczołowicie podlał każdą sadzonkę. Potem stwierdził, że w ciągu ostatnich trzech dni pojawiły się nowe chwasty, więc je wyrwał, a kiedy to już zrobił, okazało się, że musi zagrabić ślady swoich stóp na grządkach i ubić ziemię...

- Mały!

Aż podskoczył, gdy znienacka zabrzmiał mu nad uchem głos Tristana. Kiedy się odwrócił, zobaczył go w odległości kilku stóp od wyznaczonej granicy ogródka.

- Co tam?

- Zjesz z nami kolację?

Robert zamrugał oczami i spojrzał w niebo, z którego znikła już nawet poświata zachodzącego słońca. Gdyby nie księżyc, bliski pełni - pracowałyby w całkowitych ciemnościach. Był to jednak rodzaj ciemności, który dobrze znosił. Mógł się poszczycić, że już drugi raz z rzędu udało mu się opanować napad "czarnej rozpacz".

- Andrew wrócił - oznajmił, opierając grabie o ścianę stajni.

- Wiem, bo już rozgłosił wszem wobec, że jedynym Carrowayem niższym od Shawa jest Edward.

- Założę się, że Shaw nie był tym zachwycony - roześmiał się Robert.

- On może nie, ale ja tak, a to jest najważniejsze. - Po krótkim wahaniu wicehrabia spytał: - Byłeś w moim gabinecie?

- Tak. - Ruszył w stronę drzwi, a brat deptał mu po piętach.

- Nie miej żalu do Andrew, bo zgadało się o tym przy okazji, kiedy opowiadał nam, w jaki sposób dotarł do domu.

- Przeglądałem tylko zaproszenia.

- O tym także wspomniał, dlatego myślę, że powinienem ci powiedzieć, że jutro wieczorem wybieramy się na bal u Montrose'a. Chcesz do nas dołączyć?

- A co z Edwardem? - Nie chciał zawieść jedyne go człowieka, który mu ufał.

- Nic się nie stanie, jeśli spędzi kilka godzin w towarzystwie pana Trosta. Prosiłem go już, żeby został z nim dłużej. I tak powinien przerabiać więcej zadań matematycznych.

- To dobrze, bo Cherlak nie lubi zostawać sam.

- Więc pójdziesz z nami?

- A wszyscy inni się wybierają?

Wicehrabia przez chwilę mu się przyglądał, zanim potwierdził:

- Tak, wszyscy z naszego domu, a oprócz tego Evie i Saint, Lucinda i generał, jak również Wycliffe i Emma.

Jeśli spodziewano się księcia i księżnej Wycliffe, nie mogła to być skromna impreza, jakiej oczekiwał. Równocześnie jednak chciał jak najszybciej przekonać się, czy Lucinda gniewa się na niego, a jeśli, to jak bardzo. Zdecydował więc:

- Tak, pójdę.

## 9

*Człowiek doskonały powinien zawsze zachowywać spokój ducha i nie pozwalać, aby uczucie czy przelotna namiętność ów spokój zburzyły.*

- Victor Frankenstein, "Frankenstein"

Lucindę rozboleła już ręka od pisania, więc odłożyła pióro i dmuchnęła na ostatnią stronę zapisków, aby szybciej wysechł atrament. Tymczasem lord Geoffrey i generał sącyli koniak, a ich rozmowa przerodziła się w dyskusję o zaletach i wadach przeróżnych brytyjskich oficerów, z którymi przychodziło im razem służyć.

- Major Scoggins? - zaniósł się śmiechem Newcombe. - Czy to ten, którego codziennie rano trzeba było przywiązywać do siodła?

- Tak, to on. Nie wiem nawet, czy podejmowano takie środki dlatego, że był kiepskim jeźdźcem, czy dlatego, że lubił zaglądać do kieliszka? - General rzucił okiem na zegar stojący na biurku. - Tfu, do kroćset! Zostaniesz na kolacji, Geoffrey?

- Zostałbym z przyjemnością, ale, niestety, mam już inne zobowiązania - odrzekł Newcombe, odstawiając kieliszek. - Prawdę mówiąc, muszę wziąć urlop.

Augustus Barrett podniósł się z miejsca, aby uścisnąć dłoń lorda.

- Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc.

- Nie ma za co, Augustusie. Chętnie korzystam z każdej okazji, aby móc się pochwalić swymi bohaterskimi czynami. - Przeniósł spojrzenie na Lucindę i dodał: - A jeszcze przy tak miłym audytorium...

- Miło mi było pana słuhać. Odprowadzę pana, milordzie.

- Proszę mi mówić Geoffrey.

Przepuścił ją przed sobą, więc poszła naprzód przez hall, aż do wyjścia. Wydawało się jej, że przez całe popołudnie lord próbował wciągnąć ją do rozmowy. Dwa razy nawet podniósł się ze swego miejsca, aby stanąć za nią i zajrzeć do jej notatek.

- Dziękuję panu jeszcze raz za dobry uczynek - powiedziała, stając obok kamerdynera pilnującego drzwi. - Jeszcze nigdy nie widziałam generała tak przejętego swoim pisaniem.

- Miło mi, że mogłem pomóc. - Lord uniósł do ust jej rękę i muskał wargami knykcie. - Gdybym tak jeszcze mógł kiedyś zobaczyć panią bez tego pióra i papieru... Zaraz, pani chyba lubi jeździć konno, prawda?

Spoglądał na nią ujmującymi, zielonymi oczyma. A więc Robert miał rację - albo Geoffrey sam ich podpatrzył, albo przyjaciele donieśli mu, że widzieli ją w jego towarzystwie, albo nawet jedno i drugie.

- Owszem, bardzo - przyznała.

- Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani towarzyszyć mi na małej przejażdżce po Hyde Parku. Może być jutro rano?

- Mam wprawdzie zaproszenie na obiad, ale...

- O dziesiątej będzie dobrze?

- Jak najbardziej.

Uśmiechnął się, lekko ścisnął jej palce i zaraz je uwolnił.

- A zatem przyjadę po panią. Do zobaczenia do jutra.

- Do widzenia, milordzie... to znaczy Geoffreyu.

- Do widzenia, Lucindo.

Patrzyła za nim, jak podano mu konia i jak odjechał kłusem. Kiedy straciła go z oczu, wróciła do gabinetu ojca. Generał zabrał się już do przeglądania jej notatek, tu i ówdzie na marginesie dodając własne.

- Tak sobie właśnie myślałem - odezwał się, nie podnosząc oczu znad kartek - czy nie narzucałbym się Geoffreyowi, gdybym zaproponował mu przejrzenie całego mojego dziennika? Zauważyłem, że rozmowa z nim znakomicie ożywia moją pamięć.

Lucinda usiadła naprzeciwko ojca.

- Zaprosił mnie na przejażdżkę konną jutro rano - wyznała.

Generał od razu odłożył papiery na biurko.

- I co, zgodziłaś się?

- Tak, więc jeśli angażujesz go do prac przy twojej książce ze względu na mnie, możesz równie dobrze dać sobie z tym spokój.

Napotkała spojrzenie stalowoszarych oczu ojca, który usiłował udać w tej chwili surowość i nieustępliwość.

- Czyżbyś oskarżała mnie o kontynuowanie znajomości z lordem Geoffreyem Newcombe'em tylko po to, aby mógł bezpiecznie smalić do ciebie cholewki?

Lucinda, niezrażona, wytrzymała jego spojrzenie.

- Przecież to ty, tatusiu, jesteś mistrzem strategii!

- A ty sama podsunęłaś mi, abym go zaprosił - odwzajemnił się ze śmiechem.

- Owszem, ja - przytaknęła, aby nie musieć się do niczego przyznawać.

- No tak, rzeczywiście mam z niego dużą pociechę. Jego wspomnienia w najgorszym razie potwierdzają moje.

- Wykorzystuj go więc, generale, ile ci się tylko podoba - zażartowała.

- Dziękuję ci, córeczko. - W tym momencie uśmiech znikł z jego twarzy. Generał pochylił się naprzód, opierając łokcie na stosach zapisanych kartek. - Dziś za to byłaś na przejażdżce z Robertem Carrowayem...

Lucinda potwierdziła, starając się za wszelką cenę odpędzić wspomnienie pocałunku Roberta, lekkiego jak piórko, a przy tym wytrącającego z równowagi całe jej jestestwo.

- Jego przynajmniej nie potrzebujesz zachęcać do snucia wspomnień wojennych ze względu na mnie, prawda? - odcięła się.

- Istotnie, nie potrzebuję. - Ojciec poklepał ją po ręku. - Wiem, wiem, kochanie, że wychowałaś się wśród oficerów i na ich frontowych opowieściach. Ale na miłość boską, Lucindo, naprawdę nie ma powodu, abyś wiązała się z kimś pokroju Roberta Carrowaya. Masz tyle świetnych partii do wyboru...

Uwolniła rękę.

- Tatusiu, ja z nim tylko jeździłam konno! - oświadczyła stanowczo. - To przecież szwagier mojej najlepszej przyjaciółki, który ma pewne... trudności w

prowadzeniu rozmów. Ani on nie jest przystojny, ani nie zabawia mnie frontowymi opowieściami, a już na pewno nie mam zamiaru się z nim wiązać.

Augustus Barrett odetchnął z ulgą i podniósł się z miejsca.

- Dobrze więc, spełniaj dalej miłosierne uczynki, jeśli chcesz. Mam tylko nadzieję, nawet ze względu na niego, że jasno dajesz mu do zrozumienia, jakie uczucia do niego żywisz.

- Ależ oczywiście, tatusiu.

Jeszcze przez dłuższą chwilę po wyjściu ojca Lucinda nie ruszała się z krzesła, które zajmowała. Nie miała bowiem wątpliwości, że przelotny pocałunek, który Geoffrey złożył na jej palcach, mieścił się w ramach niezobowiązującego, towarzyskiego flirtu. Natomiast Robert Carroway grał według zupełnie innych reguł albo raczej nie grał wcale.

Ponownie dotknęła warg, ale zaraz splotła ręce na podołku. Przecież tego rodzaju pocałunek mógł mieć zaledwie marginalne znaczenie! Nachmurzyła się jednak, gdyż uświadomiła sobie, że musi zaprzestać zawierania z nim "transakcji", zanim sprawy nie zajdą zbyt daleko. Zdawała sobie bowiem sprawę, że przyjemność, którą odczuwała, spotykając się z Robertem, nie ma nic wspólnego z miłosierdziem. Mimo to nigdy przez myśl jej nie przeszło, aby tego załamanego na duchu żołnierza traktować jak konkurenta do ręki, a tym mniej jako kandydata na męża. Jej ojciec nigdy by go nie zaakceptował. Mało tego - bliższa znajomość z Robertem skomplikowałaby jej życie nie sto, ale nawet tysiącrotnie!

Od przyszłego męża oczekiwała, że będzie przystojny, uważający i prostolinijny, pomoże jej opiekować się ojcem, gdy ten się zestarzeje, i nie będzie miał jej za złe miłości i czułości, jaką żywiła do generała. Pragnęła po prostu świętego spokoju. Czyżby żądała za wiele?

A niech to licha! Gdyby chodziło jej tylko o spokój, nie poświęciłaby ani jednej myśli Robertowi i jego pocałunkom.

Po dłuższych poszukiwaniach Robert znalazł trzy pozytywki - dwie na strychu, a trzecią w buduarze ciotek. Ustawił je jedną na drugiej i zniósł to brzemień do pokoju śniadaniowego.

- Dzień dobry! - przywitała go Georgiana, podnosząc wzrok znad talerza.

- Dzień dobry. - Skrzywił się, bowiem liczył, że zastanie ją samą. Tymczasem obok niej spożywał śniadanie również Tristan, a Robert

potrzebował wprawdzie pewnej pomocy przy realizacji swych zamierzeń, ale nie ze strony brata.

- Co tam masz? - zainteresował się Tristan.

- Och, nic takiego. - Poprawił nieporęczne skrzynki. - Zjadłeś już?

- Tak. - Wicehrabia od razu odsunął talerz. - A o co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, żebyś wyszedł - wypalił bez ogródek Robert.

- Po prostu wyszedł?

- Tak.

- Właściwie mam trochę listów do napisania - wtrąciła się Georgiana, tłumiąc śmiech.

- Nie ty masz wyjść, tylko Tristan - poprawił Robert. Miał przy tym ochotę na uśmiech, co rzadko mu się zdarzało.

- Akurat ja?

Wicehrabina poklepała męża po ramieniu.

- Przykro mi, Dare, ale pocałuj mnie i wyjdź.

- Ach, więc tak sprawy stoją? - Tristan udał oburzenie. - Głowę rodziny wyrzuca się za drzwi, bez pardonu?

- No, idź już, idź - zaśmiewała się Georgiana.

- Dobrze, widzę, że jestem tutaj persona non grata. - W tym momencie wzrok jego padł na dwóch lokajów stojących przy oknie. - Wy też nie możecie tu zostać, kiedy mnie wyganiają. Jazda, wychodzić! - Cmoknął żonę w policzek, porwał pomarańczę z pomocniczego kredensu i opuścił pokój w ślad za służącymi.

- No więc w czym mogę ci pomóc, Mały? - spytała Georgie.

Czekała go teraz najtrudniejsza przeprawa. Wypuścił z płuc powietrze i postawił pozytywki na stole.

- Muszę wiedzieć, czy jeszcze potrafię tańczyć, nie robiąc z siebie zupełnego durnia - wytłumaczył. Na szczęście bratowa nie zemdląca ani nie

parsknęła śmiechem, więc pootwierzał wieczka, jedno po drugim. - Znalazłem walca i dwa tańce ludowe. Czy można...

- Myślę, że powinniśmy przenieść się z tym do buduaru - wicehrabina weszła mu w słowo. - Żaden z twoich braci jeszcze nie jadł, a chyba nie chcemy, aby nam przeszkadzali. - Zabrała jedną pozytywkę, pozostawiając mu dwie, i energicznym krokiem ruszyła ku drzwiom.

W hallu kręcił się Tristan, udając, że ogląda fioletowe irysy, których stał tam cały flakon. Robert zaczął już żałować, że w ogóle wystąpił z taką prośbą, ale udawał, że nie czuje, jak lodowaty chłód podpełza mu pod czaszkę. W końcu po dobrze przespanej nocy, kiedy nie śniło mu się nic innego poza jazdą konną, mógł sobie pozwolić na małe szaleństwo.

Wmawiał sobie, że chce po prostu sprawdzić, czy jeszcze nie zapomniał, jak się tańczy. A nawet jeżeli przekona się, że potrafi to robić, to jeszcze nie oznacza, że musi wystąpić z tym publicznie.

- Co wy tu robicie? - zagadnął Edward, pojawiając się w korytarzu wychodzącym z zachodniego skrzydła budynku.

- Sprzątamy - zbyła go krótko Georgiana. - Idź lepiej zjeść śniadanie.

Na szczęście nie natknęli się już na żadnego innego członka rodziny Carrowayów i bez przeszkód dotarli do cukierkoworóżowego buduaru ciotek, wybitego misternie udrapowanymi tkaninami. Robert postawił na parapecie przyniesione pozytywki i stanął naprzeciw bratowej.

- Muszę cię uprzedzić - wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby - że nie wiem, czy potrafię...

- Tylko bez wykretów! - przerwała mu Georgiana. - Możemy zacząć od walca?

Zanim zdołał odpowiedzieć, podniosła wieczko jednej z pozytywek i ustawiła się w pozycji wyjściowej.

Robert uczynił krok w jej stronę, tłumacząc sobie, że Georgiana w niczym mu nie zagrazi, bo jest mu bliska prawie jak siostra. Rozumiała przynajmniej w części to, co go gnębiło, a on ufał jej na tyle, aby choć trochę się przed nią otworzyć. Na pewno mógł śmiało próbować z nią zatańczyć.

Przełknął ślinę i ujął rękę Georgiany, a drugą ręką objął ją w taliu. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco i położyła mu wolną dłoń na ramieniu.



Pod palcami czuł jej ciepłe, delikatne ciało, ale równocześnie przepęłniała go odraza - nie do niej, lecz do samego siebie. Ze zdławionym jękiem odskoczył od niej jak oparzony, zaciskając pięści, aż zbieleły mu knykcie.

- Co się stało, Mały? - zaniepokoiła się bratowa.

- Przepraszam cię... - wykrztusił, cofając się ku drzwiom. - Widzę, że popełniłem błąd.

- To nie był żaden błąd - zaprzeczyła stanowczo Georgiana. - Ilekroć będziesz chciał poćwiczyć, zawsze jestem pod ręką.

Tym razem chwycił go cięższy atak panicznego lęku, aż zgiął się wpół, nim dotarł do swojej sypialni. Dokuśtykał do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Jak mógł sobie wyobrażać, że stanie się z powrotem taki, jak przedtem? Ze będzie mógł śmiać się, tańczyć i flirtować z kobietą, z tym "słodkim Lucyferem", jakby nic nie zaszło? Sam przecież widział, że nie ma już prawa do tych rozrywek. Właściwie powinien był umrzeć, a umarli mają wokół siebie tylko ciemność. Skulił się więc w ciemnym kącie na podłodze i kiwając się tam i z powrotem, powtarzał: Dosyć tego!

- Coś ty mu, u wszystkich diabłów, zrobiła? - złościł się Tristan, nerwowo przechadzając się pod drzwiami pokoju Roberta.

- Nic mu nie zrobiłam - broniła się Georgiana, starając się mówić głosem cichszym niż mąż. - Po prostu chciał czegoś spróbować, ale okazało się, że nie jest jeszcze do tego gotowy. Ot, i wszystko.

- Ale...

- Ciszej, na miłość boską! Nie musi słyszeć, że o nim mówimy.

- Kiedy już mu się polepszyło! - syknął Tristan.

- Myślę, że wciąż jego stan się poprawia - westchnęła. - Minęły już dwa tygodnie, odkąd miał ostatni... atak!

- I jakoś nic mu nie pomaga! - Dare przez chwilę spacerował w milczeniu.  
- Wiem, co się robi z kobietami, kiedy wpadają w histerię...

- Na miłość boską, Tristianie, on ani nie jest kobietą, ani nie wpadł w histerię!

Robert powoli podniósł się na nogi, dowlókł się jakoś do drzwi i podsłuchiwał, próbując równocześnie opanować drżenie rąk na tyle, aby kurczowo chwycić się klamki. Nie przestawało go mdlić, ale przynajmniej nikt go nie zobaczy zwiniętego w kłębek na podłodze.

Pomyśl o czymś innym - nakazywał sobie. Takie odwrócenie uwagi nieraz już skutkowało. Wystarczyło, aby pomyślał o czymkolwiek, co nie wiązało się z siedmioma miesiącami głodu, strachu i bólu, które do dziś go prześladowały. Ani z tym, że był pięciokrotnie ranny od kuli, ani z tym, co nastąpiło później, kiedy ostatecznie się załamał.

Najgorsze było to, że nie mógł się z nikim podzielić swymi przeżyciami. Wystarczająco krytyczne były spojrzenia, którymi go teraz obrzucano. A gdyby ci sami ludzie wiedzieli, co się z nim działo naprawdę?

Z trzaskiem otworzył drzwi. Chciał krzyknąć: Idźcie stąd! - ale nie zdążył, bo wprost na jego twarz wychlśnięto kubeł lodowatej wody. Jednak wywołane tym oszołomienie trwało najwyżej sekundę, zaraz potem wytrącił wiadro z rąk napastnika i pchnął go na przeciwległą ścianę.

- Mały, to ja! - wrzasnął Tristan, próbując oderwać jego ręce od swojego gardła.

- Wiem, że to ty - wykrztusił Robert, mrugając zalanymi wodą oczami i usiłując nadać swemu głosowi brzmienie mające wyrażać niesmak. - Nie rób tego więcej.

Cofnął się, otrząsając włosy z wody, która przemoczyła mu gruntownie ubranie, a przysięgłaby, że dostała się także i do butów.

- Niech cię licho porwie, Tristanie!

- Prosiłam go, żeby tego nie robił - tłumaczyła Georgiana, wyciskając wodę z rąbka szala. - Przynajmniej zdejmij z siebie te mokre rzeczy.

Robert odsunął się, unikając jej dotknięcia.

- Już ja sobie dam z tym radę.

W którymś momencie zaświtało mu w głowie, że mimo przyspieszonego bicia serca i urywanego oddechu czuł się właściwie... prawie normalnie! Wprawdzie o mało nie zachłusnął się tą wodą, ale jednak w jakiś sposób to mu pomogło. Gdzieś tam, w najdalszych zakątkach świadomości czaił się dobrze znany, paniczny lęk, ale wszystko wskazywało, że został pokonany.

Robert podniósł oczy na Tristana, który stał zdyszany, z przemoczonym krawatem i zmiętym gorsem koszuli - w końcu to on chwycił go za gardło! Starszy brat nie wyglądał jednak ani trochę na rozgniewanego - z jego oczu przebijała raczej troska, z lekka podbarwiona humorem.

- Wszystko odwołuję - wycedził powoli Robert.

- Niby co odwołujesz?

- To, co ci powiedziałem, żebyś tego więcej nie robił. Zmieniłem zdanie.

- Widzisz, myślałem, że ci to pomoże...

- Idę się przebrać. - Robert wycofał się do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Tam powoli strząsnął z ramion surdut i rozpiął kamizelkę, pozwalając obu częściom garderoby opaść na podłogę. Szukając w szafie czystej koszuli, doszedł do wniosku, że tego ranka wyjaśniły się dwie ważne sprawy. Po pierwsze, musiał jeszcze sporo popracować, jeśli chciał wieczorem zatańczyć z Lucindą. Po wtóre, już drugi raz z rzędu udało mu się opanować atak lęku przez skupienie uwagi na innym temacie. Myślenie o Lucindzie i ogrodzie różanym było na pewno lekarstwem zdrowszym dla jego ubiorów niż kubeł zimnej wody, chociaż przyznawał, że w nagłych wypadkach i ten środek potrafił zadziałać.

- Cudownie! - mrucał do siebie, odwiązując pomięty krawat i rzucając go na rosnący stos mokrych części garderoby. - Teraz muszę tylko wymyślić sposób, jak stale nosić przy sobie wiadra z wodą!

- ...zdecydowałem więc, że rozsądniej będzie się wycofać.

- Rozsądniej będzie! - zachichotała Lucinda.

Lord Newcombe uniósł brew.

- Oczywiście mogłem się mylić.

- Szwadron francuskiej jazdy rozłożył się obozem o dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie zasiadałeś do obiadu? Powiedziałabym, że w tych okolicznościach odwrót był bez wątpienia czynem nad wyraz rozsądnym!

Wśród tłumu spacerowiczów w Hyde Parku mogli poruszać się najwyżej stępem, dopóki nie wydostali się na wschodni kraniec.

Lucinda musiała ponownie wyrazić uznanie dla przenikliwości Roberta, gdyż Geoffrey prawie nie spuszczał z niej oczu, nawet na tyle, aby wybrać odpowiednią do jazdy ścieżkę.

Zrobiła zresztą wszystko, aby zwrócić jego uwagę. W tym celu ubrała się w ciemnoczerwoną amazonkę z rajtrokiem o wojskowym kroju. W obecności tak eleganckiego mężczyzny trudno nie być czarującą i uważną słuchaczką, a i on chyba poświęcał jej więcej uwagi, niż nakazywały dobre manieri.

Przedpołudnie obfitowało więc w rozrywki, aczkolwiek Lucinda niechętnie musiała przyznać, że spokojny spacer po Hyde Parku nie dorównywał galopom z rozwianymi włosami po łąkach. Udawanie czarującej gąski uważała za żenujące, zwłaszcza że w obecności Roberta mogła się wcale nie odzywać, jeśli nie miała na to ochoty.

Zamrugła oczami, gdyż uświadomiła sobie, że same tylko galopy i milczenie w sprzyjających momentach nie zrobią z nikogo lwa salonów. Powinna była pamiętać, że należała do szanowanej rodziny, dziedziców pokaźnej fortuny, ale Geoffrey posiadał jeszcze lepsze koligacje, toteż ich związek przyniósłby obopólne korzyści. Mało tego, lord był przystojny i obdarzony wdziękiem, a zachowywał się, jakby w zasięgu ręki miał przynajmniej setkę młodych dam.

- Wybiera się pani dziś wieczorem na bal u Montrose'a? - zapytał.

- Owszem, zamierzam.

- Proszę obiecać, że zachowa pani dla mnie walca.

- Dobrze, zachowam. - Uśmiechnęła się.

- I kadryla.

Przetańczenie w ciągu jednego wieczoru dwóch tańców z tym samym partnerem nie należało do rzadkości, aczkolwiek dla towarzystwa stanowiło wskazówkę, że ów dżentelmen darzy tę damę szczególnymi względami.

- Dobrze, i kadryla - powtórzyła.

- To może jeszcze jakiś taniec ludowy?

- Zastanów się, ile osób pozbawiłbyś swego towarzystwa! - rzuciła lekko, skrywając grymas. Trzy tańce z tym samym mężczyzną mogłyby już poważnie nadwerężyć jej reputację.

- Proszę o wybaczenie, rzeczywiście posunąłem się już za daleko - przyznał.

- No wiesz, Geoffreyu! Na pewno wiedziałeś, że odmówię, tylko chciałeś mi pochlebić.

- Niech pani powie przynajmniej, że mi się udało! - roześmiał się.

- Uda ci się, jeśli przez ciebie nie spóźnię się na proszony obiad.

Newcombe wyciągnął kieszonkowy zegarek i skrzywił się na widok tego, co odczytał. Skinął na masztalerza, którego przywiózł ze sobą jako przyzwoitkę.

- Nie przypuszczam, aby pozwoliła mi pani wysłać przodem Izaaka z wiadomością dla twojego towarzystwa, że się trochę spóźnisz?

- Ja również nie przypuszczam.

- Może więc lepiej odwiozę panią do domu?

Roześmiała się znowu.

- Chyba jednak powinienes.

Przed frontowymi drzwiami jej domu uparł się, że pomoże jej zsiąść z Isis. Gdyby była osiemnastoletnią debiutantką, pewnie omdlewałaby z zachwytu, ale nigdy nie należała do kobiet, które mdleją na zawołanie. Sześć lat temu jego atencje pochlebiałyby jej, lecz i teraz odczuwała przewrotną satysfakcję.

Sytuacja rozwijała się dokładnie tak, jak zaplanowała: generał aprobował Geoffreya, który jej także się podobał i wydawał się nią zainteresowany. Nic też nie zapowiadało, aby miał ją zwodzić lub w inny sposób złamać jej serce.

Wszystko byłoby w najzupełniejszym porządku, gdyby jej spokoju nie burzył pewien dżentelmen o chłodnych oczach.

- Dziękuję za miłe przedpołudnie, Geoffreyu - wyraziła swą wdzięczność.

W odpowiedzi ujął jej rękę w rękawiczce i przycisnął do ust.

- To ja pani dziękuję, Lucindo. Mam nadzieję, że razem tak miłe spędzimy jeszcze niejedno przedpołudnie.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, bo nie była przecież tak naiwna, aby dać się zwieść jego gładkim słówkom. Owszem, doceniała jego wysiłki, ale nie to było przyczyną, dla której go wybrała.

- Do zobaczenia wieczorem - pożegnała go.

- Do widzenia.

Dopiero gdy weszła do domu, zdała sobie sprawę, że jej przyjaciółki, z którymi razem miała iść w gości, czekały już na nią.

- Czy jestem już spóźniona? - dopytywała się, wchodząc do saloniku poprzedzana przez kamerdynera.

- Skądże, to raczej my przyszyliśmy za wcześnie - odrzekła Evelyn, patrząc na nią rozradowanym wzrokiem.

- I mamy nadzieję, że nieraz jeszcze tak będzie - dodała Georgiana z udaną obojętnością.

- Bardzo śmieszne! - odburknęła Lucinda, płonąc rumieńcem.

- Ależ wszystko się świetnie układa! - Evie pocałowała ją w policzek. - Możemy już jechać? Sprowadziłam powóz.

- Nie będziecie miały nic przeciwko temu, żebym najpierw się przebrała? - zagadnęła Lucinda. - To potrwa najwyżej chwilkę.

- Oczywiście, nie krępuj się, my tu tymczasem gruntownie cię oplotkujemy.

Lucinda wbiegła po schodach na górę, przywołując po drodze Helenę. W sypialni od razu zrzuciła cylinderek i rajtrok, bo na łóżku czekała już przygotowana suknia, w której zamierzała wystąpić na proszonym obiedzie.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i ktoś je otworzył; nie była to jednak służąca. Do pokoju weszła Georgiana, ale najwyraźniej czuła się niepewnie.

- Pomogę ci się ubrać, dobrze? - zaproponowała.

- Ależ nie musisz, Helena zaraz tu przyjdzie.

- Nie przyjdzie, bo powiedziałam jej, że ją zastąpię.

- Aha. A dlaczego?

- Ponieważ chciałabym z tobą porozmawiać, ale w cztery oczy, żeby nikt nas nie podsłuchał, nawet Evie.

Lucinda od razu domyśliła się, że chodzi o Roberta. Powoli odłożyła szczotkę do włosów.

- Owszem, lubię Roberta - wyznała ściszym głosem - ale tylko jako przyjaciela. Kłopotów mam dosyć z ojcem. Może to egoistyczne z mojej strony, ale chciałabym mieć męża, który ułatwiłby mi życie, a nie utrudnił.

Lady Dare nabrała w płuca dużo powietrza.

- To żaden egoizm, Luce, jesteś po prostu praktyczna. Uchowaj Boże, abym próbowała kogokolwiek swatać, ale Mały dużo wycierpiał, a z tobą przynajmniej chce i potrafi rozmawiać.

- Owszem, nieraz dyskutujemy - przyznała Lucinda. - Czy raczej nie uchylam się od dyskusji z nim.

- I może w tym tkwi sedno sprawy - podchwyciła wice-hrabina. - Widzisz, my się ciągle boimy, że zamknie się w sobie jeszcze bardziej, jeśli powiemy coś nie tak.

- Jeśli o to chodzi, Georgie, mogę kłócić się z nim, kiedy tylko zechce.

- Dziękuję ci! - Przyjaciółka uśmiechnęła się blado. - To wszystko jest takie trudne, że nie angażowałabym cię w to, gdybyś miała coś przeciwko temu.

Gdyby tu chodziło o zwykłe poczucie winy, najzwyczajniej w świecie zmieniłaby temat. Gdyby Robert nigdy nie próbował jej pocałować, a ten pocałunek, jak również jego obecność, nie zajmowały jej bardziej, niż chciała się do tego przyznać - też nie powiedziałaby nic więcej.

- Zastanawiałam się tylko - westchnęła - dlaczego w ciągu ostatnich dziesięciu dni widywałam go częściej niż przez ostatnie trzy lata.

- Widzisz, wydaje mi się, że on dopiero teraz zaczyna dochodzić do siebie - wyjaśniła Georgiana, pomagając jej nałożyć niebieską, muślinową suknię. - Niewiele wiem o jego przejściach, ale podobno były straszne. Dlatego cokolwiek zrobisz, aby mu pomóc, przyjmę to z radością.

W głębi duszy Lucinda umierała z ciekawości, jakie to okropne przejścia miał za sobą Robert. Gdyby знаła odpowiedź lub jakoś się tego dowiedziała, wszystko wyglądałoby inaczej. Właściwie już wiele rzeczy się zmieniło, ale na razie potrafiła pohamować nadmierne zainteresowanie Robertem.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała.

Andrew przechodził właśnie obok biblioteki, kiedy Robert wychylił się stamtąd, złapał go za ramię i wciągnął do środka.

- Co jest, do dia...! - zaklął.

- Potrzebuję twojej pomocy - wyjaśnił Robert. Mówił szybko, bo bał się, że może jeszcze zmienić zdanie. - Ale jeśli piśniesz choć słowo, to ja cię...

- Na pewno nic nikomu nie powiem - obiecał Andrew, usiłując odzyskać równowagę.

- No to wyciągnij rękę!

Młodszy brat wyglądał na zdumionego, ale nie protestował. Robert zaś nie zastanawiał się, czy mu się uda, czy nie, bo w obu wypadkach czułby się niepewnie. Bez namysłu złapał brata za jedną rękę, a drugą położył sobie na ramieniu. Wolną ręką objął go w pasie i rozpoczął walca.



- Zejdź mi z nogi! - warknął Andrew, potykając się.

- To nie próbuj prowadzić! - odciął się Robert, który z zamkniętymi oczami nucił jakąś melodię i próbował przypomnieć sobie kroki.

- Dobrze już, nie będę.

Jasne, że Andrew w najmniejszym stopniu nie przypominał kobiety, ale wystarczająco dobrze zastępował partnerkę. Po kilku krokach Robert odprężył się i zaczął pewniej stawiać nogi. Kolano bolało go wprawdzie, ale nie bardziej niż zwykle, więc miał nadzieję, że wytrzyma. Po ostatnim ataku gdzieś w głębi duszy pozostał mu jakiś nieświadomy niepokój, ale umiał już sobie z tym radzić.

Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy Andrew zaczął podśpiewywać dla utrzymania właściwego tempa, przy czym strasznie fałszował.

- Czy to bardzo... głupio wyglądało? - zapytał, zatrzymując się i puszczając brata.

- Raczej głupio się czułem, bo musiałem obracać się nie w tę stronę, co zawsze, ale poza tym nic złego nie zauważyłem. - Andrew uśmiechnął się rozbrajająco, jak potrafili wszyscy Carrowayowie. - Trzeba ci przyznać, że jesteś niezłym tancerzem.

- Dziękuję.

Uśmiech od razu znikł z twarzy brata.

- Mam nadzieję, że nie każesz mi przebrać się za dziewczynę i tańczyć z sobą przez cały wieczór? - spytał podejrzliwie. - Naprawdę dobrze ci to idzie i nie wydaje mi się, aby jakakolwiek panna mogła mieć coś przeciwko...

- Nie bój się, na pewno nie każę ci nałożyć sukni - uspokoił go Robert, zadowolony, że wywołał uśmiech na jego obliczu. - Chciałem się tylko upewnić, że pamiętam kroki.

- Oczywiście, że pamiętasz, ale... - Andrew obejrzał się przez ramię w stronę zamkniętych drzwi. - Przepraszam cię, ale jestem umówiony z przyjaciółmi na obiad...

- Już skończyłem z tobą, możesz iść.

- Świetnie, dziękuję!

Robert zamknął drzwi za bratem i zanim doszedł do okna, przećwiczył jeszcze kilka figur kadryla. Okazało się, że wcale nie zapomniał kroków, choć mimo pochwał Andrew czuł, że porusza się, jakby stawy mu zardzewiały. Zważywszy jednak na to, od czego zaczął mu się dzień, nie mógł sobie odmówić pewnej satysfakcji.

To miłe uczucie trwało może pół minuty, zanim nie uświadomił sobie, że nie wystarczy podejść do Lucindy, zatańczyć z nią walca, a potem się wycofać. Nie, aby uzasadnić dłuższe przebywanie w jej towarzystwie, musiał pomóc jej w realizacji drugiej lekcji. To zaś oznaczało, że musiał przetańczyć wszystkie tańce tego wieczoru i to z różnymi kobietami.

Usiadł na szerokim parapecie okiennym, klął i walił pięścią we framugę, gdyż nie wyobrażał sobie, jak mógłby to zrobić. Ogarniało go przerażenie, bo przypomniał sobie, jaki - według Lucindy - był cel jej lekcji numer dwa. Chodziło o to, aby pomóc pannom, które na balach siedziały pod ścianami lub przy bufecie, gdyż nie miały ani posagu, ani urody czy wdzięku, a więc traciły nadzieję na znalezienie partnerów.

Jasne, że dama, która ma do wyboru: albo siać pietruszkę, albo z nim zatańczyć - zastanowi się dobrze, zanim odmówi. Kto jak kto, ale on wiedział doskonale, co to znaczy stracić nadzieję. A partnerka kogoś takiego jak on nie może też oczekiwać po nim wiele, więc istnieje pewna szansa, że nikt nie zwróci na niego uwagi - z wyjątkiem, oczywiście, Lucindy i Geoffreya Newcombe'a, który byłby głupi, gdyby nie miał na oku niespodziewanego, choć tak mało prawdopodobnego rywala.

Właśnie, rywala, chociaż trudno go było wyobrazić sobie w tej roli. Lubił Lucinę Barrett, czuł się dobrze w jej towarzystwie, ale okazało się, że to jeszcze nie wszystko. Pragnął jej, bo chciał mieć dla siebie jej spokój, pogodę ducha i niezależność. Była nadzieją dla człowieka, który przez długi czas nie wiedział, co to jest nadzieja.

Zdawał sobie sprawę, że właśnie z tych powodów powinien trzymać się od niej z daleka, choćby ze względu na nią. Przecież to tak, jakby pragnął dostać gwiazdkę z nieba lub ściągnąć anioła na ziemię... Skończyłoby się na tym, że jedno z nich - lub oboje - próbowaliby dotknąć płomieni i oparzyli sobie palce lub spłonęli na popiół.

Nie, jeśli ona uważa, że są tylko przyjaciółmi, to przyjaciółmi zostaną, choćby miał umrzeć. To było akurat najłatwiejsze, bo właściwie nie żył już od lat.

## 10

*Ośmieliłem się mieć nadzieję, że moje obecne wysiłki położą podwaliny pod przyszłe sukcesy.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

- Czy tylko ja tu jestem, czy zameldowało się dziś całe Mayfair? - spytał generał Barrett.

- Nie przypuszczam, abyś to był tylko ty - odpowiedziała Lucinda, opierając się na jego ramieniu. - Chryste, czy to możliwe, aby sprowadzono żonglera?

To jej akurat nie zaskoczyło, bo lady Montrose w ciągu ostatnich czterech lat usilnie starała się, aby jej przyjęcie stało się wydarzeniem sezonu, ale jak dotąd bezskutecznie.

- Oczywiście Geoffrey zawiazał się, żeby przyjść punktualnie - zauważył jej ojciec.

- Ależ, tatusiu, nie on jeden - uświadomiła mu Lucinda. - Dopiero co sam powiedziałeś, że całe Mayfair...

- Dobrze wiesz, co miałem na myśli. Nie mam zamiaru zajmować się nim przez cały wieczór, więc ten obowiązek spadnie na ciebie.

- Ja też nie chcę przez cały wieczór tkwić przy nim ani przy nikim innym! - obruszyła się. W tejże chwili wzrok jej padł na znajomą twarz w tłumie gości, więc odpowiedziała uśmiechem. - Popatrz, tatusiu, pani Miller wróciła już ze swojej artystycznej wycieczki do Wenecji!

- Lillian? Kiedy?

Lucinda puściła ojcowskie ramię i wskazała, gdzie siedzi wzmiankowana wdowa.

- Pamiętaj tylko, że obiecałeś mi walca - przypomniała.

- Oczywiście, trzymam go dla ciebie, ale jeśli będzie trzeba, chętnie ustąpię.

To, że ojciec tak łatwo godził się spuścić ją z oka, świadczyło niezbitnie, iż wysoko oceniał jej szanse na zdobycie lorda Geoffreya. Adonis londyńskich salonów właśnie się zbliżał, więc przywitała go uśmiechem.

- Dobry wieczór, Geoffreju.

- Dobry wieczór, Lucindo. - Ucałował grzbiet jej ręki. - Ślicznie dziś pani wygląda.

- Dziękuję! - Miała na sobie ulubioną suknię z szafirowego jedwabiu ze srebrnymi lamówkami, więc miło jej było słyszeć, że i jemu się podoba.

- Mam nadzieję, że zostawiła pani dla mnie dwa wolne miejsca w karnecie?

- Na razie, oprócz mojego ojca, jesteś pierwszym, który o to prosi.

Newcombe wziął od niej karnet i ołówek, którym wpisał swoje nazwisko przy wybranym przez siebie walcu i kadrylu.

- Co za szkoda, że nie przyszło więcej panów, bo wtedy moglibyśmy w ogóle nie dopuszczać Francisa Henninga do parkietu! - skomentował. - Czy jest pani pewna, że chce mi ofiarować tylko dwa tańce?

W pierwszej chwili była na niego zła, że to on z kolegami organizuje bojkot towarzyski biednego Francisa, ale zaraz domyśliła się, że po prostu się z nią przekomarza. W jednym przedmiocie miał rację - na ten bal przyszło znacznie więcej pań niż panów, więc niektóre panny na pewno będą musiały podpierać ściany.

- Dwa tańce w zupełności wystarczą - orzekła, osładzając swoją odmowę uśmiechem. - Nie martw się, na pewno nie zbraknie ci partnerek.

- Cóż z tego, kiedy żadna z nich nie dorównuje pani.

Przeprosił ją, aby przywitać się z jej ojcem, a po chwili zaczęły się tańce.

W tłumie gości Lucinda dostrzegła wysokie sylwetki lorda St. Aubyna i lorda Dare'a, więc zaczęła przeciskać się w ich kierunku.

- Coś nadzwyczajnego, Luce! - entuzjasmowała się Evie, wymieniając z przyjaciółką uściski. - I mówiłam ci, że w tej niebieskiej sukni wyglądasz cudownie!

- Owszem, miałaś rację, przyznaję. - Lucinda odwróciła się w kierunku Georgie, aby do niej podejść.

- Poczekaj! - Evie złapała ją za rękę. - Dare próbuje namówić ją, żeby pojechała do domu. Obawia się, że w takiej zatłoczonej sali może być duszno.

- I pewnie ma słuszość.

W tym momencie Georgiana położyła mężowi palec na ustach, a zaraz potem załagodziła go pocałunkiem.

- Zobaczysz, jeśli się tylko trochę gorzej poczuję, zaraz powiem ci o tym i pojedziemy do domu - zapewniała.

- Obiecujesz? - domagał się jej mąż.

Tymczasem Saint szepnął Evie do ucha coś, od czego spłonęła rumieńcem. Zanim zdążyła, odpowiedzieć, oddalił się w poszukiwaniu lokaja roznoszącego poncz.

- Co on ci powiedział? - spytała Lucinda.

- Och... nic takiego! - mruknęła wymijająco przyjaciółka. Odchrząknęła i zmieniła temat. - Chodź, już możemy przywitać się z Georgie. Nie wiesz nawet, kto jeszcze z nimi przyjechał...

Wystarczyło jednak, że Lucinda się rozejrzała, a sama zauważyła.

- Robert Carroway, prawda?

W istocie, stał obok i pożerał ją wzrokiem. Niesforne, czarne włosy spadały mu na kołnierzyk i zasłaniały jedno błękitne oko. Czarny surdut i spodnie podkreślały jego wysmukłą, acz mocną budowę, a kontrastująca z nimi, jaskrawoczerwona kamizelka przywodziła na myśl krew. Postawą i spojrzeniem przypominał głodnego wilka na łowach.

Oczekiwała, że się do niej zbliży, ale zamiast tego skłonił tylko głowę i znikł w tłumie. Rozczarował tym Lucindę. Jeśli bowiem istotnie, według słów

Georgiany, traktował ją jak swoją wybawicielkę, powinien był przynajmniej się przywitać i podejść na tyle blisko, aby mogła z jego oczu wyczytać, czy nie zamierza jej znowu pocałować.

- Komu ofiarowałaś pierwszy taniec? - spytała lady Dare.

- Lordowi Geoffreyowi.

- Aha, rozumiem.

- Myślę, że przyjęłam dobrą taktykę - wyjaśniała Lucinda, nie zważając na ironiczny ton głosu przyjaciółki. - Zatańczę z nim pierwszego kadryla i ostatniego walca.

- Oczywiście, kochanie - rzekła wicehrabina. - Widziałam przecież twoją listę. Myślę, że śmiało możemy uznać, iż lord Newcombe chwalebnie zdał egzamin z naszej pierwszej lekcji.

- A ja mam pytanie! - wtrąciła się Evie, zniżając głos tym bardziej, im bliżej się lord znajdował. - Jeśli on oświadczy ci się, zanim przerobimy z nim wszystkie cztery lekcje, czy mimo to mamy pozwolić ci go przyjąć?

- Chyba żartujesz? - roześmiała się Lucinda. - Nie pamiętam, żebyś z taką pewnością siebie udzielała lekcji St. Aubynowi.

- Ja to co innego, Luce. Teraz kolej na ciebie.

Tymczasem orkiestra zaczynała już przygrywkę do pierwszego tańca tego wieczoru. Geoffrey od razu pojawił się przy damach.

- Przepraszam, lady St. Aubyn, lady Dare, ale muszę poprosić pannę Barrett.

- Ależ naturalnie. - Georgie skłoniła się sztywno.

Evie wykazała mniej powściągliwości.

- Bawcie się dobrze! - zawołała za nimi, posyłając przyjaciółce całusa.

- Jakie to mile, że tak się przyjaźnicie! - mówił Geoffrey, prowadząc Lucindę na pozycję wyjściową. - Nie mogę pozbyć się wrażenia, że próbuję podbić nie tylko panią i jej ojca, ale i ich wszystkich razem z rodzinami.

Lucinda już otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć, ale orkiestra zaczęła grać, a ona dopiero wtedy uświadomiła sobie, co właściwie usłyszała. Jasne

było, że Newcombe nie żywił do niej większego afektu niż ona do niego. Oboje myśleli wyłącznie o "małżeństwie z wyrachowania". Sytuacja dzięki temu stawała się bardziej klarowna, choć świadomość tego faktu trochę bolała, mimo że Lucinda starała się udawać, że jej to nie wzrusza.

Tymczasem wołała się skupić na sprawach bieżących, zwłaszcza że w niektórych figurach tańca byli z lordem blisko siebie.

- Muszę przyznać, że generałowi bardzo przypadłeś do serca - podtrzymywała uprzejmą konwersację. - Szczególnie zaimponowała mu twoja pamięć.

- Zawsze chętnie służę. - Newcombe zaśmiał się cicho. - A cóż to znów, u licha?

Panna Barrett spojrzała we wskazanym przez niego kierunku i na chwilę odebrało jej mowę. Na parkiet wkraczała właśnie Margaret Heywater, zezowata kokietka bez posagu, w sukni kupionej na wyprzedazy, obecnie jednak tak ożywiona i zarumieniona, że prezentowała się całkiem atrakcyjnie. Lucinda w lot odgadła, co spowodowało tę przemianę - mężczyzna, który trzymał ją za rękę, uśmiechał się do niej, a poruszał się nieco sztywno, lecz z taką gracją, że Lucindzie chciało się płakać.

Coraz więcej gości zaczęło zwracać uwagę na tę parę, w rezultacie czego panna Margaret podnosiła głowę coraz wyżej, a to jeszcze bardziej dodawało jej wdzięku. Carroway ze swej strony zdawał się nie zauważać, że jest obserwowany przynajmniej przez połowę obecnych.

Lucinda zreflektowała się dopiero wtedy, kiedy omal nie wpadła na lorda Charlesa Daymore'a. Chwyciła go za rękę dosłownie w ostatniej chwili, aby nie pomieszać szyku tańczącym. Panowie i damy zmieniali akurat partnerów i łączyli się w pary z innymi.

W momencie gdy znalazła się naprzeciw Roberta, bezwiednie wstrzymała oddech.

- Witam! - rzuciła zdawkowo, kiedy ich ręce się zetknęły.

Wytrzymał jej spojrzenie, lekko skłonił głowę i wymamrotał pod nosem:

- Lekcja druga!

Zaraz potem puścił jej rękę i zmieszał się z innymi tancerzami. Kiedy wszyscy wrócili do swoich poprzednich partnerów, Lucinda zauważyła, że Geoffrey przygląda się przez ramię Robertowi tańczącemu z Margaret.

- Ten kulas nigdy z nikim nie tańczył! - mruzczał. - Co on wie o tej Heywater, czego ja nie wiem?

- Proszę, nie mów o nim tak brzydko! Może po prostu stara się być dla niej miły?

- Nietrudno się tego domyślić, zważywszy na to, że przynajmniej połowa jej karnetu na pewno nie jest zapisana.

Lucinda stłumiła uśmiech, bo zorientowała się, że Robert dokonał cudu. Gdyby to Newcombe tańczył z Margaret, wszyscy obecni panowie chcieliby wiedzieć, co się za tym kryje.

Tymczasem lord mocniej ścisnął jej rękę i szybko się poprawił:

- To bynajmniej nie oznacza, że jakakolwiek dama mogłaby odwrócić moją uwagę od ciebie, pani.

- Ależ ja wcale tak nie myślę - uspokoiła go, zastanawiając się w duchu, po co on to w ogóle powiedział. Czyżby spodziewał się, że będzie o niego zazdrosna? A może miałyby ku temu powody?

- Naprawdę nie domyślasz się, dlaczego on z nią tańczy? - dopytywał się.

- Nie mam pojęcia - skłamała gładko.

- Jak to, przecież rzekomo jest twoim przyjacielem?

- No to co? Nie pytałam go o takie rzeczy, podobnie jak on nie pytał mnie, dlaczego tańczę z tobą. - Poczwała się urażona jego wścibstwem. - Najlepiej będzie, jeśli sam z nią zatańczysz, to może się czegoś dowiesz.

Lord Newcombe obrzucił ją badawczym spojrzeniem, które zaraz złagodził uśmiechem.

- Przepraszam, Lucindo, przecież tańczę z panią, więc nie powinienem myśleć o nikim innym.

Panna Barrett odwzajemniła jego uśmiech na dowód, że się nie obraziła.

- Ofiarowałam ci dwa tańce, reszta wieczoru należy do ciebie.



Ledwo ucichła muzyka, a już przynajmniej ze sześciu panów, w tej liczbie i Geoffrey, obstało Margaret zgodnie z przewidywaniami Lucindy. Carroway tymczasem się ulotnił, ale spełnił dobry uczynek. Panna, która przypuszczalnie przez cały wieczór podpierałaby ścianę, dzięki niemu miała zapewnionych partnerów do każdego tańca. A kilku młodych ludzi, którzy w innym przypadku rozmawialiby pewnie o typach na wyścigi, zrobiło przynajmniej coś pożytecznego.

- Może napijesz się madery? - zaproponował Saint, wyłaniając się zza jej pleców.

- Owszem, chętnie. - Wzięła od niego kieliszek i z rozkoszą pociągnęła duży łyk. - Gdzie się podziała Evie?

- Właśnie wystawia moją cierpliwość na próbę - zażartował, wskazując na swoją małżonkę, ustawiającą się z Bradshawem do kadryla.

Lucinda rozejrzała się za swoim partnerem, ale Charles Weldon przyłączył się do gapiów otaczających pannę Margaret.

- A ty z kim dziś tańczysz? - spytała markiza.

- Tylko z Evelyn, chyba że ty potrzebujesz partnera.

- Myślę, że mam ich tylu, ilu trzeba, ale dziękuję za dobre chęci.

Znała przecież St. Aubyna od lat i wiedziała, podobnie jak większość członków londyńskich wyższych sfer, o jego fatalnej reputacji. Wszyscy wprawdzie zauważyli, jak bardzo się zmienił, odkąd poznał Evelyn, ale Lucinda, choć ceniła jego bystry umysł i cięty dowcip, nie mogła nigdy przewidzieć, co on powie lub zrobi.

- Czegoś jestem ciekaw... - rzucił, nie spuszczać z oka Evie ani Bradshawa.

- Czego takiego?

- Przecież twoja rodzina jest zaprzyjaźniona z Carrowayami, prawda? Co więc zaszło między twoim ojcem a Robertem?

Lucinda spojrzała markizowi w oczy, bo miała przeczucie, że coś się święci. Przecież jej ojciec nie dzielił się z nikim swoimi wątpliwościami co do Roberta - a już na pewno nie z najbliższymi przyjaciółmi!

- Nie wiem, co masz na myśli - odparła wymijająco.

Saint wzruszył ramionami.

- Może błędnie oceniam Roberta, ale spodziewam się kłopotów - zaśmiał się ponuro.

Lucinda wiedziała jednak, że Saint nigdy nikogo źle nie ocenił. Wiedziała również, że jej ojciec nie miał najlepszego zdania o Robercie, ale nie podejrzewała, że ten ostatni mógł odwzajemniać to uczucie.

- Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem? - spytała, marszcząc czoło.

- Wiem tylko jedno, że twój partner czeka na ciebie. - St. Aubyn uśmiechnął się rozbijając, a po chwili wziął ją pod ramię, przysunął się bliżej i szepnął: - Jasne, że chciałbym zaspokoić swoją ciekawość, ale nie chcę się tym z nikim dzielić.

- Hm, to nawet wygodne! - wszedł mu w słowo Charles, więc Lucinda odwróciła się do niego i ujęła go pod ramię. - Czy mogę panią prosić do kadryla?

Ledwo rozpoczęli taniec, a znów natknęła się na Roberta. Tym razem tańczył z Hyacinth Styles, dziewczyną miłą, ale chorobliwie nieśmiałą. Jej pojawienie się na parkiecie stanowiło dla obecnych podobną niespodziankę, jak udział Roberta w przyjęciu. Oboje znajdowali się mniej więcej w połowie sali, co drażniło Lucindę, gdyż - co musiała przed sobą przyznać - chciałyby porozmawiać z panem Carrowayem.

W tę samą stronę patrzyła Evie, jak również Bradshaw, choć Lucinda w duchu pomyślała, że lepiej by zrobił, gdyby pilnował męża Evie. Rzuciła okiem na Sainta, który stał na boku w towarzystwie Tristana i Georgiany. Wiedziała, że nie wspomnieliby o konflikcie między Robertem i generałem, gdyby nie był tego pewien.

Ciekawe, o co chodziło i dlaczego nie domyśliła się tego wcześniej? Wprawdzie wieloletni spór Georgiany z Tristanem ograniczał jej kontakty z Carrowayami, ale teraz już od z górą roku żyli w zgodzie. A jednak do niedawna jej ojciec nigdy nie wymieniał nazwiska Roberta, przynajmniej nie w jej obecności.

- Panno Barrett, czy wybiera się pani w sobotę do Vauxhall? - spytał Charles w trakcie wykonywania obrotów. Wymuszona wesołość w jego głosie przypominała jej, że podczas tańca ani razu się do niego nie odezwała. Aż się uśmiechnął, kiedy podniosła na niego oczy. - Słyszałem, że ma się tam pojawić sam regent!

- Owszem, wybieram się ze znajomymi.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się do niej z nadzieją w oczach.

- Tak - odpowiedziała, zastanawiając się, jakby dyplomatycznie dać mu do zrozumienia, że nie jest zaproszony. - To doprawdy wstyd, że dotąd wynajmowaliśmy tylko jedną małą lożę. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli o przyjeździe księcia, spróbowalibyśmy znaleźć coś większego, żeby wszyscy się zmieścili.

- O, z całą pewnością.

Odkąd Charles wspomniał o Vauxhall, nie przestawała zachodzić w głowę, czy Robert też się tam wybierze. Westchnęła, bo powinna była raczej się martwić, czy dołączy do nich lord Newcombe. Tristan miał go zaprosić, ale wolała dla pewności zapytać o to jego żonę.

Akurat skończył się taniec i Charles odprowadził Lucindę do lorda i lady Dare. Kiedy zostały same, Georgiana otoczyła ją ramieniem i szepnęła jej do ucha:

- Jak dużo Mały wie o twojej liście?

- Cóż, nie wykluczam, że mogłam mu wspomnieć, jakie to przykre, kiedy podczas tańca damy siedzą pod ścianami, choć panowie są w zasięgu ręki - wykręciła się sianem.

- Aha, rozumiem.

Lucinda złękła się, że Georgie obrazi się na nią lub, co gorsza, oskarży ją o próbę uwiedzenia Roberta. Lecz przecież nie zrobiła nic złego, a kto jak kto, ale Robert wiedział, że obiektem jej zainteresowania jest lord Geoffrey.

- Prosił, żebym mu powiedziała - odszepnęła. - Ale on i tak wie, że wybrałam Geoff...

Wicehrabina cmoknęła ją w policzek.

- To nic, najważniejsze, że tu jest i że tańczy - skwitowała znacząco. - Cokolwiek go do tego natchnęło, chwała Bogu i za to.

Ktoś od tyłu dotknął ramienia Lucindy. Był to Tristan, który ku jej zaskoczeniu ucałował ją w drugi policzek.

- Nie rozumiem, co się tu dzieje, ale Georgie chyba podejrzewa, że to twoja sprawka! - zażartował.

Lucinda odchrząknęła.

- Myślę, że Robert sam tego chciał, a ja tylko dostarczyłam mu wymówki - wyjaśniła. - To zasługa Roberta albo wasza, ale na pewno nie moja.

Przez resztę wieczoru na sali wirowały w tańcu jedwabne suknie i poły fraków. Robert Carroway przetańczył wszystkie tańce, ale ani jednego z Lucindą. W miarę jak robiło się coraz później, zauważała nasilające się napięcie jego ramion i grymas na twarzy, ale wytrwał aż do końca. Dzięki niemu wiele młodych dam, które zazwyczaj podpierały ściany, nagle znalazło chętnych do wpisania się w ich karnety, a nawet otrzymało zaproszenia na pikniki w późniejszych dniach tygodnia.

Newcombe'a spotykała niewiele częściej niż Carrowaya. Wprawdzie między tańcami często ogłaszano przerwy na przekąskę, ale wtedy lord był zajęty wpisywaniem się do karnetów dam, z którymi prawdopodobnie nigdy przedtem nie zamienił ani słowa. Przez chwilę nawet zastanawiała się, czy nie unika jej celowo, ale gdyby nawet posiadał taką intuicję jak Robert, trudno byłoby się tego po nim spodziewać.

Ostatnią pozycję w karnecie stanowił walc, dopiero wtedy Geoffrey znów pojawił się u jej boku.

- Zatańczymy? - zaproponował, podając jej rękę.

Przyjęła ją, ale idąc z nim na parkiet, nie mogła powstrzymać się od kąśliwej uwagi:

- Dziś wieczorem byłeś chyba mocno zajęty! - Stłumiła śmiech na widok jego rozdrażnionej miny.

- Dobrze, że nareszcie ktoś to zauważył. Popatrz, on jeszcze nie ma dość!  
- Wskazał na drugi koniec sali, gdzie Robert prowadził na parkiet pannę Jane Melroy. - Ten kulas chyba zawziął się, żeby obtańcowywać wszystkie brzydactwa w Londynie. - Z pogardliwym parsknięciem dodał: - Może to jedyne, na co go stać?

Lucinda oswobodziła rękę z jego uchwytu. Może powinna była dodać do swojej listy jeszcze jedno proste przykazanie: "Zachowywać się jak dżentelmen", ale lord przecież doskonale wiedział, że ona i Robert byli przyjaciółmi!

- Przepraszam cię, Geoffreyu - odsunęła się od niego - ale widzę, że mój ojciec jest zmęczony. Będę musiała odwieźć go do domu.

Uśmiech od razu znikł z jego oblicza.

- Obraziłem panią, Lucindo? Proszę o wybaczenie.

- To ja cię prosiłam, żebyś go tak nie nazywał. Nie mnie obraziłeś, Geoffreyu.

Chwytał ją za ramię i usiłował zatrzymać.

- Zobaczymy się w Vauxhall, prawda?

- Owszem, będę tam. - Lucinda wypuściła z płuc powietrze.

Nie tak miał się zakończyć ten wieczór, ale nie zamierzała pozwolić, aby jeden z jej przyjaciół wyrażał się obelżywie o drugim.

- Dobranoc.

- Lucindo! - nalegał, nie wypuszczając z palców jej rękawa, aż wyrwała go siłą.

- Przypuszczam, że usiłowałeś być dowcipny, ale nie znoszę, gdy ktoś bawi się kosztem innych. Żegnam cię!

Generał chyba wyczuł, że coś się święci, gdyż porzucił kompanię dawnych towarzyszy broni i dołączył do córki.

- Co się stało, kochanie?

- Nic, właśnie dochodzę do konkluzji i możemy już jechać do domu.

- Dla ciebie wszystko, choćby po to, aby zakończyć twoją konkluzję wykrzyknikiem.

- Dziękuję, tato. - Lucinda ujęła go pod ramię.

- Ale to chyba nie znaczy, że damy sobie spokój z Geoffreyem? - upewniał się szeptem, torując drogę do drzwi wyjściowych.

- Skądże, chciałam go tylko pouczyć, że powinien mieć większy wzgląd dla tych, którzy nie są tak doskonali jak on.

- Nie wyglądał na zachwyconego.

- No i dobrze.

Przechodzili już przez dwuskrzydłowe drzwi, lecz Lucinda nie mogła się oprzeć, aby nie spojrzeć jeszcze raz za siebie. Zauważyła, jak lord Newcombe drobnym kroczkiem wycofywał się ku przeciwnym drzwiom, sztywno wyprostowany, aby nie dać po sobie poznać gniewu. Tymczasem Robert w tańcu spojrział na nią znad głowy partnerki i rzucił jej przelotny uśmiech.

Panna Barrett wsiadała już z ojcem do powozu, gdy nagle zmarszczyła czoło. Wyglądało na to, że Robert rzeczywiście umiał czytać w myślach, a to wróżyło jej nie lada kłopoty.

## 11

*Żadne przypadki życiowe nie są tak zmienne jak ludzkie uczucia.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Robert obudził się, kiedy na dworze było już całkiem jasno. Spodziewał się, że po tak urozmaiconym wieczorze nie będzie mógł zasnąć ani należycie się odprężyć, a tymczasem wprawdzie czuł się zmęczony, ale rozluźniony i... zadowolony! Dokonał bowiem tego, co zaplanował - wytrwał cały wieczór i tańczył wszystkie tańce. Może nie wykazywał zbytnej elokwencji, ale nad tym przecież mógł jeszcze popracować.

Usiadł na łóżku, opuścił nogi i chciał wstać, zaraz jednak osunął się na podłogę. Zaklął, ale od razu zrozumiał, co się stało. W kolanie czuł pulsujący

ból, tak silny, że nie mógł się na tej nodze oprzeć i musiał podciągnąć się na słupku łóżka. To by się nawet zgadzało, bo przejęty obawą, aby atak panicznego lęku nie dopadł go na środku sali balowej, nie miał już czasu pomyśleć, jak cztery godziny tańca mogą wpłynąć na jego niesprawną nogę.

Klnąc siarczyście, pokuśtykał do szafy, ale zdążył zaledwie wyjąć spodnie, a już musiał usiąść, aby je włożyć. W takich właśnie przypadkach przydałby mu się służący! Chwilowo jednak nie miał takowego pod ręką. Spojrzał w lustro. Nie przeraził go widok mocno zmierzwionych włosów i wczorajszego zarostu, bo nieraz się takim widywał. Przyglądał się jednak swemu odbiciu tak długo, że zdążyłby w tym czasie włożyć koszulę.

Zanim jednak się ubrał, odruchowo spojrzał na swoje stare blizny. Jedna, pod lewą łopatką, miała swój odpowiednik wysoko na plecach, gdzie znajdował się wylot kuli. Druga, większa, marszczyła skórę nad lewym biodrem, a naprzeciwko niej biały ślad po nożu hiszpańskiego chirurga, który przez dwadzieścia minut grzebał w tym miejscu, poszukując kuli. Ostatecznie jej nie znalazł - została gdzieś w ciele.

Biała, podłużna blizna na prawym ramieniu pozostała po draśnięciu pierwszą kulą, ostatnia, wymierzona w lewe kolano w tamtej strasznej chwili, ścięła go z nóg.

Sięgnął do komody, skąd udało mu się wydostać czystą koszulę. Odsunął się od lustra i wrzucił ją przez głowę. Pod delikatnym, białym materiałem blizny zniknęły, ale wiedział, że z jego pamięci nie znikną nigdy.

Ogolił się, umył i dokończył toalety. Niestety po buty musiał sięgnąć pod łóżko i przy tej czynności znowu wylądował na podłodze. W tym momencie zaczął żałować, że przed dwoma laty odrzucił laskę.

Podczas gdy się zastanawiał, jakim sposobem zejdzie na śniadanie, ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść!

Drzwi otworzył Edward. Odruchowo skierował wzrok ku oknu, gdzie Robert zazwyczaj siadywał z książką. Uniósł jednak brwi ze zdziwienia, gdy dostrzegł starszego brata siedzącego na podłodze i w jednym bucie.

- Co ty robisz?

- Ubieram się. A co ty tu robisz?

- Przyszedłem po ciebie. Dlaczego siedzisz na podłodze?

Robert naciągnął drugi but.

- Naprawdę? Musiałem nie trafić na łóżko. Kto tam jest na dole?

- Wszyscy, ale...

Robert nie dał mu dokończyć.

- Dobrze, więc poproś, żeby Shaw do mnie przyszedł. Albo Andrew. Oni nie zadają tylu pytań, co Tristan.

Edward ze świstem wypuścił powietrze.

- Ale najpierw mogę ci coś powiedzieć?

Robert oparł się o ramę łóżka i założył ręce na piersi.

- Proszę, mów.

- Na dole jest ktoś do ciebie. Po to właśnie przyszedłem, żeby ci o tym powiedzieć.

- Kto taki? - Serce na chwilę jakby przestało mu bić.

- Lucinda. Rozmawia teraz z Georgie. Mówiła, że jej się nie spieszy, ale...

Robert z wysiłkiem chwycił się słupka łóżka i jakoś podciągnął się do postawy stojącej. Wyzbył się już lęku wywołanego niepewnością, z kim będzie zmuszony rozmawiać, ale radosne oczekiwanie też nie poprawiało mu samopoczucia.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, ale teraz poproś, żeby przyszedł tu Shaw albo Andrew - przypomniał Edwardowi, który gapił się na niego z szeroko otwartą buzią.

- A co, znów złamałaś nogę?

- Nie, tylko sforsowałem, ale niegrzecznie byłoby kazać Lucindzie czekać, prawda, Cherlaku? Więc bądź tak dobry i przyprowadź któregoś brata wyższego od siebie.



- Ja ci pomogę! - zaofiarował się chłopiec i zamiast wyjść, podszedł bliżej.

- Rzeczywiście, przygniótłbym cię i wtedy obaj potrzebowalibyśmy pomocy.

Edward przymrużył jedno oko i oszacował wzrost i masę brata.

- Pewnie byś mnie przygniótł - zgodził się w końcu. - Nigdzie nie wychodź, zaraz wracam.

Rzucił się do drzwi, więc Robert zawołał za nim:

- Tylko zrób to...

Jednak braciszek go nie słuchał, tylko zbiegał na dół, obwieszczając donośnie:

- Shaw! Andrew! Małemu coś się stało! Trzeba mu pomóc!

- ...dyskretnie! - Robert skończył zdanie z westchnieniem, ale mimo wszystko także z uśmiechem.

Nie zdążył nawet doliczyć do pięciu, a już na schodach zadudniły kroki. Skrzywił się, bo nie miał zamiaru stawiać na nogi całej rodziny. Wystarczające piekło urządził im po swoim powrocie z Europy.

- Mały, co ci... - Shaw zatrzymał się w drzwiach jak wryty. Zdyszany, obrzucił spojrzeniem najpierw zatroskanym, a potem zaskoczonym brata, który z lekko zgiętą nogą opierał się o dębowy słupek.

- Wszystko w po...

- Co się stało? - wykrzyknęli jak na komendę Tristan i Andrew, wpadając od tyłu na Bradshawa. Na pięty następował im kamerdyner i trzech lokajów.

Tymczasem Robertowi przyszła do głowy przerażająca myśl.

- Tylko powiedzcie szybko, że Georgie nie biegnie tu za wami! - poprosił.

- Nie, kazałem jej zostać na dole z Lucindą. Ale co tobie się przydarzyło, do stu tysięcy fur beczek?

- Nic takiego... - zaczął, ale na widok niedowierzających spojrzeń rozwinął odpowiedź: - Po prostu przez noc kolano mi trochę zeszywniało, więc

poprosiłem Cherlaka, żeby mi przysłał kogoś, kto pomógłby mi zejść na dół. Edward trochę... przesadził.

Shaw skrzywił się z niesmakiem.

- No, to trzeba nam będzie pogadać z Cherlakiem, żeby mu wytłumaczyć, w jakich okolicznościach można przyprawiać ludzi o apopleksję - podsumował i zwrócił się do Tristana: - Pozwolisz, prawda?

- Oczywiście.

- Dobrze więc, chłopcy, chodźmy stąd. - Pierwszy zaczął sobie torować drogę przez tłum ciekawskich.

- Słyszeliście, co panicz mówił? - poparł go Tristan. - Dawkins, Henry i wy wszyscy, wyjdźcie.

- Tak jest, proszę jaśnie pana. - Kamedyner dał lokajom i tłoczącym się za nimi pokojówkom sygnał, aby wrócili do swoich zajęć. Dopiero wtedy wicehrabia, a za nim Andrew, weszli do pokoju Roberta.

- Boli cię coś? - wypytywał Tristan.

- Nie - skłamał Robert, bo przecież ostatnie lata były dla niego jednym pasmem bólu. Po prostu zdążył się już do tego przyzwyczać.

Starszy brat przez chwilę mu się przyglądał i zawyrokował:

- Pomożemy ci teraz zejść na dół, a potem pošlę po lekarza, aby obejrzał twoje kolano. Nie powinieneś być tak bardzo się...

- O, nie - przerwał mu Robert, aż wzdrygnął się na samą myśl o tym. - Żadnych lekarzy!

- Ależ, Mały...

- Nie. - Miał już serdecznie dość zarówno uzalania się nad sobą, jak i opukiwania i szturchania pięścią wielkości szynki. Z dwojga złego wolał zwyczajne tortury, bo wtedy nie wmawiano mu przynajmniej tonem pobłażliwej wyższości, że to dla jego dobra.

Lord Dare ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- Dobrze więc, na razie damy sobie spokój z lekarzami - zgodził się. - Chyba że poczułbyś się gorzej...

Robert nie kontynuował tej dyskusji, gdyż mogła przerodzić się tylko w kłótnię, w której byłby górą, bo brat obawiałby się go urazić. W tej chwili wołał raczej jak najprędzej znaleźć się na dole.

- Podaj mi tylko rękę - poprosił.

Kiedy Andrew podtrzymał go pod prawe ramię, a Tristan pod lewe, mógł w miarę pewnym krokiem zejść po schodach i dotrzeć do pokoju śniadaniowego. Tymczasem Shaw zdążył poinformować zebranych, że zdrowiu Roberta nic nie zagraża, a zawstydzona twarz Edwarda świadczyła, iż otrzymał już reprimendę za wszczynanie fałszywych alarmów.

Robert uwolnił się od pomocnych ramion braci, gdy tylko znalazł najbliższe wolne krzesło. Ledwie się upewnił, że nikt już niepotrzebnie się o niego nie lęka, od razu zainteresował się Lucindą. Od chwili wejścia do pokoju nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, ale obawiał się, że nie da rady ukryć, jak się z tego cieszy. W końcu byli tylko przyjaciółmi.

Oczywiście nie obeszło się bez tego, że jej orzechowe oczy prześliznęły się po jego zgiętej nodze, zanim znów zatrzymały się na jego twarzy. Domyślał się, co takie spojrzenie mogło oznaczać. Pewnie coś w tym rodzaju: *No tak, nie możemy przecież zapominać, że Robert Carroway jest kaleką. Musiał chyba zwariować, żeby w takim stanie próbować tańczyć, a teraz nie może nawet chodzić!* Nie wątpił, że Lucinda, kiedy sobie to uświadomi, poszuka pierwszej lepszej wymówki, aby stąd wyjść.

Ona tymczasem uśmiechnęła się do niego.

- Przyszłam zapytać, czy nie poszedłbyś ze mną na spacer, pokazać mi, jak rosną twoje róże. Na razie jednak musimy zapomnieć o spacerze. Wystarczy, że mi o nich opowiesz.

Robert przełknął ślinę, bo w sukni z żółtego muślinu panna Barrett wyglądała jak wiązka promieni słonecznych.

- W sypialni ciotki Milly powinna być jej laseczka - przypomniał sobie. - Mógłbyś mi ją przynieść, Cherlaku?

- Oczywiście, już biegnę! - Edward ucieszył się, że będzie miał okazję opuścić pokój.

- Robercie, powinieneś odpo... - syknął mu do ucha Tristan, ale brat nie dał mu dokończyć.

- To się świetnie składa, panno Barrett - wszedł mu w słowo. - Chciałem właśnie zasięgnąć pani rady co do jednej sadzonki.

- Chętnie jej udzielę. - Lucinda uśmiechnęła się zyczliwie. - Lubię udawać, że się na czymś znam.

Po chwili zjawił się Edward z laseczką ciotki Milly. Robert spróbował oprzeć się na niej całym ciężarem. Wątła trzcinka była za krótka na jego wzrost, a kolano bolało niemiłosiernie, ale postanowił, że to wytrzyma. Wiedział już, że może wytrzymać prawie wszystko.

- Idziemy? - zapytał, przepuszczając Lucindę przodem.

Jakimś cudem udało mu się dotrzeć do drzwi frontowych i zejść ze stromych schodków. Jednak na jego twarzy odmalowało się źle skrywane napięcie, więc Lucinda pośpieszyła, aby podtrzymać go za ramię.

- Dam sobie radę - warknął, wzdrygając się na dotknięcie jej ręki. - Nie potrzebuję pomocy! - Zaszło mu jednak w gardle, gdy napotkał spojrzenie jej orzechowych oczu.

- Ja ci wcale nie pomagam - oświadczyła. - Przeciwnie, próbuję cię zmusić, abyś zaczął zachowywać się jak dżentelmen, który asystuje damie.

Wsunęła pod jego ramię także i lewą rękę. Miała na sobie suknię z krótkimi, bufiastymi rękawkami, więc nic nie zakrywało jej ramion, nagich aż po nadgarstki, dokąd dochodziły krótkie, koronkowe rękawiczki, tyleż modne, co niepraktyczne. Ciepło jej skóry przenikało przez materiał koszuli Roberta i przyjemnie go grzało.

- Czy to twoja kolejna lekcja? - wykrztusił, dziękując Bogu, że jego głos zabrzmiał normalnie.

- Bynajmniej, to po prostu zasada dobrego wychowania.

Lucinda usilnie starała się udawać, że wcale mu nie pomaga. Dzięki temu jakoś dotarł do swego ogródka za stajnią i nawet nie przewrócił się po drodze.

- Wyglądają zdrowo - pochwaliła sadzonki.

- Jako nawozu użyłem fląder.

- Dobrze, bo to najlepsze podłoże pod róże. Widzę nawet, że zaczęły wypuszczać młode listki. O, tu i tu...

Robert nie spuszczał wzroku z jej twarzy, choć widział, że zasłony w oknach biblioteki wyglądają, jakby miały dostać apopleksji, co oznaczało, że zza nich obserwuje ich cała jego rodzina.

- Ale ty nie przyszedł tu, żeby zobaczyć, jak listki rosną, prawda? - stwierdził.

- Rzeczywiście nie - odpowiedziała bez wahania. - Przyszłam po to, aby podziękować ci za wczorajszą wieczór. Przeprowadziłeś moją lekcję lepiej, niż ja bym kiedykolwiek zdołała. Byłeś wspaniały.

- Udało mi się tylko dzięki tobie. - Wzruszył ramionami. - Gdyby Geoffrey nie podejrzewał, że coś do mnie czujesz, nie zauważyłby niczego, ani on, ani nikt inny.

Czyżby rzeczywiście coś do niego czuła? Jeśli tak, mogła być nim najwyżej zauroczona jak pensjonarka, ale to nie polepszało jej sytuacji. Nie odrywając oczu od róż, Lucinda zastanawiała się, czy on nie zdawał sobie sprawy, jak magnetyczny wpływ wywierał na kobiety. Nie tylko ona z Geoffreyem obserwowali go wczoraj wieczorem. Ze swą niesforną, czarną czupryną i przenikliwymi, niebieskimi oczyma mógł uchodzić za wytwór fantazji poety. Aura tajemniczości, jaka go otaczała, dodawała mu jeszcze powabu, i to nie tylko w jej oczach. Słyszała, co szeptały między sobą panie obecne na balu.

- W każdym razie dziękuję ci, jakkolwiek tego dokonałeś - podsumowała.  
- Te dziewczęta wyglądały na takie szczęśliwe! Wiem, że nie przyszło ci to łat...

- Ze mną jest wszystko w porządku! - przerwał.

Lucinda odniosła wrażenie, że powtarzał tę formułę automatycznie, ilekroć ktoś okazywał mu troskę lub współczucie.

- Wcale nie jest! - zaprzeczyła. - Przez te moje lekcje nadwyrężyłeś sobie nogę.

Niby nie zmienił położenia ciała, ale poczuła, że się od niej trochę odsunął.

- To tylko moje kolano. Czasem sztywnieje, kiedy za długo się na nim opieram. Czyżbyście się pokłócili z Geoffreyem?

Lucinda aż zamrugnęła oczami. No tak, on musiał to zauważyć, bo nie przed nim nie dałoby się ukryć.

- Tak, bo wyraził się lekceważąco o jednej z dam, a ja tego nie lubię. - Urwała, bo pomyślała, że skoro Robert może tak niefrasobliwie przeskakiwać z tematu na temat, to i ona może postąpić podobnie. - Otrzymałeś postrzał w to kolano, prawda?

- Tak - potwierdził, przy czym zadrżał mu napięty mięsień policzka. - Ale czy on tak się wyrażał tylko o damach? Chyba o mnie też coś mówił.

- Może i tak. - Lucinda wzięła głęboki oddech. - To mi się także nie podobało.

- Za to mnie ustawił na pozycji swego potencjalnego rywala - zauważył Robert, idąc powoli w kierunku stajni. - Jeśli mnie obraża, to właściwie dobry znak...

- Nigdy nie jest dobrym znakiem, jeśli ktoś kogoś obraża - zaprotestowała gwałtownie. - Obaj mieliście podobne przejścia na froncie. Jeśli ktoś nie szanuje swego towarzysza broni, to ja...

- Nie mieliśmy podobnych przejść na froncie - przerwał jej. - On tylko myśli, że mieliśmy, bo wszyscy tak myślą. To dlatego...

Odchrząknął i zaczął z zupełnie innej beczki:

- Jak wyglądają mszyce?

- Mszycami nie musisz się martwić, dopóki nie dochowasz się kwiatów - odpowiedziała, stając przed nim i zagrządzając mu drogę. Czuła jednak, że nie zdałoby się to na nic, gdyby miał sprawną nogę. - Zaczęłeś coś mówić. To dlatego, że... co?

- Nic.

- Nie, tam nie było żadnego "nic". Proszę cię, dokończ, co zacząłeś.

Robert potrząsnął głową i spojrzał w kierunku stajni, jakby chciał tam uciec. Lucinda była jednak zdecydowana pójść za nim, w razie gdyby się wykręcił od odpowiedzi. Zauważyła bowiem, że unika pewnych tematów, a Georgie nieraz czyniła już do nich aluzje. Chciała ostatecznie dowiedzieć się, skąd się wziął jego uraz.

- Chciałem powiedzieć, że dlatego oni wszyscy mną pogardzają - wymamrotał.

- Mylisz się, Robercie, nikt nie ma prawa tobą pogardzać - zgromiła go ostro, zła na samą siebie, że sprowokowała go do takiego wyznania. - Przecież byłeś ranny i to kilkakrotnie. Nawet Wellington nazwał cię bohaterem za twoje zasługi pod Waterloo. Nie możesz...

Wyszarpnął ramię z jej rąk i pokuśtykał do stajni.

- Nie miałem żadnych zasług pod Waterloo! - syknął, znikając w jej wnętrzu.

Lucinda natychmiast weszła tam za nim i gestem nakazała trzem obecnym masztalerzom, aby wyszli.

- Ależ wszyscy wiedzą, jak się odznaczyłeś! - przekonywała. - Bez względu na to, jaki Wellington miał program polityczny...

- Nawet tam nie byłem, do wszystkich diabłów! - warknął Robert, podchodząc do boksu swego gniadego wierzchowca. Tolley wystawił głowę na zewnątrz, trącąc swego pana nosem w ramię. - Proszę cię, zostaw mnie samego!

Lucinda jednak nie dawała się tak łatwo zbyć. Carroway stał odwrócony do niej tyłem, więc patrzyła na jego plecy i zastanawiała się, o co tu chodzi. Przecież wszyscy słyszeli o jego bohaterskich czynach i ranach odniesionych pod Waterloo. Pamiętała, kiedy stamtąd wrócił, jako jeden z pierwszych brytyjskich żołnierzy, trzy dni po bitwie. Nawet kurier Wellingtona potrzebował aż dwóch dni, aby zanieść wiadomość księciu Jerzemu, choć miał do dyspozycji konia i specjalny okręt czekający na niego przy brzegu.

- Próbujesz zgrać to wszystko w czasie, prawda? - Robert przemówił ściszym głosem. - Jako nieodrodna córka generała Barretta wiesz na pewno, jakimi drogami można przesyłać meldunki lub siły zbrojne. Chwała Bogu, że wieści o bitwie dotarły do Londynu przede mną, bo dzięki temu nikt nawet się nie ośmielił zadawać mi żadnych pytań.

*Boże, co się za tym kryje?* - pomyślała, a głośno zapytała:

- Więc co się z tobą wtedy działo? - Równocześnie podeszła do niego bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. Pod palcami poczuła skurcz jego napiętych mięśni. - W jakich okolicznościach zostałeś ranny?

Gwałtownym ruchem obrócił się twarzą do niej, przeszywając ją udreńczonym spojrzeniem płonących oczu.

- Przecież wcale nie chcesz tego wiedzieć.

- Owszem, chcę.

- I zaraz powtórzysz swemu ojcu, prawda?

Próbował wymknąć się za jej plecami, ale jego chora noga dawała Lucindzie przewagę, więc przyparła go do drzwi boksu i wyrwała mu z ręki laskę, chowając ją za sobą.

- Nie mam zamiaru mówić o niczym mojemu ojcu.

- Dlaczego?

- Ponieważ ty tego nie chcesz.

Robert na chwilę przymknął oczy, a jego oddech stał się ciężki i chrapliwy. Kiedy znów spojrzał na Lucinę, nie była w stanie nic odczytać z wyrazu jego twarzy.

- A dlaczego o to pytasz? - wykrztusił w końcu.

- Bo jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele troszczą się o siebie nawzajem. - Wyciągnęła rękę i położyła ją na wysokości jego serca. Może nie powinna była go dotykać, ale tylko w ten sposób mogła liczyć na jakąś reakcję. Zabawne, bo dotknięcie Geoffreya nie powodowało u niej gęsiej skórki. - Przyjaciele potrafią też dochowywać tajemnicy. Jeśli więc chcesz mi powiedzieć, to powiedz, a jeśli nie - nadal pozostaniemy przyjaciółmi.

Przez dłuższą chwilę Carroway patrzył jej w oczy, zanim wyrzucił z siebie:

- Słyszałaś kiedyś o Chateau Pagnon?

- Skądś znam tę nazwę. - Zmarszczyła czoło. - To chyba gdzieś w południowej Francji?

- Spędziłem tam siedem miesięcy.

Zabrzmiało to, jakby przebywał w tym dziwnym miejscu na wakacjach, ale Lucinda wiedziała, że o czymś takim nie mogło być mowy.



- Co tam robiłeś?

Robert otworzył już usta, ale zamiast odpowiedzi wyrwał się z nich nieartykułowany pomruk.

- Nie chcę więcej o tym mówić... - wyszeptał i nachylił się do jej ust.

Równocześnie, jakby instynktownie, Lucinda zadarła głowę do góry, chwyciła go za klapy surduta i podciągnęła się na nich, aby ciasniej przylgnąć do jego muskularnej piersi. Pragnęła go i pożądała tym silniej, im mocniej przywierał do jej ust swoimi. Najpierw zdawało się jej, że przenika ją swoim oddechem, później - że ją wchłania. Czuła pulsowanie gorąca w stosie pacierzowym, które nasilały ruchy jego rąk.

Pierwszy pocałunek miał charakter próbny, jakby Robert dopiero przypominał sobie, jak to należało czynić. Natomiast ten nie pozostawiał już ani cienia wątpliwości, czego pragnął: jej!

Rozsądek nie od razu nadażył za odruchami ciała, więc Lucinda dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wydaje namiętne jęki i pije słodycz z męskich ust. Próbowwała Roberta odepchnąć, prosząc:

- Przestań już!

Puścił ją w jednej chwili.

- Och, przepraszam - zreflektował się, dotykając swych warg. - Naprawdę nie chciałem...

- Nie chciałeś mnie pocałować? - weszła mu w słowo, cofając się tak gwałtownie, że omal nie potknęła się o jego pożyczoną laskę. - To i dobrze.

- Nie chciałem cię martwić - poprawił się, niezgrabnie próbując wyplatać swą trzcinkę z fałdów jej spódnicy. - Bo pocałować cię chciałem, i to bardzo!

- A dlaczego? - wyjąkała, czując, że nawet w cienkiej, muślinowej sukni robi się jej dziwnie gorąco.

- Gdybym ci to powiedział, wątpię, czy nadal moglibyśmy pozostać przyjaciółmi - wyznał, nie spuszczając wzroku z jej ust. - A przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Chętnie odpowiedziałaby mu na to, że nigdy jeszcze nie miała przyjaciela, który potrafiłby tak całować, że serce tłukło się między żebrami jak ptak w klatce. Wiedziała jednak, że gdyby dała mu do zrozumienia, iż posunął się za

daleko, odsunąłby się od niej i nie dotknąłby jej więcej, nie mówiąc już o całowaniu. A ona, póki co, nie miała zamiaru z żadnej z tych rzeczy rezygnować.

- Zgoda, jesteśmy przyjaciółmi - przytaknęła, wygładzając przód sukni. Jeżeli chciał przez to powiedzieć, że jej pożądał - uczucie to było całkowicie odwzajemnione. No, a jeśli nie traktował tego poważnie, tylko nie chciał jej martwić - każda kobieta, którą całował z takimi intencjami, musiała omdlewać z rozkoszy w jego ramionach. - Oczywiście, że jesteśmy.

Robert otrząsnął się i rozejrzał dookoła takim wzrokiem, jakby zapomniał, że znajdowali się w stajni.

- Lepiej będzie, jeśli odprowadzę cię z powrotem do Georgiany - zdecydował, podpierając się laseczką i podając Lucindzie ramię.

- Masz rację, bo twoja rodzina już się na pewno zastanawia, co też wyrabiamy z tymi różami.

Przy wyjściu ze stajni Robert ponownie się zatrzymał.

- Wybierasz się może do Vauxhall na pokaz fajerwerków?

- Tak, a ty?

- Spróbuję, ale musisz mi powiedzieć, na czym będzie polegać twoja trzecia lekcja z lordem Geoffreyem.

Następnie odprowadził ją do porannego saloniku i zostawił z bratową, a sam znikł gdzieś w zakamarkach domu. Wprawdzie Lucinda uwielbiała przebywać w towarzystwie Georgiany, ale tego ranka marzyła tylko o tym, aby jak najszybciej zakończyć wizytę i wracać do domu.

Po pierwsze chciała dokładniej przemyśleć problem, dlaczego Geoffrey nie pocałował jej dotąd ani razu, podczas gdy Robert zrobił to dwukrotnie, a po drugie - przypomniała sobie, że jeszcze nie wszystkie pamiętniki swego ojca zdążyła przejrzeć. Może się myliła, ale wydawało się jej, że w którymś z frontowych dzienników generał wspominał coś o Chateau Pagnon. Tak się jakoś złożyło, że nagle zapalała chęcią dowiedzenia się prawdy.

## 12

*Minęło trochę czasu, zanim dowiedziałem się o przeszłości moich przyjaciół.*

*- Potwór, "Frankenstein"*

- Dzień dobry, panienko - przywitał ją Ballow, otwierając frontowe drzwi.  
- Nie spodziewaliśmy się panienki przed obiadem.

- Pan generał w domu? - zagadła szybko, żałując, że nie umie, tak jak Robert, wykręcać się od kłopotliwych pytań.

- Pojechał na jakieś zebranie w kwaterze głównej Gwardii Konnej. Czy mam kazać Albertowi przynieść panience herbaty?

- Nie, dziękuję, muszę coś... to znaczy, będę w gabinecie pana generała - zbyła kamerdynera, podając mu szal i kapelusz.

- Oczywiście, proszę jaśnie panienki.

Lucinda minęła służącego i siląc się na najbardziej obojętną minę, skierowała się do gabinetu ojca. To, że ogarnęło ją w tej chwili takie podniecenie, jakby wypijała tuzin filiżanek mocno osłodzonej kawy, nie oznaczało, że powinna robić z siebie widowisko. Skończyło się przecież tylko na pocałunku, do którego nie powinno było dojść, i choć rozpałił w niej żywy ogień - był to jednak tylko pocałunek.

Zeszyty z frontowymi dziennikami, których Augustus Barrett nie zdążył jeszcze wydać drukiem, leżały na bocznym stoliku uporządkowane według dat. W zależności od tempa działań wojennych zapiski dotyczące określonej kampanii mogły być bardzo pobieżne - tu przydawały się wspomnienia Geoffreya - lub dokładne w najdrobniejszych szczegółach. W przypadkach bardziej drastycznych incydentów generał posługiwał się omówieniami lub

aluzjami, nie wdając się w detale. Twierdził bowiem, że nie przystoi to dżentelmenowi.

Lucinda najpierw przekartkowała zeszyt leżący na wierzchu, szukając w nim nazw geograficznych. Znajdowała przeważnie nazwy miejscowości, które były obleżone względnie toczyły się tam bitwy, na przykład Kadyks, Burgos czy Tarragona. Niektóre nazwy pochodziły od nazwisk zasłużonych brytyjskich oficerów, jak generał Rowland Hill czy generał major Galbraith Cole.

To, czego szukała, znalazła w zeszycie z wiosny 1814. Mniej więcej w połowie opisu bitwy pod Bajonną w Pirenejach generał wspomniał o przyklepionym do skalnej ściany po francuskiej stronie granicy zamku, noszącym nazwę Pagnon. Uważał za łaskę boską, że ta górską strażnicą nie wychodziła na żaden główny trakt, bo wtedy do jej zdobycia nie wystarczyłaby połowa armii zaangażowanej na Półwyspie Iberyjskim.

Lucinda przewróciła jeszcze parę kartek i cofnęła się do punktu wyjścia, bo dalej nie natrafiła już na nic ciekawego. Sądząc z lakonicznego opisu bitwy pod Bajonną, jej ojciec musiał być wtedy strasznie zajęty.

Usiadła spokojnie i zreasumowała to, czego się dowiedziała. A więc Chateau Pagnon, znajdujący się na północ od miasteczka Bajonny, był twierdzą obronną, łatwą do utrzymania, lecz trudną do zdobycia. Robert Carroway spędził w tej twierdzy siedem miesięcy - czyżby wysłano go tam na rekonwalescencję, gdy odniósł rany? Z opisu ojca wynikało, że zamek nie znajdował się wówczas w rękach brytyjskich ani hiszpańskich, a rany Roberta po jego powrocie do kraju były zbyt świeże, aby mógł mieć za sobą leczniczy pobyt w klasztorze czy czymś podobnym.

- Aleś mi narobiła bałaganu!

Lucinda aż podskoczyła, gdy zniemacka usłyszała za plecami głos ojca. Generał stał w drzwiach, trzymając ręce założone na piersi.

- Szukałam czegoś... - tłumaczyła się, bo połowa frontowych dzienników leżała otwarta na kredensie lub blacie biurka, a ona akurat zamykała je i układała we właściwym porządku.

- A czego, tajemnic wojskowych? - zażartował ojciec, ale na wszelki wypadek zamknął za sobą drzwi.

- Myślałby kto, że piszesz o takich rzeczach! - Z wymuszonym uśmiechem zwolniła jego fotel, odchrząknęła i zadała kolejne pytanie: -

Wspominałeś kiedyś o zamku, który nazywał się Chateau Pagnon. Czy tam mieścił się lazaret polowy lub coś w tym rodzaju?

Zanim generał doszedł do biurka, wyraz twarzy miał już chłodny i opanowany.

- A bo co?

- Nic, tak tylko pytam. - Lucinda dyskretnie cofnęła się ku drzwiom. - Twoje uwagi o bitwie pod Bajonną są bardzo pobieżne.

- Bo też nie bardzo jest się czym chwalić. - Augustus Barrett skrzywił się z niesmakiem, gdy siadał na swoim fotelu. - Ta kampania nie przyniosła chluby ani armii brytyjskiej, ani mnie osobiście.

Jego córka zastygła w miejscu z ręką na klamce.

- Nigdy przedtem nie słyszałam, żebyś tak mówił - zauważyła ściszym głosem.

Generał wypuścił z płuc nadmiar powietrza i ponownie otworzył swój dziennik z notatkami dotyczącymi bitwy pod Bajonną.

- Chateau Pagnon? Pamiętam, co szeptali o tym moi piechurzy - mruknął z pogardą. - Gdybyś słyszała te ich gadki, pomyślałabyś, że to stamtąd Mary Shelley wzięła pomysł napisania tej książki o potworach...

- "Frankenstein?" - podsunęła, czując drżenie rąk.

- Tak, ale to były tylko takie plotki przy żołnierskich ogniskach. - Generał jeszcze raz zajrzał do swoich notatek. - Natomiast z wojskowego punktu widzenia szturmowanie tej twierdzy byłoby koszmarem. A tobie kto o tym powiedział?

Jasne było, że ojciec wie więcej, niż chce powiedzieć. Lucinda chętnie drażyłaby dalej tę materię, ale przecież dała Robertowi słowo, że o niczym nikomu nie powie, a gdyby stała się nazbyt dociekliwa, generał mógłby zacząć zadawać pytania!

- Jeden z moich znajomych, tak mimochodem, w rozmowie - wywinęła się gładko. - I dziękuję ci bardzo.

- Nie ma za co. - Augustus Barrett poruszył się na fotelu. - Możesz przychodzić do mnie, kiedy zechcesz.

To, co usłyszała, wytrąciło ją z równowagi, ale nie na tyle, aby nie zauważyła intrygującej nuty w głosie ojca. Puściła więc klamkę i wróciła się od drzwi.

- Tatusiu, czy coś złego się stało?

- Skądże, nic takiego. Tylko w dowództwie Gwardii Konnej zaszły pewne nieporozumienia...

- Nic takiego, o czym mógłbyś mi opowiedzieć?

- Nic aż tak ważnego - uśmiechnął się generał. - A może ty miałabyś mi coś do powiedzenia? Na przykład, dlaczego nagle zainteresowałaś się zamkiem Pagnon? I z którym znajomym o tym rozmawiałaś?

- Nie pamiętam - próbowała się wykręcić. Dotychczas wiedziała, że z ojcem może rozmawiać swobodnie na każdy temat. Jednak Robert dał jej do zrozumienia, że nie powinna wtajemniczać generała w sprawy, o których jej powiedział. - Zwróciłam tylko uwagę, że skądś znam tę nazwę.

- Aha, rozumiem. - Sądząc po minie, ojciec zdążył już się domyślić, z kim mogła na ten temat rozmawiać, ale na razie nie komentował tego faktu. - Widzę, że prowadzisz ciekawe rozmowy, moja droga. Idź już, bo chciałbym popracować.

Lucinda opuściła gabinet, choć na usta cisnęło się jej więcej pytań, niż uzyskała odpowiedzi. Najlepsze warunki do rozmyślań znajdowała zawsze przy pracy w ogródku różanym, więc poszła na górę się przebrać. Poprawiając włosy przed lustrem, przyłapała się na przyglądaniu się własnemu odbiciu.

W gruncie rzeczy co robiła najlepszego, grzebiąc w notatkach ojca? Przecież jej "lekcje" nie miały nic wspólnego z Robertem, który zaangażował się w nie zupełnie przypadkowo. Mimo to o nim pierwszym pomyślała tego ranka i o tym, aby mu podziękować za dobre uczynki spełnione na balu. Odkrycie istnienia tajemniczej twierdzy Chateau Pagnon zajęło jej całe popołudnie, a przedtem Robert zdążył jeszcze ją pocałować! Westchnęła, bo oznaczało to, że powinna zweryfikować swój plan działania. Przecież zdążyła już pokłócić się ze swoim kandydatem na męża i nie poświęciła temu ani jednej myśli!

Nie mogła również przejść do porządku dziennego nad tym, co powiedział jej Robert, a raczej, o czym zaczął jej mówić. Jasne, że nie spocznie, dopóki nie dowie się więcej o tym, co się z nim działo.

Patrząc na własne odbicie w lustrze, skarciła surowo samą siebie.

- O, nie! - nakazała sobie. - Masz robić to, co postanowiłaś!

Prawda, że Robert podniecał ją swymi pocałunkami, ale wprowadzał w jej życie tylko zamęt. Nie chciał albo też nie potrafił wymieniać z jej ojcem dykteryjek frontowych. Może nawet - gdyby podejrzenia St. Aubyna i jej samej okazały się słuszne - nie lubił jej ojca. Nie przypuszczała także, aby mężczyzna tego pokroju mógł zapewnić jej wygodne życie u swego boku.

W tym momencie ktoś delikatnie zastukał do drzwi, więc szybko upięła włosy i zaprosiła tego kogoś do środka.

Przez uchylone drzwi zajrzał Ballow.

- Jaśnie panienska ma gościa - zaanonsował, podając jej na srebrnej tacy elegancki bilet wizytowy drukowany wypukłą czcionką.

Widniało na nim nazwisko lorda Geoffreya Newcombe'a. A ona miała na sobie starą sukienkę przeznaczoną tylko do prac w ogródku. Niechże to lichy!

- Czy mam powiedzieć, że jaśnie panienski nie ma w domu? - podsunął kamerdyner.

- Nie, powiedz jego lordowskiej mości, że za chwilę zejde. I zawołaj mi tu Helenę!

Szybko wybrała odpowiednią suknię. Służąca pomogła jej narzucić przez głowę kreację z błękitnego muślinu i na nowo ułożyła jej włosy. Nie minęło pięć minut, a Lucinda była już gotowa i mogła zbiec po schodach na dół. Skierowała się od razu do porannego saloniku, więc Ballow udzielił jej wskazówki:

- Lord Newcombe pracuje z panem generałem w jego gabinecie.

Jakże mogłoby być inaczej? Geoffrejowi zdaje się bardziej zależało na dobrych stosunkach z generałem niż z nią. Właściwie sama była sobie winna, gdyż całe przedpołudnie spędziła z Robertem, zamiast próbować dojść do porozumienia ze swoim potencjalnym uczniem.

- Witam! - rzuciła od progu gabinetu.

Obaj mężczyźni od razu przerwali dyskusję, a Newcombe wstał.

- Miło mi, Lucindo, że zastałem panią w domu.

- Wróciłam z wizyty wcześniej, niż myślałam.

Geoffrey rzucił okiem na jej ojca i ponownie na nią.

- Miałem nadzieję, że panią przekonam, aby pojechała ze mną na obiad.

Rzykował, bo nie mógł mieć pewności, że znajdzie dla niego wolny czas. Miał jednak szczęście, bo Lucinda niczego akurat nie planowała na resztę popołudnia.

- Niech ci się wydaje, że mnie przekonałeś - odpowiedziała mu z uśmiechem.

Wsiadli więc razem do jego powozu, gdy tylko Helena przyniosła panience spacerowy kapelusz, a sama usiadła na ławeczce z tyłu. Przez chwilę Lucinda miała wrażenie, że udaje się na przejażdżkę z Robertem Carrowayem, bo lord Geoffrey nie odzywał się do niej, tylko bezgłośnie poruszał szczęką.

Przypuszczała, że czekał, aż ona zainicjuje rozmowę, na przykład o pogodzie czy o ostatnim występie Edmunda Keane'a w teatrze Drury Lane. Wciąż jednak nie dawało jej spokoju wyobrażenie kamiennego zamku zasnutego mgłą, w którym przebywał Robert. Koniecznie chciała odkryć, co tam robił, ale zdawała sobie sprawę, że sama nie znajdzie odpowiedzi, dopóki Robert nie zechce jej udzielić.

- Nadal jeszcze gniewasz się na mnie, prawda? - przemówił nagle Geoffrey, przenosząc spojrzenie z niej na konie w zaprzęgu.

- Ja...?

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie - wszedł jej w słowo. - Powiedz, co mam zrobić, abyś mi darowała, a uczynię to, mówię szczerze!

Już chciała przekonywać go, że niepotrzebnie się poniza, ale po swoim ojcu, generale Augustusie Barretcie, na szczęście odziedziczyła intuicję. Doszła do wniosku, że to dobry moment, aby zmusić Newcombe'a, żeby przynajmniej odpowiedział na pewne pytania, ponieważ nikt inny nie chciał tego zrobić.

- Czy mógłbyś mi coś wyjaśnić? - zaczęła oględnie.

- Co tylko sobie życzysz.

- No więc, co my tu właściwie razem robimy?

Lord uśmiechnął się od ucha do ucha.



- Czy pytasz, dlaczego jedziemy moim powozem? Dlatego, że rozgniewałem cię...

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Lucindo, zadawanie takich pytań nie przystoi damie.

*Pewnie rzeczywiście nie* - pomyślała, ale obstawała przy swoim.

- Bądź tak miły, Geoffreyu, i odpowiedz mi szczerze, bo to dla mnie bardzo ważne.

Jej adorator lekko się skrzywił, ale skinął głową.

- Dobrze więc, jesteśmy tu z dwóch powodów. Po pierwsze jesteś śliczna, miła, a przy tym praktyczna i wychowana w rodzinie wojskowego. No i jeszcze do tego bardzo cię pragnę.

- A ten drugi powód? - spytała, choć wpadła już na pewien pomysł.

- Drugi powód? - Newcombe rozejrzał się dookoła, aby upewnić się, czy nikt nie podjechał dostatecznie blisko, by mógł ich podsłuchać. - Trochę mi... niezręcznie o tym mówić i byłbym ci wdzięczny za zachowanie dyskrecji.

- Oczywiście.

- Cóż za nieodrodna córka swego ojca! - Uśmiechnął się. - Ja też jestem synem swego ojca, ale dopiero czwartym z rzędu. I, jak wiesz - tu odchrząknął - nadal pozostaję w służbie czynnej.

- Tak, ojciec wspominał mi o tym.

- Ściślej mówiąc, jestem na przedłużonym urlopie i pobieram połowę żołdu. Takie rozwiązanie podsunął mi mój dowódca. Na pewno wiesz, że dopóki trwała wojna w Hiszpanii, najjaśniejszy pan potrzebował wielu żołnierzy i oficerów. No, a odkąd wojna się skończyła, znalazłem się w... kłopotliwej sytuacji.

- Chodzi o pobory i szanse na awans, prawda? - domyśliła się Lucinda.

- Bardzo słuszne rozumowanie. Widzisz, ze strony rodziny mogę liczyć tylko na niewielkie uposażenie, gdyż spodziewano się, że zrobię karierę wojskową. Wszystko na to wskazywało. Niestety wojna skończyła się za wcześnie, abym osiągnął odpowiednio wysoką rangę. Nie pomógł mi w tym nawet postrzał otrzymany pod Waterloo, a podczas pokoju szanse na awans

mam nikłe. Natomiast twój ojciec jest wyższym oficerem Gwardii Konnej, więc nasz... związek znacznie dopomógłby mi w uzyskaniu awansu na stopień majora oraz dowództwa garnizonu w Indiach.

A więc tak się sprawy miały! Lord Newcombe rzeczywiście znajdował się w przykrym położeniu, bo potrzebował albo nowej wojny, albo wpływowego protektora. Trafnie zauważyła na samym początku, że zależało mu na względach jej ojca w takim samym stopniu, co na jej przychylności. Chwilowo puściła mimo uszu informację, że ubiegał się o wydelegowanie do Indii. Zdarzało się to często i tacy mężowie zwykle pozostawiali żony w Londynie, aby utrzymały ich pozycję towarzyską. Na razie jednak było za wcześnie, aby się nad tym zastanawiać.

- Widzisz, a teraz gniewasz się jeszcze bardziej! - zauważył lord z westchnieniem. - Przecież sama prosiłaś mnie, abym był z tobą szczery.

- Zgadza się, prosiłam.

- Uwierz mi, Lucindo, że naprawdę chciałbym zdobyć twoje serce.

- Geoffreyu, ja od początku podejrzewałam cię o takie intencje - wyznała mu otwarcie. Nie zważała przy tym na jego protesty, gdyż spodziewała się je usłyszeć. - Nie mogę cię potępiać za to, że jesteś praktyczny, gdy ty za tę samą cechę mnie podziwiasz.

- A więc się nie gniewasz? - Przyjrzał się jej badawczo.

- Nie, nie gniewam się.

- I mogę nadal cię odwiedzać?

- Oczywiście.

Tymczasem powóz skręcił w Pall Mail, gdzie Newcombe zatrzymał konie przed swoją ulubioną, ogródkową kawiarenką. Szybko zeskoczył na ziemię i bez uprzedniej powściągliwości obiegł powóz dookoła, aby pomóc swej towarzysze przy wysiadaniu. Lucinda wstała z siedzenia, lecz zanim zdążyła skorzystać z pomocy lorda, ten oburącz objął ją w talii i zestawił na ziemię.

- To nie było... - Ale nie dokończyła, bo jej adorator musnął jej wargi swoimi. - Geoffreyu! - wydyszała, odskakując do tyłu.

- Za to ani myślę cię przeproszać - odpalił beczelnie, podając jej ramię. - Mam zamiar upajać się twoją urodą i to jest kolejna twoja zaleta, którą szczególnie cenię.

Tymczasem kelner wskazał im stolik, więc Lucinda zajęła miejsce, odkładając się znajomym przy sąsiednich stolikach. Hm, rzeczywiście sama prosiła o szczerotę i otrzymała ją w nadmiarze. Newcombe przyznał, że ceni w niej urodę, bo gdyby była brzydka, asystowanie jej nie sprawiałoby mu przyjemności, ale i tak smaliłby do niej cholewki.

A czy ona nie postępowała tak samo albo i gorzej? Czy nie wybrała Geoffreya ze względu na łagodny charakter i dobrą opinię u jej ojca, a nie ze względu na aparycję i bohaterską przeszłość? Jednak nie była aż na tyle praktyczna, aby zaakceptować jego pocałunek, choć musiała przyznać, że znalazła się na rzeczy i zrobił to w odpowiednim momencie - nikt tego nie zauważył, a oni zyskali przerywnik w rozmowie.

Z ulgą pociągnęła duży łyk madery, gdy tylko kelner napełnił jej kieliszek. Uznała to za toast na cześć swojego sukcesu, a nie za grę na zwłokę, aby móc przez ten czas wymyślić dobry pretekst do zmiany tematu.

Musiała przyznać, że wszystko szło jak po maśle. Na razie nie myślała o tym, że w sobotę wieczorem będzie musiała spotkać się z Robertem Carrowayem i powiedzieć mu, że jej lista i lekcje to tylko gra, ponieważ doszli już z Geoffreym do porozumienia. Nie chciała też myśleć o jego pocałunku, od którego miękły jej nogi, a serce trawił żar. Bynajmniej nie chciała płonąć ogniem namiętności, pragnęła spokoju i stabilizacji. Nakazywała więc sobie, aby nie poświęcać Robertowi ani jednej myśli.

Robert siedział na kanapie w bibliotece, pogrążony w lekturze. Obie nogi wyciągnął przed siebie i oparł na poduszkach, chcąc przede wszystkim odciążać chore kolano. Na szczęście rodzina przestała już zamęczać go pytaniami o samopoczucie. Najdłużej naprzykrzał mu się Andrew, ale i on wyszedł przed niecałą godziną, bo był gdzieś zaproszony.

W rzeczy samej trudno mu byłoby odpowiedzieć, jak się właściwie czuje. Kolano przeszywał taki sam, tępy ból jak zawsze, co było dużo łatwiejsze do zniesienia niż poprzednie pulsowanie. Po raz pierwszy jednak po długiej przerwie czuł miłe ciepło wsączające się w żyły, kości i mięśnie, napętniające je nowym życiem.

Otóż to właśnie, znowu poczuł, że żyje! A kiedy całował Lucindę, powróciły do niego wspomnienia, które dawno wyleciały mu z pamięci. Na przykład: jak smakują usta kobiety, co się czuje dotykając jej ciepłej, miękkiej skóry albo jak pachnie jej pot i to, co w niej najbardziej podnieca.

*Zwariowałaś chyba!* - skarcił sam siebie, przewracając stronę.

Wtedy, kiedy próbował się ukryć, a Lucinda na niego wpadła, naprawdę chciał poznać plan jej "lekcji". Odkrycie, że jej wybór padł na lorda Geoffreya Newcombe'a, tyleż go zaskoczyło, ile rozczarowało, ale jeśli już komuś oddała serce, to ją chroniło zarówno dla niego, jak i przed nim.

Mogli przecież nadal pozostać przyjaciółmi, a on wmawiałby sobie, że jej pomaga, co ułatwiłoby mu powrót na londyńskie salony. Nieważne, czy mu się to uda, czy nie - bardziej liczyło się, dla kogo to robił, a przynajmniej mógł to sobie wmówić. Tylko dzięki temu był w stanie w ogóle coś zrobić.

Wiedział na pewno, że Lucinda nie mogła się w tej chwili czuć bezpieczna, jeśli nawet kiedykolwiek tak się czuła. A może to też próbował sobie wmówić w obawie, że poznanie prawdy wywoła u niego nawrót panicznego lęku?

No proszę, kulasowi zachciało się panny! Brzmiałoby to jak kiepski dowcip, gdyby sam nie czuł, jak Lucinda odwzajemniała jego pocałunki i przyciskając się do niego, przeżyła ciało. Taka była prawda, w zetknięciu z którą żadne "wygodne" kłamstwo nie miałyby sensu.

Nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi frontowych i gwar głosów. Górował nad nimi bas Dawkinsa, przez, który przebijały się cichsze głosy Tristana i - o dziwo - Greydona Brakenridge'a, księcia Wycliffe'a. Wyglądało na to, że dzisiejsza sesja parlamentu skończyła się wcześniej.

Słysząc było, jak przybysze rozmawiają, idąc wzdłuż korytarza, prawdopodobnie zmierzając do gabinetu pana domu. Książę przyjaźnił się z wicehrabią i pewnie dlatego nie zastrzelił go, kiedy Tristan przehulał posag Georgiany. Robert uśmiechnął się na to wspomnienie, bo już nieraz tak bywało, że cioteczni bracia odnosili się do swych kuzynek z większą opiekuńczością niż rodzeni, a Grey i Georgiana byli sobie chyba jeszcze bliżsi.

- Mały?

Robert podniósł oczy i na zapas odpowiedział:

- Czuję się świetnie!

- Nie o to chciałem zapytać - zgasił go Tristan. - Siedziałeś tutaj przez cały dzień?

- Tak, a bo co?

- Nic, tylko nie chciałem, żebyś próbował schodzić po schodach bez pomocy. A propos, Grey chciał pożyczyć stare siodło Cherlaka, na którym jeździł, kiedy był mały. Pamiętasz może, gdzie...

- Jest w siodłami, zawinięte w płótno. - Robert nie dał bratu dokończyć. Dopiero potem skinął głową Greyowi i z grzeczności spytał: - To dla małej Elizabeth?

- Próbuję właśnie przekonać Emmę, że czternaście miesięcy to wcale nie za wcześnie na rozpoczęcie nauki jazdy - zadudnił grzmiący głos księcia.

- Nie da rady jej przekonać - wtrącił się ze śmiechem lord Dare - ale chciałem przysłuchiwać się tej wymianie zdań, dlatego dostarczam im argumentów.

- Może lepiej zacząć od konika na biegunach? - podsunął Robert, wracając do swojej książki. - Na strychu stoi stary konik Edwarda. Mniej byłoby wtedy powodów do kłótni.

- Zawsze mówiłem, że to nie Tristan jest w tej rodzinie najsprytniejszy! - wycedził Wycliffe.

- A ja nigdy się o to z tobą nie spierałem - odparował Tristan. Zbierał się już do wyjścia, ale znów się zatrzymał przy bracie: - Co ty takiego czytasz?

- "Uprawa i pielęgnacja róż" - Robert przeczytał na głos tytuł. - Pożyczyłem od panny Barrett.

- Dziękuję, Robercie - zwrócił się do niego książę. - Zobaczymy się w Vauxhall, prawda?

Chyba wszyscy udawali się na pokaz fajerwerków!

- Spróbuję się tam wybrać - obiecał.

- To i dobrze.

Obaj panowie udali się do gabinetu Tristana, ale Robert nie mógł się pozbyć natrętnej myśli, że nie chodziło im ani o siodło, ani o konika na biegunach, a ich wizyta w bibliotece wcale nie była przypadkowa. Ciekawe, że Tristan tak bardzo chciał wiedzieć, gdzie on przez cały czas przebywał. Owszem, nieraz bywał śledzony, ale nigdy nie przez przyjaciół. Wzruszył ramionami, bo może brat rzeczywiście myślał, że mu się polepszyło? Kto wie, ale czuł się w tej chwili, jakby tak było w istocie.

Zresztą nie miałyby problemu z podsłuchaniem rozmowy Greya i Tristana, bo pokój nad gabinetem stał pusty - przechowywano w nim tylko zapasowe krzesła i stare szafy. Nie wiadomo tylko, jak z niesprawnym kolaniem dostałby się na górę.

W rezultacie pozostał na swoim miejscu, doszedłszy do wniosku, że jeśli brat rozmawia z księciem o czymś ważnym - prędzej czy później ktoś i tak mu o tym powie.

"Prędzej czy później" oznaczało w tym przypadku podczas kolacji, a "kims" okazał się Andrew.

- Słyszeliście już? - zapytał z ustami pełnymi pieczonej szynki.

- Mam kazać Dawkinsowi zabrać twoje sztuce, żebyś mógł jeść palcami?  
- zwróciła mu uwagę Georgiana.

- Przepraszam. - Andrew przełknął trzymany w ustach kęs. - Tris, ale ty słyszałaś, prawda?

- Chyba tak - westchnął wicehrabia. - A ty skąd o tym wiesz?

- Dziś po południu gadali o tym w całym domu aukcyjnym Tattersalla. Nie powiesz mi chyba, że na końskich aukcjach ludzie są lepiej poinformowani niż w parlamencie?

- O czym wy, na miłość boską, rozmawiacie? - skrzywiła się Georgiana.

- O niczym specjalnym - uśmiechnął się Andrew. - To takie plotki, chociaż może nie tylko plotki.

- Andrew, powiedz nam, o co chodzi! - zażądał Edward.

Gruchnęła salwa śmiechu, podczas której tylko Robert nie przerywał jedzenia. W ciągu ostatnich kilku tygodni zdecydowanie poprawił mu się apetyt.

Wystarczyło jednak, że podniósł wzrok, a już odeszła go chęć do jedzenia. Tristan bowiem przeszywał go spojrzeniem, a minę miał przy tym śmiertelnie poważną.

- Oczywiście to jeszcze niepotwierdzone - wycedził - ale ludzie gadają, że wczoraj z Kwatery Głównej Gwardii Konnej zginęły ważne papiery.

- Co to były za papiery? - zapytał Edward.

- No, na przykład mapy wyspy Świętej Heleny i spisy zwolenników Bonapartego przebywających jeszcze na wolności - wyjaśnił Andrew.

Bradshaw upuścił widelec z takim brzękiem, że Robert aż się wzdrygnął.

- Ktoś próbuje uwolnić Bonapartego?

- Shaw, wyciągasz pochopne wnioski - zgromił go Tristan. - To mogą być po prostu głupie plotki i pewnie tak właśnie jest. Nikt z dowództwa Gwardii Konnej nie potwierdził tej wiadomości.

Robert przymknął oczy i pozwolił, aby gwar rozmów przy stole szumiał mu w uszach jak monotonne brzęczenie. Kiedy ostatnim razem Bonapartemu udało się zbiec z miejsca zesłania, potrzeba było zjednoczonych wysiłków armii angielskiej i pruskiej, uwieńczonych bitwą pod Waterloo, aby go wreszcie zatrzymać. On tym razem nie dałby się namówić na udział w kolejnej wojnie, ale wiedziałby, jaki los czeka żołnierzy, i zastanawiałby się tylko, czy i tym razem Francuzi zajęliby Chateau Pagnon.

- Usiądź, Mały, dobrze?

Zamrugnął oczami, bo zdążył już wstać od stołu i odsunąć krzesło, ale Tristan trzymał go za ramię. Oswobodził się z uchwytu, sięgnął po laskę ciotki i skierował się ku drzwiom. Nakazywał sobie rytmicznie oddychać.

- Dobrze się czuję - zapewnił. - Muszę po prostu łyknąć świeżego powietrza.

Ból kolana przeszkadzał mu poruszać się szybko, ale jakoś dotarł do drzwi frontowych i kulejąc, zszedł ze schodków. Zatrzymał się dopiero przy swoim różanym ogródku i usiadł na ziemi obok grządki.

- Przepraszam, Robercie! - wołał za nim Tristan od strony podjazdu dla powozów. - Powinienem był ci po...

- Powinieneś być powiedzieć mi wcześniej - warknął Robert, podnosząc z grządki bryłę ziemi. Miał ochotę rzucić nią w brata i spowodować, aby coś między nimi pękło. Zamiast tego ścisnął grudę w garści tak mocno, że pył wysypywał mu się spomiędzy palców. - Przecież ty i Grey wiedzieliście o tym. Chcieliście sprawdzić, jak dużo sam słyszałem?

- Mały, ty...

- Za późno, Dare - nie dał mu dokończyć. - Teraz idź sobie.

- Mały...

- Zostaw mnie samego! - wysyczał. - Później przyjdę.

Robert nie ruszył się z miejsca, dopóki kroki Tristana nie ucichły. Tymczasem zdążyło się ściemnić, a księżyc miał wzejść dopiero za godzinę. Nad Londyn napływały chmury i przed północą można było spodziewać się deszczu.

Lubił deszcz, podczas uwięzienia w Pirenejach zawsze pchał się do okna, żeby przez kratę wystawić na zewnątrz rękę trzymającą kawałek szmaty. Wyciśnięta z niej woda pozwalała mu przeżyć dalszy dzień lub dwa.

Właściwie nie powinien był się przejmować pogłoskami o kradzieży papierów. O zesłaniu Bonapartego na Elbę dowiedział się długo po fakcie, podobnie jak o jego ucieczce i studniowej wojnie zakończonej bitwą pod Waterloo. Wystarczyło, że wiedział, co wojna zrobiła z nim samym i tymi, którzy nie mieli aż takiego szczęścia.

Mnąc w palcach liść, myślał, że były cesarz mniej rwałby się do nowej wojny, gdyby swój wyrok zesłania odbył nie na dwóch romantycznych wysepkach, a w Chateau Pagnon. Wtedy pragnąłby raczej wciągnąć w nozdrza świeże powietrze niż przypominający metaliczny zapach miedzi odór krwi.

Żałował, że w ogóle wspomniał Lucindzie o Pagnon. Miał nadzieję, że szybko zapomni tę nazwę. Mało kto wiedział o istnieniu tej fortecy, a jeszcze mniej przeżyło pobyt w niej.

Siedział na krawędzi grządki róż, dopóki deszcz się na dobre nie rozpadał. Wtedy zadarł głowę, pozwalając chłodnym kroplom ściekać po twarzy. Przekonywał samego siebie, że to tylko deszcz, a przyniesiona przez Andrew sensacja to tylko plotka. W najgorszym razie zginęło kilka świstków papieru. Najważniejsze, że on nie musi wracać do tego piekła. Tristan odsprzedał komuś jego nominację oficerską, jeszcze zanim był w stanie usiąść w łóżku.



Cóż więc mogły mu zaszkodzić plotki, mniejsza o to, prawdziwe, czy nie. Grunt, że był bezpieczny, przynajmniej na razie.

## 13

*Wszelkie wysiłki dobrego ducha poszły na marne, gdyż nieodwołalne prawa przeznaczenia przesądziły o mojej całkowitej klęsce.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Deszcz lał przez całą noc, ale Lucinda nie miała nic przeciwko temu, gdyby jeszcze trochę popadało.

Pokaz fajerwerków w Vauxhall miał wszelkie szanse, aby stać się wydarzeniem sezonu, tym bardziej, że miał go uświetnić swoją obecnością regent i wyższe sfery z Mayfair. Lucinda wybrała na tę uroczystość najstrojniejszą ze swoich sukien wieczorowych przeznaczonych na imprezy pod gołym niebem - w kolorze lawendy, przybraną purpurowymi koronkami i paciorkami.

Uwielbiała tego rodzaju widowiska i nie przeszkadzały jej nawet tłumy widzów. Dopiero w ostatnich dniach dotarło do jej świadomości, że Robert nienawidził ludzkich zbiorowisk, a mimo to wybierał się na pokaz! W nagrodę miała zamiar powiedzieć mu, że Geoffrey ujawnił jej najważniejsze punkty wypisane na swojej liście - ożenek i awans - w związku z czym ich małżeństwo było już właściwie przesądzone. Kontynuacja edukacji nie miała w tej sytuacji sensu, a więc również pomoc Roberta przestała być jej potrzebna. Planowała, że

pięknie mu za nią podziękuje, po czym rozstanie się z nim, a co za tym idzie - także i z jego pocałunkami.

- Dzień dobry, kochanie - przywitał ją ojciec, przechodząc z gabinetu do pokoju śniadaniowego.

- Dzień dobry, tatusiu, długo wczoraj pracowałeś? - Przyjrzała mu się dokładniej i dodała: - A czy ty w ogóle kładłeś się spać?

Generał podał jej talerz i przepuścił ją pierwszą do pomocniczego kredensu, gdzie stały potrawy.

- Wstałem dziś wcześniej, bo próbowałem rozwikłać pewne problemy - wyjaśnił.

- A myślałam, że pisanie kolejnego rozdziału już ci dobrze idzie? - zdziwiła się, nakładając sobie brzoskwinie i kilka grzanek.

- Owszem, idzie dobrze, ale tu nie chodzi o rozdział. A propos, byłbym zapomniiał, że Geoffrey był tu dziś rano. Przyniósł list i pudełko czekoladek.

- Dla mnie czy dla ciebie? - nie wytrzymała.

- Rozmawialiśmy o wielu sprawach, ale jestem pewien, że te czekoladki są dla ciebie. Pewnie na przeprosiny, bo się usprawiedliwiał, że nie może zostać dłużej, gdyż ma umówioną miarę u krawca.

Lucinda obrzuciła ojca przelotnym spojrzeniem i zauważyła przy tym, że nałożył sobie na talerz tylko kilka kawałków owoców. To, że generał nie miał apetytu, świadczyło niezbicie, że działo się coś niedobrego.

- Czy mogłabym w czymś ci pomóc? - zaryzykowała pytanie.

Ojciec zajął stałe miejsce u szczytu stołu, a Lucinda usiadła po jego lewej ręce. Kiedy zauważyła, że zamiast codziennej herbaty kazał lokajowi podać sobie kawę - była już pewna, że coś go gryzie.

- Tatusiu?

Zamrugął oczami, jakby ściągnęła go z obłoków.

- Ach, nie, to naprawdę nic takiego.

- Wybierasz się dzisiaj na pokaz fajerwerków?

- Nie jestem pewien, ale w każdym razie spróbuję. - Wbił w talerz spojrzenie stalowoszarych oczu. - Może nawet rzeczywiście mogłabyś mi pomóc.

- We wszystkim, w czym tylko zechcesz.

- No więc kto powiedział ci o Chateau Pagnon?

Krew odpłynęła jej z twarzy. Nie miała wprawdzie nic do ukrycia, ale Robert specjalnie podkreślał, aby nie powtarzała ojcu treści ich rozmowy. Dziś wieczorem miała zamiar go spytać, dlaczego domagał się dyskrecji.

- Przecież ci mówiłam, że nie pamiętam - zbyła ojca lekko. - Czy mógłbyś podać mi dżem?

Augustus Barrett podsunął córce dżem i oględnie zaczął jej tłumaczyć:

- Posłuchaj, kochanie, to bardzo ważne. Jeśli mi to powiesz, żadna z twoich przyjaciółek nie będzie miała nieprzyjemności, a dla nas może to stanowić wskazówkę do dalszych poszukiwań.

- To jeden z twoich problemów? - zgadywała.

- Tak, to dla mnie problem. Oczywiście domyślam się, o kogo chodzi, ale chciałbym usłyszeć z twoich ust potwierdzenie mojej tezy.

Lucinda wzięła głęboki oddech.

- Obiecałam komuś dyskrecję... - zaczęła ostrożnie. - Powiem ci, bo jesteś moim ojcem, ale nie chciałabym, aby komukolwiek stała się krzywda.

- Rozumiem - odpowiedział generał. - Tak, jak teraz sprawy stoją, chcę to wiedzieć wyłącznie dla spokoju ducha. Czy to Robert Carroway?

- Tak. - Od razu wydała się sobie podła i zbrukana. Przecież dopiero wczoraj dała słowo, że dochowa tajemnicy, a już dziś je złamała. - Rozmawialiśmy o wojnie i on się przyznał, że wcale nie walczył pod Waterloo, spędził natomiast kilka miesięcy w Chateau Pagnon. Wiem, że odniósł ciężkie rany, więc myślałam, że mieścił się tam jakiś lazaret.

Jej ojciec przez dłuższą chwilę milczał, a kiedy w końcu sformułował pytanie, z wyrazu jego twarzy nie można było niczego się domyślić.

- Powiedział ci, jak tam trafił albo jak się stamtąd wydostał?

- Nie. - Lucinda zmarszczyła brwi nad talerzem. - Ale ty na pewno wiesz o tym miejscu więcej, niż chcesz mi powiedzieć, prawda?

- To, co wiem o Pagnon, nie nadaje się dla uszu damy.

- Tatusiu, ale ja bardzo chciałabym to wiedzieć...

Generał gwałtownym ruchem odsunął krzesło od stołu.

- Mam dziś zebranie - przypomniał sobie. W ostatniej chwili zatrzymał się, aby pocałować córkę w czoło. - Tylko pamiętaj, jeśli będziesz dzisiaj gdzieś wychodzić, nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie. - Zrobił groźną minę, ale zaraz twarz mu złagodniała i dorzucił: - A zwłaszcza nikomu z Carrowayów!

- Tatusiu, co się dzieje? - zawołała za nim, ale wyszedł już z pokoju, a po chwili dal się słyszeć odgłos otwieranych i zamykanych frontowych drzwi. Na stole zostało nietknięte śniadanie generała.

Niewątpliwie działo się coś złego, a równocześnie dziwnego. Lucinda nie mogła pozbyć się przeświadczenia, że wyrządziła Robertowi potworną krzywdę. Jej ojciec wiedział o nim coś strasznego, a ona to potwierdziła.

Powoli odłożyła serwetkę na stół obok nakrycia. Wiedziała, u kogo może znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania, o ile ten ktoś zechce z nią o tym rozmawiać, a ona będzie miała odwagę zapytać.

Gdyby wybrała się dziś w odwiedziny do Roberta - a wszak była u niego ledwie wczoraj - ludzie zaczęłyby plotkować. Nawet Georgie, która wiedziała o jej umowie ze szwagrem, nie uwierzyłaby, że chodzi tylko o lekcję z lordem Geoffreyem, i miałyby rację!

Lucinda poszła do swojego pokoju przebrać się w suknię wizytową. Powściągliwość Roberta i jego zamknięcie w sobie powodowało, że niechętnie wychodził z domu, co w tym wypadku okazało się dla niej korzystne. Dzięki temu mogła swobodnie odwiedzić Georgianę, która o tej porze jadła śniadanie ze swoją ciotką, księżną wdową Wycliffe. Lucinda szybko nabrała powietrza w płuca, ożywiona radosnym oczekiwaniem, które nie miało nic wspólnego z zadawaniem jakichkolwiek pytań, a wiązało się jedynie z perspektywą ponownego spotkania z Robertem.

Gdy zajechała do Carroway House, Dawkins otworzył jej drzwiczki powozu.

- Dzień dobry, panno Barrett - przywitał ją, pomagając jej wysiąść.

Już z daleka wypatrzyła Roberta za węglem domu. Bez surduta, z podwiniętymi rękawami koszuli, zajmował się właśnie wyrywaniem chwastów z grządki. Z rękami pobrudzonymi ziemią i kosmykami czarnych włosów spadającymi na oczy wyglądał tak uwodzicielsko, że Lucindzie zaschło w gardle. Zamyśliła się tak głęboko, że aż kamerdyner zaczął ciekawie się jej przyglądać.

- Słucham, panno Barrett? - chrząknął.

Lucinda nakazała sobie, że ma przestać patrzeć w kierunku ogrodu i myśleć o "ogrodniku", a skupić się wyłącznie na domniemanym celu wizyty. Zapytała więc Dawkinsa:

- Czy lady Dare jest w domu?

Gdyby kamerdyner oznajmił jej, że Georgie gdzieś wyszła, znalazłaby pretekst, że chce przyjrzeć się różom, ktokolwiek by się nimi zajmował. Tymczasem lokaj odpowiedział:

- Ależ oczywiście, proszę jaśnie panienki

- No więc, w takim... - A niech to grom spali! - To znaczy, czy przyjmuje gości? Nie chciałabym jej przeszkadzać.

Dawkins zaprowadził ją do saloniku od frontu, po czym rzekł:

- Zaraz zapytam jaśnie pani.

Ciekawe, co też Georgiana mogła o tej porze robić w domu? Śniadanie z księżną zaplanowała przecież z tygodniowym wyprzedzeniem! Lucinda z nachmurzoną miną wyglądała przez okno, bo musiała szybko wymyślić jakiś powód swojej wizyty.

- Panno Barrett, lady Dare jest w pokoju muzycznym na górze - zaanonsował tymczasem Dawkins.

- Dziękuję, wiem, gdzie to jest. - Skinęła głową służącemu i weszła po schodach na drugie piętro.

Georgiana siedziała przy fortepianie z rękami wyciągniętymi daleko przed siebie, aby dosięgnąć klawiszy ponad okazałym brzuchem. Słyszając kroki przyjaciółki, z uśmiechem podniosła głowę znad klawiatury.

- Och, Luce, tak się cieszę, że przyszałaś! - przywitała ją, przerywając wykonywanie utworu Haydna. - Usycham z tęsknoty, żeby pójść na spacer bez asysty wielkich, nadopiekuńczych mężczyzn.

Mimo trapiących ją problemów Lucinda nie była w stanie powstrzymać śmiechu.

- Cóż, nie jestem mężczyzną ani nie jestem wielka, ale nie mogę ci przyrzec, że nie będę nadopiekuńcza - zapowiedziała, pomagając wicehrabinie wstać. - W połowie drogi do ciebie przypomniałam sobie, że wybierałaś się na śniadanie z księżną - skłamała gładko. - Dziwię się, że cię w ogóle zastałam.

- Ciotka Frederica przysłała bilecik odwołujący nasze śniadanie - wyjaśniła z uśmiechem Georgie. - Pewnie wczoraj do późnej nocy grała w karty i dziś chciała pospać trochę dłużej.

- To chyba wygrywała?

- Ona zawsze wygrywa.

Schodząc po schodach, lady Dare jedną ręką trzymała się poręczy, a drugą ramienia Lucindy. Ta ostatnia dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Georgiana jest już w bardzo zaawansowanej ciąży - widując ją niemal codziennie, nie zauważała zmian.

- Czy jesteś pewna, że chcesz iść na spacer? - zapytała ostrożnie.

- Przede wszystkim jestem pewna, że nie chcę siedzieć zamknięta w domu, kiedy moi mężczyźni oglądają regaty! - westchnęła wicehrabina. - Nie rozumiem, jak Mały to wytrzymuje, że spędza całe dni w samotności, ale to go wyraźnie uspokaja.

- Teraz akurat pracuje w swoim ogródku, bo widziałam go, kiedy do was podjeżdżałam.

- Naprawdę? Widocznie kolano mniej mu dziś dolega. Mały spacer na pewno dobrze mu zrobi.

Lucinda nie sugerowała bynajmniej, aby ciągnąć Roberta ze sobą. Owszem, chciała z nim porozmawiać, ale nie w obecności Georgiany, bo i on przy niej nie mówiłby szczerze. Chociaż, kto wie? Georgie znała pewne fakty z życia Roberta, o których Lucinda nie wiedziała, czym bynajmniej nie była zachwycona.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma racji, bo przecież Georgiana była bratową Roberta, a ona - tylko przyjaciółką. I to taką przyjaciółką, która chętnie poślubi lorda Geoffreya Newcombe'a, gdy tylko ten jej się oświadczy. Przyjaciółką, która nie ma nawet ochoty gapić się na innych mężczyzn, a już na pewno nie na Roberta Carrowaya.

Robert podniósł oczy znad plewionej grządki na chwilę wcześniej, zanim Georgiana i Lucinda wyłoniły się zza rogu domu. Odruchowo wyprostował się, z czego chciało mu się śmiać, gdyż oznaczało to, że nie zapomniał zupełnie o dobrych manierach. Przynajmniej nie zapominał o nich w obecności panny Barrett.

W biało-zielonej sukni z wzorzystego muślinu wyglądała jak wcielenie wiosny, tym bardziej, że jej brązowe włosy zakrywała dobrana do sukni, zielona budka. Nie mógł oderwać od Lucindy oczu, choć nakazywał sobie opanowanie. Nie należała przecież do niego, bo nie zasługiwał na tak piękne zjawisko, a bez niego będzie jej się powodziło znacznie lepiej.

- Mały, nie poszedłbyś z nami na spacer? - zagadnęła Georgie.

I tak się już oderwał od swego zajęcia, daremnie zatem szukałby wymówek. Wzruszył więc ramionami, opuścił z powrotem zawinięte rękawy i nałożył surdut, który powiesił na kole faetonu. Kulał teraz wyraźniej niż przedtem, ale przestał używać laski ciotki Milly, jak tylko mógł się bez niej obejść.

Przeszli przez uliczkę zabudowaną z obu stron dworkami z mnóstwem oszklonych okien. Lucinda trzymała Georgie pod ramię, a Robert szedł z jej drugiej strony na wypadek, gdyby się potknęła.

- Ale z nas wspaniała rodzinka! - entuzjasmowała się lady Dare. - Luce, nie zdziw się, jeśli będziesz musiała nieść Małego i mnie z powrotem do domu.

- Przepraszam, ale mogę unieść tylko jedno z was na raz! - roześmiała się Lucinda.

- Czy generał Barrett też pojechał oglądać te idiotyczne regaty?

- Nie, powiedział, że ma jakieś ważne zebranie.

Robert domyślał się nawet, czego to zebranie dotyczyło. Od razu poczuł się nieswojo, bo jeżeli starzy generałowie, dawni dowódcy Gwardii Konnej, woleli się spotkać w sobotni poranek, niż oglądać regaty na Tamizie, oznaczało to, że stało się coś poważnego.

Minęli tak cztery przecznice i zawrócili do Carroway House. W drodze powrotnej Robert nie był pewien, kto bardziej cieszy się z końca spaceru - on czy Georgiana. Mimo nasilającego się bólu w kolanie podtrzymywał bratową pod łokieć, aby łatwiej weszła na schodki od frontu.

- Dawkins, oddałabym królestwo za szklanekę lemoniady! - oświadczyła wicehrabina, padając na kanapę w saloniku.

Robert zawsze miał świadomość bliskości Lucindy, więc wyczuł, że zamierza go dotknąć na sekundę przedtem, zanim to zrobiła. Napiał mięśnie, lecz nie mógł ukryć ich skurczu, bo jej dotknięcie paliło go żywym ogniem przez materiał rękawa.

- Georgie, czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli na chwilę zostawimy cię samą? - spytała z desperacją Lucinda. - Kiedy byliśmy w ogrodzie, zauważyłam na kilku różach pleśń. Wiesz, one są jeszcze bardzo delikatne...

- Idźcie, idźcie, gdzie chcecie, ja się na pewno nigdzie nie ruszę.

Robert umiał świetnie udawać obojętność, choć w duchu już sobie wyobrażał, jak znowu Lucindę całuje. Chętnie by ją nie tylko pocałował, ale i rozebrał z wiosennej sukienki, aby móc dotykać jej ciepłej, gładkiej skóry.

- Skłamałam - wyznała nagle Lucinda, zatrzymując się przed nim.

- Wiem o tym.

- Naprawdę?

Robert nie mógł ukryć uśmiechu.

- Przecież wiem, jak wygląda pleśń, bo nieraz ją widziałem, a na moich różach jej nie ma.

Rumieńce na policzkach panny Barrett pociemniały.

- Mimo to jednak zgodziłeś się wyjść ze mną?

- Przypuszczałem, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać.

Lucinda oddychała tak spiesznie, że jej ramiona wznosiły się i opadały. W tym samym rytmie zaczęła gwałtownie przechadzać się tam i z powrotem. Narzekając pod nosem na ból w kolanie, Robert cofał się, aby mieć ją przez cały czas na oku.



- Owszem, chcę. Po naszej wczorajszej rozmowie zajrzałam do frontowych dzienników mego ojca, bo pamiętałam, że kiedyś wspominał o Chateau Pagnon, tylko nie mogłam sobie przypo...

- Zapomnij o tym, co ci mówiłem - Robert wszedł jej w słowo, nie zważając na ból, jaki mu to sprawiało. Mimo upływu trzech lat nie mógł spokojnie słuchać tej nazwy.

- Ale co ty tam robiłaś? Ojciec napisał, że była to twierdza dobrze ufortyfikowana, choć o niewielkim znaczeniu strategicznym. Jakieś znaczenie jednak musiała mieć, bo inaczej nie wspominałbyś o niej.

Nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Gdyby kto inny zapytał go o to, mógłby zwyczajnie odwrócić się i odejść, ale z Lucindą był w stanie rozmawiać. Jej obecność zmniejszyła dystans między nim a resztą świata.

- Byłem tam więźniem - wydusił w końcu.

- Więc...

- To nie ma nic wspólnego z naszą umową - nie dał jej dokończyć. Ręce wsadził w kieszenie, aby nie widziała, że drżą. - Może najpierw opowiesz mi o twojej trzeciej lekcji? Potrzebuję trochę czasu, aby się przygotować.

Panna Barrett znów zaczęła nerwowo się przechadzać. Dogonił ją dopiero przy końcu podjazdu i złapał za ramię. Wyrwała się jednak, zanim sam ją puścił.

- Nie zmieniaj tematu - zgał ją oschle. - Chcę poznać prawdę o Chateau Pagnon.

- A ja chciałbym poznać lekcję numer trzy!

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej twarzy i zauważył drgnięcie kącika ust.

- Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś uparty jak osioł?

- Niejeden.

- Robercie, ja... - Lucinda zmarszczyła brwi i odwróciła się do niego tyłem. - Przyszłam tu, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tobie.

Rondo budki przesłaniało jej twarz, więc dotknął jej ramienia i odwrócił do siebie przodem.

- Ale dlaczego?

- Dlatego.

Uniósł brew.

- A myślałem, że to ja mam ograniczony zasób słów...

- Mniejsza o to, powiedz mi! - nalegała.

Carroway przyglądał się jej podejrzliwie. Sam miał powody, aby unikać rozmów, ale nie rozumiał, dlaczego ona tak się zachowuje.

- Coś się stało, prawda? - próbował się domyślić. - Czyżby Geoffrey miał coś przeciwko twojej... wyrozumiałości dla mnie?

- To nie jest żadna wyrozumiałość, a o Geoffreyu możemy porozmawiać kiedy indziej.

Widać było, że coś ją gryzie, więc spróbował ją zachęcić:

- Lucindo, ze mną możesz mówić o wszystkim.

Zatrzymała się u podnóża schodów. Po raz pierwszy przemówił do niej po imieniu i spodobał się jej ten dźwięk w jego ustach.

- Jesteśmy przyjaciółmi - przypomniawszy, odwracając się ku niemu. W duchu pomyślała, że są raczej dziwnymi przyjaciółmi, bo takimi, którzy się całują, i mało tego - marzą, żeby całować się częściej! - Ale jeśli ty nie chcesz rozmawiać ze mną, to niby dlaczego ja mam rozmawiać z tobą?

Błękitne oczy napotkały jej spojrzenie, ale nie wytrzymały go długo. Miała nad nim tylko tę przewagę, że starała się grać uczciwie. Gdyby mu to przypomniawszy, pewnie przestałby nalegać, aby wyznała mu tę trudną do przekazania prawdę, że już go nie potrzebuje, choć równocześnie go pragnie.

- Co chciałabyś wiedzieć? - zapytał cicho, acz niechętnie i z wyraźną przykrością.

Dałaby sobie z tym spokój, gdyby w uszach nie brzmiało jej wciąż ostrzeżenie ojca: "To bardzo ważne" w połączeniu z prośbą Carrowaya, aby nie mówić o tej sprawie generałowi. Cokolwiek to było, nie powinien jednak opowiadać o tym tak głośno, że słyhać by go było z końca podjazdu. Zaproponowała więc:

- Może byśmy weszli do środka?

Robert potrząsnął przecząco głową.

- Nie wiem, ile będę ci w stanie powiedzieć, ale... potrzebuję świeżego powietrza.

- Podaj mi więc ramię - poleciła - i wybierzemy się na jeszcze jeden, krótki spacer.

Nie od razu uwierzyła, że Robert się na to zgodzi.

- Jak to tak, bez przyzwoitki? - wymamrotał.

- Niech lichy porwie przyzwoitkę! - odparowała ze złością. - Przecież tylko przejdziemy się w kółko, na widoku wszystkich.

Zgiął ramię w łokciu, a ona je ujęła. Miała wrażenie, że mniej utykał, ale na wszelki wypadek przycisnęła się do jego boku, zwłaszcza że zyskiwała ku temu dobry pretekst. Nie mogła oderwać oczu od jego zmysłowych ust, więc zdecydowanym ruchem odwróciła głowę, aby patrzeć gdzie indziej. Bez przerwy musiała sobie przypominać, że są tylko przyjaciółmi.

Kiedy tak przeszli w milczeniu kilka kroków, uświadomiła sobie, że to ona powinna zacząć rozmowę. Nie było to łatwe zadanie, gdyż nie chciała sprawiać Robertowi przykrości, ale po prostu musiała dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Częściowo dlatego, że uwagi ojca rozbudziły w niej ciekawość, ale nie tylko z tego powodu. Odmówiła więc w myśli krótką modlitwę i powiedziała:

- Zauważyłam, że generał w swoich dziennikach czasem opuszczał pewne szczegóły. Wydaje mi się, że robił to z trzech powodów. Po pierwsze, kiedy działania wojenne postępowały zbyt szybko albo sam był zbyt zaangażowany na tym odcinku frontu i po prostu nie miał czasu. Po drugie, gdy najzwyczajniej nie chciał utrzymywać drastycznych scen czy wydarzeń. I po trzecie, ze względu na bezpieczeństwo swoich ludzi, asekurując się, na wypadek gdyby zgubił notatki lub dostały się one w ręce nieprzyjaciela.

- Mógł też opuszczać fakty, które nie miały większego znaczenia - dodał Robert.

- Myślę, że tak, ale na pewno nie wspominałby na pierwszym miejscu o sprawach bez znaczenia.

Carroway spoglądał na nią spod oka, ale z wyraźną aprobatą.

- Czy generał Barrett zdaje sobie sprawę, jak dalece go rozszyfrowałaś?

- Och, na pewno świetnie o tym wie - przyznała Lucinda z uśmiechem. - Przecież zadaję mu tyle pytań!

- Zauważyłem to. - Minęli kolejną posiadłość i skręcili w przecznicę. - Bardzo kochasz generała, prawda?

- O, tak! Nigdy nie uważał mnie za gorszy gatunek człowieka tylko dlatego, że jestem dziewczyną, i dopilnował, abym odebrała pierwszorzędną wykształcenie.

- "Wszedłem w życie z najlepszymi intencjami i marzyłem o chwili, kiedy będę mógł je zastosować w praktyce i stać się użytecznym dla rodaków" - zacytował Robert z przelotnym uśmiechem.

- To z "Frankensteina", prawda? - Przypomniała sobie zacytane do cna kartki książki, którą Robert trzymał w ręku w dniu, kiedy to wszystko się zaczęło.

- Domyślasz się czy wiesz na pewno?

- Staram się wyciągać wnioski i chyba jestem w tym dobra. I tak na przykład wywnioskowałam, że ojciec tak lakonicznie opisał Bajonnę i Chateau Pagnon ze wszystkich trzech powodów: braku czasu, drastyczności faktów i dla bezpieczeństwa.

Poczuła pod ręką wzrastające napięcie mięśni ramienia, ale wyraz twarzy Carrowaya się nie zmienił.

- Nawet nie próbowałem zgadywać, o czym generał Barrett mógł myśleć - odrzekł niskim, chrapliwym głosem - ale przypuszczam, że masz rację.

Lucinda przełknęła ślinę. Mogła teraz zapytać go, dlaczego nie lubi jej ojca albo też o te sprawy, które jej ojciec uznał za ważne. Od początku miała wrażenie, że coś ich łączy. Przelotnie rzuciła okiem na ściągniętą bólem męską twarz i odważyła się zapytać:

- A więc w Chateau Pagnon mieściło się więzienie?

- Swego rodzaju.

- Jakiego znów rodzaju?

Nerwowo chwytnjąc oddech, Robert zaczął mówić głosem cichym i urywanym.

- Nie przyjrzałem się tej twierdzy dokładnie, ale z tego, co wiem, było tam specjalne więzienie dla oficerów armii brytyjskiej. Dla tych, od których Francuzi próbowali wydobyć... informacje.

Jasne, że mówił o miejscu, gdzie brytyjscy oficerowie byli torturowani i gdzie on sam też cierpiał męki.

- Tak mi przykro... - wyszeptała.

- Przecież to nie twoja wina.

- Przedtem nikomu o tym nie mówiłeś, prawda? - Mocniej ścisnęła go za ramię.

- Nie, to znaczy nie o wszystkim. Georgianie wspomniałem tylko, że nie wolno nam było rozmawiać. Nie potrzebowała wiedzieć więcej i nawet nie chciała, choć może nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Nie pozwalali wam rozmawiać?

- Przynajmniej nie między sobą. Gdyby strażnicy usłyszeli choćby szept, mieli prawo wywlec nas z celi i wychłostać.

- Jak to, przecież sam powiedziałaś, że żądali od was informacji. Jak mielibyście ich udzielić, jeśli nie wolno wam było mówić?

- Mogliśmy rozmawiać tylko z... tym człowiekiem. - Gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego szczupłym ciałem.

- Robercie, co z tobą?

Na chwilę przymknął oczy.

- Przez trzy lata próbowałem o tym zapomnieć - wyszeptał. - Nie chciałem do tego wracać.

- Jeśli nie chcesz, to nie musisz. - Mówiła szczerze. Pytania ojca i jej własna ciekawość mogły zaczekać.

Przeszli w milczeniu jeszcze kilka kroków.

- Nie, myślę, że chyba będę mógł. To dziwne, ale jeśli mnie to wspomnienie nie zabije, to może wyleczy.

Coś niesamowitego, nagle okazało się, że trudniej będzie jej tego wysłuchać, niż jemu powiedzieć! Słyszała od ojca i jego dawnych towarzyszy broni tyle frontowych opowieści i anegdot, ale żadna z nich nie wydawała się tak... przerażająca!

- Powiedz więc tyle, ile możesz - wykrztusiła.

Przyjrzał się jej badawczo i przed jego oczami przewinęło się przynajmniej ze sto różnych obrazów.

- Przepraszam - wyjąkał.

- Za co?

- Nie potrzeba ci moich koszmarów, Lucindo. Wystarczy, że przynajmniej ty mówisz do mnie jak do człowieka.

Przechodzili właśnie pomiędzy rozrośniętym krzewem różowo kwitnącego rododendronu a pustym powozem stojącym przy krawężniku, kiedy Lucinda poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Obawiała się, że jeżeli nie będzie mogła Roberta dotknąć, pocieszyć lub zrobić czegokolwiek - dozna wręcz fizycznego bólu. Uchwyciła więc mocniej jego ramię, obróciła go wokół własnej osi i wyprostowała się, aby wplątać mu palce we włosy, zmusić go do pochylenia głowy i pocałować. Od razu oblał ją żar, a Robert, z dobywającym się z piersi cichym westchnieniem, przycisnął ją do pudła powozu.

W tej chwili nie myślała o niczym innym, tylko o tym, żeby być jak najbliżej niego. Wydawało jej się, że przejmuje jego ból, zawód, urażoną dumę i gniew. Gdyby mogła uwolnić go od tych zgryzot, na pewno by to zrobiła.

Tymczasem jego dłonie zsunęły się po jej ramionach i bokach piersi, aż zatrzymały się w talii. Równocześnie Robert oderwał usta od jej ust i muskał nimi jej twarz i szyję. Pod nią zaś ugięły się kolana i przez myśl jej przeszło, że gdyby nie miała czyjegoś powozu za plecami - na pewno by upadła.

Robert na chwilę odsunął się od niej i wyszeptał:

- Lucindo...

- Psst! Pocałuj mnie! - odszepnęła.

Próbowała przyciągnąć go bliżej do siebie, ale z równym powodzeniem mogła ruszyć z miejsca kamienny posąg. Zaintrygowało ją to, bo oznaczało, że przedtem dobrowolnie jej ustępował.

- Jakiś powóz nadjeżdża! - wydyszał jej w ucho, odsuwając ją ponownie od siebie.

Rzeczywiście, po chwili obok nich z turkotem przejechała kariolka. Całe szczęście, że Robert miał tak dobry słuch! Lucindą zdążyła jeszcze chwycić go pod ramię, dała sobie natomiast spokój z poprawianiem kapelusza i ruszyli uliczką przed siebie.

- Ciągle jeszcze nie opowiedziałas mi, na czym będzie polegać następna lekcja z Geoffreyem - zaczął z innej beczki, a także zupełnie innym tonem. Kto by pomyślał, że jeszcze minutę wcześniej przywoływał bolesne wspomnienia tortur i śmierci, a pół minuty temu całował się z nią!

Może właśnie przez ten pocałunek powrócił do tematu lorda, aby jej przypomnieć, że to jego, a nie Roberta Carrowaya, wybrała na ucznia? Przynajmniej jedno z nich pamiętało o wyznaczonej sobie roli!

- Opowiem ci jeszcze dziś wieczorem - obiecała.

- To chyba nie będzie nic przyjemnego.

A jakże, przynajmniej dla niego, ale i dla niej też.

- Głupstwa ple... - zaczęła, kiedy nad ich głowami rozległ się okrzyk:

- Podły zdrajca!

Carroway błyskawicznie odwrócił się w kierunku, skąd dobiegł głos, a sam stanął przed Lucindą, aby zasłonić jej widok, ale wychyliła się zza jego ramienia.

Kariolka minęła ich tak szybko, że zniknęła już na drugim końcu ulicy.

- Kto to był? - spytała Lucinda.

- Sir Walter Fengrove i lady Daltrey - odpowiedział Robert beznamiętnym tonem, obserwując podskakującą na kocich łbach kariolkę.

- Czy on wołał do nas? I dlaczego powiedział coś takiego?

Carroway wzruszył ramionami, ponownie kierując wzrok przed siebie.

- Nie wiem - wykrztusił wreszcie, ale twarz mu całkiem poszarzała.

- Robercie! - nalegała, lecz zbył ją krótko:

- Nic mi nie jest. Powinniśmy już wracać do Georgie.

Lucindą była przekonana, że ją oszukuje, ale nie chciała sprawiać mu większej przykrości od tej, którą zrobiła mu dziś rano, więc zgodziła się.

- Tak, wracajmy już do niej.

## 14

*Teraz już wszystko diabli wzięli.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

No i proszę - odważył się wspomnieć o Chateau Pagnon i jakoś nie umarł. Już samo to, że zwierzył się Lucindzie, stanowiło sukces. Albo raczej stanowiłoby, gdyby Walter Fengrove nie przejechał obok nich w najmniej odpowiednim momencie.

Nie zaskoczyło go to, bo czuł w kościach, że musiało się stać coś złego. Czuł się już lepiej, zaczął nawet myśleć o przyszłości, jednak wszystko to było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. A jeszcze tak niedawno wydawało mu się, że wraca do życia - szczególnie pewne partie jego ciała i tylko w obecności panny Barrett.



Zaraz potem, jak wrócili z przechadzki, Lucinda przeprosiła Georgie i odjechała do domu swoim powozikiem. Robert zaś z pewnym wahaniem wrócił do salonu. Wicehrabina wciąż siedziała na kanapie, ale widać było, że nie jest jej tam wygodnie.

- Nie powinnaś była tyle spacerować - pouczył ją, wsparty o framugę drzwi, skąd widział, jak bratowa nie może usiedzieć na miejscu.

- A właśnie, że powinnam - sprzeciwiła się. - Nie mogę wiecznie wylegiwać się jak hipopotam!

- I co, teraz czujesz się lepiej?

- Przynajmniej nie pleśnieję! - Zrobiła naburmuszoną minę.

Robert zignorował jej słowa i wyprostował się, odsuwając się od drzwi.

- Przyniosę ci kilka poduszek - zaproponował.

Jeszcze zanim wyszedł, Georgie podciągnęła się wyżej na oparciu kanapy.

- Lucinda wydawała mi się dziś jakaś nie w sosie - zauważyła. - Czy nie mówiła ci, że coś ją gryzie?

Nie zamierzał bynajmniej martwić bratowej, więc odpowiedział wprost:

- Kiedy wracaliśmy ze spaceru, minął nas jakiś woźnica, który pędził na złamanie karku i wydzierał się jak wariat.

- Rzeczywiście, nawet wydawało mi się, że coś słyszałam. - Georgiana uśmiechała się życzliwie, a jej zielone oczy promieniały ciepłem. - Czy nie sprawi ci przykrości, jeżeli powiem, że w ostatnich dniach wyglądasz na... szczęśliwszego?

Robert zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu. Próbował sobie wmówić, że sir Walter na pewno hulał przez całą noc, a po pijanemu wyzywał od zdrajców każdego napotkanego przechodnia. Wy tłumaczenie takie było wysoce prawdopodobne, bo Fengrove uchodził za pijaka.

- Proszę, tu są poduszki. Czy mam ci przynieść jakąś książkę? - zmienił temat.

- Chyba zostawiłam jakąś na stole w pokoju śniadaniowym. Dziękuję ci, Mały.

- Cieszę się, że mogę pomóc. - Skłonił się szarmancko. Georgie pomachała za nim ręką ze śmiechem:

- A widzisz, od razu zauważyłam, że jesteś szczęśliwszy!

Może rzeczywiście był, a może tylko nauczył się cieszyć chwilą, dopóki trwała? Idąc po książkę, próbował sobie wmówić, że to kłopotliwe napięcie bierze się z poczucia beznadziejności i niewiary, że cokolwiek może mu się udać. Aczkolwiek, sądząc po namiętności pocałunku Lucindy, niektóre sprawy szły mu lepiej, niż przypuszczał.

Wręczwszy Georgiane książkę, ruszył długim korytarzem do biblioteki, zamierzając poczytać. Jego bratowa udawała, że czuje się świetnie, a jej dolegliwości wynikają tylko ze zmęczenia. Robert wiedział, że Georgie, podobnie jak on, nie znosi, kiedy ktoś się nad nią trzęsie. Na wszelki wypadek wolał jednak być pod ręką, dlatego wybrał bibliotekę, jako znajdującą się w rozsądnej odległości.

Kiedy po godzinie zajrzał do bratowej, drzemała na kanapie. Właśnie wycofywał się na korytarz, gdy usłyszał zgrzyt otwieranych frontowych drzwi.

- To nieprawda! - dowodził głośno Edward, wkraczając przed braćmi do hallu. - Wygrałbym dziesięć funtów, gdybyście mi pozwolili postawić na...

- Cicho! - Robert dokuśtykał na tyle blisko, że mógł zasłonić mu usta dłonią. - Georgie zasnę...

- Tristanie, przywiozłeś mi lody cytrynowe? - rozległ się w tej samej chwili głos Georgiany.

- Tak, kochanie! - Dare przepchał się do przodu, a mijając Roberta, szepnął: - Czekaj na mnie w gabinecie.

W pierwszym odruchu Robert chciał zaszyć się choćby w mysią dziurę, byleby nie musieć wysłuchiwać, co starszy brat ma mu do powiedzenia. Jednak podczas pobytu we Francji przekonał się, że ciche i ciemne miejsce nie zawsze jest bezpieczne.

Edward, który opowiadał Dawkinsowi swoje wrażenia z regat, chyba jako jedyny z braci Carrowayów nie zdawał sobie sprawy, że stało się coś złego. Bradshaw i Andrew stali w hallu z posepnymi minami. Żaden z nich nie podniósł oczu na Roberta.

Powlókł się więc do gabinetu Tristana dręczony niepokojem. Sforsowane kolano nie pozwalało mu usiedzieć spokojnie, więc zaczął się powoli przechadzać pod oknem.

Słyszał, kiedy Tristan wszedł do pokoju, ale nie odwrócił się ku wejściu. Trzask zamykanych drzwi wydał mu się zapowiedzią katastrofy.

- Usiądź, Mały - zaproponował brat.

- Nie.

- No, dobrze - westchnął wicehrabia. - Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś dziś wieczorem nigdzie nie wychodził.

- Dlaczego?

- Może byś przynajmniej patrzył mi w oczy, kiedy do ciebie mówię?

Robert wziął głęboki oddech i odwrócił się twarzą do starszego brata, opierając się plecami o parapet.

- Tris, przez trzy lata niezmordowanie próbowałeś wyciągnąć mnie do ludzi - przypomniał. - Dlaczego akurat dziś nie chcesz, żebym jechał z wami do Vauxhall?

- To trudna sprawa. - Lord Dare przyciągnął sobie jedno z krzeseł przeznaczonych dla interesantów i usiadł na nim naprzeciw brata. - Naprawdę nie chciałbym wyrządzać ci przykrości, ale proszę cię, abys przez wzgląd na mnie został dziś wieczorem w domu.

Niestety, bracia Roberta często zdawali się nie rozumieć, że chcąc go chronić - zadawali mu większy ból!

- Nie bój się, nie sprawisz mi przykrości, jeśli powiesz mi, o co tu chodzi - zapewnił. - Przypuszczam, że to z tego powodu sir Walter Fengrove przed godziną nazwał mnie zdrajcą.

- On? A niech to wszyscy diabli! - wymamrotał Tristan, blednąc.

Robert zdawał sobie sprawę, że taka rozmowa do niczego nie doprowadzi, więc sam próbował ratować sytuację.

- Chyba się już domyślam. Coś zginęło z dowództwa Gwardii Konnej i ludzie sądzą, że to moja sprawka?

- Owszem, niektórzy tak myślą, ale są w błędzie.

Robert zmarszczył czoło.

- Wiem, że są, ale dlaczego podejrzewają akurat mnie?

Wicehrabia zerwał się na równe nogi i sam zaczął nerwowo przechadzać się do drzwi i z powrotem.

- Jakiś dureń rozpuścił pogłoskę, że byłeś więziony w Chateau Pagnon, a wszyscy wiemy, że tylko zdrajcy wyszli stamtąd z życiem!

Robert wytrzeszczył oczy na brata, nie będąc w stanie zebrać myśli. Milczeli więc obaj, tylko Robert wpił palce w parapet, jakby się obawiał, że wiatr go porwie. Boże, jak mógł tak fatalnie się pomylić? Kiedy w końcu przełamał mur milczenia wokół Chateau Pagnon - to właśnie go zgubiło!

- Przecież to śmieszne! - ze złością wyrzucał z siebie Tristan. - Niech no ja dostanę w ręce tego przekłętą kłamcę, a wybiję z niego całą prawdę! Ci durnie sami nie wiedzą, o czym...

- Kiedy ja byłem w Pagnon - przerwał mu Robert głosem przechodzącym w ochryply szept.

Jego brat zamarł.

- To niemożliwe. Nie mogłeś tam być.

- Jeśli ja mogłem się z tym pogodzić - wyrębał Robert, choć każde słowo raniło go ostrzej niż nóż - to i tobie nic się nie stanie.

- Ale...

- Nie zmienia to faktu, że nie zabrałem niczego z dowództwa Gwardii Konnej.

- Jestem pewien, że nie zabrałeś! - Brat wlepił w niego jasnoniebieskie oczy przepełnione bólem i przerażeniem. - Ale jeśli nawet ja o tym nie wiedziałem, to skąd ktokolwiek wiedział, że tam siedziałeś?

W głębi swego śmiertelnie zranionego serca Robert znał odpowiedź. To ona zdradziła go, ledwie zaczął jej ufać! Ledwie zaczął znowu otwierać się na świat! I pomyśleć, jaką niewinną i zatroskaną udawała, jak wspaniale zagrała święte oburzenie, kiedy obcy ludzie obrzucali go obelgami!

- Mam dobry pomysł - mruknął, odsuwając się od parapetu. - Przepraszam cię, ale muszę załatwić pewną sprawę.

- O, nie, Mały! - Lord Dare zastawił sobą drzwi. - Nie ruszysz się stąd, dopóki nie usłyszę wyjaśnienia. Jakim sposobem ktoś obcy mógł dowiedzieć się o tym, o czym nie pisałeś słowa nawet własnej rodzinie?

Czując złość wzbierającą mu w gardle, Robert odsunął brata na bok.

- Później ci powiem.

- Ależ, Mał...

Robert z trzaskiem otworzył drzwi i szybkim krokiem przemierzył hall. Stali tam jeszcze Andrew i Bradshaw. Ten ostatni w lot wyczuł nastrój brata, bo odciągnął Andrew od drzwi, które Robert rozwarł jednym kopniakiem.

Dla jego niesprawnej nogi był to nadmierny wysiłek, ale nie zważał na to, idąc sztywnym krokiem wzdłuż podjazdu. Przyzwyczyił się znosić ból, natomiast znacznie trudniej przychodziło mu zmagać się z dławiącym gniewem i poczuciem zawodu, bowiem tych emocji dotąd nie doświadczał.

Kiedy Lucinda wróciła do domu, drzwi otworzył jej sam generał Barrett. Po błysku w jego oczach i posępnej minie od razu poznała, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało, tatusiu?! - wykrzyknęła.

- Idziemy do mnie! - zakomenderował ostro, odwracając się na pięcie i ruszając do gabinetu.

Ho, ho, sprawa wyglądała na poważną, bo nawet jako dziecko rzadko wysłuchiwała dłuższych kazań od ojca. Cóż, że wolałaby teraz w samotności pomyśleć o Robercie - posłusznie podreptała za ojcem, zrzucając po drodze kapelusz.

Zastanawiała się tylko, jak Robert, przy całej swojej małomówności, może mieć takie zmysłowe usta?

- Drzwi! - rozkazał lakonicznie Barrett, kierując się w stronę swego fotela. Usiadł na nim prosto i sztywno jak posąg.

Lucinda zamknęła drzwi i stanęła, opierając się o nie plecami.

- Co się stało? - powtórzyła.

- Dziś rano prosiłem cię, żebyś nie wychodziła z domu - zaczął bez żadnych wstępów.

- To nie tak, tatusiu. Prosiłeś mnie tylko, żebym nikomu nie powtarzała tego, co mi powiedziałaś, a ja cię posłuchałam.

- Dlaczego więc, kiedy wracałem z obiadu, trzech ludzi niezależnie od siebie zatrzymało mnie, żeby zapytać, czy to prawda, że Robert Carroway wykradł ważne papiery z dowództwa Gwardii Konnej?

Lucinda doznała takiego szoku, jakby ojciec zniecierpliwiony wymierzył jej policzek.

- Co takiego? Jak ktokolwiek mógł powiedzieć, że Robert w ogóle coś ukradł, a jeszcze z dowództwa Gwardii? Czy coś stamtąd zginęło?

Augustus Barrett przez chwilę przyglądał się córce badawczo, potem nabrał dużo powietrza, aż zafalowała jego wypukła pierś.

- Gdzie byłaś dziś rano? - spytał.

- U Georgiany - odpowiedziała, wahając się między lojalnością wobec Roberta a posłuszeństwem wobec ojca. Z tego, co jej powiedział, wnosiła, że ważne mogło być wszystko lub nawet cokolwiek, oczywiście z wyjątkiem pocałunków i tego, jak się po nich czuła. - Przy okazji chciałam spytać Roberta, co wie o Chateau Pagnon.

- Ach, więc jednak chodziłaś na plotki! - warknął generał. - Lucindo, a ja...

- Z nikim nie plotkowałam - zaprzeczyła stanowczo. - Robert nie powiedział tego nikomu oprócz mnie, a ja nikomu oprócz ciebie, i to wbrew jego woli. Cokolwiek by ludzie gadali, nie wyszło to ode mnie.

- Chcesz mi wmówić, że to moja wina? Myślę, że wiem...

Lucinda podniosła rękę, powstrzymując potok jego wymowy.

- Tatusiu, nie krzycz, tylko powiedz mi spokojnie, o co chodzi, to może coś mądrego wymyślimy.

Generał wstał z miejsca i podszedł do okna.

- Ta twoja zimna krew może czasem wyprowadzić człowieka z równowagi! - zagrział.

Lucinda stłumiła uśmiech, wbrew wszystkiemu cisnący się jej na usta.

- Wiem o tym - odpowiedziała spokojnie.

- No, dobrze. - Ojciec spojrział na nią przez ramię. - Może rzeczywiście, zanim wykrzychałem ci oskarżenia w twarz, powinnaś była poznać fakty?

- O, tak, dziękuję.

- Zatem po pierwsze, z dowództwa Gwardii Konnej zginęły pewne dokumenty. Takie, które nie przydadzą się nikomu, jedynie komuś, kto chciałby uwolnić Napoleona i wznieść nową wojnę w Europie.

- Boże Wszechmogący! - jęknęła, opadając na jedno z krzeseł, które generał trzymał dla interesantów. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z wagi tego, co usłyszała. Serce podeszło jej do gardła. - Robert na pewno nie zrobiłby czegoś takiego. Dlaczego ktoś go o to oskarża?

- To ładnie, że chcesz być lojalna wobec przyjaciela, ale póki co, radziłbym ci, żebyś się z tym nie afiszowała.

- Tato, ty chyba nie myślisz, że... Jak możesz?

- Co on ci powiedział o Chateau Pagnon?

Zawahala się, ale uznała, że w tych okolicznościach ważniejsze jest oczyszczenie Roberta z zarzutów niż zachowywanie jego tajemnic. Może wieczorem będzie mogła mu to wyjaśnić, bo i tak wyjaśnienia wymagało wiele spraw, przy których jej "lekcje" wydawały się czczymi błałostkami.

- Tatusiu, Robert Carroway nie uczynił nic złego. Opowiedział mi tylko, że byli tam więzieni brytyjscy oficerowie, którzy dostali się do niewoli. Podobno bito ich, jeśli zamienili choć słowo z kimkolwiek oprócz... Nie wymienił nazwiska tego człowieka.

- Prawdopodobnie był nim generał Jean-Paul Barrere, szef służb wywiadowczych Bonapartego, szaleniec, lecz o wielkiej... sile przekonywania.

Przez chwilę Lucinda siedziała w milczeniu, porażona okropnością tej informacji.

- To musiało być straszne! - wyszeptała jakby do siebie, ale zaraz się wyprostowała. - Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego właśnie Roberta podejrzewa się o zdradę? Tylko z uwagi na więzienie, w którym siedział? Właśnie, o zdradę! Przecież sir Walter Fenley nazwał go zdrajcą.

- Jeszcze nic nie wiemy na pewno, inaczej dawno już byłby aresztowany. Jednakże...

- Aresztowany? - Lucinda zerwała się na równe nogi. - Tato, ty chyba żartujesz?

Jeśli miało to związek z tym, o czym wspomniała ojcu, sama była winna temu, co się stało. Robert prosił ją przecież, by trzymała język za zębami. Tylko dlaczego?

- Prawda jest taka, że dotychczas wiemy tylko o trzech oficerach, którym udało się ująć z życiem z Chateau Pagnon. Jednego z nich przyłapano na usiłowaniu zabójstwa swego dowódcy, a drugi dostał przydział na Elbę niedługo przed ucieczką Bonapartego. Pozostał więc tylko Robert Carroway. Szkoda, że do wczoraj w dowództwie Gwardii Konnej nie wiadano, iż był przetrzymywany w Chateau Pagnon.

- Dopóki nie dowiedziałeś się tego ode mnie - wyszeptała. Kręciło jej się w głowie tak bardzo, że z powrotem musiała usiąść.

- Nie obwiniaj się o to, Lucindo, bo wczoraj sam skojarzyłem ze sobą pewne fakty. Raz wspomniałaś mi o jakimś nowym przyjacielu, byłym żołnierzu, a znów dziesięć dni później zaczęłaś wypytywać mnie o Chateau Pagnon. Możliwe, że dzięki temu uratowałaś życie wielu Anglikom.

Lucinda przymknęła oczy, modląc się, aby to wszystko zniknęło.

- Ale nie masz pewności, że to on?

- Jeszcze nie. - Generał stanął przed nią, położył ręce na poręczach jej krzesła i zapowiedział: - Jednak dopóki ta sprawa się nie rozstrzygnie, chciałbym, abyś trzymała się z daleka od niego, od całej jego rodziny i w ogóle od ich domu. Czy wyrażam się jasno?



- Ależ Georgiana to moja...

- ...najlepsza przyjaciółka, wiem. Przykro mi, ale ten, kto ukradł te papiery, to skończony łajdak, i chyba sama nie chciałabyś mieć z nim nic wspólnego. - Wyprostował się i dodał: - Obawiam się, że nie będziemy mogli pojechać z Carrowayami ani dziś do Vauxhall, ani gdziekolwiek indziej w przewidywalnej przyszłości.

Lucinda nie była w stanie zebrać myśli. Najchętniej wykrzyczałaby ojcu w twarz, że żaden z jej przyjaciół nie mógł być zdrajcą. Przecież dwóch braci Carrowayów narażało swe życie, walcząc przeciw Bonapartemu. A teraz Bradshaw może utracić dowództwo okrętu, a Robert...

Nie zdążyła jednak się odezwać, bo do drzwi dyskretnie zastukał kamerdyner.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie generale - sumitował się - ale ktoś przyszedł do panienki Lucindy.

- A kto taki, Ballow?

- Pan Robert Carroway, proszę wielmożnego pana.

A więc wiedział! Domyślił się, że to ona nie utrzymała języka za zębami, chociaż zaklinała się, że nie piśnie ani słówka. Wiedział już, że to przez nią przechodnie na ulicy obrzucali go obelgami.

Augustus Barrett ruszył w kierunku drzwi.

- Ja się tym zajmę - zapowiedział.

Lucinda próbowała przytrzymać go za ramię.

- Ależ tatusiu, przecież sam powiedziałaś, że w tej sprawie nie wiadomo jeszcze nic pewnego...

- Jeżeli to on wykradł te papiery, równie dobrze mógłby cię skrzywdzić. Zostań tutaj!

Lucinda drżała na całym ciele, ale usłuchała rozkazu. Uchyliła jednak drzwi do gabinetu na tyle, żeby móc przez wąską szparkę widzieć, co dzieje się w hallu. W duchu modliła się: Boże, daj, żeby to wszystko okazało się pomyłką!

Carroway był blady, ale spokojny. Nie zmienił wyrazu twarzy także wtedy, kiedy generał wkroczył do hallu i oznajmił mu krótko:

- Moja córka nikogo nie przyjmuje. Radziłbym panu iść do domu.

Myślała, że Robert spoliczkuje jej ojca, ale nie odrywał zaciśniętych pięści od boków.

- To tak samo pana wina, jak jej - rzucił ociekającym nienawiścią głosem, od którego się wzdrygnęła. - A już myślałem, że będę mógł panu przebaczyć!

- Co mi przebaczyć? - warknął generał.

- Bajonę. - Carroway szarpnął drzwi frontowe, aż otworzył je na oścież. - Niech pan trzyma ją z dala ode mnie. Lepiej nie zbliżajcie się do mnie oboje.

Lucinda wzdrygnęła się, słysząc trzask zamykanych drzwi.

Nieraz widziała już Roberta w różnych nastrojach - wesołego, zawiedzionego, a nawet przygnębionego. Nigdy jednak nie widziała go w gniewie, a teraz przekonała się, że potrafi być straszny. Najgorsze, że sama spowodowała ten gniew, a przede wszystkim - że na niego w pełni zasłużyła.

Okazało się, że o istnieniu Chateau Pagnon wie więcej osób, niż się Robertowi wydawało. Naiwnością i głupotą z jego strony było sądzić, że jeśli nie będzie o czymś mówić ani i przestawać z kimkolwiek, kto mógłby ten temat poruszyć - to ta rzecz przestanie istnieć. Tak jakby mógł samą siłą woli obrócić to miejsce w perzynę!

Po wyjściu z Barrett House wzdłuż całej Bond Street czuł na sobie oskarżycielskie spojrzenia i słyszał szepty. Oznaczało to, że w ciągu jednego przekłętego dnia potrafił popaść z jednej skrajności w drugą - od samotności do niesławy. W domu zaś na pewno czekał go krzyżowy ogień pytań ze strony rodziny. Kiedyś przynajmniej we własnych czterech ścianach czuł się bezpiecznie, a krewni pytali go najwyżej, jak się czuje lub czy czegoś mu nie trzeba. Teraz stracił jeszcze i ten azyl.

Pochylił się w siodle i pogłaskał Tolleya po szyi.

- Pojedziemy sobie na spacer!

Skierował się na północ, poza miasto, na te same łąki, gdzie kiedyś tak mile spędzili przedpołudnie z Lucindą. Postanowił jednak jechać dalej, gdyż przypomniał sobie, że pozostało mu jeszcze jedno bezpieczne miejsce na ziemi. Posiadał przecież stary, zaniedbany majątek Glauden Abbey w Szkocji, który oficjalnie Tristan podarował mu w zeszłym roku. Miał tam do dyspozycji dwóch służących i kucharza, z pomocą których przez dwie ostatnie zimy doprowadzał dworek do porządku.

Aby tam dojechać, potrzebował pięciu dni, w ostateczności czterech, gdyby mocno popędzał Tolleya. Mógłby zaszyć się na odludziu i przeczekać, aż ucichnie całe to zamieszanie, odnajdzie się właściwy sprawca kradzieży dokumentów, a londyńskie towarzystwo zapomni, że Robert Carroway próbował od nowa zacząć żyć.

Przed wieczorem zatrzymał się w gospodzie Pod Diabelskim Łukiem, aby coś zjeść i dać odpocząć koniowi. W takim miejscu nikt nie patrzył na niego bardziej nieufnie niż na innych dobrze ubranych podróżnych, dlatego liczył, że uda mu się tu uspokoić szaleńczą gonitwę myśli.

Spodziewał się, że gdy długo nie będzie wracał, krewni domyślą się, dokąd pojechał; przynajmniej Tristan powinien się domyślić. Edward na pewno będzie zły, ale reszta rodziny powinna go zrozumieć, chyba że to, co wyznał Tristanowi na temat Chateau Pagnon, utwierdzi ich w przekonaniu, że był winien. W takim przypadku żadne miejsce na świecie nie zapewniłoby mu bezpieczeństwa.

Czuł, że zaczyna go ogarniać paniczny lęk, więc spróbował zagłuszyć go kuflem piwa. Kiedy wypił, zamówił następny kufel, bo nie mógł pozwolić, aby atak dopadł go w tym miejscu i w tym czasie.

Zwykle pomagało mu, jeśli mógł skupić na czymś myśli, ale w tym dniu nic nie skutkowało. Po raz pierwszy groziło mu coś bardziej namacalnego niż koszmary senne, jakie go gnębiły, odkąd hiszpańscy partyzanci uratowali mu życie. Teraz też, tak jak wtedy, uciekał, bo stracił nadzieję na ocalenie.

To prawda, że Lucinda się wygadała. Uznał to za formę zdrady, a przynajmniej uważał tak, kiedy wtargnął do Barrett House tak wściekły, że zatracił zdolność logicznego myślenia. Doszedł jednak do wniosku, że niezupełnie miał rację. Gdyby Lucinda uważała, że postępuje słusznie, jej ojciec nie stanąłby do bezpośredniej konfrontacji z nim we własnym domu. Jeśli natomiast zrobiła to niechętnie - widać, miała powody.

Mimo wszystko ta właśnie kobieta uświadomiła mu, że życie ma także i jaśniejsze strony. Dzięki niej zaczęła pękać skorupa, którą opancerzył się przed światem. Prawda, że panna Barrett była piękna, ale to nie jej uroda przekonała go, że powinien, choćby kulawym krokiem, wyjść do ludzi; przekonało go jej serce.

Co do tego nie mógł się mylić, bo gdyby nie była taka, jak sądził - wszelka nadzieja straciłaby rację bytu. A poza nadzieją już nic mu nie pozostało. Musiała mieć ważne powody, dla których wyznała tajemnicę ojcu. Dobrze byłoby tylko poznać, jakie to powody.

Robert wstał od stołu, pozostawiając tam kilka monet, i wyszedł na dziedziniec zajazdu. Jasne, że generał Barrett nie mógł być pewien oskarżenia, gdyż w przeciwnym razie jeszcze dziś rano w Carroway House obudziłby go pluton wojska.

Odnalazł Tolleya i dał mu marchewkę, którą zwędził podczas obiadu.

- A co ty o tym sądzisz? - zagadał do gniadego, który przyjaźnie zastrzygł uszami.

Przez trzy lata Robert nie dbał o to, co ludzie o nim myślą. Nie było to trudne, bo traktowano go jak powietrze i nikomu się nie chciało poświęcić mu ani jednej myśli. Teraz był na ustach wszystkich. Wcale nie marzył o przejściu takiej próby, lecz widocznie taką zesłały mu niebiosy.

Wsiadając na konia zmarszczył czoło.

- Zmiana planów, Tolley - oznajmił. - Wracamy do Londynu!

## 15

*Tej nocy nie zmrużyłem oka.*

- *Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Było już dobrze po północy, kiedy ucichły odgłosy odpalania ostatnich fajerwerków, a Lucinda wciąż jeszcze nie spała. Prześladował ją wyraz twarzy Roberta, a wiedziała, że jeśli zaśnie - zobaczy we śnie to samo, tylko sto razy gorsze.

Zastanawiała się, czy Carrowayowie pojechali w końcu do Vauxhall i czy Saint z Evie nie wycofali się w ostatniej chwili. Na myśl, że Georgiana i Tristan mogliby siedzieć sami na widowni, robiło jej się słabo. Robert wprawdzie też się wybierał, ale po namyśle na pewno zmienił zdanie. Poniewczasie Lucinda przypomniała sobie, że sama namówiła lorda Dare'a, aby zaprosił Geoffreya. Taki wieczór nie mógł się udać pod żadnym względem!

Herbata, którą przyniosła sobie do sypialni, zdążyła dawno wystygnąć. Popijała ją jednak po trochu, przechadzając się po pokoju. Jej ojciec na pewno wiedział wszystko na temat Chateau Pagnon, zaś to, co odkrył przed nią wczoraj, tylko pobudziło jej ciekawość. Intrygowało ją, czy ojciec wiedział, że uda się do Roberta, aby u niego szukać odpowiedzi na kolejne pytania? I czy posłużył się nią, aby go szpiegować?

Nagle okno w jej pokoju zaskrzypiało. Odruchowo chwyciła stojący najbliżej wazon, zanim się otworzyło. Ciemna postać wskoczyła na parapet, a stamtąd zsunęła się na podłogę. Tłumiąc okrzyk, Lucinda ruszyła na intruza z wazonem.

Czyjaś ręka chwyciła ją za przegub dłoni, obróciła dookoła własnej osi i pchnęła do tyłu. Lucinda nabrała w płuca dużo powietrza, ale nie zdążyła wydać żadnego dźwięku, bo druga ręka zatkała jej usta. Wazon upadł na dywan i potoczył się pod łóżko z głuchym łoskotem.

- Masz już dość? - szepnął jej w ucho znajomy niski głos.

To był Robert! Kiwnęła twierdząco głową. Serce biło jej tak mocno, że z pewnością musiał to słyszeć.

- Tylko nie krzycz - ostrzegł, uwalniając jej rękę i odsłaniając usta.

Pozbawiona oparcia, o mało nie upadła; zaczerpnęła oddechu, próbując się uspokoić.

- Czy mogę... - zaczęła schrypniętym głosem. Nie wierzyła, aby mógł cokolwiek ukraść, ale faktem było, że wdarł się do jej sypialni pod osłoną nocy. Pamiętała też, że nie usłuchała jego prośby o zachowaniu w tajemnicy jego pobytu w Pagnon, a ojciec przestrzegał, że dla takiego łotra skrzywdzić ją to tyle, co splunąć. - Mogę podkręcić lampę?

Carroway zaciągnął zasłony i dopiero wtedy odpowiedział:

- Tak, ale tylko trochę.

Ręce trzęsły się jej tak, że o mało nie upuściła lampy, ale zdołała podkręcić knot. Chciała, aby Robert dał jej szansę wytłumaczenia się, ale ujrawszy w żółtym, migającym świetle jego ściągniętą twarz i błysk w oczach, nie była pewna, czy zechce jej wysłuchać.

- Robercie, ja naprawdę nie chciałam, żeby tak wyszło - asekurowała się na wszelki wypadek. - Tak mi przykro...

- Ale prosiłem cię, abyś nic nie mówiła swojemu ojcu, więc dlaczego mu powiedziałaś? - zapytał, krążąc po sypialni. Nie brał niczego do ręki, ale wszystkiemu się przyglądał, jakby chciał na podstawie jej pokoju ocenić ją samą.

- Pytałam go tylko, co to było Chateau Pagnon - wyjąkała załamującym się głosem. - Chciał wiedzieć, od kogo się o tym dowiedziałam, ale udawałam, że nie pamiętam. Wtedy powiedział, że to bardzo ważne... - Po jej policzku spłynęła łza. - Nie mówiłby czegoś takiego, gdyby tak naprawdę nie było!

- A nie powiedział, dlaczego to jest takie ważne?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Mówił tylko, że chce rozwiązać jakiś problem i widać było, że coś go gryzie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam ani o kradzieży tych papierów, ani o tym, że w Chateau Pagnon mieściło się więzienie. Dowiedziałam się tego dopiero potem.

- A komu jeszcze o tym powiedziałaś?

- Nikomu.

Carroway opadł ciężko na krzesło przy jej toalecie.

- A więc to generał rozpuścił te plotki.

Dobrze przynajmniej, że jej uwierzył, choć równocześnie bolała ją ta lodowata pogarda, z jaką mówił o jej ojcu.

- Przecież wie, że powiedziałam mu o tym w zaufaniu.

- Ty o tym także wiedziałaś.

- Zgadza się, ale dlaczego nie chciałaś wtajemniczać w to mojego ojca?

- Mam swoje powody. - Potarł pięścią udo. - Ale to nie ma nic wspólnego z kradzieżą w dowództwie Gwardii.

- Robercie, ja...

- Ktoś to rozgadał - ciągnął, nie zważając na jej słowa. - Jeśli nie ty, w takim razie chciałbym wiedzieć, z kim jeszcze generał mógł o tym mówić.

Na temat uczciwości Augustusa Barretta mogliby dyskutować całą noc, a i tak nie doszliby do porozumienia, zaniepokoiły ją jednak ostatnie słowa Roberta.

- Jak to, żądasz ode mnie, abym szpiegowała własnego ojca?

- Nie, ale chciałbym poznać źródło, z którego rozeszły się te pogłoski. Idę o zakład, że ten, kto je rozpuscita, nie potrafi, tak jak ty, rozróżnić, co jest dobre, a co złe.

Nie mówił z taką złością, jakiej się spodziewała, zważywszy na to, że dziś rano generał wyrzucił go ze swego domu. Jasne, że przepełniał go gniew, ale już nie skierowany przeciwko niej, i chwala Bogu.

Odetchnęła z ulgą, lecz zaraz przebiegł ją dreszcz, kiedy zobaczyła, jak Robert wziął do ręki jej szczotkę do włosów i niedbale zaczął obracać ją w palcach. Od razu wyobraziła sobie, jak delikatnymi pociągnięciami szczotkuje jej włosy...

Otrząsnęła się z tych rojeń i powiedziała:

- Te plotki dawno stąd wyszły, a i złodziej zrobił to samo. Co nam to da, że się dowiemy, kto był tym gadułą?

Carroway przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Pomogłoby mi to odzyskać spokój ducha - rzekł w końcu. - A ty miałaś opowiedzieć mi, czego dotyczy lekcja trzecia?

- Chcesz zajmować się takimi głupstwami, kiedy oskarżono cię o...

- O zdradę stanu? - dokończył za nią.

- Tak. Dziwię się, jak możesz zachować taki spokój.

Zwrócił się twarzą do niej, a w mdłym świetle lampy jego niebieskie oczy wydawały się prawie czarne.

- Wierz mi, nie zamierzam o tym zapomnieć. Nadal jednak jesteś moją przyjaciółką, prawda? Czy w ogóle jesteśmy jeszcze przyjaciółmi?

Po policzku Lucindy spłynęła kolejna łza.

- To raczej ja powinnam zadać ci to pytanie, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to owszem, jesteśmy przyjaciółmi.

- Proszę cię więc jak przyjaciółkę, żebyś mnie trochę rozerwała i opowiedziała mi o tej lekcji.

- Skończyłam już z lekcjami. - Boże, jakąż dziecinadą teraz się wydawały!

- Naprawdę czy tylko tak mówisz, żeby się mnie pozbyć? - Przez jego twarz przemknął cień. - Rozumiem, niebezpiecznie jest przebywać w moim towarzystwie, tak?

- Nie o to chodzi! - syknęła. - Widzisz, dopiero co odbyłam rozmowę z Geoffreyem. On potrzebuje protektora, aby dostać awans i dowództwo garnizonu w Indiach.

Wyraz oczu Roberta od razu się zmienił, choć trudno było odgadnąć, o czym w tej chwili myślał.

- Więc Newcombe chce się z tobą ożenić, aby generał pomógł mu otrzymać stopień majora?

- Tak.

- A tobie to nie przeszkadza, że on cię wcale nie kocha? Zamierzasz to znosić przez wzgląd na niego?

- To nie tak, - Lucinda przysiadła na krawędzi łóżka tylko po to, aby zaraz znów wstać i zacząć chodzić po pokoju. Więc on myślał, że ona kocha Geoffreya? Przecież nikt dotąd nie rozbudził w niej takich emocji jak właśnie



on! Najpierw twierdził, że oczekuje od niej odpowiedzi, a potem odwrócenia uwagi od sytuacji, w jakiej się znalazł, podczas gdy to ona w tej chwili nie potrafiła myśleć logicznie. Musiała uświadomić sobie, że ma już dwadzieścia cztery lata i nie może zachowywać się jak wzdychająca pensjonarka. To, że prześladowany, lecz przystojny i niebezpieczny mężczyzna wtargnął przez okno do jej sypialni, nie oznacza wcale, że ma dla niego stracić rozum! - Mój ojciec lubi Geoffreya, jest zadowolony, że wyjdę za kogoś, kogo aprobuje i komu ufa, że zadba o mnie jak należy. To chyba proste i jasne, prawda?

- A więc wybrałaś spokojne życie - podsumował Robert takim tonem, że zabrzmiało to jak obelga.

Lucinda nigdy nie myślała o tych sprawach w ten sposób, ale musiała przyznać, że rozumował słusznie. Cóż z tego, jeśli nawet miał rację? Wtrącał się w nie swoje sprawy.

- I co w tym złego? - obruszyła się, bo wprawił ją w zakłopotanie. - Kiedy każdy dostanie to, czego chciał, wtedy wszyscy będą zadowoleni.

Carroway zerwał się na równe nogi.

- Ty nie możesz tego zrobić! - oświadczył z mocą.

- Dlaczego nie? To chyba dobrze, że udało mi się znaleźć lekkie, łatwe i przyjemne rozwiązanie, które usatysfakcjonuje wszystkich?

Położył ręce na jej ramionach i popychał przed sobą, aż oparła się plecami o ścianę.

- Łatwe? Przyjemne? Ty, która masz w sobie tyle życia i ognia, wybierasz to, co łatwe i przyjemne?

Stał przy niej tak blisko, przyciskając ją swoim ciałem, że ledwo mogła oddychać, a serce jej biło coraz szybciej.

- Bo wszystko inne jest za trudne! - wyszeptała.

- I chwała Bogu, że jest takie! - warknął. - Mnie już nic nie pozostało. Czy wiesz, co dałbym za to, żeby...

Na chwilę przymknął oczy, a kiedy je otworzył - płonął w nich gniew i jeszcze coś, czego Lucinda nie umiała nazwać, ale co rozpalało w niej żywy ogień.

- Robercie...

- Pozwól, abym teraz ja udzielił ci lekcji - odezwał się grobowym głosem.  
- Takiej porządnej, z morałem. Był sobie raz oficer, rotmistrz czasu wojny. Wraz ze swoim plutonem wpadł w zasadzkę podczas zwiadu. Zabito wszystkich jego żołnierzy i tylko on jeden pozostał przy życiu. Przypuszczał, że Francuzi mieli powód, aby go oszczędzić, więc spróbował podjąć z nimi walkę. Było ich jednak zbyt wielu na niego jednego i w rezultacie pobili go do nieprzytomności. Ocknął się w malej celi z jednym okratowanym okienkiem. Razem z nim umieszczono tam sześciu brytyjskich oficerów. W sąsiedniej celi także siedziało sześciu czy siedmiu ludzi, aczkolwiek nie był tego pewien, gdyż mogli porozumiewać się tylko za pomocą cichego stukania w dzielący ich kamienny mur.

- Tak mi przykro! - wyszeptała Lucinda.

- Jeszcze nie skończyłem! - syknął. - Przez siedem miesięcy obserwowałem, jak jego towarzyszy niedoli dopóty poddawano najokrutniejszym torturom, dopóki nie wyznali wszystkiego, co wiedzieli, po czym ich zabijano. - Carroway parsknął śmiechem doszczętnie wypranym z wesołości. - Mieli do wyboru: powiedzieć wszystko i umrzeć albo milczeć, dopóki ich nie zakatują na śmierć. Najzabawniejsze było to, że nasz oficer nie wiedział nawet, od czego mógłby zacząć!

- Robercie...

- Wierz mi, że gdyby on... to znaczy, gdybym miał cokolwiek do powiedzenia temu Barrere, powiedziałbym. Ale on mi nie wierzył, był przekonany, że muszę coś wiedzieć. Próbowałem więc się zabić, bo nie miałem przy sobie nikogo chętnego do wyświadczenia mi tej przysługi...

Lucinda chciała zatkać sobie uszy, ale Robert przytrzymał jej ręce i przycisnął do ściany ponad głową.

- Proszę cię, przestań - wyszeptała. - Nie mogę słuchać, że chciałeś...

- Odebrać sobie życie? Zrobiłem to. W końcu nie mogłem już wytrzymać i wyrwałem nóż strażnikowi, kiedy wpychał mnie z powrotem do celi. Rzuciłem się z tym nożem na dowódcę straży, licząc, że mnie zastrzelą. Widocznie próbowali, gdyż obudziłem się u podnóża zamku. Pewnie myśleli, że nie żyję, i wyrzucili mnie za mury. Odczołgałem się w zarośla, żeby mnie nie przywlekli z powrotem, i tam czekałem na śmierć.

Po policzku Lucindy ściekła gorąca łza, a za nią następna. Widziała z bliska twarz Roberta, ściągniętą i poszarzałą, jakby samo wspomnienie

sprawiało mu ból. Unieruchomiona w żelaznym uścisku jego palców, wychyliła się tyle, ile zdołała i pocałowała go.

- Nigdy nie uwierzyłam, że mógłbyś coś ukraść - szeptała, całując go raz po razie. Próbowwała wyswobodzić się z jego uchwytu, aby przyciągnąć go bliżej do siebie.

On jednak cofnął się gwałtownie.

- Nie w tym rzecz, Lucindo. Przez ostatnie trzy lata byłem właściwie nieboszczykiem. Dopiero gdy cię poznałem, pomyślałem, że ci pomogę, a przy tym pomogę też sobie. Przecież wiem, że przysparzam tylko zmartwień mojej rodzinie. Lepiej byłoby, gdybym nie żył.

To krótkie zdanie przeraziło Lucindę bardziej niż cokolwiek innego, co od niego usłyszała.

- Ale żyjesz! - zaprotestowała.

- Tak, i powiem więcej - każdego dnia, kiedy się budzę, uważam to za cud. Tym bardziej nie wolno ci wiązać się z takim Geoffreyem Newcombe'em tylko dlatego, że zapewniłby ci spokój i wygodę. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Nie rozumiem, dlaczego spokojne i wygodne życie miałyby być czymś złym.

- To nie byłby spokój, tylko pustka. Czy dla ciebie łatwe i przyjemne oznacza życie bez zmartwień, podnieć i wzruszeń?

Spojrzała na niego spod oka.

- Nie, to oznacza, że... - Urwała, bo w gruncie rzeczy miał rację, ale nie widziała nic złego w swoich marzeniach o życiu bez kłopotów. - Spokój i prostota dają mi szczęście.

Carroway podniósł głowę i zmierzył ją od stóp do głów, czy raczej od obrębka jej cienkiej, bawełnianej koszuli z powrotem do twarzy.

- Kłamiesz!

- Wcale nie...

Tym razem to on przylgnął ustami do jej ust i to w sposób niepozostawiający wątpliwości co do jego intencji. Lucinda nie wierzyła, że mogłaby go powstrzymać, gdyby chciała, ale w tej chwili nie brała nawet takiej

ewentualności pod uwagę. Świadomość, że ten człowiek otarł się tak blisko o śmierć, nakazywała jej dać mu odczuć, że żyje, mało tego - że wlał nowe życie także i w nią.

Serce waliło jej jak młotem, podczas gdy usta stapiały się w jedno z jego ustami. Robert drażnił językiem jej wargi, dopóki ich nie rozchyliła. Równocześnie jego zwinne palce rozwiązały przytrzymującą jej włosy wstążkę i teraz przeczesywały ciemne sploty z zadziwiającą delikatnością.

Lucinda czuła wzbierającą w niej falę gorąca, która docierała aż do czubków palców. Wsunęła Robertowi ręce pod surdut, by go zrzucić z jego ramion. Kiedy z kolei on objął ją ciasno w talii i przyciągnął do siebie, cała zadrżała.

- Robercie... - wyszeptała zdyszczanym głosem, który w jej uszach zabrzmiał gołą obco, a nawet grzesznie.

W odpowiedzi Robert zsunął ramiączko koszuli z jej ramienia i zaczął okrywać pocałunkami jej odsłonięty dekolt, aż poczuła się jak jawnogrzesznica, rozpalona ogniem rozigranych zmysłów. Spokój i prostota mogły poczekać do jutra.

Wyciągnęła Robertowi koszulę ze spodni, wsunęła pod nią ręce i zaczęła wodzić nimi po płaskim brzuchu i muskularnej piersi. Czuła, jak twarde mięśnie tężeją pod jej dotykiem, dopóki Robert nie nakrył jej dłoni swoimi i nie powstrzymał jej wszędobylskich palców.

Nie przestając całować jej ust i szyi, zebrał w garście obrębek jej koszuli i zaczął ją podwijać, najpierw wokół łydek, potem kolan, bioder i wyżej. Cienka, bawełniana tkanina łaskotała skórę Lucindy, podobnie jak chłodny wiaterek przenikający przez zaciągnięte zasłony. Robert tymczasem powoli i z rozmysłem podwijał koszulę coraz wyżej, odkrywając talię, piersi i ramiona, aż zrzucił ją całkiem.

Przez chwilę nie dotykał Lucindy, tylko trzymał dłonie tak blisko jej skóry, że czuła ich ciepło. Opuszkami palców obwodził krągłości jej ciała, jakby chciał utrwalić w pamięci ich kształt. Lucinda poczuła żar rozlewający się po jej żyłach, a mimo to nie mogła opanować drżenia.

- Powiedz coś - wyszeptała, zdyszczana jak po szybkim biegu.

Szafirowe oczy Roberta napotkały jej spojrzenie.

- Jesteś piękna - wymruczał roznamiętnionym głosem. - Ciepła, miękka i miła... nie, dużo bardziej niż miła. Jesteś taka... prawdziwa, a ja...

Nakazała mu milczenie, kładąc palec na jego zmysłowych wargach.

- Ty żyjesz, Robercie. Możesz nareszcie poczuć, że naprawdę żyjesz. Dotknij mnie i sprawdź, że ja też żyję i jestem prawdziwa.

Ponownie spuścił oczy i lekkimi muśnięciami zaczął przesuwając palce od jej ramion do piersi. Powoli i ostrożnie, jakby się obawiał, że Lucinda zniknie, doszedł do ich koniuszków. Wydała zdławiony okrzyk i wygięła się w łuk, a on ją znów pocałował, przypierając równocześnie do ściany. Ustami naciskał na jej usta, a rękami na piersi.

- Nie robiłem tego już od niepamiętnych czasów - wyznał schrypniętym głosem, drażniąc przy tym paznokciami jej piersi, aż jęknęła.

Wiedziała, że kiedyś cieszył się opinią rozpustnika, ale to było, zanim wrócił z tego okropnego miejsca. Potem nie był w stanie dotknąć nikogo, aż do dzisiejszego wieczoru. Pocałowała go czule jeszcze raz i wyszeptła:

- A ja nie robiłam tego nigdy.

Przez chwilę jakby się zatroskał.

- Chciałbym sprawić ci radość, więc jeśli...

- Cicho, i tak już za dużo gadasz.

Uśmiechnął się tak rozbrajająco, że zmiękły jej kolana. Pochylił się nad nią i podniósł do góry, a potem położył na łóżku. Przez cały czas trzymała go kurczowo za szyję, utwierdzając się w przekonaniu, że całować go to za mało. Chciała mieć go całego, poczuć go całą sobą.

Robert osunął się na łóżko przy niej. Całował ją po szyi, schodząc ustami coraz niżej, wzdłuż mostka. Kiedy uchwycił wargami koniuszek piersi i zaczął drażnić go językiem, Lucinda wyprężyła się i ponownie sięgnęła do jego koszuli. Chciała przytulić się do jego ciepłego ciała, ale znów przytrzymał jej ręce, tym razem na wysokości swego pasa.

Nachylił się nad nią i pieścił wargami, podczas gdy ona drżącymi rękoma rozpinęła mu pas i spodnie. Serce jej tłukło się między żebrami jak oszalałe, a oddech stał się płytki i chrapliwy. Miała nadzieję, że Robert czuje w tej chwili to samo. Przynajmniej starała się rozpałić w nim namiętność. Zsunęła mu spodnie i przekonała się naocznie, że jest tak samo podniecony jak ona.

- Czy mogę cię... dotknąć?

- Niech najpierw zdejmę buty - wydyszał. Zrzucił je i postawił na podłodze, następnie strząsnął z nóg spodnie i ukazał się Lucindzie w całej okazałości. Przykląkł przy niej i pocałowali się namiętnie, pijąc słodycz ze swoich ust.

- Pozwól mi być blisko ciebie! - wyszeptał, naprowadzając jej rękę. Delikatnie zamknęła palce wokół ciepłego, twardego kształtu. Nie umknęło jej uwadze, że Robert się przy tym wzdrygnął i zacisnął szczęki.

- Czy to cię boli? - spytała z niepokojem.

- Nie, po prostu dawno już tego nie robiłem. Jednak chciałbym cię poczuć, Lucindo, jeśli i ty tego chcesz.

Owszem, chciała, i to tak bardzo, że zapierało jej dech.

- Tak - wykrztusiła, próbując zdjąć mu koszulę. On jednak znów przytrzymał jej rękę.

- Nie rób tego.

- Przecież wiem, że byłeś wielokrotnie ranny, chcę ci się tylko przyjrzeć.

Przełknął ślinę i usiadł, odchyłony do tyłu. Lucinda przestraszyła się, że zmienił zdanie i odejdzie, tymczasem Robert zacisnął w dłoniach skraj koszuli, a potem jednym, zdecydowanym ruchem ściągnął ją przez głowę.

Lucinda od razu zauważyła białe, grube blizny - dwie na brzuchu, a jedną na łopacie. Czyżby uważał je za coś wstydlwego i czuł się przez to napiętnowany? Wodząc dłońmi po ciepłej skórze jego piersi, celowo nie omijała tych miejsc, ale też celowo się przy nich nie zatrzymywała. W tym czasie Robert siedział z przymkniętymi oczyma, jakby nie chciał widzieć jej miny.

- Ja też mam bliznę - pochwaliła się, zmuszając go, aby położył się przy niej. - O, tu, pod prawym kolanem. Sukienka zaczepiła, mi się wtedy o schodki powozu. - Oddychała coraz szybciej, gładząc go po plecach i jędrnych, muskularnych pośladkach. Szczerze pragnęła tego pięknego ciała, pożądała go.

Robert otworzył oczy.

- Naprawdę masz coś takiego? - Pochylił się nad Lucindą i językiem rozpoczął wędrówkę wzdłuż jej ciała.

- Tak - wydyszała, gdy poczuła pieszczotę jego warg poniżej pasa. - Wiesz, jak się wtedy wystraszyłam? Konie ciągnęły mnie przez połowę długości podjazdu, zanim stangret usłyszał krzyk mojej guwernantki.

Robert całował jej uda, po czym powędrował ustami w dół do kostki i stopy, aby następnie powtórzyć tę samą trasę w górę, na drugiej nodze. Na wysokości prawego kolana zatrzymał się na chwilę.

- To to?

- Tak, właśnie tutaj. Możesz ją wyczuć... ach!

Czubkiem języka Robert obwiodł zarys blizny pod kolanem, a następnie pociągnął nim po wewnętrznej stronie uda. Lucinda nie wiedziała, czy się rozpływa, czy raczej płonie żywym ogniem. W momencie gdy wilgotny język zagłębił się między jej uda - zdecydowała, że jedno i drugie.

- Robercie, proszę! - wychrypiała, wplątując palce w jego włosy.

Podniósł głowę i zlustrował ją z góry na dół. Na jego wargach zagościł lekki uśmiezek.

- Przecież mnie pragniesz - szepnął.

- Tak, chcę. - Czowała, że własna skóra robi się na nią za ciasna, oczekiwanie ją wręcz rozsadzało. Rzuciła więc z niecierpliwością: - No, już, niech to diabli!

W odpowiedzi Robert opuścił głowę jeszcze niżej, pieszcząc jej najczulsze miejsce wargami, językiem i - o zgrozo! - zębami. Lucinda dyszała i jęczała z rozkoszy.

- Proszę cię, przestań! - Wiła się i wzdychała. - Ja już nie mogę... żywy ogień mnie spali!

- Ty sama jesteś żywym ogniem.

Nie chciała już dłużej zwlekać. Wpiła palce w jego włosy i pociągnęła go ku sobie.

Robert uniósł się nad nią, delikatnie rozsunał jej kolana, po czym opadł, napierając na zapieczetowaną bramę do jej wnętrza.

Wyrafinowane pieszczoty podnieciły Lucindę na tyle, że wyszła mu naprzeciw. Czegoś podobnego nie przeżywała w najśmielszych snach. Robert przez chwilę wzmógł nacisk i natychmiast go zaprzestał.

- Masz jeszcze szansę się wycofać... - wydyszał ledwo dosłyszalnie, opierając się całym ciężarem na rękach, które wskutek tego drżały.

Naprawdę nie miał zamiaru zmieniać zdania i pozostawiać jej rozgrzanej, a niezaspokojonej. Ona najwyraźniej też była zdecydowana, skoro jedynie wyżej uniosła biodra.

Kiedy wypełnił ją całkowicie, Lucinda zacisnęła powieki i krótko syknęła. Od Georgie i Evie słyszała przedtem to i owo, ale oczywiście nie powiedziały jej wszystkiego. Spodziewała się, że będzie boleć, ale okazało się, że nie tak bardzo, jak podejrzewała. Tymczasem Robert zastygł w bezruchu, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

- Nie chciałem zadać ci bólu...

- Więc spraw, abym o nim zapomniała - wyrzuciła z siebie, przywierając do jego ust.

- Czy to było takie, jak pamiętałeś? - wyszeptała nieco później.

- Lepsze - odpowiedział lakonicznie.

Przez pewien czas leżeli spokojnie obok siebie, starając się nie zasnąć, delectując się swoją bliskością. Jednak w którymś momencie Robert gwałtownie usiadł na łóżku.

- Muszę już iść - oznajmił. Odwrócił się tyłem i pochylił, aby podnieść z podłogi spodnie.



Lucinda już chciała protestować, gdy w świetle lampy wyraźnie zobaczyła jego nagie plecy. Od karku do pośladków skórę przecinały liczne, krzyżujące się, cienkie, białe blizny.

- Bili cię? - spytała, podnosząc rękę, by dotknąć pręg palcem.

Robert uchylił się, bo nie mógł znieść zbyt długo trwającego kontaktu fizycznego. Z jednej strony chętnie pozostałby z nią, a z drugiej - chciał się wyrwać, bo brakowało mu powietrza. Dziś wieczorem jego świat przewrócił się do góry nogami.

Wyprostował się gwałtownie, aby nie dać po sobie poznać, że się wzdraga przed delikatnym dotknięciem Lucindy. Maskując zakłopotanie, naciągnął szybko spodnie i rozejrzał się za butami.

- To także, ale nie tylko - mruknął.

Wprawdzie nie zemdląca, nie zaczęła krzyczeć ani nie odwróciła się od niego, ale wiedział, że widok jego pleców do najpiękniejszych nie należy. Pierwszemu służącemu, którego Tristan wynajął do pomocy bratu przy ubieraniu się i zmianie opatrunków, na widok jego świeżych, niezagojonych ran zrobiło się niedobrze. Od tamtej pory Robert nie pozwalał się nikomu oglądać bez ubrania. Aż do dzisiejszej nocy.

- Zobaczysz, że wszystko się wyjaśni - pocieszała go Lucinda, wodząc palcami po jego ramionach. - To całe gadanie o tobie, to tylko plotki. Ucichną, gdy dowództwo Gwardii znajdzie prawdziwego złodzieja.

Robert w myśli dodał, że wszystko to byłaby prawda, gdyby poszukiwań nie prowadzono wyłącznie w jednym kierunku.

- W idealnym świecie pewnie tak by było, ale tak, jak sprawy stoją, obawiam się, że potrzebne będą bardziej zdecydowane kroki z mojej strony.

- Z naszej strony - poprawiła.

Serce mu się ścisnęło, ale zaraz poczuł ulgę.

- Nie przyszedłem dziś tutaj, aby prosić cię o pomoc - odparł, naciągając koszulę. - Nie chcę też, aby plotki o tym, jakobym próbował się zabić, zrujnowały moją rodzinę. Dlatego nie wolno ci wspomnieć o tym swemu ojcu ani słowem. Obiecuj, że nic mu nie powiesz.

Dawał jej do zrozumienia, że jest teraz uzależniony od niej dużo bardziej, niż zanim wdarł się przez okno do jej pokoju. Podobnie zresztą jak cała jego rodzina.

- Na pewno nic mu nie powiem.

- Tylko tym razem dotrzymaj słowa, dobrze?

- Tak, obiecuję.

Stała przed nim w świetle lampy, dzięki czemu widać było jej smukłą sylwetkę z ciemnymi, falistymi włosami opadającymi na piersi. Przypominała mu Wenus na obrazie Botticellego, wynurzającą się z muszli.

Poczuł gwałtowny przyływ pożądania, ale wiedział, że jeśli zostanie dłużej, zacznie obsypywać ją komunałami, jak na przykład, że jest dla niego gwiazdą przewodnią, promykiem nadziei, że zwariował na jej punkcie i dzięki niej odnalazł sens życia... Musiał jak najszybciej odejść, ale ponieważ sprawiła, że poczuł się znów mężczyzną - nie potrafił zostawić jej bez słowa. Pogładził ją więc grzbietem dłoni po policzku i wyszeptał:

- Lucindo, ostatni rozdział mojej lekcji jest bardzo prosty. Kiedy następnym razem zobaczysz się z Geoffreyem, pomyśl najpierw, jaki on jest miły, a potem przypomnij sobie to.

Pocałował ją, powoli, lecz wytrwale zagłębiając się w jej usta, aż stopiły się w jedno z jego ustami. Czuł, że unosi się w powietrzu, ale równocześnie ból przejmował jego duszę.

- Dobranoc, Lucindo.

- Dobra... dobranoc, Robercie.

*I tak skończył się ten pamiętny dla mnie dzień, który przesądził o mojej przyszłości.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Wprawdzie Robert wśliznął się do hallu Carroway House na paluszkach, ale od razu wyczuł, że nie jest tam sam. W odruchu obronnym podniósł rękę, gdy ukrywający się w cieniu człowiek chwycił go za ramię.

- Zostaw mnie! - warknął, po zapachu mydła poznając Tristana.

- Andrew i Shaw chcieli już pakować się na wyjazd do Szkocji - oznajmił wicehrabia, zapalając świecę stojącą na bocznym stoliku. - Mówił łagodnym tonem, lecz twarz miał ściągniętą, a minę surową.

Robert wziął głęboki oddech. Wracał od Lucindy ożywiony nową nadzieją, ale rozumiał, że w rzeczywistości sytuacja ani trochę nie zmieniła się na jego korzyść.

- Idę się położyć - rzucił, próbując uniknąć konfrontacji ze starszym bratem.

- O, nie, najpierw pójdziesz ze mną do Georgiany i pokażesz się jej, żeby przekonała się, że jesteś cały i zdrow - oświadczył Tristan, nie ruszając się z miejsca. - Martwiła się o ciebie, tak zresztą, jak my wszyscy.

- A nie mógłbym pokazać się jej rano?

- Nie, musisz teraz. Nie śpi jeszcze, bo nikt z nas nie zmrużył oka. Służąca siedziała z nią przez cały czas i starała się ją uspokajać.

I Robert od razu przestał odczuwać jakąkolwiek satysfakcję. Odwiedziny u Lucindy nie oznaczały dla niego końca kłopotów. Mało tego - jak zwykle okazało się, że próbując uciec przed własnym bólem, sprawił przykrość swojej rodzinie.

- Czy ona dobrze się czuje?

- Na razie tak, ale żebyś mi się nie ważył... - w głosie wicehrabiego gniew walczył o lepsze z troską. - Żebyś mi się więcej nie ważył tak znikać bez uprzedzenia jak dziś!

- Przecież ci powiedziałem, że mam pewne sprawy do załatwienia... - sumitował się Robert, zmierzając w kierunku schodów.

- Od tamtej pory minęło piętnaście godzin. Twoje zniknięcie potwierdziłoby tylko słuszność podejrzeń i byłbyś zgubiony.

- Ty także, chyba że zacząłbyś rozgłaszać, że odkąd wróciłem z Hiszpanii, szwankuję na umyśle. Możesz spróbować puścić w obieg taką wersję.

Tristan złapał go za ramię i prawie ściągnął ze schodów.

- Jesteś moim bratem - warknął ze śmiertelnie poważną miną. - Na pewno nikt z nas nie odetnie się od ciebie, więc jeśli uciekniesz, będziemy zrujnowani. Prosiłbym cię, abyś następnym razem miał to na uwadze.

Robert przez dłuższą chwilę nie spuszczał wzroku z najstarszego brata.

- Nie zrobiłem nic złego - wyrzekł w końcu ściszym głosem i ponowił próbę wejścia na schody.

- Wiem o tym. My wszyscy wiemy.

- Wy tak, ale połowa Londynu nie wie. Daj spokój, Tris, nie sil się na romantyczne gesty. Dla swego dobra, a zwłaszcza dla dobra Shawa, jeśli sytuacja się pogorszy, proszę was, żebyście się mnie wyparli. Mówię poważnie.

- Jeśli będzie trzeba, porozmawiamy o tym kiedy indziej. Na razie to tylko czcza gadanina. - Lord Dare stanowczym gestem wskazał mu półotwarte drzwi od sypialni. - No, jazda!

Robert otworzył szerzej drzwi, wołając od progu:

- Georgiano!

Bratowa siedziała na łóżku, wysoko podparta poduszkami. Czytała książkę, podczas gdy jej służąca pod oknem cerowała skarpetki. Na dźwięk głosu szwagra uniosła głowę i na jej zatroskanej, zmizerowanej twarzy pojawił się uśmiech.

- O, Mały, dzięki Bogu, że wróciłeś. Wszystko w porządku?

- Dziękuję, czuję się świetnie - odpowiedział machinalnie. - Przepraszam, jeśli cię zmartwiłem.

- Chodź tu! - zażądała, wyciągając do niego ramiona.

Stłumił dreszcz i uczynił zadość jej prośbie. Pozwolił jej zarzucić sobie ręce na szyję, a na policzku wycisnąć pocałunek. Sam się zdziwił, że tak bliski kontakt fizyczny nie sprawił mu przykrości, a wręcz przeciwnie - chętnie ten pocałunek odwzajemnił.

- Gdzieś ty był tak długo? - spytała.

Tymczasem do sypialni zaczęli się schodzić pozostali bracia. Shaw i Andrew mieli na sobie stroje do jazdy konnej. Szykowali się przecież, aby jego śladem podążyć do Szkocji! Robert nie był pewien, czy poczuł się z tego powodu lepiej, czy gorzej.

- Na przejażdżce konnej - skłamał gładko, prostując się. Nie mógł przecież wyznać Georgianie, że był w łóżku z jej najlepszą przyjaciółką, że dostał, czego chciał - czy raczej, czego mu było trzeba - a potem zostawił ją, żeby jeszcze przemyślała perspektywę lekkiego, łatwego i przyjemnego małżeństwa z lordem Geoffreyem.

- A dokąd jeździłeś? - wymamrotał zaspanym głosem Edward, który również przyczłapał do małżeńskiej sypialni brata.

Shaw otoczył go ramieniem.

- Wracaj do łóżka, Cherlaku. Wszystko jest w porządku.

- Wcale nie! - sprzeciwił się chłopak, uwalniając rękę i celując palcem w Roberta. - Wyjechałeś i nie powiedziałeś nam dokąd. A myśmy się o ciebie martwili!

*Masz tobie, żeby obrywać burę nawet od dziesięciolatka?*

- Wiem, wiem i bardzo mi przykro.

- No więc dokąd pojechałeś?

Najwidoczniej nikt nie miał zamiaru uciszyć Edwarda, bo zadał pytanie, na które wszyscy chcieli usłyszeć odpowiedź. Tristan uniósł tylko brew i spoglądał na Roberta wyczekująco.

- Wyruszyłem na północ, bo liczyłem, że w Glauden będzie można spokojniej to wszystko przeczekać - wyznał w końcu.

- Ale wróciłeś.

- Mam już dość ciągłego uciekania. - Wzruszył ramionami. - Nie zrobiłem nic złego, a trochę głupich plotek jeszcze mogę wytrzymać.

Wiedział jednak, że nie idzie tu tylko o jego odporność na insynuacje, więc szybko dodał:

- O ile, oczywiście, wy możecie to znieść.

Skierował wzrok na Bradshawa, który, poza nim, miał w wyniku tej sprawy najwięcej do stracenia. Starszy brat uśmiechnął się, lecz w jego oczach pozostał smutek.

- Jak długo ty to wytrzymasz, tak długo i ja - zapewnił.

Robert rozumiał, co brat teraz czuje, ale wychwycił ukryty podtekst jego deklaracji. Sugerował on niedwuznacznie: Jeśli - znów spróbujesz ucieczki, wtedy niech każdy z nas sam martwi się o siebie!

- Przynajmniej wszystko jasne. - Kiwnął głową.

Lord Dare poruszył się niespokojnie w drzwiach.

- Dobrze więc, jeśli każdy już znalazł się tam, gdzie powinien, proszę was o opuszczenie mojej sypialni. Oczywiście z wyjątkiem ciebie, kochanie - ostatnie słowa skierował pod adresem Georgiany.

- Ale...

- Poczekaj z tym do jutra, Andrew - przerwał mu wicehrabia, nie spuszczać oka z Roberta. - Wyśpij się przynajmniej trochę, a rano łatwiej obmyślimy odpowiednią strategię, jeśli będzie trzeba.

Robert musiał przyznać, że to miało sens. Możliwe, że do jutra odnajdzie się rzeczywisty sprawca kradzieży dokumentów, a wtedy wszyscy szybko zapomną o kulawym Carrowayu. To by mu nawet odpowiadało, pozostałby tylko problem Lucindy Barrett. Że też musiała już zaplanować sobie "lekką, łatwą i przyjemną" przyszłość u boku lorda Newcombe'a!

Pewnie, że chciałby ją mieć tylko dla siebie, ale zbyt dobrze wiedział, że nie może nawet marzyć, aby potrzebowała od niego czegoś więcej niż

ukradkowych pieścizot pod osłoną nocy. Po dzisiejszym wieczorze mógł najwyżej upewnić się, czy Newcombe opanował wszystkie - koniecznie wszystkie - punkty ułożonego przez nią programu. W końcu umowa trzech pań sprowadzała się właśnie do tego, aby każda z nich nauczyła jednego mężczyznę dobrych manier!

Robert uśmiechnął się pod nosem. Stanowczo coś musiało z nim być nie w porządku, jeśli bardziej obchodziła go umowa Lucindy z jej przyjaciółkami niż ludzie oskarżający go o zdradę stanu!

Rozebrał się i położył do łóżka, przy czym wyczuł, że na jego skórze wciąż utrzymuje się zapach Lucindy. Wiedział, że jeśli przeżyje kilka nadchodzących dni, będzie musiał zmierzyć się z nowymi wyzwaniem. Na przykład, jak ukryć przed otoczeniem, a szczególnie przed jej przyszłym mężem, ile ona teraz dla niego znaczy.

Tym razem Lucindzie udało się zejść na dół wcześniej niż ojcu. Zdążyła nawet szybko coś przekąsić i sprawdzić, co dzieje się z różami, zanim generał zszedł na śniadanie. Dziś akurat nie miała trudności ze wstaniem o tak wczesnej porze, gdyż nie spała przez całą noc. Oczywiście nie miała zamiaru tłumaczyć się ojcu ani nikomu innemu z przyczyn tego stanu rzeczy.

Obrywając pozółkłe liście i zwiędłe kwiaty, rozmyślała, ile dotychczas otrzymała propozycji małżeństwa lub romansu. Jedne i drugie odrzucała bez namysłu, gdyż nie interesowały jej ani same propozycje, ani panowie, którzy je składali. Natomiast Robert nie tylko podobał się jej, lecz także intrygował ją i angażował wszystkie jej zmysły jak nikt dotąd.

Robiło jej się gorąco na samo wspomnienie jego zmaltretowanego, pokrytego bliznami, lecz wciąż pięknego ciała, które gościła zarówno w swoim łóżku, jak i w swoim wnętrzu. Miała jednak świadomość, że wskutek tego

wpakowała się w niemałe kłopoty, gdyż odtąd ciągle musiała wybierać między Robertem a własnym ojcem.

Zdaniem generała ten, kto wykradł dokumenty z dowództwa Gwardii Konnej, był nikczemnym łajdakiem bez czci i wiary. To sformułowanie dokładnie odzwierciedlało opinię londyńskiego towarzystwa o osobie Roberta Carrowaya. Rzecz jasna, opinia Lucindy była skrajnie przeciwna. Nie dało się również zaprzeczyć, że to ona zawiódła jego zaufanie i przyczyniła się do powstania plotek, i nie miało znaczenia, czy jej to wybaczył, czy nie. To, że kradzież miała miejsce akurat wtedy, kiedy rozeszła się pogłoska o miejscu jego uwięzienia, było po prostu pechowym zbiegiem okoliczności, ale nic z tego nie wynikało.

Robert przypuszczalnie mógłby zdementować najgorsze pomówienia, gdyby ogłosił wszem wobec, jak zakończył się jego pobyt w Chateau Pagnon. Miał jednak powody, aby się obawiać, że prawda wyrządziłaby mu nie mniejszą szkodę. Opinia publiczna raczej nie wzięłaby pod uwagę wyjątkowych okoliczności - przeciwnie, plotkarze wyolbrzymialiby fakt, że dobrze urodzony oficer próbował odebrać sobie życie, zamiast kontynuować walkę z Napoleonem.

Tak się złożyło, że to ona była pierwszą osobą, która poinformowała ojca, gdzie Robert był więziony. Jeśli nawet generał zawiódł jej zaufanie, to przez wzgląd na bezpieczeństwo państwa. Powiadomienie któregoś z wyższych oficerów sztabu Gwardii Konnej o tak ważnym fakcie było jego obowiązkiem, ale Lucinda mogła ufać swemu ojcu, a niekoniecznie jego współpracownikom.

- Niech to licho! - wymamrotała.

- Co, ukłułaś się w palec? - zagadnął ją znienacka ojciec.

Zaskoczona, spłonęła rumieńcem.

- Nie, tylko jestem zła, bo ten wiatr strasznie wysusza płatki - odpowiedziała wymijająco.

- Aha. - Przez chwilę generał przyglądał się, jak wykonuje prace ogrodnicze. - Czy ty tej nocy w ogóle spałaś?

- Słucham? - Boże, czyżby to miało znaczyć, że słyszał, co się działo w jej sypialni? - A dlaczego pytasz?

- Bo wyglądasz mi na zmęczoną. - Niezgrabnie wyrwał kilka niepożądanych pędów i wrzucił je do kubła na odpadki. - Ja też do późna w



nocy słyszałem, jak w Vauxhall strzelały fajerwerki. Przykro mi, bo wiem, jak chciałaś je obejrzeć...

- Mniejsza o fajerwerki - odpowiedziała szybko, z rozpędu obrywając zupełnie dobry pęk. - To naprawdę głupstwo.

- A więc chodzi o Carrowayów, prawda? I o Georgianę? Wczoraj odbyliśmy jeszcze jedno zebranie i mamy nadzieję, że niedługo uda nam się skompletować listę skradzionych dokumentów i osób podejrzanych o sympatyzowanie z Bonapartem. Wtedy będziemy mogli...

Lucinda spojrzała na ojca ze zdziwieniem.

- Zaraz, to wy jeszcze nie wiecie na pewno, co zginęło? A ty na tej podstawie, w połączeniu z zasłyszaną informacją, że Robert był w niewoli...

- Ja nic nie zrobiłem, Luce.

- Ale ja nie powtórzyłam nikomu innemu tego, co powiedziałam tobie. A ty jak dalece ufasz ludziom, którym to przekazałeś?

Generał powoli osunął się na kamienną ławeczkę przy końcu grządki.

- Ach, więc to o to ci chodzi? Obwiniasz mnie o zdradzenie tajemnicy, którą sama mi zdradziłaś?

- Nie... to znaczy, nie wiem, może i tak? Wydawało mi się, że jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę powierzyć tajemnice moich przyjaciół, a on był na mnie taki zły... - W duchu dodała: *i samotny!* Po jej policzku znów pociekła łza, którą niecierpliwie starła wierzchem rękawiczki.

- Słyszałaś wtedy, co mi powiedział? Przypuszczałem, że podsłuchiwałaś.

Aha, to jeszcze tamta sprawa!

- Tak - zmyśliła naprędce, bo zrobiło jej się słabo na samą myśl, że o mało się nie wygadała.

- To jeszcze najlepsze wyjście z sytuacji, kochanie. Śledztwo musi być przeprowadzone do końca i jeśli wykaże, że Robert Carroway jest niewinny - przeprosisz go albo wyjaśnisz jemu i Georgianie, że nie mogłaś przyjechać do Vauxhall, bo na przykład źle się czułaś czy coś w tym rodzaju. Jeśli zaś okaże się winny, nie będziesz musiała niczego wyjaśniać.

- Ależ tato, na miłość boską, on na pewno nie jest winien. Przecież go znasz.

- Nie za bardzo. Wydaje mi się, że ty poznałaś go lepiej niż ja. Może na przykład wiesz, dlaczego wczoraj rzucił mi w twarz tę aluzję do bitwy pod Bajonną?

- Nie mam pojęcia. - Nawet gdyby wiedziała, tym razem nie powierzyłaby już generałowi żadnych sekretów. Przynajmniej tę nauczkę dobrze zapamiętała, bo druga lekcja, na myśl o której robiło się jej gorąco, sprawiała jej więcej trudności.

- Kto dowodził jego pułkiem?

- Naprawdę nie wiem, tato. Nie przypuszczam zresztą, żeby jeszcze kiedyś chciał ze mną rozmawiać na takie tematy, nawet gdyby udało mi się uzyskać z nim widzenie. Proszę cię, nie pytaj mnie o to więcej, bo zdążyłam już chyba każdemu sprawić przykrość, i myślę, że to wystarczy.

Generał przez chwilę siedział w milczeniu, podczas gdy Lucinda udawała, że przycina róże. Zdała sobie sprawę, że nieświadomie została donosicielką, a co gorsze - przespała się z inwigilowanym i obiecała jemu też dostarczyć informacji.

W końcu generał wstał ze swego miejsca.

- Aha, byłbym zapomniiał. Geoffery przekazał nam liścik. Ty też pewnie zapomniałaś mu podziękować za te czekoladki, które przysłał wczoraj?

- Rzeczywiście jeszcze tego nie zrobiłam. - Prawdę mówiąc, powinna była się wstydzić, bo na śmierć o tym zapomniała.

- Widocznie jednak się nie obraził, bo prosił mnie o pozwolenie zabrania cię dziś na wieczorek tańczący u Hesterfieldów.

- Nigdzie nie idę. Nie mam ochoty słuchać tych szeptów po kątach.

- Ależ oczywiście, że pójdziesz. Nie możesz odsuwać się od świata tylko dlatego, że jeden z twoich przyjaciół popełnił przestępstwo... - Podniósł rękę, zanim zdążyła zaprotestować, i poprawił się: - Powiedzmy, jest podejrzany o przestępstwo.

- Tato, czy ty nic nie rozumiesz? Przecież tam będą Georgiana i Tristan. Kazałeś mi trzymać się od nich z daleka, a oni nie będą wiedzieli dlaczego.

- Jeśli słyszeli te same plotki, co my, a przypuszczam, że słyszeli, to od razu się domyśla, dlaczego ich unikasz. Na pewno to rozumieją, nie są przecież głupi.

- Zawsze zachęcałeś mnie, abym była wierna swoim przekonaniom.

- Wiem, ale tym razem wyjątkowo proszę cię, abys postąpiła według moich przekonań. Ten, kto to zrobił, chciałby rozpętać nową wojnę.

- Oni są moimi przyjaciółmi - powtórzyła, starając się zachować spokój. Ojciec wiedział zresztą o tym równie dobrze, jak ona. To całe zamieszanie wyglądało poważnie, ale Lucinda równie poważnie wierzyła w niewinność Roberta.

- Lucinda, nie chcę, żebyś wdawała się w rozważania, co by było, gdyby, ale nie chciałbym też, żebyś sama siebie oszukiwała. Musisz liczyć się z tym, że wskutek tego incydentu możesz stracić niektórych przyjaciół. Nic na to nie poradzę, ale wiedz, że nie uczyniłaś niczego złego.

Wiedziała też, że ojciec, jako dowódca i strateg, przykładął do informacji większą wagę, niż się do tego przyznawał. Trudno, jeśli będzie musiała, weźmie udział w tej grze.

- Pewnie Wellington też już o tym wie? - zażartowała.

- Oczywiście zna sprawę, ale tylko pięciu wyższych oficerów uczestniczy w śledztwie.

A więc pięciu ludzi, włączając jej ojca, wiedziało o Robercie i Chateau Pagnon, zanim dowie się o tym cały Londyn. Z tych pięciu - czterech mogło poinformować już o tym, kogo chciało.

- To okropne! - wyszeptała.

- Jeszcze okropniejsze byłoby, gdyby ktoś rzeczywiście próbował uwolnić Bonapartego i zacząć tę całą jatkę od początku. A tobie, kochanie, po tych ciężkich dniach należy się trochę rozrywki. Geoffrey szaleje za tobą, a i ty chyba go polubiłaś, jeśli się nie mylę. Pomyśl o przyszłości, maleńka. Na dłuższą metę nikt nie będzie cię obwiniał za to, co się stało. Może nawet uznają cię za bohaterkę?

- Nie chcę być żadną bohaterką - mruknęła. Wzięła głęboki oddech i dodała: - Jeśli chcesz, możesz sobie przypisać całą zasługę. Na razie muszę dokończyć przycinać róże.

- Dobrze, napiszę do Geoffreya, że się zgadzasz.

Skinęła mu głowę, kiedy już się oddalał. Nie było sensu się spierać, bo ojciec oczekiwał od niej, że będzie wypełniać swe obowiązki jak dobry żołnierz. Pocieszała się, że w towarzystwie Geoffreya przynajmniej nie będzie czuła się samotnie, jeżeli nie będzie mogła rozmawiać ze swoimi przyjaciółmi. W najlepszym razie może z daleka zobaczy Roberta, jak będzie stał gdzieś w cieniu. Wtedy on ją też zobaczy i będzie wiedział, że ma na tej sali współczującą duszę.

Lucinda i Geoffrey spóźnili się na bal u Hesterfieldów akurat tyle, ile wypadało. Ściślej mówiąc, lord Newcombe przyjechał do Barrett House punktualnie co do minuty. To ona guzdrała się prawie przez godzinę, zanim zeszła na dół w towarzystwie Heleny, która miała pełnić rolę przyzwoitki. Celowo zaplanowała spóźnienie, bo wiedziała, że gości przybyłych po wyznaczonej godzinie rozpoczęcia balu nie anonsowano. Tym sposobem mogła niezauważona zmieszać się z tłumem i lepiej rozeznac w sytuacji.

- Przepuściliśmy dwa pierwsze tańce - zauważył Geoffrey, który stał przy jej boku i, podobnie jak ona, taksował wzrokiem innych gości.

- Och, przepraszam - udała skruchę, kokieteryjnie bawiąc się wachlarzem w taki sposób, by móc zza niego przypatrywać się obecnym. - Służąca długo nie mogła znaleźć moich zielonych pantofelków.

Za ich plecami Helena chrząknęła znacząco, ale lord nie zwrócił na to uwagi, tylko obejrzał Lucindę od góry do dołu.

- Nie musi się pani usprawiedliwiać, bo efekt wart jest tych kilku chwil czekania - rzucił nonszalancko. - Przynajmniej mogliśmy z twoim ojcem uciąć sobie miłą pogawędkę.

- Czyżby?

- Przy okazji powiedział mi, jak bardzo cię zmartwiły te okropne plotki.

Lucinda stłumiła grymas. Wiedziała, że ojciec chętnie by ich wyswatał, ale mógł bardziej uważać, komu przekazuje to, co usłyszał w zaufaniu. Gdyby przynajmniej przyznał, że plotki o Chateau Pagnon rozpuścił ktoś, kto dowiedział się tego od niego - od razu poczułaby się trochę lepiej. Wprawdzie tylko trochę, ale lepsze to niż nic.

- Czy jeszcze coś ci powiedział? - badała.

- Tylko tyle, że życzy sobie, abyś trzymała się z daleka od rodziny Carrowayów.

*A niech to grom spali!*

- To jego życzenie, a nie moje - oświadczyła. - Proszę, nie powtarzaj tego więcej.

- Ja również chciałem pani to doradzić, aczkolwiek, zważywszy na niezwykle zachowanie Roberta w ostatnich latach, jego krewnych nie powinny już dziwić jego najnowsze wyczyny. Niemniej jednak ostrożność nie zawadzi.

- Niczego mu nie udowodniono! - warknęła. - Czy nie moglibyśmy mówić o czym innym?

- Ależ oczywiście, Lucindo. Sądzę jednak, iż lepiej spojrzeć prawdzie w oczy, niż udawać, że jej nie ma. Jako córka wyższego oficera powinna pani o tym wiedzieć.

- Z radością spojrzełabym prawdzie w oczy, gdybym ją zobaczyła! - odparowała. To, że powtarzał jak papuga zdania zasłyszane od jej ojca, napawało ją tylko niesmakiem.

- Cenię pani lojalność wobec przyjaciół, ale naprawdę wolałbym, abyś się z nimi nie afiszowała - oświadczył Newcombe.

Lucinda zacisnęła zęby i skorzystała z pierwszej okazji, aby odwrócić jego uwagę.

- Słyszysz, grają kotyliona! - Prawie wciągnęła lorda na parkiet. - Zatańczymy?

Na parkiecie uwijało się już mnóstwo par, co miało swoje dobre i złe strony. W takim tłumie, wśród wirujących spódnic, można było łatwo się ukryć, ale trudniej było zobaczyć, kto jeszcze pojawił się na balu. Wprawdzie Georgiana w tych dniach nie mogła już wiele tańczyć, ale nie dotyczyło to

trzech jej szwagrów, nie licząc już Roberta. On po wczorajszym dniu nie był pożądanym gościem w żadnym londyńskim towarzystwie.

- Pewnie nikt z nich nie przyjdzie - stwierdził Geoffrey po chwili rozglądania się w milczeniu. - Wczoraj na pokazie fajerwerków też ich nie było.

- Naprawdę?

- Owszem. Gdyby w loży nie siedział St. Aubyn z żoną, pomyślałbym, że chyba na kpiny ktoś mnie tam zaprosił.

Rzeczywiście, o tym też zdołała zapomnieć!

- Ale przecież wczoraj wieczorem coś się wydarzyło, prawda? - zauważyła z przekąsem, myśląc w duchu, że takich wydarzeń było więcej, zaś jedno szczególnie utrwaliło się w jej pamięci.

- Nie musi mi pani tego wyjaśniać, Lucindo.

Nie pomyślała dotąd, aby rozejrzeć się za Evie i Saintem, ale pod koniec tańca dostrzegła ich, jak siedzieli pod ścianą pogrążeni w rozmowie. Ktoś, kto nie znał Evelyn bliżej, uznałby ją za opanowaną, ale Lucinda od razu zauważyła jej bladość i ręce splecione na podołku. Markiz i markiza żyli przecież w bliskiej przyjaźni z Carrowayami, więc dziś na pewno nie bawili się dobrze. Lucinda przeprosiła lorda Newcombe'a, nabrała w płuca dużo powietrza i podeszła do St. Aubynów.

- Ach, Lucindo! - wykrzyknęła Evie i wstała, aby uścisnąć jej rękę. - Słyszałaś o tym, prawda?

- Oczywiście. - Celowo usiadła po przeciwnej stronie niż przyjaciółka, aby dokładniej przyjrzeć się markizowi. Saint na pewno wiedział o tej sprawie więcej niż inni obecni na tej sali, może z wyjątkiem niej. Zawsze zresztą wyglądał na dobrze poinformowanego.

- Przepraszam, że nie przyjechaliśmy wczoraj do Vauxhall, ale tatuś nie czuł się najlepiej.

- Nic dziwnego, przecież w ostatnich dniach miał pełne ręce roboty - wycedził St. Aubyn. - Ciekawe, czy podejrzewają już kogoś?

- Ależ, Saint, Lucinda ci tego nie powie, nawet gdyby wiedziała! - wtrąciła Evie, wciąż nerwowo zaplatając palce. - Prawda, Lucindo?

- Oczywiście, nie wolno mi powtarzać takich rzeczy. Wystarczy, jeśli powiem, że ojciec robi, co tylko w jego mocy, aby rozwiązać tę zagadkę.

- Szkoda, że Georgie nie uprzedziła nas, że Roberta mogą zaliczyć do grona podejrzanych - dodała markiza ściszym głosem. - I to od razu, na początku, jak tylko ta plotka się rozeszła. Wczoraj myślałam, że dam po buzi Melissie Milton, kiedy wymieniła jego nazwisko w powiązaniu z tą sprawą. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, że był więziony, można było próbować jakoś to zatuszować...

Lucinda starała się oddychać spokojnie, choć najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Carrowayowie też mogą być zaskoczeni - próbowała argumentować. - On w sumie niewiele o tym mówił.

- Komuś na pewno powiedział - wtrącił niewinnie St. Aubyn, wytrzymując zdziwione spojrzenie Lucindy. - A jeśli to prawda, że siedział w Chateau Pagnon, nie potępiłbym go, nawet gdyby zrobił to, o co go posądzają.

- Ale on tego nie zrobił! - wybuchnęła Lucinda, gwałtowniej, niż zamierzała.

- Carrowayowie na pewno ucieszą się, że tak ich bronisz - odparował markiz, kłaniając się komuś za jej plecami. - Byłem nawet ciekaw, czy przyjdą.

Lucinda szybko odwróciła głowę i siłą woli opanowała dreszcz. Carrowayowie pojawili się bowiem jak jeden mąż - Tristan pod rękę z Georgianą, Andrew i Bradshaw w straży tylnej, a między nimi, o dziwo, Robert we własnej osobie.

Jasne, że nikt z nich nie wyglądał na zadowolonego. A choć Lucinda niepokoiła się głównie o zdrowie Georgiany, nie mogła przestać patrzeć na Roberta. Z jego oczu wyzierała udreka tak straszna, że widok ten sprawiał jej wręcz fizyczny ból. Miała tylko nadzieję, że nikt, poza nią, nie zna go na tyle dobrze, aby to zauważyć. Z daleka bowiem wyglądał na silnego i opanowanego jak zawsze, jakby nie robił na nim wrażenia wzmagający się wokół szmer.

Lucinda najchętniej podbiegłaby do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Tak chciała być teraz blisko niego, czuć jego usta na swoich, a jego ręce na swojej skórze. Policzki jej płonęły i wiedziała, że się rumieni, ale nie miała wątpliwości, że nie może pozostać na uboczu. Nie miała zamiaru trzymać się z daleka ani od niego, ani od swoich przyjaciół.

Akurat w tym momencie Carroway odwrócił głowę i spojrzał prosto na nią, jakby wiedział, gdzie może ją znaleźć. Na pewno rodzina pytała go, jak londyńskie towarzystwo przyjęło wieści o jego pobycie w więzieniu, więc Lucinda była ciekawa, co im powiedział. Był w tej chwili władny zniszczyć, a przynajmniej poważnie zagrozić jej przyjaźni z Georgianą, a może i z Evie. Wczoraj wieczorem, kiedy opuszczał jej sypialnię, nie wyglądał na rozgniewanego, ale Lucinda nie wiedziała, jak mogłby jej wybaczyć, że zawiódła jego zaufanie, skoro sama nie mogła sobie tego darować.

- Chodźmy do nich, przecież nie możemy ich tak zostawić! - ponagliła Evie i oboje z Saintem wstali z miejsc.

Lucinda chciała pójść ich śladem, więc zdziwiła się, kiedy St. Aubyn zastąpił jej drogę.

- Ty raczej nie powinnaś z nami iść - oświadczył na tyle głośno, aby usłyszała go także jego żona. - Twój ojciec jest bezpośrednio zaangażowany w śledztwo, więc mogłoby mu zaszkodzić, gdyby cię widziano z Robertem.

- Ale... - zaczęła Evie, zaraz jednak urwała. - Masz rację, Saint. Lepiej zostań tutaj, Luce, ja wszystko wytłumaczę Georgie.

- Nie - sprzeciwiła się stanowczo Lucinda. Sama nie wiedziała, czy ma być wdzięczna Evie za głos rozsądku, czy też nie, ale zdecydowała już, że wybiera szaleństwo. - Nie mam zamiaru opuszczać przyjaciół przez jakąś głupią plotkę. - *Zwłaszcza taką, którą sama spowodowałam* - dodała w duchu. Zajęła miejsce za lordem i lady St. Aubyn, ale nie uszła nawet kilku kroków, kiedy czyjaś ręka chwyciła ją za łokieć.

- Nie rób tego! - szepnął jej do ucha Geoffrey, usiłując skierować ją w stronę bufetu.

- Czy mój ojciec kazał ci, żebyś mnie pilnował? - warknęła, wrywając rękę z pozorną nonszalancją.

- Owszem, prosił, żebym cię miał na oku - potwierdził. - Mnie też zależy tyleż na tobie, co na wpływach twego ojca, więc nie chciałbym waszej kompromitacji.

*Przynajmniej szczerze* - westchnęła w duchu Lucinda, a głośno oświadczyła:



- I tak wszyscy wiedzą, że się przyjaźnimy. Gdybym zaczęła ich unikać, to tylko pogorszyłoby sprawę, a przez sam fakt, że się od nich nie odwracam, przynajmniej trochę im pomogę.

- Tak, dopóki kulas nie znajdzie się pod kluczem, a ludzie nie zaczną gadać, że twój ojciec i ty ułatwiście mu dostęp do kwatery głównej Gwardii Konnej! - przekonywał lord. - Tu chodzi o coś ważniejszego niż twoje spokojne sumienie, Lucindo.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparowała. - Nie myślę jednak wyłącznie o swoim spokojnym sumieniu, ale także o lojalności wobec przyjaciół.

- Ale ja cię potrzebuję, Lucindo! - Newcombe błagalnym i gestem uczeplił się jej ramienia. - Nie angażuj się w czyjeś ciemne machinacje!

- Obawiam się, że już się... - zaczęła, ale nie skończyła, bo zza pleców dobiegł ją znajomy, niski głos:

- Panno Barrett, czy tego walca ma już pani zajętego?

Robert stał w odległości dwóch stóp od niej, jakby wyrósł z pod ziemi. Wyraz twarzy miał chłodny i opanowany, lecz Lucinda wiedziała, że przyszedł sprawdzić, czy nie wyprze się go przy ludziach.

- Ja... - zaczęła, ale Geoffrey wszedł jej w słowo.

- Owszem, Carroway, pani jest już zajęta. Lepiej zrobisz, jeśli pójdziesz do domu i przestaniesz przynosić ujmę nam wszystkim.

Przepastne, niebieskie oczy wytrzymały spojrzenie pary oczu zielonych i zawiedzionych.

- Ona jeszcze nie jest twoją własnością, Newcombe - wysyczał Robert. - Może przyjąć lub odrzucić moje zaproszenie, ale z własnej, nieprzymuszonej woli. Oczywiście jestem pewien, że weźmie pod uwagę twoje obiekcje.

Jak na kogoś, komu przyklejono etykietkę milczka, Carroway udowodnił, że potrafi złożyć kilka zdań do kupy. Lucinda przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego, przeciwstawiając cherubinkowatego blondyna diabolicznemu brunetowi.

- Zatańczę z tobą, Robercie - zdecydowała.

Wyciągnął rękę, a ona ją przyjęła. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że na sali balowej zapanowała cisza, zaś palce Roberta zdradzały, że jego

obojętność jest pozorna. Jakby mało było tych tortur, które przeszedł, teraz rodacy postanowili wydać go na sroższą mękę! Dobrze, że zdecydowała się mu pomóc, bo nie byłaby w stanie spokojnie przypatrywać się temu z boku.

- Nie spodziewałam się, że przyjdiesz - zagała, kiedy ruszyli do tańca. Inne pary dołączyły z opóźnieniem, pozostawiając jednak wokół nich pustą przestrzeń na parkiecie. Lucinda wiedziała, że generał wpadnie w szal, ale o tym miała czas pomyśleć później. Teraz istniał dla niej tylko Robert.

- Chciałem zatańczyć z tobą choć raz - wyszeptał. - Więcej już mogę nie mieć takiej szansy...

- Czy powiedziałeś... to znaczy... mówiłeś coś... - płatała się, nie potrafiąc dobrać słów.

- Masz na myśli, czy powiedziałem Georgianie, skąd te plotki się wzięły? - dokończył za nią. Na krótko napotkał jej spojrzenie, ale zaraz uciekł wzrokiem.

- A powiedziałeś?

- Nie, bo nic by to nie dało. Nie chciałem też ci zaszkodzić, przynajmniej tak długo, jak długo dotrzymujesz słowa i nie szkodzisz mojej rodzinie.

Lucinda poczuła taką ulgę, że aż ugięły się pod nią kolana.

- Dziękuję ci bardzo.

- A jak się miewa twój "miły" przyjaciel?

- Daj spokój. Wszyscy mamy swoje obowiązki, a ja nie chciałabym teraz o tym rozmawiać. Bardziej martwię się o ciebie.

- A ja o ciebie. - Na czole uformowała mu się bruzda. - Przemyślałem sobie tę sprawę. Nie mam prawa prosić cię, abyś zawiodła zaufanie twego ojca. Po prostu... nie mogę tego zrobić.

Lucinda nabrała w płuca powietrza. Domyślała się, że mówi to, aby dać jej szansę wycofania się, ale ostatniej nocy dowiedziała się o nim wystarczająco dużo, aby rozumieć dlaczego to robi.

- Robertcie, podjęłam tę decyzję dobrowolnie, przecież nikt mnie nie torturował. Zastanawiałam się także nad konsekwencjami. Wiem, że nie lubisz

tego, co "proste i łatwe", ale dla mnie to jest właśnie coś takiego. Wyrzuciłam ci przykrość, więc chcę to naprawić. Ot, i wszystko.

Podczas tańca Robert śledził zmiany wyrazu jej twarzy. Ona zaś zaobserwowała, że tańczył walca dobrze, lekko i z wdziękiem, prawie wcale nie kulejąc. Nazajutrz pewnie rozboli go kolano, ale w tej sytuacji miał chyba większe zmartwienia.

- Chciałbym być miły - wyszeptał.

Lucinda przełknęła ślinę, ponieważ w tym momencie pomyślała o tym samym. Tym jednak, co w nim podobało się jej najbardziej, była głębia spojrzenia, jakiej Geoffrey nie miał, a pewnie i nigdy nie widział ani nie wiedział, co to jest.

- Na zebraniu razem z moim ojcem obecnych było czterech wyższych oficerów Gwardii Konnej - zdradziła tajemnicę. - Wiesz, którzy to, prawda?

- Wiem - przytaknął.

- To podobno najbardziej zaufani członkowie kadry dowódczej.

- Wiem i o tym.

- Z jakichś powodów nie mają jeszcze pewności, co dokładnie zginęło, ale próbują na nowo skompletować listę sympatyków Bonapartego w Londynie.

- Kompletują listę? - powtórzył Robert z dziwnym błyskiem w oku.

- Tak. - Powiedziała mu przecież coś ważnego, więc z trudem ukryła grymas niezadowolenia na widok jego reakcji. Zachowywał się bowiem, jakby sam brał udział w tym wszystkim, a nie był tylko świadkiem. - Powinni już ją mieć.

Carroway skinął głową i nagroził Lucindę przelotnym uśmiechem.

- To był jeden z tych dokumentów, które zginęły. - Spojrzała znacząco. - Chyba nie powinnam była ci tego mówić, prawda?

- Za późno! - wycedził. - Było tam coś jeszcze?

- Ach, więc jednak masz poczucie humoru?

- Od czasu do czasu. Pytałem, czy generał powiedział coś jeszcze?

- Owszem, przestrzegał mnie, abym trzymała się z dala od ciebie i twojej rodziny, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

Iskierka humoru w oczach Roberta od razu znikła.

- Ach, więc on naprawdę mnie podejrzewa. No, to wpakowałaś się w ładną kabałę. Trzeba było uprzedzić mnie z góry. Myślałem, że mam ci tylko pomagać w lekcjach.

- Będę miała kłopoty tylko wtedy, jeśli ktoś doniesie ojcu, że z tobą tańczyłam.

- A czy twój "miły" przyjaciel potrafi trzymać język za zębami?

- Nie - odpowiedziała szczerze. Geoffrey tańczył akurat z lady Desmond, ale nie przestawał rzucać na nich spojrzeń spode łba. - Zresztą nie brakuje tu innych plotkarzy.

Nie znosiła takich ludzi. Całym sercem czuła, że Robert musi być niewinny, podobnie jak jej ojciec. Ani jeden, ani drugi nie zrobił nic złego, obaj mieli najlepsze intencje, a jednak, jakkolwiek podjęłaby decyzję, ucierpi na tym któryś z nich.

Zanim się zdecydowała, ucichły takty walca, a Carroway cofnął rękę obejmującą ją w talii.

- Na pewno spyta cię, o czym rozmawialiśmy - uprzedził, patrząc jej przez ramię.

- Wiem - westchnęła Lucinda. - Powiem mu, że chciałeś się dowiedzieć, czy mój ojciec wspominał coś więcej o tej kradzieży.

- I to nawet będzie prawda. - Robert podniósł dłoń do jej policzka, ale gwałtownie opuścił ją w pół drogi. - Dziękuję ci, Lucindo. Nie będę już prosić cię o nic więcej.

Wyczuła, że chciałby trzymać ją jak najdalej od tego całego zamieszania, w tym także i od siebie. Tego nie mogła znieść, jej oddech stał się płytki i urywany. Całą siłą woli musiała się powstrzymać, aby nie chwycić go kurczowo za ramię.

- Kiedy znowu się spotkamy?

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy.

- A właśnie, że powinniśmy! - Zdawała się sugerować, aby znów dostał się do niej przez okno, choć byłby to szczyt głupoty, zważywszy na jej pociąg do niego i jego zagrożoną pozycję towarzyską. - Na przykład jutro zamierzam odwiedzić Georgie...

- Nie rób tego, jeśli ojciec kazał ci nas unikać.

- Ale...

- Ona to na pewno zrozumie. Już ja tego dopilnuję.

To proste zapewnienie przekonało ją skuteczniej niż zajadłe ataki, jakie słyszała przez cały wieczór.

- W takim razie jutro, koło południa, wybiorę się do Evelyn. Ty też mógłbyś odwiedzić Santa.

Powoli kąciki usta Roberta uniosły się w uśmiechu.

- O, to da się zrobić. A wiesz, że Georgiana odmówiła wyjazdu z Londynu? Tristan udaje, że jest zły, ale myślę, że tak naprawdę czuje ulgę. Przez ten cały bałagan dziecko urodzi się w domu.

- Ty tu nie jesteś niczemu winien.

- Nie ja, tylko drań, który ukradł te przeklęte papiery.

Lucinda odważyła się położyć mu rękę na ramieniu.

- Zobaczysz, na pewno go złapiemy.

- Musimy go złapać!

*Postanowiłeś żyć i bardzo mnie to cieszy.*

*- Potwór, "Frankenstein"*

- Co ci, u licha, strzeliło do głowy, żeby iść tańczyć? - syknął Tristan, kiedy młodszy brat z powrotem dołączył do grona Carrowayów.

- Pomyślałem sobie, że dobrze by mi zrobiło, gdybym przynajmniej raz zatańczył - odpowiedział Robert.

- Zrozum, Mały, że mogłeś postawić pannę Barrett i jej ojca w kłopotliwej sytuacji - tłumaczyła Georgiana, kładąc mu rękę na ramieniu tak samo, jak przedtem Lucinda.

- Co do tego, masz rację - przyznał Robert, przenosząc wzrok z brata na bratową. - Lucinda chciała towarzyszyć nam przez cały wieczór, a jutro przyjść do ciebie do domu, ale jakoś przetłumaczyłem jej, żeby tego nie robiła. Generał prosił ją, aby się z nami nie afiszowała - dodał po chwili wahania, patrząc na Georgianę z niepokojem.

- W takim razie niech się lepiej nie afiszuje - podsumowała od razu wicehrabina. - Mam nadzieję, że potrafiłeś ją przekonać?

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

Bracia Roberta otoczyli Georgianę luźnym kręgiem, przybierając postawę zaczepno-odporną. Wyraźnie dawali do zrozumienia, aby nikt nie ważył się ubliżyć komukolwiek z nich.

Tristan obrzucał tłum ponurym spojrzeniem, mając u swego boku Santa. W końcu szepnął do niego:

- Wiesz, że to wszystko zaczyna już działać mi na nerwy?

- Całkiem ładny zjednoczony front! - zakpił Bradshaw, kiwając na lokaja, aby przyniósł tace z napojami. - Ciekawe, jak długo wytrzymamy, zanim Hesterfield dyskretnie nas wyprosi?

- Jeszcze nigdy nie wyrzucili mnie z żadnego balu - wtrącił się Andrew. - Wprost nie mogę się tego doczekać!

- Mnie się to już przydarzyło - ostudził ich Saint. - Może to nawet i ciekawe, ale nie przypuszczam, aby awantura polepszyła naszą sytuację.

Tymczasem w drugim końcu sali Geoffrey znów nadskakiwał Lucindzie, dla odwrócenia jej uwagi próbując ją przekupić czekoladkami. Robert życzył mu powodzenia, bo rozumiał, że znajdowała się teraz w podobnie trudnej sytuacji jak jego rodzina. Zważywszy na to, że związała się z nim uczuciowo, oraz na to, jak ceniła zaufanie i uczciwą grę, musiała prawdziwie cierpieć. Chciał jej tego oszczędzić, dając szansę wycofania się, ale odmówiła. Jasne, że się z tego cieszył, ale dzisiejszy wieczór i tak nie należał do udanych.

- Może jednak powinniśmy wyjść? - podsunął.

- Tak? I oddać plotkarzom pole bez jednego wystrzału? - Bradshaw założył ręce na piersi, przez co wyglądał jeszcze bardziej wojowniczo. - Nie ruszę się stąd, dopóki nie dam komuś w zęby.

Robert był zaskoczony, lecz wdzięczny rodzinie za tę demonstrację poparcia. Jednak bracia ani mu tym nie pomogli, ani sami nie zyskali popularności wśród rówieśników. W gruncie rzeczy sam był sobie winien, izolując się przez tyle lat od towarzystwa za murem milczenia. Chętnie poradziłby więc sobie sam, nie włączając w to krewnych. Lucindy też wolałby nie angażować - cóż, kiedy potrzebował nie tylko jej pomocy, ale i usprawiedliwienia, by jeszcze częściej móc być przy niej.

Jego bracia starali się wprawdzie walczyć z plotkami, ale Robert nie był pewien, czy dowództwo Gwardii Konnej rzeczywiście włoży maksimum wysiłku w to, aby znaleźć prawdziwego sprawcę. W tej chwili ważniejsze przecież było, aby obciążyć winą kogokolwiek, bo to pozwoliłoby obywatelom Anglii spać spokojnie. Po co więc mieliby prowadzić uciążliwe poszukiwania, kiedy gotowy kozioł ofiarny znajdował się w zasięgu ręki?

Wizja ponownego uwięzienia, nawet omyłkowo i na krótki czas - w razie gdyby zdarzył się cud i schwytano prawdziwego złodzieja - przejmowała Roberta panicznym lękiem. Czuł, że nie wytrzymałby zamknięcia za kratami nawet na minutę.

- Nie bój się, nie pozwolimy zrzucić na ciebie winy - pocieszyła go szeptem Georgiana. Zdawała się czytać w jego myślach, więc zmusił się do uśmiechu.

- Na to już trochę za późno, ale jeśli będziemy tu stać jak stado rozszoszczonych nosorożców, też nic nie zwojujemy. Chciałbym stąd wyjść, ale jeśli wy...

- Dobrze więc, wychodzimy - zakomenderował Tristan. - I tak Hesterfield wygląda, jakby groził mu atak apopleksji.

No i dobrze, bo Robert osiągnął to, co chciał. Widział się z Lucindą, a ona przekazała mu, kto pierwszy usłyszał opowieść o Chateau Pagnon, oraz częściowo także, co właściwie zginęło z siedziby dowództwa Gwardii Konnej. To jednak było zbyt mało, musiał dowiedzieć się więcej. Uważał bowiem, że jedynym ratunkiem dla niego jest wskazanie potencjalnego kandydata na złodzieja. Stanowiło to trudne zadanie nawet w normalnych warunkach, a co dopiero w sytuacji, gdy był głównym, a właściwie jedynym podejrzanym i miał bardzo mało czasu. Niedługo przecież mogło się okazać, że plotki są wystarczającym pretekstem, by wsadzić go za kratki.

Nie mógł jednak oprzeć się pokusie ostatniego zerknięcia na Lucindę. Udało mu się to przy szatni, gdzie czekali na okrycia Georgiany i ciotek. Zdążył już zapamiętać, co miała na sobie - suknię z bladozielonego jedwabiu, przy rękawkach i głębokim dekolcie ozdobioną pienistymi koronkami; długie do łokci rękawiczki barwy kości słoniowej; a we włosach wysadzaną szmaragdami spinę, idealnie pasującą do koloru jej pantofelków.

Niektórzy panowie krytykowali jej wysoki wzrost i wyniosłą postawę, ale tak naprawdę przeszkadzało im to, że była od nich o niebo inteligentniejsza, bardziej niezależna i uczciwa. Po prostu ich onieśmiała, zresztą jego także, ale z innego powodu. Bez niej nawet nie próbowałyby powrotu do normalnego życia, bo nie miałyby motywacji.

- Wychodzimy, Mały! - Andrew trącił go w bok.

- Dobrze, chodźmy.

Lord i lady St. Aubyn specjalnie zostali, dotrzymując towarzystwa Lucindzie i Geoffreyowi. Przede wszystkim jednak ich obecność dopomogła utrzymać względnie wolne tempo rozchodzenia się plotek.

Tymczasem Carrowayowie wsiedli do swoich powozów i pojechali do domu. Shaw i Andrew natychmiast pobiegli do sali bilardowej na piętrze, a reszta rodziny skierowała się do salonu. Przez jakieś pięć minut wszyscy milczeli, wreszcie Georgiana zaproponowała partyjkę wista. Robert tylko czekał na ten moment.



- Nie przeszkadzajcie sobie, grajcie spokojnie - zachęcił. - Coś mi dokucza kolano, chyba zanadto je sforsowałem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przyłożę sobie gorący okład i pójdę do łóżka, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Nie martw się, Mały, ta nagonka długo nie potrwa - pocieszył go Tristan. - Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję.

Naprawdę jednak uważał, że będzie jeszcze lepiej, jeśli dopomoże nadziei. Ledwie znalazł się w sypialni, natychmiast zrzucił strój wieczorowy i przebrał się w znoszone ubranie, które używał do pracy w ogródku. I tak ostatnimi czasy niedosypiał, nic się więc nie stanie, jeśli tej nocy nie zmrúży oka.

Otworzył szerzej okno i wychylił się na zewnątrz. W ciągu ostatnich trzech lat pnące się pod oknem pędy dzikiego wina rozrosły się za jego sprawą tak gęsto, że stanowiły wygodny uchwyt dla rąk. Już przerzucił jedną nogę przez parapet, gdy nagle się zawahał.

Georgiana była w ósmym miesiącu ciąży. Reszta rodziny odchodziła więc wręcz od zmysłów, gdy on choć na chwilę oddalał się poza zasięg ich wzroku. Z kolei Tristan prosił go, aby nie znikał bez uprzedzenia. Westchnął więc, cofnął się i sięgnął do szuflady biurka po kartkę papieru.

Jeszcze rok lub dwa lata temu nie przyszłoby mu do głowy, że jego problemy mogą zaszkodzić rodzinie lub znajomym. Za tę zmianę winien był wdzięczność Lucindzie, która z powrotem zrobiła z niego człowieka! Od tej pory nie chciał już, a nawet nie mógł, wyrządzać przykrości swoim bliskim. To zobowiązanie było dla niego równie ważne, jak zidentyfikowanie zdrajcy narodu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że liczy się nie tylko jego cierpienie, jego samotność czy niesława, choć zaraz po powrocie z niewoli wydawało mu się, że tylko to ma znaczenie. Szybko nabazgrał na kartce wiadomość, gdzie się znajduje, i zostawił ją na łóżku, na wypadek gdyby ktoś go szukał.

Prawie wyszedł przez okno, gdy ktoś nagle zapukał do jego drzwi, a potem je otworzył. Robert zaklął pod nosem, bo w pokoju było ciemno i może nikt nie zauważyłby jego nieobecności, gdyby nie...

- Co ty wyprawiasz, do wszystkich diabłów?! - syknął Bradshaw, wkraczając do sypialni. - Myślisz, że to ci pomoże oczyścić się z zarzutów? Niech cię licho porwie, Mały, ostrzegałem cię... to znaczy, ostrzegliśmy cię, że jeśli spróbujesz uciekać...

- Zostawiłem wiadomość - przerwał mu Robert, wskazując na łóżko. -  
Mów ciszej, bo zbudzisz Edwarda.

Ze zwężonymi złością oczami Bradshaw podszedł do łóżka, znalazł kartkę i zaniósł ją do okna, aby odczytać ją w bladym świetle księżyca. Po zapoznaniu się z jej treścią wydał z gardła nieartykułowany pomruk i rzucił papier na podłogę.

- Chyba nie wybierasz się do dowództwa Gwardii, Mały? Przecież to czyste szaleństwo! - skomentował.

- Muszę przewąchać, kogo jeszcze podejrzewają o sprzyjanie Bonapartemu i czy łatwo jest się tam dostać.

- I liczysz, że dowiesz się tego, skradając się po ciemku do miejsca, gdzie o niczym bardziej nie marzą, jak o schwytaniu cię na gorącym uczynku z dowodem rzeczowym w ręku?

- Siedząc w domu, tym bardziej nic nie zdziałam - skrzywił się Robert. - Myślisz, że oni kogoś szukają? Nikogo! A wiesz dlaczego? Bo postanowili oskarżyć mnie. Wracaj do łóżka, Shaw. To moje zmartwienie i ja się nim zajmę.

- Wcale nie tylko twoje. Sam powiedziałeś, że na razie to tylko plotki. Niech wojsko robi swoje, a ty trzymaj się od tego z daleka.

- Kiedy nie mogę, Shaw.

- A niby dlaczego, na miłość boską?

Przez chwilę Robert siedział na parapecie w milczeniu, oglądając paznokcie. Jak bowiem mógł wytłumaczyć coś, czego sam dokładnie nie rozumiał?

- Gdybym był... wrócił w innych okolicznościach... - zaczął wreszcie powoli, próbując złożyć w całość strzępki myśli wirujących mu w głowie. - Gdybym przez cały ten czas się nie ukrywał... wtedy wszystko dawno wyszłoby na jaw.

Bradshaw przysiadł na brzegu łóżka.

- Przez ponad rok prawie się nie odzywałeś - przypomniał cicho. - Pamiętam, że nie wyglądało to wcale, jakbyś miał jakiś wybór albo celowo robił nam na złość. Przypuszczaliśmy, że przydarzyło ci się coś strasznego i sam próbujesz sobie z tym poradzić. Nie mamy do ciebie o to żalu.

Robert pamiętał, na jakie cierpienia narażał przez ten czas swoją rodzinę. Tym bardziej wzruszyły go słowa wypowiedziane przez Shawa. Trudno mu było wyrazić swoje odczucia, więc przełknął ślinę i wykrztusił tylko:

- Dziękuję ci.

- W porządku, ale chcę ci powiedzieć, że nie mam zamiaru pozwolić ci nadstawiać karku z powodu jakiejś głupiej plotki. Jeśli cię tam przyłapią, wtedy plotka okaże się prawdą.

Bradshaw przedstawiał logiczne argumenty, ale i tak sama myśl o tym, że miałby siedzieć bezczynnie, kiedy kto inny będzie decydował o jego losie, wyprowadzała Roberta z równowagi. Raz już dopuścił do takiej sytuacji i więcej nie miał zamiaru. Szczególnie teraz, kiedy zaczął na nowo odzyskiwać nadzieję.

- Nie mam już niczego poza moim dobrym imieniem, Shaw.

- Masz jeszcze życie.

Robert wziął głęboki oddech i oparł się o framugę okna.

- Dopiero w Chateau Pagnon nauczyłem się, że utrzymywać się przy życiu to nie to samo, co naprawdę żyć. A w ostatnich tygodniach zdałem sobie sprawę, że wprawdzie chodziłem i oddychałem, ale to jeszcze nie znaczy, że żyłem.

- Skąd ta zmiana?

- Shaw, jeśli komukolwiek piśniesz słówko...

- Za kogo mnie masz? Ty przecież nigdy nie wypaplałeś Trisowi, że to ja posmarowałem mu klejem siodło!

Robert uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Masz rację, winieneś mi dochowanie tajemnicy.

- No więc co wpłynęło na twoją zmianę stosunku do życia? Wszyscy to zauważyliśmy.

- Lucinda Barrett.

Bradshaw spojrział na niego przeciągle.

- Jak to, przecież wszyscy wiedzą, że ona zagięła parol na lorda Geoffreya Newcombe'a?

- Wiem o tym.

- Ale chyba w niej się niekochasz, prawda?

Błędem było, że o tym w ogóle wspomniał.

- Nie w tym rzecz - zaproponował, chociaż nie był pewien, czy mówi prawdę. Na pewno nie mógł przestać o niej myśleć, a to, że spędził z nią upojne chwile, ani trochę nie osłabiało siły tego uczucia. - Raczej ją... cenię, bo dała mi nadzieję. Zresztą nie umiem tego wytłumaczyć.

- Dobrze, ale co z tym ma wspólnego twoja desperacka próba włamania się do siedziby dowództwa Gwardii Konnej?

- Chciałbym, żeby poznała prawdę. I żeby poznał ją generał Barrett. Jeśli teraz nie dostarczę dowodów swojej niewinności, zawsze będą mi towarzyszyć dwuznaczne spojrzenia i szepty za plecami. Wiesz, takie: "Jeśli nawet nie zrobił tego, to na pewno zrobił coś innego" albo: "Popatrz tylko na niego, jak on wygląda..."

- Słuchaj, Mały...

- Nie rozumiesz, Shaw? Nie chcę, żeby patrzono na mnie z niesmakiem lub z politowaniem. Chcę, aby traktowano mnie jak pełnowartościowego mężczyznę.

- I myślisz, że to ci w tym pomoże?

- Trochę na pewno.

Bradshaw powoli wstał, zaklął pod nosem i podszedł do okna.

- No więc ruszajmy, bo nie mamy już wiele czasu.

Robert z niedowierzaniem zamrugnął oczami.

- Ty nigdzie ze mną nie pójdziesz. Powiedziałem ci, że to mój problem i sam sobie z nim poradzę.

- Rzeczywiście, mam tu zostać i czekać, aż Dare na mnie wyładuje złość, kiedy się dowie, co zrobiłeś? Ani myślę. Ruszamy.

Bez względu na pobudki Bradshawa Robert musiał przyznać, że pomoc brata może mu się przydać, nie mówiąc już o wsparciu moralnym. Kiwnął więc głową, przerzucił nogę przez parapet i po kracie, po której pięto się dzikie wino, opuścił się na dół. Zaraz po nim dotknął ziemi brat.

- To nawet wygodne - stwierdził. - Ciekawe, czy mi się wydaje, czy już nieraz w ten sposób wymykałeś się z domu?

- Nawet dobrze ci się wydaje, ale zamknij gębę, bo Tris jeszcze nie wyszedł z salonu.

- Rzeczywiście, masz rację, ale wiesz, w marynarce nie trzeba umieć się skradać, wystarczy zdrowy żołądek.

W ciemnościach nie było widać uśmiechu Roberta, który skierował się na zaplecze domu, a następnie do stajni. Obecność Bradshawa przynajmniej odwracała jego uwagę od czarnych myśli i chyba dlatego brat postanowił mu towarzyszyć.

- A co będzie, jeśli masztalerze nas usłyszą? - szepnął Shaw, kiedy już znaleźli się w cieniu stajni.

- O tej porze wszyscy śpią jak zabici z wyjątkiem Wiesta, ale on jest prawie zupełnie głuchy. Osiodłamy konie na dziedzińcu.

- Ciekawe, skąd masz takie wiadomości? Albo nie, nawet mi nie mów, wolę nie wiedzieć.

Błyskawicznie wyprowadzili Tolleya i Zeusa - wierzchowca Shawa. Tolley, przyzwyczajony do nocnych eskapad swego pana, nie ruszył nawet uchem, ale kary arab Shawa parsknął i nie chciał przyjąć wędzidła.

- Stój spokojnie, Zeus! - gorączkował się Shaw.

- Spróbuj go przekupić - doradził Robert, wyjmując z kieszeni kostkę cukru. I rzeczywiście, ta metoda poskutkowałą.

- Ho, ho! - mruczał pod nosem Bradshaw, nakładając karemu uzdę. - Następnym razem zabiorę cię ze sobą, kiedy będę miał nocną schadzke z lady Daltrey.

- Nie zdziw się, ale jej mąż wie o tobie. Nie przeszkadza mu to, bo dzięki temu ona nie wypomina mu romansu z lady Walton.

- Słucham? - Shaw uniósł brew.

- Widzisz, ja często wyjeżdżam w nocy - wyjaśnił Robert, wskakując na siodło.

Wyjechali z podjazdu stępem i dopiero w bezpiecznej odległości od domu przeszli w skrócony galop. Bal u Hesterfielda i różne inne przyjęcia trwały jeszcze w najlepsze, ale handlarze i wozacy poznikali z ulic, przygotowując się na dzień jutrzejszy. Do pokonania został dystans kilku mil, więc bracia przeszli do klusa, kierując się na południowy wschód. Przejechali przez Grosve-nor Place, wzdłuż St. James's Parku i na północ obok Whitehall. Zatrzymali się przed budynkiem Ministerstwa Finansów.

- Mamy jechać prosto przez plac defilad? - zapytał Bradshaw, obserwując ulicę.

- Po obu stronach gmachu stoją wartownicy - przypomniał sobie Robert, żałując, że nie spędził kiedyś więcej czasu w kwaterze głównej. - Biura znajdują się na drugim i trzecim piętrze.

- A dużo tych biur?

- Nie wiem. - Robert wzruszył ramionami. - Ze trzydzieści albo i czterdzieści...

- To zajmie nam całą noc.

Robert powoli zsiadł z Tolleya i poprowadził go w stronę monumentalnego, białego budynku, otoczonego pasem wolnej przestrzeni, na którym odbywały się przeglądy, parady, a dawniej turnieje. Na tym otwartym placu każdy intruz byłby łatwo widoczny nawet pod osłoną nocy. Przy bramie i wzdłuż balustrady rozstawieni byli wartownicy - Robert widział czterech, ale gotów był przysiąc, że co najmniej drugie tyle czaiło się w ciemnościach.

- Szkoda, że nie zabrałem liny - mruknął Shaw. - Masz jakiś pomysł, co robimy?

- Chciałbym obejść budynek dookoła, bo dawno już nie widziałem go z bliska.

Przez kilka minut szli w milczeniu. Robert nie wątpił, że wartownicy musieli ich dostrzec, ale może w ciemnościach nie rozpoznali. Wiedział, że parter budynku zajmowały stajnie, z kolei na wyższych piętrach mieściło się takie mnóstwo biur i gabinetów, że nawet przy największym wysiłku trudno byłoby się rozeznać. Poszukiwanie po omacku raczej wykluczało znalezienie czegokolwiek.

- Pamiętasz, Mały, jak kiedyś graliśmy w szachy, a ty zapowiedziałeś, że w czterech posunięciach dasz mi mata? Masz teraz dokładnie taki sam wyraz twarzy. Ciekawym, o czym myślisz?

- Myślę, że włamanie do dowództwa Gwardii Konnej to strata czasu, a dla nas obu pewne aresztowanie. - Wolał nie ryzykować takiego finału, przejechał zatem pełne kółko i wrócił do punktu wyjścia.

- No więc?

- To oznacza, że ten, kto zabrał te papiery, musiał spędzić dużo czasu w tym budynku. Widzisz, Shaw, nawet gdybym wiedział, czego mam szukać, potrzebowałbym wielu godzin, żeby znaleźć właściwy gabinet, a w nim odpowiednie mapy i dokumenty.

- Masz rację, Mały - przytaknął brat. - Wiesz co, może byśmy już stąd pojechali? Chyba jesteśmy za bardzo na widoku.

- Tak, nic tu po nas.

Na szczęście nikt nie zaglądał do sypialni Roberta zanim on i Bradshaw wrócili. Po odejściu brata Robert rozsiadł się w fotelu przy oknie, w którym zwykle czytał. Przypomniawszy sobie, że po uwięzieniu Bonapartego zmniejszył się pobór do wojska i częstotliwość awansowania, co oznaczało, że kadra dowództwa Gwardii Konnej została zredukowana lub przeniesiona do licznie obsadzonego Ministerstwa Wojny. Wynikało stąd, że niektóre gabinety mogły pełnić obecnie funkcję magazynów lub też stały puste.

Potrzebował więc jedynie informacji, kto w ostatnim tygodniu miał wstęp do siedziby dowództwa i znał rozkład budynku na tyle dobrze, że mógł zabrać to, co chciał, i wyjść niezauważony. Uzyskanie takiej wiadomości byłoby dziecinnie łatwe, gdyby on z kolei miał dostęp do danych o personelu zatrudnionym w kwaterze głównej lub znalazł kogoś, kto tam pracował.

W pewnym sensie miał taki dostęp przez Lucindę. Oczywiście musiałby jej wyjaśnić, o co mu chodzi. W końcu z jakichś powodów chciała się jeszcze z nim widzieć i sprawiała wrażenie, jakby chciała mu pomóc. Jednak niezależnie od jej szlachetnych pobudek nie zamierzał prosić o nic, co mogłoby sprawić jej jakikolwiek kłopot.

Zapalił już lampę i otworzył książkę, lecz zamiast czytać, rozmyślał o tym, czy Lucinda została jeszcze na balu i czy dobrze się bawi w towarzystwie lorda Newcombe'a. Według jego oceny nie przerobiła jeszcze dwóch swoich lekcji, ale sama stwierdziła, że nie ma to już dla niej znaczenia. Wystarczy, że

doszła do porozumienia z "miłym" Geoffreyem, a kiedy dostatecznie długo będą afiszować się razem i towarzystwo zaakceptuje ich związek - pewnie Geoffrey poprosi o jej rękę i zostaną "miłym" małżeństwem. Robert patrzył na otwarte Strony, ale nie rozróżniał słów, zastanawiał się, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby to jego Lucinda wybrała na ucznia?

Owszem, wyprzedził Newcombe'a w wyścigu po jej wdzięki, ale zważywszy na to, kim był sam, a jakie stanowisko piastował jej ojciec - uważał za mało prawdopodobne, aby udało mu się osiągnąć coś więcej. Gdyby wrócił z wojny jako zawadiacki żołnierz samochwała, popisujący się opowieściami o swych bohaterskich czynach, pewnie generał miałby o nim lepsze zdanie. Cóż, kiedy on sam nie miał najlepszego zdania o generale Augustusie Barretcie!

Lucinda pozwoliła mu przynajmniej mieć nadzieję, czego po czterech latach cierpień trudno było nie zauważyć, podobnie jak światła słonecznego po długotrwałej nocy. Zastanawiał się nawet, jak zachowałby się w obliczu wszystkich fałszywych oskarżeń, gdyby ona uprzednio nie wyciągnęła go z cienia? Pewnie barykadowałby się dziś w swoim majątku w Szkocji i czekał, aż angielscy żołnierze zapukają do jego drzwi!

Westchnął. Wizja śmierci nie przerażała go zbyt, dopóki nie znalazł motywacji do życia. Nie potrafił tylko wymyślić odpowiedzi na pytanie, co zrobi, kiedy ta "motywacja" wyjdzie za innego.

## 18

*Mam nadzieję, że zobaczę twoją spokojną twarz i serce nie całkiem pozbawione pociechy i ukojenia.*

*- Elizabeth Lavenza, "Frankenstein"*



- Na szczęście wyszli sami, zanim trzeba byłoby ich wyrzucić...

Słyszając te słowa, Lucinda zatrzymała się pod drzwiami gabinetu ojca. Widocznie Geoffrey przyszedł jeszcze przed śniadaniem, aby podzielić się z generałem najnowszymi plotkami o Carrowayach. Oparła się o ścianę, czekając, czy powie coś także i o niej.

- Na pewno znaleźli się w kłopotliwej sytuacji, bo przecież nikomu nie przedstawiono jeszcze żadnych oficjalnych zarzutów - usłyszała odpowiedź ojca.

- Właśnie, jeszcze! - podchwycił Geoffrey. - Nie chciałbym roznosić plotek, ale radziłbym panu poważnie porozmawiać z Lucindą. Uparła się, żeby do nich podejść, i nawet pozwoliła Robertowi poprosić się do tańca! Rozumiem, że może czuć sentyment do dawnych przyjaciół, lecz w niczym im tym nie pomoże. Próbowałem ją przestrzec, ale odniosłem wrażenie, że tylko ją rozdrażniłem.

Mimo zamkniętych drzwi Lucindzie zdawało się, że widzi ojca, jak ze ściągniętymi brwiami nerwowo postukuje palcami po ułożonych w stosik kartkach świeżo napisanego rozdziału. Po chwili usłyszała jego głos:

- Ona jest tak samo uparta jak jej matka, ale potrafi myśleć logicznie. Jestem pewien, że rozumie twoją troskę. Najlepiej ją przeprosz, to powinno podziałać.

*Hm... Dużo skuteczniejsze byłoby odwołanie się do zdrowego rozsądku.*

- Tymczasem, drogi chłopcze, może opowiesz mi cokolwiek o swoich uczuciach?

Lord Newcombe cicho się zaśmiał.

- Myślę, że pan generał wie, gdzie je ulokowałem. Lucinda jest urocza i chyba zdążyła mnie już polubić.

- W takim razie możemy chyba założyć, że przyjmie twoje oświadczenia.

- Myślę, że tak. Czy zatem pozwoli mi pan generał, żebym poprosił ją o rękę?

Lucinda poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Wypowiedział te słowa tak obojętnie i rzeczowo, jakby to była zwykła transakcja handlowa.

Wprawdzie nie miała co do niego złudzeń, ale nie spodziewała się, że jego oświadczenia zabrzmiały tak... chłodno. A miało być tak prosto i przyjemnie!

- Wydaje mi się, że w tych okolicznościach nie wypada oficjalnie ogłaszać zaręczyn... - zauważył generał. - Ona nie może pokazywać się w towarzystwie Carrowayów, lecz trzeba pamiętać, że przyjaźni się z nimi.

- Oczywiście, ale kiedy skończy się to całe zamieszanie, mogę zakładać, że mam pańskie pozwolenie?

- Możesz.

- A stanowisko w Indiach?

- Nie martw się, chłopcze, mam jeszcze wystarczające wpływy, aby powierzyć ci dowództwo garnizonu w Indiach. Przynajmniej na tak długo, jak długo będziesz postępował zgodnie z życzeniem Lucindy, czy zechce zostać w Anglii, czy pojechać z tobą.

- Ależ oczywiście - przytaknął Newcombe.

Wynikało stąd, że obaj panowie już podpisali i przypieczętowali umowę dotyczącą jej przyszłości. Szkoda tylko, że pod niewinną nazwą "zamieszania" kryła się możliwość aresztowania Roberta. Wiedziała wprawdzie, że Geoffrey zbyt nie przepada, ale bagatelizowanie takiej tragedii zakrawało wręcz na gruboskórność.

- No więc kiedy ona tu do nas zejdzie?

- Myślę, że lada chwila. Miałeś może chwilę czasu, aby przeczytać rozdział drugi?

- Prawie skończyłem go czytać. Jest bardzo dobry. Szczególnie trafnie opisał pan nastrój wzburzenia i chaos w czasie marszu na Ciudad Rodrigo.

- Przecież już obiecałem, że oddam ci córkę, więc nie musisz mi pochlebiać! - roześmiał się generał.

- Mówię zupełnie poważnie. Właściwie już dziś po południu mógłbym podrzucić panu ten rozdział i wziąć do przeczytania następny.

- Musiałbyś przynieść go do naszego dowództwa, bo rozdział trzeci ma u siebie generał Bronlin. Miał go do dziś przeczytać, chyba że w śledztwie wystąpiły jakieś nowe okoliczności.

- Słyszał pan już o czymś?

- Jak na razie, nic nowego - westchnął generał. - Zarządziliśmy przeszukanie wszystkich odpływających na kontynent statków, a dodatkowo dziś rano rozpoczęliśmy inwigilację Roberta Carrowaya, na wypadek gdyby próbował przekazać komuś te papiery albo wyjechać z kraju.

Lucinda zbladła, nie brała bowiem pod uwagę takiej ewentualności. A jeśli już dwa dni temu ktoś go śledził? Musiała jakoś go ostrzec, ale w tych okolicznościach stało się to trudniejsze.

Nawet jeśli w normalnych warunkach opowiadała się za postępowaniem szczerym i otwartym, choć naturalnie nieobce jej były także podstępny - w tej sytuacji musiała uciec się do tych drugich metod. Za nic nie opuściłaby przecież przyjaciół, ani też - co dopiero zaczynała sobie uświadamiać - nie zgodzi się, by nią manipulowano. Wyprostowała się więc i śmiałym krokiem weszła do gabinetu ojca.

- Dzień dobry, tatusiu... O, lord Geoffrey? Nie spodziewałam się, że tak wcześnie nas pan odwiedzi.

Newcombe wstał na jej przywitanie i wyciągnął przed siebie rękę z bukietem stokrotek.

- To dla ciebie, kochanie, bo wydaje mi się, że róże już ci się chyba znudziły.

Lekko dygnęła i przyjęła bukiet.

- Dziękuję bardzo.

- Chciałem także zaproponować ci przejażdżkę.

- Przykro mi, Geoffreyu, ale jestem dziś trochę rozstrojona. Jeżeli mogę, wolałabym raczej napisać list do Georgiany.

- Lucindo, nie powinnaś odpowiadać tak opryskliwie! - skarcił ją ojciec, wstając.

- Czy powiedziałam coś opryskliwego? Jeśli tak, to przepraszam. Miałam tylko na myśli, że brakuje mi moich przyjaciół i chciałabym dać im do zrozumienia, że sercem jestem z nimi.

- Jak może ci ich brakować, jeśli rozmawiałaś z nimi dopiero wczoraj wieczorem? - wytknął jej ojciec, nie zdając sobie sprawy, że właśnie wpakował siebie i lorda w zastawione przez nią sidła.

Lucinda spojrzała na swego adoratora z udawanym zdziwieniem.

- Czy roznosisz plotki o wszystkich, czy tylko o mnie?

- Lucindo! - zgromił ją generał, ale Geoffrey miał zawstydzoną minę.

- Działalem tylko w twoim interesie - tłumaczył się gęsto. - Myślałem, że to zrozumiesz.

- Myślę, że działasz wyłącznie w swoim interesie. - Położyła nacisk na słowo "swoim", ale zaraz wzięła głęboki oddech, uświadamiając sobie, że zgodziła się poślubić tego człowieka. Gdyby nie incydent z kradzieżą i Robertem, Geoffrey dawno byłby poprosił o jej rękę. - Przepraszam, ale naprawdę nie czuję się najlepiej.

- To ja przepraszam, bo widocznie przyszedłem nie w porę. - Wyciągnął do niej rękę. - Powiedz mi tylko, że nadal pozostaniemy przyjaciółmi.

Lucinda aż się wzdrygnęła, bo ostatnimi czasy za dużo mężczyzn chciało się z nią przyjaźnić. Czyżby coś z nią było nie w porządku?

- Oczywiście, że pozostaniemy - zapewniła. - Po prostu chciałabym dzisiejsze przedpołudnie mieć tylko dla siebie.

Generał wstał, aby odprowadzić gościa do wyjścia, przy czym spojrzał na córkę takim wzrokiem, że nie ruszyła się z miejsca. Lucinda wiedziała, że zachowała się skandalicznie, bo przecież Geoffrey wyrażał tylko aktualne opinie połowy londyńskiego towarzystwa. Uważała jednak, że powinien bardziej liczyć się z jej uczuciami, niż starać się korzystnie wypaść w oczach swoich znajomych.

Ledwo ojciec powrócił na swoje miejsce za biurkiem, od razu przystąpił do sedna sprawy.

- Wczoraj tańczyłaś z Robertem.

- Tak, bo mnie poprosił.

- A ja cię prosiłem, żebyś trzymała się od niego z daleka.

- Przykro mi, tatusiu, ale nie wybierałam sobie przyjaciół pochopnie, więc nie będę odwracać się od nich z powodu jakiejś głupiej plotki.

Augustus Barrett spiorunował ją wzrokiem, ale nie odwrócił oczu. Nie wiadomo, jak długo patrzyliby na siebie spode łba, gdyby do uchylonych drzwi nie zapukał kamerdyner Ballow.

- Panie generale, list do pana - zaanonsował.

- Daj, zobaczymy, co tam piszą.

Lokaj wręczył swemu panu notatkę i taktownie się wycofał. Lucinda obserwowała, jak w miarę zapoznawania się z treścią listu, zmieniał się wyraz twarzy ojca. To, co się na niej odmalowało, zmroziło ją, więc szybko zapytała:

- Co się stało?

Generał cisnął kartkę na blat biurka z takim impetem, że jego córka aż podskoczyła.

- Wczoraj w nocy widziano twojego przyjaciela pod kwaterą główną Gwardii Konnej.

- Niemożliwe! - Zbladła. - To chyba jakaś pomyłka.

- Wartownicy otrzymali jego dokładny opis i polecenie, aby na niego uważać. O wpół do dwunastej podjechał konno pod siedzibę dowództwa w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny. Obaj okrążyli budynek stępem, a potem odjechali.

W umyśle Lucindy trwała obłądana gonitwa myśli, próbowała znaleźć dla tego postępkę jakieś wiarygodne usprawiedliwienie.

- Przecież zarzuca mu się włamanie do tego budynku - wykrztusiła. - Może chciał zobaczyć na własne oczy, o co go się oskarża?

- Albo sprawdzić, czy nasza kwatera główna nadal jest tak słabo pilnowana, jak w zeszłym tygodniu? - podsunął generał, wstając i pochylając się nad biurkiem. - Otóż zapewniam cię, że już nie jest. Naprawdę, Lucindo, nie chciałbym ci tego drugi raz powtarzać. Trzymaj się z dala od niego!

Przez chwilę korciło ją, aby wyznać ojcu, że spędziła już noc z Robertem. Nie uległa jednak pokusie, tylko sztywno kiwnęła głową i z wysiłkiem dźwignęła się na nogi.

- Jak sobie życzysz, tatusiu - wyrecytowała.

- A dokąd to panienka się wybiera?

- Idę do siebie poczytać, a potem na obiad do lady St. Aubyn. - Zauważyła mars na jego czole i szybko dodała: - Nie bój się. Georgiany tam nie będzie.

- Kiedy ta przykra sprawa się zakończy, sama przyznasz, że nie było innego wyjścia. Zarządziliśmy przeszukanie wszystkich statków wypływających z Dover lub Brighton na kontynent. Jeśli te papiery są w drodze do Francji, przejrzymy je.

- Nie wątpię w to.

- Powinnaś też przeprosić lorda Geoffreya. Stara się, jak może, aby cię zadowolić, i naprawdę nie zasłużył na takie traktowanie.

- Dobrze, tatusiu.

Otwierała już drzwi gabinetu, gdy ojciec jeszcze zawołał za nią:

- Lucindo!

Zatrzymała się z zapartym tchem, zaciskając palce na klamce.

- Słucham?

- Mówię ci z ręką na sercu, że Geoffrey Newcombe i tak byłby dużo lepszą partią niż Robert Carroway, nawet gdyby nie doszło do tego nieszczęścia. Geoffrey jest sympatyczny, przystojny, lubiany i otwiera się przed nim droga do olśniewającej kariery. No, a ten twój Robert... ledwo potrafi sklecić dwa słowa do kupy i nie ma przed sobą przewidywalnej przyszłości!

W jednej chwili zebrało się jej na płacz.

- Dziękuję ci za radę, tatusiu - wymamrotała. - O ile pamiętasz, sama podsunęłam ci, żebyś zaprosił do nas Geoffreya.

- Rzeczywiście tak było.

Lucinda pobiegła na górę i zamknęła się w swojej sypialni. Martwiła się nagłym pogorszeniem się stosunków między nią a ojcem, z którym do tej pory tak świetnie się rozumieli. Nie mogła też znieść sytuacji, w której nie przestawała myśleć o Robertcie, chociaż wszyscy jej wmawiali, że Geoffrey byłby dla niej lepszym mężem. Wyprowadzało ją to z równowagi, ponieważ

nikt z tych ludzi nie wiedział, jaki Robert był naprawdę, a co gorsza - nie wiedział tego nawet sam Robert.

Przez godzinę więcej przechadzała się po pokoju, niż czytała. W końcu przywołała Helenę, aby pomogła jej przebrać się do obiadu, gdyż ta pora nie uchodziła już za nieprzyzwoicie wczesną. Evie nie będzie miała nic przeciwko temu, a Robert powinien koniecznie o tym i owym się dowiedzieć. Niewykluczone bowiem, że już śledzili go szpiedzy z Gwardii Konnej.

Skrzywiła się, bo gdyby agenci donieśli, że oboje o tej samej porze przebywali w Halboro House, mogłyby z tego wyniknąć nie lada kłopoty. Cóż, gdyby się tak zdarzyło, będzie musiała sobie jakoś z tym poradzić. Należało się im przecież od życia trochę szczęścia, a teraz przypadał na to najlepszy moment.

Kiedy dotarła do Halboro House, Evie akurat schodziła po schodach. Na jej widok zawołała:

- Ach, Luce! Dobrze, że mnie jeszcze zastałaś, bo właśnie wychodziłam. Wybierałam się na Bond Street, żeby kupić sobie nowy kapelusz. Może pojechałabyś tam ze mną?

Lucinda po fakcie przyznała, że powinna była uprzedzić lorda i lady St. Aubyn o zamiarze odwiedzenia ich z Robertem.

- Może lepiej będzie, jeśli zostaniemy do obiadu w domu? - zaproponowała ze wstydlwym uśmiechem.

- Tak myślisz? - Evie przerwała zawiązywanie pod brodą wstążek kapelusza.

- Tak, nawet jestem tego pewna.

- Czy mamy ku temu szczególny powód?

Lucinda kątem oka spojrzała na kamerdynera Jansena, który dyskretnie stał z boku, w pobliżu wieszaka na płaszcz.

- Owszem, na dworze jest fatalna pogoda - odrzekła zdecydowanie.

Markiza wyjrzała przez oba okna od frontu, przez które wpadało tak jaskrawe światło słoneczne, że musiała zmrużyć oczy.

- Rzeczywiście - zgodziła się, zdejmując kapelusz. - Jansen, powiedz pani Dooley, żeby zrobiła nam kanapki z ogórkiem i lemoniadę.

- Tak jest, proszę jaśnie pani - odrzekł służbiście lokaj i znikł w czeluściach domu.

Dopiero wtedy lady St. Aubyn złapała przyjaciółkę pod ramię i pociągnęła do swego buduaru.

- No, to teraz mów, kochana, co się dzieje. Już na wczorajszym balu byłaś całkiem rozstrojona, a teraz znowu co?

Czy Saint jest w domu? - wykrztusiła Lucinda, starając się opanować niepokój. Stanowczo, nie nadawałaby się na szpiega!

- Tak, to znaczy w stajni, ogląda nowego konia myśliwskiego, którego kupił od lorda Mayhewa. A bo co?

- No, bo... do niego też ktoś mógł przyjść.

- A mógł, czemu nie? - Evie rozsiadła się wygodnie na kanapie, ostentacyjnie wygładzając fałdy muślinowej sukni w kolorach różowym i żółtym. Akurat lokaj przyniósł czajnik i dyskretnie się wycofał. - Może cię to zdziwi, Lucindo, ale wiedz, że potrafię dochować tajemnicy lepiej niż wielu naszych znajomych.

- Tak? A co to ma wspólnego z...

- Na przykład - naląła herbaty do filiżanki i podała ją przyjaciółce - pamiętasz, jak na początku tego roku, kiedy dopiero zaczęłam udzielać Saintowi lekcji, on na tydzień gdzieś znikł?

- Tak, pamiętam. - Lucinda usiadła naprzeciw gospodyni i pociągnęła duży łyk herbaty, żałując, że to nie whisky ani koniak.

- A wiesz, dlaczego znikł? Bo ja go porwałam!

Lucinda zakrztusiła się herbatą, przy czym pewna jej ilość wylądowała na pięknym, perskim dywanie.

- Co zrobiłaś?

Markiza spokojnie potwierdziła swoje słowa, powoli sącząc herbatę.

- Widzisz, pokłóciliśmy się i on zagroził, że każe zburzyć sierociniec, który starałam się ratować. Zamknęłam go więc na tydzień w piwnicy, żeby miał czas zmienić zdanie.



Lucinda zrobiła wielkie oczy, bo dotychczas razem z Georgie uważały Evie za najbardziej bojaźliwą z ich trójki.

- I to... poskutkowało?

- Jak najbardziej. - Lady St. Aubyn uśmiechnęła się z pozornym spokojem, któremu zaprzeczały tylko wesołe iskierki w jej szarych oczach. - Opowiadam ci o tym dlatego, żebyś wiedziała, że możesz mi ufać, cokolwiek tam knujesz.

- Ja...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo do buduaru wkroczył Saint, a za nim, następując mu na pięty, Robert.

- Dzień dobry, Lucindo - przywitał ją markiz.

Ona jednak nawet go nie słuchała, bo na widok Carrowaya zerwała się jak oparzona. Wystarczająco nieprzyjemny okazał się wczorajszy bal, a dzisiaj musiała całą siłą woli zapanować nad sobą, aby nie przebiec przez pokój i nie rzucić się Robertowi na szyję. Jakże chętnie całowałaby go, dopóki z jego oczu nie zniknąłby wyraz udreki, a ona nie zaspokoiłaby swojego pożądanego!

- Evelyn, czy kazałaś zrobić dla nas jakieś kanapki lub coś w tym rodzaju? - spytał Saint ze spokojem.

- Oczywiście, kochanie, kucharka już szykuje.

- To dobrze, ale wolałbym, abyś na przyszłość uprzedzała mnie, że będziemy mieć gości.

- Zrobię tak, jeśli oni najpierw uprzedzą mnie.

- Dzień dobry - przywitał się tymczasem Robert, nie zważając na wymianę zdań za swoimi plecami. Od razu przylgnął wzrokiem do Lucindy.

Pod jego spojrzeniem zarumieniła się i serce w niej zadrzało. Pomyślała sobie, jak dobrze byłoby, gdyby Geoffrey działał na nią w ten sposób, ale niestety taki wpływ wywierał akurat jedyny człowiek, którego jej ojciec zdecydowanie nie lubił.

- Widzisz, zapomnieliśmy uprzedzić Evie i Sainta, że się do nich wybieramy - zaczęła pierwsza, ale markiz wszedł jej w słowo.

- Dobrze, jeśli już u nas jesteście, to usiądźcie. Chyba że chcielibyście, abyśmy z Evie wyszli?

- Nigdzie nie wychodzimy - stanowczo sprzeciwiła się jego żona. - W moim domu macie zachowywać się przyzwoicie.

Carroway zamrugał oczami, jakby zapomniał, że oprócz niego ktoś jeszcze znajduje się w tym pokoju.

- Może jednak lepiej byłoby, gdybyście wyszli - podkreślił, zwracając się do St. Aubyna. - Przecież ja w tej chwili uchodzę za trędowatego.

- A jednak wszedłeś do mnie głównym wejściem i nic się nie stało - zaoponował Saint. - Widocznie potrzebowaliście bezpiecznego miejsca, żeby się spotkać, i tu je znaleźliście. Usiądź, proszę. - Podeszedł do nakrytego stołu pod oknem i dorzucił: - Może napijesz się koniaku?

Robert potrząsnął głową i usiadł naprzeciw Lucindy. Wyglądał, jakby przez ostatnich kilka dni w ogóle nie spał, podobnie zresztą jak ona. Z jego błękitnych oczu przebijało jednak coś więcej oprócz zmęczenia - jeśli się nie myliła, chyba troska lub niepokój. A ona miała zamiar zakomunikować mu coś, co jeszcze pogorszy jego samopoczucie!

- Czy ktoś cię śledził, gdy tu szedłeś? - spytała ściszym głosem.

- Tak, dwóch ludzi próbowało. Chyba to byli żołnierze.

Lucinda zbladła.

- Oni nie wiedzą, że my tu rozmawiamy, ale mój ojciec...

Robert nie dał jej skończyć i wziął ją za rękę. To dotknięcie zdawało się palić żywym ogniem, ale nawet przez fale gorąca Lucinda poczuła napięcie jego palców.

- Nie bój się, oni myślą, że jestem na Piccadilly. Wszystko w porządku, spodziewałem się tego.

- Pewnie, po ostatniej nocy...

Carroway uniósł brwi.

- Po ostatniej nocy? - powtórzył, ale po raz pierwszy w jego oczach uwidoczniło się zaskoczenie.

- Ktoś ze sztabu Gwardii Konnej przysłał memu ojcu doniesienie, że ostatniej nocy widziano cię tam w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny.

- To był Bradshaw - uzupełnił Robert z ponurą miną. - Chciałem obejrzeć sobie dokładniej ten budynek, aby sprawdzić, jak łatwo się tam dostać.

- Nie powinieneś być sam się tam pokazywać - wtrącił Saint, siadając na kanapie obok Evie.

- A jak mogłem prosić kogoś, aby podjął takie ryzyko? - odpowiedział oschle Robert. Dało się zauważyć, że niechętnie wtajemniczał postronnych w swoje sprawy, ale Lucinda poczuła ulgę, że to zrobił. - Bradshawa też nie chciałem brać ze sobą, ale musiałem, bo przyłapał mnie na wychodzeniu przez okno.

- Przez okno? - wyszeptła, a wtedy w jego oczach zatliła się iskierka humoru. Przynajmniej mieli jakąś wspólną tajemnicę, której nie musieli z nikim dzielić!

- Dajmy na to, że tu jesteś - wtrącił się Saint. - Dajmy na to, że może to zagrozić mojej pozycji towarzyskiej, gdybym przykładał do tego jakąkolwiek wagę, jednak mam w tej sprawie pewne wątpliwości.

- Zbyt wielu ludzi wie więcej, niż powinno - odparował Robert.

- Nie możesz przecież oczekiwać...

- Robercie, to moja wina, nie Santa - dowodziła chłodno Lucinda. - Gdybym nie powtórzyła ojcu tego, co powiedziałeś mi w zaufaniu, nikt nie podejrzewałby ciebie bardziej niż na przykład... Wellingtona!

Carroway wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

- To był rzeczywiście kiepski pomysł - potwierdził.

Lucinda dała Evie znak głową, wskazując na drzwi. Nie mogły przecież zmusić Roberta, aby zaufał im wszystkim. Gdyby ona miała za sobą takie przejścia jak on, nie ufałaby prawdopodobnie już nikomu. To, że uwierzył jej nawet po tym, co zrobiła, wprawiało ją w zdumienie i zarazem wzmagało w niej poczucie winy.

Evie odchrząknęła i oznajmiła:

- Muszę sprawdzić, co z tym obiadem. Michaelu, proszę, przynieś mi szal.

St. Aubyn wyciągnął przed siebie nogi skrzyżowane w kostkach.

- Nigdzie nie wychodzę.

- Przeciwnie, wychodzisz, i to zaraz.

- Jak to, przecież mieliśmy pełnić funkcje przyzwoitek?

Lucinda stała bez ruchu przy oknie i przenosiła spojrzenie z Sainta na Roberta.

- Zostawcie nas samych tylko na pięć minut - poprosiła.

Nie była pewna, czy nie zmienił zdania, ale po chwili markiz wypuścił z płuc nadmiar powietrza i wstał.

- Dobrze, niech będzie pięć minut.

Dopiero kiedy drzwi zamknęły się za Saintem i Evie, Lucinda zdobyła się na stłumione parsknięcie śmiechem.

- Nie radziłabym ci wtajemniczać Sainta w te sprawy!

Robert odwrócił się i podbiegł do niej. Ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował tak namiętnie, że zaparło jej dech. Oblął ją żar od palców u nóg aż do czubka głowy. Z westchnieniem przyłgnęła do Roberta, wsunęła mu dłonie pod surdut i splotła je na jego plecach.

Odurzał ją jak narkotyk, chociaż wiedziała, że nie powinna się temu poddawać. Cóż, kiedy ich usta zlewały się w jedno, a on przyciskał ją coraz mocniej do oparcia kanapy.

W końcu podniósł głowę i wydyszał:

- To nie twoja wina, Lucindo, że się tak zachowuję. Prędzej czy później coś się musiało stać.

- Ależ ty nie robisz nic złego, a po tym, co przeżyłeś... Wielu innych przypłaciłoby to życiem.

- Mnie to też zabiło.

- Ciebie nie. - Potrząsnęła głową. - I nie przypuszczam, aby do tego doszło.

Uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu.

- Kiedy zgadzam się z tobą, mam nadzieję, że zobaczę jeszcze wiele wschodów słońca. - Zaraz jednak znowu spowaźniał i dodał: - Zeszłej nocy przypuszczałem, że ktoś mnie może zobaczyć, ale musiałem coś sprawdzić.

- To na pewno było coś ważnego. - Przyłapała się na tym, że chętnie przeczesaby palcami jego długie, czarne włosy. Na wszelki wypadek cofnęła się i usiadła. Mieli do dyspozycji pięć minut, powinni je więc jak najlepiej wykorzystać.

- Owszem, było, a ja doszedłem do biegłości w dostawaniu się do różnych miejsc i wydostawaniu się z nich.

- Zdążyłam to zauważyć.

W jego oczach dojrzała błysk aprobaty.

- Ta kwatera główna Gwardii Konnej to prawdziwy labirynt - myślał głośno. - Czy twój ojciec wspominał, co jeszcze zginęło oprócz map i listy zwolenników Bonapartego?

- Chyba już nic więcej.

- Więc ktoś musiał wiedzieć, gdzie szukać tych rzeczy, a także musiał mieć łatwy dostęp do budynku... - Carroway przechadzał się do okna i z powrotem, krzywiąc przy tym twarz. - Myślę, że ten, kto to zrobił...

- Pracuje w dowództwie Gwardii Konnej? - dokończyła. Przez chwilę zastanawiała się nad tą hipotezą, ale zaraz dodała: - Nie byłabym tego taka pewna. Sama wchodziłam tam nieskończoną ilość razy, a różni żołnierze i cywile przez cały czas kręcą się tam i z powrotem. Na przykład Wellington i jego świta; dawni towarzysze broni mojego ojca, inni wyżsi oficerowie, gońcy z Parlamentu i Ministerstwa Wojny...

Robert zaklął pod nosem.

- A czy goście i pracownicy muszą się komuś meldować? Czy ktoś prowadzi ewidencję wchodzących i wychodzących?

- Owszem, ale tylko jeśli chodzi o gości. Odwiedzający muszą się wpisywać do księgi wyłożonej przy głównym wejściu. - Błysnęła w niej iskierka nadziei, ale zaraz zgasła, gdy przypomniawszy sobie, jak szybko wartownicy namierzali Roberta wczorajszej nocy. - To znaczy, ona jest w środku i pod strażą - poprawiła się.

- Zawsze to byłby jakiś początek - stwierdził, wzruszając ramionami.

- Nic ci z tego nie przyjdzie. - Lucinda podeszła do stolika z alkoholami i ostentacyjnie nalała sobie whisky. - Próbowałam przekonać ojca, że nie masz z tym nic wspólnego, ale on martwi się tylko o to, żebym nie obraziła lorda Newcombe'a i nie wpakowała się w kłopoty.

- Czyżbyś obraziła lorda Geoffreya?

- Odmówiłam jego żądaniu, abym unikała swoich przyjaciół z uwagi na jego perspektywy awansu.

- I co on na to?

- Dziś rano przyniósł mi kwiaty, ale chyba bardziej się stara przypochlebić mojemu ojcu niż mnie.

- Jakie to były kwiaty?

Lucinda spojrzała na Roberta ze zdziwieniem.

- Ni mniej, ni więcej, tylko akurat chcesz wiedzieć, jakie kwiaty dostałam?

Carroway śledził jej kroki i w skupieniu obserwował, jak trzyma w ręku szklankę mocnego trunku.

- Przypuszczam, że to były stokrotki.

- Jakimże sposobem mogłeś się tego domyślić?

- Sama hodujesz róże, więc mógł przypuszczać, że masz ich już dość. No, a stokrotki w tym roku obrodziły.

- Masz na myśli, że są tańsze?

- Raczej to, że są lekkie, łatwe i przyjemne - poprawił. - Łatwo je zdobyć i sprawić komuś przyjemność.

- Aha, rozumiem. Ciekawam, jakie kwiaty dostałabym od ciebie.

- Lawendowe róże - odpowiedział natychmiast.

Serce Lucindy zabiło mocniej.

- A dlaczego właśnie takie?

- Ponieważ lawendowy to twój ulubiony kolor, a róże to twoje ulubione kwiaty. - Znów się do niej zbliżył, muskając palcem jej policzek. Od razu zaparło jej dech i nogi się pod nią ugięły.

- Skąd ty to wiesz? Na przykład, że najbardziej lubię kolor lawendowy?

- Po prostu uważnie ci się przyglądam - odparł Robert cicho, pochylając się, aby ją pocałować. Ten pocałunek okazał się delikatny i lekki jak muśnięcie piórkiem lub tchnienie ciepłego powietrza na wargach. Lucinda przymknęła oczy i poddała się jego pieszczotom.

- Lucindo?

- Słucham? - Spojrzała w bezdenną głębię jego szafirowych oczu.

- Czy Geoffrey się z tobą całował?

Błyskawicznie pomyślała o whisky. Wychyliła szklanekę duszkiem, a że trunek palił jej gardło - rozkaszała się, a w oczach stanęły jej łzy.

- O, Boże! - jęknęła.

W tym momencie otworzyły się drzwi buduaru i stanął w nich Saint.

- Minęło pięć minut - zaanonsował, ale zaraz podszedł szybkim krokiem do Lucindy i klepnął ją w plecy. - Dobrze się czujesz?

- Tttt... tak. - Ponownie się rozkaszała.

- Ona napiła się whisky - wyjaśnił Carroway.

- Szkoda, że tego nie widziałem. Chodźcie już, bo obiad na stole.

Pierwszy ruszył w kierunku jadalni, Robert został nieco w tyle, więc i Lucinda zwolniła tempo.

- Musiałeś mnie o to pytać? - wyszeptała.

- Tak, bo jeśli masz zamiar wyjść za niego, powinnaś przynajmniej przekonać się, jak całuje - odpowiedział tak samo cicho.

- A my mamy przestać się całować?

Robert błysnął zniewalającym uśmiechem, ale zaraz spoważniał.

- Nie przypuszczam, abym potrafił przestać.

Na tym właśnie polegał problem, bo ona też nie potrafiła.

## 19

*Moje nadzieje i oczekiwania na przyszłość są całkowicie uzależnione od naszego związku.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Oparty o drzwi boks, Robert obserwował, jak masztalerz czyścił, a potem wyprowadzał Tolleya. W ostatnich dniach jeździec i koń mieli dosyć ruchu. Wprawdzie nie planował zrobienia nadprogramowych trzech mil konno, i to w kierunku, który nie był mu po drodze, ale potrzebował czasu, aby zgubić śledzących go wywiadowców. Stanowczo, warto było trochę pokluczyć, byleby móc nie tylko zobaczyć, ale i dotknąć Lucinę.

Udzieliła mu lepszej wskazówki, niż sama przypuszczała. Książka odwiedzających faktycznie mogła dostarczyć mu cennych informacji. Ponieważ sam dawno nie bywał w dowództwie Gwardii Konnej, nie przyszło mu do głowy, że czynu, o który go podejrzewają, mógł również dopuścić się ktoś, kto nie pracował na stałe w tym gmachu. A przecież mógł to być ktoś taki, kto przychodził tu na tyle często, aby orientować się w rozkładzie pomieszczeń.

Nie wykluczał bynajmniej możliwości popełnienia przestępstwa przez stałego pracownika sztabu, ale ktoś z zewnątrz miałby bardziej uzasadnione



powody, aby to zrobić. Zarówno oficerowie, jak i żołnierze Gwardii Konnej byli zawodowymi wojskowymi, na stałe związanymi ze służbą. Nie potrzebowali więc nowej wojny, aby zapewnić sobie dostatni byt do końca swoich dni.

Robert nie przypuszczał także, aby w grę wchodziły pieniądze. Owszem, w Anglii mógł znaleźć się jakiś fanatyczny stronnik Bonapartego, ale wojna zakończyła się już trzy lata temu. Mało prawdopodobne więc było, aby taki zdrajca nie siedział od dawna w więzieniu albo przynajmniej nie znalazł się na językach wszystkich. Chyba że był to szpieg, który dobrze się maskował. W takim razie...

- Co tu robisz? - zagadnął go Edward, który wmaszerował akurat do stajni w towarzystwie Tristana.

- Łamię sobie głowę - zbył go Robert. - A ty co robisz?

- Jedziemy z Tristanem na ryby. Miałem pojechać na przejażdżkę konną z Williamem Graysonem i jego wujkiem, ale przysłali bilecik, że William zachorował.

Starsi bracia wymienili spojrzenia nad głową Cherlaka. Nie mieli wątpliwości, że rodzice Williama nie chcieli, aby ich syn pokazywał się w towarzystwie któregoś z Carrowayów.

- Na pewno niedługo poczuje się lepiej - pocieszył chłopca Robert, choć słowa te z trudnością przechodziły mu przez gardło.

- Mam nadzieję, bo Shaw obiecał, że w przyszłym tygodniu zabierze nas do Portsmouth, żebyśmy zobaczyli jego okręt.

- Cherlaku, może poszedłbyś pomóc Johnowi osiodłać Storm Cloud? - podsunął Tristan, znacząco szturchając chłopca w plecy.

Edward jednak nie zamierzał ruszyć się z miejsca. Założył ręce na piersi i wyzywająco spoglądał na braci.

- Przecież nie jestem głupi! - obruszył się. - Jeśli chcecie porozmawiać o czymś tak, żebym nie słyszał, powiedzcie wprost: "Cherlaku, wyjdź na chwilę, bo mam coś do powiedzenia Małemu".

- No więc, Cherlaku, wyjdź na chwilę, bo mam coś do powiedzenia Małemu - powtórzył wicehrabia, uśmiechając się przeciągle.

- Dobrze, w końcu i tak będziecie musieli mi powiedzieć.

- No, jazda, zmykaj! - Odprowadzali wzrokiem Edwarda, aż znikł z pola widzenia. Dopiero wtedy Tristan zwrócił się do Roberta: - Jak ci się udał obiad z Saintem? Bo przecież u niego byłeś, prawda?

- Owszem, przecież zostawiłem ci wiadomość, jak prosiłeś. Saint i Evie przesyłają ci pozdrowienia i pytają, czy mogliby w czymś pomóc. - Robert machinalnie rozcierał w palcach źdźbło siana.

- To nasi prawdziwi przyjaciele.

- Masz rację. Przyjemnego połowu ryb!

- Poczekaj, Mały. - Z grymasem na twarzy lord Dare przysunął się bliżej.  
- Wiem, że czujesz się winny temu, co się stało...

- Skąd o tym wiesz?

- Bo mam oczy i znam cię nie od dziś. Nie rób tego, to znaczy, nie obwiniaj się o to. Posiadanie rodziny ma tę dobrą stronę, że nie musisz sam jeden stawiać czoła wszystkim.

- Tristanie... - zaczął i przerwał, aby wziąć głęboki oddech. Musiał w końcu to powiedzieć, aby bracia zrozumieli, dlaczego nie chciał ich w to mieszać. - Owszem, czuję się winny, bo trzy lata temu próbowałem zrobić coś, co rozwiązałoby wszystkie problemy, ale mi się nie udało.

Jasnoniebieskie oczy starszego brata przewiercały go na wylot.

- Co takiego próbowałeś zrobić?

- Zabić się, czy raczej sprowokować Francuzów, żeby mnie zabili, co wyszłoby na jedno.

Tristan zbladł.

- Robercie... - wyszeptał.

- Nie widziałem innej drogi wydostania się z Chateau Pagnon, a nie mogłem już dłużej wytrzymać tych mąk. Pozostawiłem ich więc w przekonaniu, że mnie zastrzelili, co pewnie okazałoby się prawdą, gdyby nie znaleźli mnie hiszpańscy partyzanci.

- Chyba nie masz zamiaru...

- ...spróbować tego znów? Nie, przynajmniej nie dobrowolnie. Tego właśnie nikomu nie mogłem ujawnić i dlatego chciałem sam oczyścić się z zarzutów, bo to moja wina i nie zniósłbym, gdyby ktoś z was ucierpiał, chcąc mi pomóc. Na miłość boską, Tris, przecież za miesiąc zostaniesz ojcem!

Wicehrabia przytrzymał brata za rękę.

- No właśnie! - syknął. - I chciałbym, żeby moje dziecko miało stryja!

- Tak czy owak, będzie miało przynajmniej trzech stryjów. - Robert próbował oswobodzić rękę, ale bezskutecznie.

- Wiem, ale niech ma przynajmniej jednego rozsądnego, takiego jak ty - warknął lord Dare, puszczając jego ramię. - Chcę ci tylko powiedzieć, żebyś nie izolował nas od tej sprawy rzekomo dla naszego dobra. Pozwól, abyśmy sami o tym decydowali.

- Zastanowię się nad tym - zażartował, ale na chwilę przymknął oczy, bo nie mówił szczerze. Nie chciał włączać braci w swoje sprawy, gdyż nie tylko myślał, ale wiedział, że działa dla ich dobra. - Na pewno wiesz, Dare, że chodzą za mną agenci z Gwardii Konnej.

- Co takiego? Jak...

- Zgubiłem ich na Piccadilly, ale w każdej chwili mogą tu wrócić.

- Niech to diabli! - zaklął Tristan. - Czy zamierzasz jeszcze dzisiaj podsunąć mi więcej takich kąsków? Bo jeśli tak, to muszę się najpierw czegoś napić.

- Na razie nic więcej nie przychodzi mi do głowy - pocieszył brata. Nie wspomniał tylko o Lucindzie, bo równie trudno było mu ubrać swoje przemyślenia w słowa, jak wicehrabiemu zrozumieć jego obsesję.

Tymczasem przyprowadzono osiodłane wierzchowce. Robert podsadził Edwarda na jego kuca, po czym odprowadzał wzrokiem obu braci, jak oddalali się kłusem. Za nimi podążał konno masztalerz objuczony wędkami.

- Czy jaśnie pan ma jeszcze jakieś życzenia? - spytał Gimble, wprowadzając Tolleya do boksu.

Robert poklepał po karku wałacha, który w rewanżu trącił go nosem w ramię.

- Nie, dziękuję, to byłoby wszystko.

- Tak jest, proszę jaśnie pana.

Potrzebował czasu, aby wszystko dobrze przemyśleć, ale wiedział, że masztalerze nie lubili, gdy zbyt długo kręcił się w pobliżu stajni. Poszedł więc do swego różanego ogródka. Zdziwił się, bo jeszcze dwa tygodnie temu sadzonki przypominały suche patyki z kolcami i ledwo zaznaczoną, zieloną mgiełką pierwszych liści. Teraz zazieleniły się, obficie wypuszczały nowe pędy, a na jednym z większych krzaczków Robert przysiągłby, że widzi zawiązek pączka!

Równocześnie jednak na grządce pojawiło się wiele nowych chwastów, więc przycupnął, aby je wyrwać. Dobrze by było, gdyby źli ludzie dawali się tak łatwo odróżnić w tłumie, jak chwast pomiędzy różami! Ponieważ jednak przez ostatnie trzy lata sam wyglądał i czuł się raczej jak chwast, miał nadzieję, że ta analogia nie ma zastosowania w społeczności ludzkiej.

To porównanie mogło też uzasadniać niemożność wspólnej egzystencji takiego nędznego, na wpół zwiędłego chwastu, jak on, z taką rozkwitłą różą, jak Lucinda. Jemu ta różnica zdawała się nie przeszkadzać, bo przecież trzymał ją już w ramionach i powierzył jej swoją najskrytszą tajemnicę, ale ona mimo to nadal zamierzała poślubić Geoffreya Newcombe'a.

Nigdy przedtem nie poświęcił lordowi ani jednej myśli, ale odkąd Lucinda wskazała go jako swego przyszłego narzeczonego - obojętność przerodziła się w zdecydowaną antypatię. Teraz zaś, kiedy stanął w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, a Geoffrey uchodził za wzorowego patriotę, antypatia przestała już być właściwym określeniem. Jej miejsce zajęła nienawiść. Wyrываяc z ziemi ostatnie chwasty, Robert doszedł do wniosku, że nienawidzi lorda Geoffreya Newcombe'a tak zajadle, że aż sam się tym zdumiał.

Z bezsilnej złości rąbnął pięścią o ziemię. Co właściwie miał robić? Grzebać się w ziemi, podczas gdy Lucinda wybierała spokojne życie u boku innego mężczyzny, dlatego że był "miły"? A niby kogo miała wybrać, jeśli nie Geoffreya? Może jego? Nawet gdyby chciał ją poślubić, nie mógłby, gdyż praktycznie stryczek już zaciskał mu się na szyi. Chciał więc przynajmniej udowodnić wszystkim, że oskarżenie go o zdradę jest niesłuszne.

- Co ty tu robisz, Mały? Tłuczysz dżdżownice? - rozległ się za nim łagodny głos Georgiany.

Robert podskoczył, gdyż bratowa zniecka zaszła go od tyłu.

- Nie, tylko tak sobie myślałem... - tłumaczył się, rozginając zaciśnięte palce i wytrząsając spomiędzy nich ziemię.

- O czym myślałeś?

- Jak zdobyć pewien świstek papieru, do którego nie mam dostępu, z miejsca, do którego nie mogę się dostać, bo jacyś nieznani mi ludzie obserwują mnie z krzaków.

- A czy kto inny nie może go zdobyć dla ciebie?

Odwrócił się, aby stanąć z wicehrabiną twarzą w twarz.

- Wtedy musiałbym wprowadzić tego kogoś w moje sprawy.

Lady Dare wydeła wargi.

- Wiesz, może wyważam otwarte drzwi, ale powiem ci, że wiele osób i tak już się w to zaangażowało. Poza tym, czemu nie rozejrzysz się, czy ktoś z twojej rodziny lub przyjaciół nie chciałby ci pomóc?

- Jak śmiałybym pytać o takie rzeczy?

- Dlaczego nie? Ja na przykład chętnie ci pomogę. O jaki świstek papieru chodzi?

- Ależ, Georgiano, ty nie możesz...

- Za późno, już się zdecydowałam - stwierdziła z humorem, lecz i z determinacją. - Nie mogę znieść, kiedy ludzie, których kocham, są oskarżani o czyny, których nie popełnili. Po prostu działa mi to na nerwy. Co to ma być za papier?

Robert wstał z ziemi. Zdawał sobie sprawę, że wejście Georgiany do rodziny Carrowayów zmieniło życie ich wszystkich, ale, nie licząc Tristana, jego chyba najbardziej. Razem z nią w jego smutny, ubogi świat weszła Lucinda, wnosząc ze sobą trochę słońca.

- To ma być strona z Księgi Gości Gwardii Konnej, do której wpisują się odwiedzający - tłumaczył. - Chodzi mi o sprawdzenie, kto tam przychodził w zeszłym tygodniu.

- A gdzie oni trzymają tę książkę?

- Zaraz przy samym głównym wejściu, ale pod strażą.

- Myślisz, że ona jeszcze tam leży? Teraz, kiedy śledztwo jest w toku?

Robert przytaknął.

- Z tego, co wiem, podejrzewają o dokonanie tej kradzieży kogoś z zewnątrz, niebędącego stałym, mile widzianym gościem.

- Aha, rozumiem. - Obrzuciła spojrzeniem podjazd od frontu. - Czy ci ludzie wciąż jeszcze czają się w krzakach?

- Wrócili tu mniej więcej pięć minut temu. Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że szpiegują nie kogo innego, tylko mnie.

- No, kiedy już będzie po wszystkim, pogadamy sobie na serio z panem generałem Barrettem - zagroziła Georgie z błyskiem w oku. - Teraz zostań tu w ogrodzie i czekaj, dopóki nie wyjadę.

- Chyba się nigdzie nie wybierasz?

- Cicho, to zadanie dla kobiety! - zgasiła go, choć nigdy nie przypuszczała, że kiedyś mu coś takiego powie. - Napiszę tylko szybko kilka słów... Pamiętaj, żebyś nie wracał do domu, dopóki nie stracisz mnie z oczu.

Okazało się, że cała sprawa wyprowadziła Georgianę z równowagi bardziej, niż myślał. Uniósł więc tylko brew i obserwował z daleka, jak lokaj zatrzymywał przejeżdżającą dorożkę. Celowo, aby nie patrzeć w tamtą stronę, przyniósł sobie konewkę i zaczął podlewać róże. Cokolwiek bratowa zamierzała, nie chciał jej w tym przeszkadzać.

Po dziesięciu minutach na podjazd zajechał powóz. Udając, że strząsa owada z liścia, Robert spojrział w tamtym kierunku i zauważył na drzwiczkach czerwono-żółty herb St. Aubynów. Najwyraźniej przekazana przez Georgie wiadomość odniosła szybki skutek.

Evelyn, która przyjechała powozem, wraz ze służącą pomogła Georgianie wsiąść. Obie damy, tylko w asyście pokojówki, odjechały, a Robert skończył podlewanie i spokojnie wrócił do domu. Bez względu na to, co uknęła bratowa, musiał cierpliwie poczekać na rezultat.

- Lucindo!

Wysiadła właśnie z powozu ojca, a to nagłe zawołanie tak ją zaskoczyło, że o mało się nie potknęła.

- Geoffrey?

Lord zatrzymał gniadego konia i zeskoczył z niego tuż przed samym podjazdem.

- Muszę koniecznie z tobą pomówić.

Lucinda rzuciła rozpaczliwe spojrzenie w stronę domu, gdzie Ballow już otwierał jej drzwi.

- Wróciłam właśnie z proszonego obiadu... - wyjąkała. Powinna była właściwie odczuwać wyrzuty sumienia, gdyż jeszcze dwadzieścia minut temu całowała się z Robertem Carrowayem. Tymczasem, podając rękę Geoffreyowi, czuła do niego raczej odrazę. Potrzebowała czasu, by wymyślić sposób, jak zdobyć listę pracowników sztabu Gwardii Konnej, nie alarmując przy tym ojca, więc na sprzeczkę z adoratorem szkoda jej było każdej minuty.

- Gdybyś zechciał poczekać na mnie chwilkę w salonie... - zagała.

- Nie, raczej przejdźmy się kawałek. Musiałem się z tobą zobaczyć.

Wczepił się palcami w jej ramię z taką pasją, jakiej nigdy u niego nie widziała. Zaniepokoiło ją to, ale wskazała gestem w stronę grządek różanych.

- Dobrze, ale tylko na krótko.

Obeszli dom naokoło tak szybkim krokiem, że Lucinda musiała hamować Newcombe'a. Pociągnęła go za rękaw, lecz on tylko lekko poluźnił uchwyt na jej ramieniu, prowadząc ją do kamiennej ławeczki obok grządek.

- Usiądźmy tutaj - zaproponował, gestem wskazując jej miejsce na ławeczce.

- Geoffreyu, o co ci chodzi?

- Siadaj, proszę.

Uśluchała, tymczasem on nie przestał chodzić tam i z powrotem po ścieżce. Nie przypominała sobie, aby zaszło między nimi coś poważniejszego, oczywiście poza jej opryskliwymi odpowiedziami, lecz te wymagały najwyżej przeprosin. Co więc mogło go tak zirytować?

- Geoffreyu, powiedz, w czym rzecz, cokolwiek by to było - zażądała.

Zatrzymał się tuż przed nią i wyrębał:

- Śledziłem cię.

Zmroził ją tym wyznaniem.

- Co takiego?

- Nie jestem ślepy, Lucindo. Widziałem, jakim wzrokiem patrzysz na tego... Roberta Carrowaya, a po naszej dzisiejszej kłótni przypuszczałem, że możesz... chcieć się z nim zobaczyć. Dlatego poszedłem za tobą aż do rezydencji St. Aubynów.

Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi, bo tłukło się jak oszalałe. Boże, tylko nie to! Tym razem ojciec chyba nie wybaczyłby jej, gdyby się dowiedział, że znów knuła coś za jego plecami.

- Nie przypuszczałam, że on mógłby... - próbowała kluczyć.

- To nie ma znaczenia. Wiem, że wy, kobiety, pochylacie się nad każdym bezdomnym pieskiem czy zranionym ptakiem. - Usiadł przy niej i wziął ją za rękę. - Obiecałem twemu ojcu, że poczekam, dopóki ten zamęt się nie uspokoi, ale widzę, że nie starczy mi cierpliwości.

Lucinda pomyślała, że mogłaby w tej chwili pobiec z krzykiem do domu. Przypomniała sobie jednak, że tego właśnie oczekiwała, gdy wybierała Geoffrey'a na swego ucznia. Nakazała więc sobie zachowanie spokoju.

On tymczasem wolną ręką ujął ją pod brodę, nachylił się i dotknął ustami jej ust. Ze stajni dochodził szmer przyciszonych rozmów masztalerzy, po sąsiedniej ulicy przejechał faeton, a na dachu krakały dwa kruki.

Po chwili Geoffrey powrócił do poprzedniej pozycji, uśmiechnięty i opanowany.

- Widzisz, jak do siebie pasujemy? - stwierdził z satysfakcją.



Lucinda zauważyła pewność siebie emanującą z jego wyrazu twarzy i postawy. Ze zdziwieniem odkryła, że większą przyjemność sprawiła jej aprobata ojca dla poprawek, jakie poczyniła w jego rękopisie, niż pocałunek przystojnego Geoffreya. Jeśli tak miała wyglądać ich przyszła, "miła i spokojna" egzystencja, to taka perspektywa coraz mniej się jej podobała.

Tymczasem lord zsunął się z ławki i przyklęknął na jedno kolano.

- Możesz mi zarzucić bezczelność lub złe wychowanie, ale muszę to wiedzieć - zadeklarował. - Lucindo, czy chcesz zostać moją żoną?

- Geoffreju, moi przyjaciele przeżywają teraz ciężkie chwile. Nie możesz żądać ode mnie, abym o tym zapomniała przez wzgląd na cokolwiek innego.

- Przecież nie musimy brać ślubu już jutro! Chciałbym tylko wiedzieć, czy dostąpię tego zaszczytu. Jeśli tak wolisz, możemy poczekać, aż będzie po wszystkim.

Wystarczyłoby tylko, żeby powiedziała "tak", a uszczęśliwiłaby swego ojca, sobie zapewniając spokojną i dostatnią przyszłość, natomiast Geoffreyowi - stopień majora i dowództwo garnizonu w Indiach. Gdyby chciała, mogłaby mu nawet tam towarzyszyć, a i generał chętnie pojechałby z nimi. Cóż, kiedy nie mogła wygnać ze swojej pamięci innych oczu, głosu i dotknięć...

- Jeszcze się nie zdecydowałam - zaczęła ostrożnie - w tej chwili mam inne zmartwienia.

Newcombe przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Jak to? Przed chwilą poprosiłem cię o rękę, a ty mi mówisz, że masz ważniejsze sprawy na głowie?

- Ależ nie, uchowaj Boże! Chodzi mi o to, że możemy o tym równie dobrze porozmawiać jutro, jak w przyszłym tygodniu lub nawet miesiącu, a Robert Carroway potrzebuje pomocy już, bo potem będzie za późno.

Newcombe wstał z klęczek.

- Muszę przyznać, że podziwiam twoją lojalność - mruknął, siadając znowu przy niej. - Mam jednak nadzieję, że wzięłaś pod uwagę także i taką ewentualność, iż Carroway mógł cię po prostu okłamać?

- On na pewno nie...

- A co, myślisz, że przyznałby ci się, gdyby wziął te papiery? Tobie, córce generała Barretta? Chyba lepiej dla niego byłoby mieć cię po swojej stronie. Wyobrażam sobie, jak ci się przez cały zeszły tydzień przypochlebiał. Przecież jesteś jego najlepszą, ostatnią i zarazem jedyną prawdziwą nadzieją!

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy - Lucinda skarciła go, w obawie, że głos jej zdrzży, zdradzając równie rozedrgane nerwy. Zdawała sobie bowiem sprawę, że pod tym względem Geoffrey ma rację. Czy Robert był winien, czy nie - ona dawała mu największą szansę na wyjście z opresji.

- Wiem, że nie powinienem i absolutnie nie chciałem cię martwić - sumitował się lord, wstając z ławki i pociągając Lucindę za sobą. - Zadałem ci pytanie, ale na razie zostawmy to, żebyś miała czas do namysłu. Chciałem cię tylko zapewnić, że nie opuszczę cię, cokolwiek stałoby się z twoim... przyjacielem.

- Dziękuję ci, Geoffreyu. - Zdobyła się na uśmiech. - Po prostu muszę sobie jeszcze to wszystko przemyśleć.

Stanowczo, coś z nią było nie w porządku! Miała w zasięgu ręki wszystko, czego pragnęła, i potrzebowała czasu na podjęcie decyzji? A ludzie gadali, że to Robert szwankuje na umyśle!

- Nie spiesz się, kochanie, dam ci tyle czasu, ile chcesz.

Tymi słowami lord ją pożegnał, tym razem bardziej "niewinnym" pocałunkiem w policzek. Lucinda opadła na ławkę i ukryła twarz w dłoniach. Boże, jak wszystko się okropnie skomplikowało! Spotkało ją akurat to, czego chciała uniknąć - niejednoznaczne sytuacje, podawanie w wątpliwość czyjejś lojalności, jednym słowem same utrudnienia. A wystarczyłoby tylko powiedzieć Geoffreyowi "tak", a jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jej życie mogło stać się znowu lekkie, łatwe i przyjemne.

Odetchnęła głęboko. Dobrze, że przynajmniej pozostało jej trochę czasu.

Tymczasem Geoffrey, gdy tylko znalazł się po drugiej stronie domu, ze złości tak smagnął się palcatem po udzie, że krucha trzcinka przełamała się na

pół. Wyrzucił ją więc w krzaki i poszedł po konia. Teraz wiedział już na pewno, że nie cierpi ani komplikacji w życiu, ani Roberta Carrowaya.

Robert usłyszał dźwięk otwieranych drzwi od frontu. Wskoczył z biblioteki, zanim lokaj zdążył je zamknąć. W hallu stali Bradshaw i Andrew, a Dawkins właśnie odbierał od nich kapelusze i płaszcze.

- Niech to grom spali! - wymamrotał.

Shaw obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Ach, miło mi, że cię widzę.

- Mnie też. Przepraszam, ale czekam na Georgie.

- Aha. Może przypadkiem wiesz, co tu robią ci dwaj panowie w krzakach?

- Pilnują mnie.

- No, to niedobrze. Czy mam ich stąd wygonić?

Robert potrząsnął głową.

- Raczej nie, bo wolałbym, żeby wiedzieli, że tu jestem.

Bradshaw skrzywił się, wpychając rękawiczki do kapelusza.

- Szkoda, bo chętnie bym kogoś stuknął. Może byśmy w takim razie zagraли w bilard? - zwrócił się do Andrew.

- Bardzo śmieszne! - Andrew zgarnął stertę listów, jakie podał mu Dawkins. - Na szczęście okazało się, że mam przyjaciół, którzy jeszcze nic nie wiedzą o tym, co się dzieje w Londynie. Zaraz do nich napiszę, żeby sprawdzić, czy dalej tak zostało.

Obrzucił Roberta spojrzeniem na poły przepraszającym, na poły gniewnym i znikł w gabinecie Tristana.

- Andrew, nie musiałeś tego mówić! - krzyknął za nim Shaw.

- Daj mu spokój - mitygował go Robert. - On się tym wszystkim przejmuje tak samo jak ty.

- Czyli czterokrotnie mniej niż ty - podsumował Shaw, wchodząc na schody. - Chodź, zagrasz ze mną w bilard.

Robert nie miał nic przeciwko temu, więc ruszył za bratem. Zdążył już dziewiąty raz przeczytać tę samą stronę "Frankensteina", ale wciąż nie mógł zapamiętać, jaką zawierała treść.

- To zabawne - zauważył, wyciągając ze stojaka dwa kije bilardowe i rzucając jeden z nich Shawowi. - Teraz, kiedy nie będę mógł nigdzie wychodzić, zaczynam żałować, że nie spędzałem więcej czasu na dworze.

- Mały, ty na pewno nie pójdziesz do więzienia. Nie pozwolę na to.

- Oj, czy to nie zbytnia pewność siebie?

Shaw potrząsnął głową, ustawiając kule w rzędzie.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale coraz bardziej przypominasz mi tamtego Roberta, jakiego znałem mniej więcej pięć lat temu. Chciałbym, aby tak zostało. - Pochylił się, starannie wymierzył kijem w kulę i wyegzekwował uderzenie. - I żebyś wiedział, mój okręt musi jeszcze zostać w doku w Portsmouth najwyżej przez trzy dni, a potem będzie gotów do wodowania.

Robertowi serce zamarło.

- Przynajmniej z tym będziesz miał spokój.

- Źle mnie zrozumiałeś. Chcę wziąć jeszcze kilka tygodni urlopu, dopóki ta idiotyczna sprawa się nie wyjaśni. Ale chcę ci też powiedzieć, że jeśli będzie trzeba, poześlę prosto do Ameryki. Prezydent Stanów Zjednoczonych na pewno chętnie włączy mój okręt do swojej floty.

Robert patrzył na brata rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Bradshaw, nie mówisz tego poważnie!

- Owszem, nawet śmiertelnie poważnie. Po tym, co przeszedłeś w Chateau Pagnon, nikt z nas nie pozwoli, abyś trafił do więzienia. - Po krótkiej przerwie dodał: - W Hyde Parku spotkałem Tristana. Powtórzył mi to, co powiedziałeś mu dziś rano, ale tylko mnie, Andrew ani Edward o niczym nie wiedzą.

- Nie. - Robert potrząsnął głową. - Obiecuj mi, że nie zmarnujesz swojej kariery dla mnie, cokolwiek by się stało.

- Dlaczego? Cherlak zawsze mi powtarzał, że bardziej nadawałbym się na pirata! - Zaśmiał się. - Teraz twój ruch.

Zanim jednak Robert zdążył rozważyć, czy Shaw powiedział to na serio, czy szukał pretekstu do przerwania gry, od strony schodów doleciały go kobiece głosy. Dzięki Bogu, że ani Georgie, ani Evelyn nie aresztowano z jego powodu. Sytuacja stawała się zupełnie zwariowana, jeżeli z całej rodziny on zdawał się przejawiać najwięcej zdrowego rozsądku!

- Mały?

- Tu jesteśmy! - odkrzyknął Shaw.

Obie damy wkroczyły do sali bilardowej i opadły na krzesła pod ścianą. Wprawdzie zanosily się śmiechem, ale lady St. Aubyn wyglądała, jakby była rzeczywiście bliska omdlenia.

- Coście tam znowu nabroili? - zagadnął Shaw, opierając się na kiju bilardowym.

Georgie ochłonęła nieco i rzuciła Robertowi ukradkowe spojrzenie.

- To tajemnica! - zachichotała.

- Jemu możesz powiedzieć. - Wskazał na Shawa. Jeśli brat sam zadeklarował chęć postąpienia wbrew prawu, tym bardziej powinien był wiedzieć o ich planach. - Macie to?

- Co mają mieć? - zainteresował się Shaw.

Wicehrabina odchrząknęła.

- No więc, pojechałyśmy do sztabu Gwardii Konnej i ja spytałam...

- Coście zrobiły? - Bradshaw upuścił kij i tak zbladł, że aż poszarzał na twarzy.

- Nic takiego. Ułożyliśmy taki plan...

- Zaraz, niech usiądę. - Bradshaw opadł na krzesło obok Evelyn, ale spiorunował wzrokiem Roberta. - Wiedziałaś o tym?

- Oczywiście, że wiedział - odpowiedziała za niego Georgiana. - I żeby nikt nie miał wątpliwości, myśmy także wiedziały, że w grę wchodzi bezpieczeństwo Roberta, nie nasze.

- Ja naszym paniom ufam - oświadczył Robert, opierając się plecami o stół bilardowy i walcząc z nieoczekiwaną chęcią uśmiechnięcia się od ucha do ucha. Dopiero teraz bowiem zdał sobie sprawę, że jedyną możliwością, której się nie bał, była śmierć. Raz już się przecież o nią otarł, a przecież oznaczała ona z całą pewnością, że nie pójdzie do więzienia. Nic innego się nie liczyło.

- Możemy opowiadać dalej? - spytała Georgie.

- O, tak, mówcie! - jęknął słabym głosem Bradshaw, zachęcając panie gestem ręki.

- No więc weszłyśmy do środka, a tam zażądałam widzenia z generałem Barrettem. Evie próbowała mnie powstrzymać, ale przecież miałam prawo się oburzyć, że generał zabronił Lucindzie widywać się ze mną! - Wsparła się na ramieniu markizy i dodała: - Ale jestem nierozsądna, prawda? Przecież moje dziecko może się lada chwila urodzić.

- Plus minus pięć tygodni - dodała ze śmiechem Evie.

- Oczywiście strażnicy wpadli w popłoch. Próbowali mnie przekonać, że generała nie ma dzisiaj w sztabie, ale nawet ich nie słuchałam.

Teraz wątek podjęła Evelyn.

- I wtedy Georgie urządziła całe przedstawienie. Nagle zaczęła krzyczeć i padła zemdlna prosto w ramiona wartownika. Sama prawie uwierzyłam, że ten nieszczęśnik za chwilę będzie musiał przyjąć dziecko.

- Boże Wszechmogący! - wymamrotał Bradshaw, kryjąc twarz w dłoniach. - Przecież Dare nas wszystkich zamorduje! Mam nadzieję, że o tym wiecie?

- Poczekaj, teraz zaczniesz się najlepsze - uspokoiła go bratowa. - Evie wpadła w histerię, więc ze wszystkich gabinetów wysypali się kanceliści, próbując jakoś pomóc. I wtedy Evie chwyciła Księżę Gości i zaczęła mnie nią wachlować. Po jakiejś minucie czy dwóch usiadłam i rozplakałam się, że chcę

do domu, do Tristana! Tamci namawiali nas, żebyśmy zostały, dopóki nie sprowadzą lekarza wojskowego, ale uparliśmy się, więc tylko pomogli nam wsiąść do powozu i oto jesteśmy!

- I co? - dopytywał się Robert. - Chyba nie zrobiliście tego tylko dla zabawy?

- Ależ skąd! - oświadczyła lady St. Aubyn, wyciągając zza gorsu kilka zmiętych kartek. - Proszę bardzo.

Robert z niedowierzaniem wziął z jej rąk kartki i rozprostował je. Miał świadomość, że te dwie kobiety zrobiły to dla niego i choćby się sprzeczały, czyje ryzyko większe, każda z osobna lub obie razem mogły ponieść naprawdę poważne konsekwencje.

- Dziękuję wam!

Shaw zajrzał mu przez ramię.

- Co to jest?

- Podpisy wszystkich odwiedzających w zeszłym tygodniu sztab Gwardii Konnej - wyjaśnił Robert, wzdając palcem po nazwiskach.

Lucinda miała rację - przez budynek przewijały się tłumy gości, jedni na dłużej, inni na krócej. Niektóre z nazwisk wydawały się Robertowi znajome, a inne stanowiły nieczytelny zakręt.

- Aż tylu podejrzanych? - mruknął Shaw. - Ponad pięćdziesiąt nazwisk? Zanim się w tym rozeznasz, obawiam się, że prędzej czy później ktoś skojarzy sobie szczególną wizytę naszych pań ze zniknięciem stron z księgi gości.

- Wiem, wiem - rzucił obojętnie Robert, bo tocząca się rozmowa nagle przestała go interesować. Zauważył bowiem, że na liście odwiedzających sztab w ciągu trzech dni odnotowanych na stronach wyrwanych przez Evelyn powtarza się jedno nazwisko. Jego posiadacz z upodobaniem uwieczniał w podpisie swoją rangę, choć przebywał na długoterminowym urlopie: Rotmistrz Geoffrey Newcombe.

- No, teraz dopiero zaczyna się robić ciekawie!

## 20

*Miałbym przez swą nikczemną dezercję wystawić bezbronnych na łup demona, którego sam puściłem wolno?*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

Lucinda siedziała w sypialni, poświęcając tyleż czasu na studiowanie swego odbicia w lustrze, ile na wyglądanie przez okno w kierunku dziedzińca stajni. Zarazem próbowała przekonać siebie, że nie jest głupia. Miała zresztą formalną wymówkę na usprawiedliwienie tego, że nie przyjęła oświadczyn lorda Newcombe'a. Udzieliła mu przecież tylko dwóch lekcji z czterech wymienionych na jej liście!

Ba, gdybyż to była tylko kwestia ilościowa! Lucinda z westchnieniem rozłożyła na kolanach sfatygowaną kartkę papieru. Niewiele ponad rok temu, kiedy wymyślała swoje punkty, wydawały się jej niezwykle ważne. Poświęcanie całej uwagi osobie towarzyszącej; taniec z różnymi partnerkami; zainteresowania inne niż własna osoba i szczerłość w wyrażaniu swoich opinii!

- Głupstwa! - orzekła teraz, mnąc kartkę i rzucając ją do kosza na śmieci.

Nie zwlekała przecież z udzieleniem Geoffreyowi odpowiedzi z uwagi na nieprzeprowadzone lekcje! Grała na zwłokę tylko ze względu na Roberta. Spokojne wieczory przy kominku kojarzyły jej się z głosem Roberta, a przejmujące ciepłem dotknięcia na skórze - z jego palcami.

Te marzenia były jednak nierealne, dobrze wiedziała, że ojciec nigdy go nie zaaprobuje, a zresztą Robert nigdy by go o to nie poprosił. No, a więcej taka



okazja już się może nie nadarzyć, chyba że w najbliższych dniach ktoś sam by się przyznał do popełnienia zdrady ojczyzny!

Wizja Roberta zakuwanego w kajdany i wrzucanego do ciasnej celi bez okna przyprawiała ją o ucisk w gardle tak silny, że ledwo mogła oddychać. Jak mogliby wyrządzić mu taką krzywdę? Gdyby jego oskarżyciele mieli olej w głowie, sami zrozumieliby, że Robert byłby ostatnim człowiekiem w Londynie, jeśli nie w całej Anglii, który by pragnął nowej wojny i przywrócenia na tron Bonapartego. Był wszak jednym z nielicznych, którzy znali prawdziwe koszty wojny.

Lucinda nie mogła usiedzieć spokojnie. Nerwowymi krokami przemierzała pokój, wciąż zachodząc w głowę, kto mógł wykraść te przekłete papiery. W gruncie rzeczy złodziejem mógł być ktokolwiek - zwolennik Bonapartego; zwykły najemnik, który zarabiał pieniądze na wojnie, obojętne, kto z kim walczył; względnie każdy, kto spodziewał się po tej wojnie korzyści.

W tym momencie coś zastukało w jej okno, przycisnęła rękę do serca i w jednej chwili obróciła się w tamtym kierunku. Za szybą nie dostrzegła niczego, więc tylko mruknęła do siebie: A co, myślałaś, że Robert znowu wskoczy do ciebie przez okno?

Prawdę mówiąc, gdyby tak się stało, wcale by się nie zmartwiła. Przed kilkoma dniami poznała bowiem coś, z czym się dotąd nie zetknęła, a co od dosyć dawna zaprzętało jej wyobraźnię. Teraz, gdy Geoffrey pocałował ją i zaproponował jej małżeństwo, próbowała wyobrazić sobie pieszczoty i uściski w jego wykonaniu, ale wizja ta nie wywierała na niej większego wrażenia. Owszem, był przystojny i całował z dużą biegłością, jednak myśl o intymnym kontakcie z takim chodzącym ideałem przyprawiała ją najwyżej o lekką nerwowość.

Stukanie w szybę powtórzyło się, ale równie dobrze mógł to być szpak, który akurat wczoraj uwił gniazdko na gałęzi tuż obok. Lucinda otworzyła więc okno i zawołała: - A sio!

Ptak siedział spokojnie w gniazdku i spoglądał na nią paciorkowatymi oczkami, więc wychyliła się, aby spojrzeć na dół. Początkowo w ciemności mogła rozróżnić najwyżej kontury stajni na tle żywopłotu odgradzającego ją od ulicy. Potem jednak serce zabiło jej szybciej, bo pod dębem coś się poruszyło. Stał tam Robert.

- Co ty tu...

Położył palec na ustach i gestem dał jej znak, aby do niego zeszła. Na wargach igrał mu blady uśmiech, a jej serce podeszło do gardła.

Szybko, zanim zdążyłaby zmienić zdanie, skinęła twierdząco głową i zamknęła okno. O tej porze ojciec mógł jeszcze pracować w gabinecie, ale ostatnio nie rozmawiali ze sobą, więc mogła się nie obawiać, że ją zatrzyma. Na wszelki wypadek wyszła tylnymi drzwiami, przez kuchnię i korytarz dla służby.

- Nie powinieneś być tu przychodzić - wyszeptwała. - Gdyby mój ojciec...

- On nas nie zobaczy. - Carroway wziął ją za rękę i poprowadził za róg stajni.

- A ci ludzie, którzy ciebie śledzą?

- Pilnują Carroway House, a ja musiałem z tobą porozmawiać.

- Mogłeś przesłać wiadomość przez Evie lub kogoś zaufanego - podsunęła. - Nie zdajesz sobie sprawy, co mogłoby się z tobą stać?

- I bez tego dzieją się straszne rzeczy. - Powiódł palcem po jej policzku. - Ty sprawiasz, że nie są najgorsze. Ze względu na ciebie wolałbym, żebyś tego nie robiła, ale ty i tak nie słuchasz.

Nade wszystko pragnęła, aby ją pocałował, ale widocznie starał się zachować dobre maniery. Musiała przyznać, acz niechętnie, że jego powściągliwość była całkiem na miejscu, zważywszy na fakt, że inny mężczyzna oświadczył się jej godzinę temu.

- O czym chciałbyś ze mną rozmawiać? - zmieniła temat, choć palce ją świerzbiły, aby go dotknąć.

- Udało mi się zdobyć listę... - zaczął ostrożnie, rozglądając się naokoło. - Listę odwiedzających sztab Gwardii Konnej.

- Co takiego zdobyłeś? - Zastygła z przerażenia.

Tymczasem na jego wargach wykwitł lekki uśmiech.

- Właściwie zdobyły ją dla mnie bliskie mi osoby.

- Cóż to za osoby? - spytała Lucinda, zwięziwszy powieki. Jasne, że sprzymierzeńcy byli mile widziani, lecz dotąd nie miała pojęcia o istnieniu kogoś takiego.

- Georgiana i lady St. Aubyn.

- Georgie i Evie? A co one...

- To długa historia, ale mam nadzieję, że niedługo same będą mogły ci ją opowiedzieć.

- No więc czego się dowiedziałeś z tej listy odwiedzających?

Carroway zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Między innymi tego, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka. Mam teraz ku temu poważniejszy powód niż to, że jesteś zaręczona.

Lucinda skrzywiła się z niesmakiem i nawet nie próbowała tego ukryć.

- Dlaczego ode mnie? To niby ja ukradłam te papiery?

- Nie, ale... - Wciągnął ze świstem powietrze. - Przez najbliższe kilka dni powinnaś zachować szczególną ostrożność i to pod każdym względem.

Lucinda zrozumiała to tak, jakby zamierzał przestać pokazywać się w tych stronach.

- O czym ty mówisz? - spytała zacinającym się głosem.

- Jeszcze nie jestem pewien. - Mówiąc to, nie spuszczał oka z jej twarzy. - Mam nadzieję, że to nic takiego. - Ponownie rozejrzał się za jej plecami. - Nie powinienem był tu przychodzić, ale chciałem cię jeszcze raz zobaczyć. Proszę cię, Lucindo, bądź ostrożna.

Lekko skinął jej głową i chciał odejść, ale przytrzymała go za ramię.

- O, nie. Myślisz, że tak łatwo znikniesz z mojego życia? Powiedz mi, o co chodzi.

- Ja...

Lucinda знаła tylko jeden sposób, aby go skłonić do mówienia. Wplotła palce w jego długie włosy i tym sposobem przyciągnęła jego twarz do swojej, a usta do swych ust. Od razu poczuła wilgotne ciepło między nogami.

Oplotła Robertowi szyję ramionami i przyłgnęła do niego całym ciałem. Wmawiała sobie, że chce go tylko uspokoić, lecz naprawdę pożądała go tak bardzo, że nie potrafiła się opanować. Wprawdzie ostatni raz widziała go przed

kilkoma godzinami, ale zdawało się jej to wiekiem, a kiedy znajdował się poza zasięgiem jej wzroku - poświęcała mu każdą myśl. Modliła się, żeby nic mu się nie stało, i pragnęła z nim rozmawiać, o wszystkim i zarazem o niczym. Postanowiła, że nie wypuści go z objęć, przynajmniej dopóki jeszcze raz jej nie dotknie.

Z westchnieniem Robert osunął się razem z nią na trawę, opierając się plecami o ścianę stajni. Posadził Lucindę na swych udach, pieszcząc jej piersi przez cienki muślin sukni. O tej porze służba spożywała jeszcze w kuchni kolację, ale zachowywali się na tyle cicho, że nie powinni wzbudzić niczyich podejrzeń. Miał jednak świadomość, że tylko beczka na wodę i kariolka osłaniały ich przed ciekawskimi spojrzzeniami, w razie gdyby ktoś zajrzał za róg stajni.

Lucinda nie zważała na to, gdyż za nic nie chciała przepuścić takiej okazji. Czuła budzącą się do życia męskość Roberta, sama więc drżącymi palcami rozpięła mu spodnie, dysząc i wpijając mu się w usta namiętymi pocałunkami.

Robert uniósł ją nieco, podwinął jej suknię wokół ud i posadził wprost na tym, co już czekało, jędrne i naprężone, wypełniając ją szczelnie. Lucinda natychmiast przyłgnęła do niego, a on z jękiem rozkoszy przesunął ją w górę i w dół.

- Lucindo... - wychrypiął, odrzucając głowę i wypychając biodra do przodu.

- Jeszcze, jeszcze! - prosiła, wciąż niezaspokojona, kołysząc się w obie strony i tonąc w jego bezdennych, szafirowych oczach. Wzdłuż kręgosłupa czuła wzrastające napięcie, które nagle zelżało.

Ustami Robert stłumił jej okrzyk szczytowego uniesienia, dodając doń własny. Ciężko oddychając, Lucinda wsparła czoło na twardej piersi, bo wydawało się jej, że z obłoków została ściągnięta z powrotem na ziemię.

Robert powoli przesunął dłonie po jej udach pod suknią.

- Chciałbym, żebyśmy kiedyś robili to przez cały dzień - wyszeptał.

- Albo przez całą noc... - rozmarzyła się Lucinda. Obwodząc pocałunkami linię jego szczęki, położyła mu ręce na ramionach. - Zauważ, że teraz zrobiliśmy to na podwórzu mojej stajni, jeszcze za dnia, o pięćdziesiąt stóp od moich kuchennych drzwi. Mówię ci to, żebyś zrozumiał, jak bardzo ci ufam.

Kiedy dojdiesz do wniosku, że mnie także możesz ufać, powiesz mi, czego się dowiedziałeś.

Chciała się odsunąć, ale przyciskał ją mocno do siebie, aby jak najdłużej się nie rozłączać.

- Zostań ze mną - poprosił.

Te słowa poruszyły ją do głębi. Znow go pocałowała, tym razem dłużej nie odrywając ust, a on oparł się o ścianę i pozwolił się pieścić tak, jak tego chciała. Poczowała się podwójnie usatysfakcjonowana, bo miała świadomość, że go podnieca i że była pierwszą kobietą, której zapragnął po czterech latach piekła, jakie sam sobie zgotował.

Kiedy tak oddychała rytmicznie i przez cienki materiał koszuli wodziła dłońmi po jego muskularnej piersi, spojrzała mu w oczy i ponowiła prośbę:

- No, powiedz mi, co tam masz nowego.

- Przejrzałem nazwiska na tej liście - zaczął, choć żałował, że nie posłuchał własnego instynktu i nie wycofał się, dopóki mógł. Cóż, kiedy nie potrafił zrezygnować z rozkoszy przebywania z nią!

- I co? - zachęciła.

W tym momencie Carroway usłyszał odgłos otwierania drzwi, więc zsunął nogi.

- Psst! - wyszeptał, choć trudno mu było zachować ciszę, czując ciało Lucindy na swoim.

Z progu kuchni chluśnięto w krzaki wodę, po czym drzwi się znowu zamknęły. Dopiero wtedy kochankowie zrozumieli, że za długo już kusili los. Robert niechętnie odsunął Lucinę od siebie. Wstała, poprawiając fałdy sukni, a w jej orzechowych oczach odbił się blask zachodzącego słońca. Carroway również dźwignął się na nogi i zapiął spodnie. Czuł się o wiele bardziej usatysfakcjonowany, niż teoretycznie powinien w tych warunkach.

- No więc większość nazwisk była mi znana, ale nie dziwiła mnie ich obecność w tym miejscu poza...

- Poza czym? - ponagliła go.

Wiedział, że nie będzie zachwycona tym, co usłyszy, i nie mógł mieć o to do niej żalu. Nauczył się jednak postępować zgodnie ze swym instynktem, ten zaś podpowiadał mu, że Lucinda powinna się o tym dowiedzieć.

- Poza tym, co Geoffrey Newcombe mógł robić w dowództwie Gwardii Konnej?

- Co takiego?

- W zeszłym tygodniu był tam cztery razy. Może wiesz dlaczego?

- On... czytał rękopis mojego ojca. Wiem, że zostawiał mu lub zabierał pojedyncze strony.

- Aha, zabierał strony? - powtórzył Robert. No tak, jeśli wszyscy widzieli, że prznosił tam i z powrotem różne papiery, to jedna czy dwie strony więcej nie wzbudziłyby niczyjego podejrzenia.

- Przychodził tam do mojego ojca - powtórzyła Lucinda z naciskiem, zakładając ręce na piersiach. - Kto jeszcze jest na tej liście?

Robert wyciągnął kartki z kieszeni i wręczył jej.

- Myślę, że niedługo wyjdzie na jaw, kto wykradł te dokumenty i dlaczego, ale jeśli coś przyjdzie ci na myśl, powiedz mi koniecznie.

Przejrzała pobieżnie spis nazwisk i zwróciła go Robertowi, zanim mogła się z nim dokładnie zapoznać.

- To na pewno nie Geoffrey - stwierdziła z przekonaniem. - Przecież on już zaplanował swoją przyszłość. Chce ożenić się ze mną, awansować na majora, objąć dowództwo garnizonu w Indiach i zbić tam majątek. Po co, u Boga Ojca, miałby ryzykować kradzież dokumentów, które mogłyby zaprowadzić go do więzienia lub wpędzić nasz kraj w nową wojnę?

- Nie wiem, ale skąd u niego ta pewność, że się z tobą ożeni?

Rumieniec wypełził jej na policzki.

- A co to ma do rzeczy?

Carroway dałby głowę, że coś zaszło między nią a Geoffreyem, więc drażył temat.

- Ma, bo małżeństwo z tobą to podstawa, na której to wszystko się trzyma. Bez tego on nie ma przed sobą żadnej przyszłości!

- Nie podoba mi się to, co mówisz. - Zmarszczyła brwi. - Czy nie za szybko przechodzisz od roli oskarżonego do oskarżyciela? Pewnie byłoby wygodne dla ciebie, gdyby podejrzenie padło na Geoffreya.

- Może i tak. - Umilkł na chwilę, nasłuchując odgłosów dochodzących z Barrett House. - Powiedziałaś, że mi ufasz, a ja tylko zapytałem cię o twoją opinię.

Przez dłuższą chwilę Lucinda szukała wzrokiem jego spojrzenia.

- To nie tak - odpowiedziała w końcu. - Wierzę ci, ale tak samo nie mam powodu, aby podejrzewać jego.

- Lucindo!

Oboje podskoczyli, gdy nad ich głowami zabrzmiał tubalny głos generała Barretta.

- Szybko, schowaj się! - syknęła.

- Pewnie już usłyszał o dzisiejszym poruszeniu w sztabie.

- Och, nie, tylko nie to!

Chciała jak najszybciej wybiec ojcu na spotkanie, ale Robert przytrzymał ją za rękę.

- Czy Geoffrey ci się oświadczył? - spytał, próbując sprawiać wrażenie, że jest mu wszystko jedno.

- Ttt... tak. Prosił mnie o rękę. Właściwie nawet dziś rano.

- I co mu odpowiedziałaś? - Czekał z zapartym tchem, czując w piersi lodowaty ucisk. Musiał to wiedzieć, bo choć dopiero co się kochali, Lucinda zdawała się oddzielać uczucia od rozsądku. Wszystko po to, aby zapewnić sobie "spokojną i miłą" przyszłość. Natomiast z jego punktu widzenia, jeżeli godziła się wyjść za Geoffreya, to całkowicie zmieniało postać rzeczy.

- Powiedziałam mu, że... potrzebuję trochę czasu do namysłu - odrzekła powoli, ale zaraz odepchnęła Roberta, chcąc jak najszybciej znaleźć się za rogiem. - No, idź już!

A więc nie przyjęła oświadczeń Geoffreya! W tej chwili tylko to się liczyło. Oczywiście wolałaby, aby stanowczo dała mu kosza, ale prośba o czas do namysłu też coś znaczyła. Sam potrzebował trochę czasu, aby zdecydować, co powinien zrobić i co ona wtedy o nim pomyśli. Nie tolerował tylko kręactwa. Uważał, że ten, kto wykradł papiery, powinien zwyczajnie zabrać je i opuścić kraj, a nie pozostawać w cieniu i pozwalać, czy nawet zachęcać, aby winą obciążono kogo innego.

Ciężkie kroki wyraźnie zbliżały się w ich stronę.

- Pytam cię, co robiłaś za stajnią? - dał się słyszeć głos generała Barretta.

Carroway schował się w zaroślach, przysiadając w cieniu nisko nawisłego wiązu. Generał wynurzył się zza rogu czerwony na twarzy i z zaciśniętymi pięściami. Najwidoczniej spodziewał się przyłapać na gorącym uczynku kogoś z przyjaciół swojej córki, więc zatoczył koło, ze złością zagładając w krzaki.

- Przecież ci powiedziałam, że rozmyślałam - odpowiedziała Lucinda, zrównując się z nim. - Co w tym złego? Przestraszyłeś mnie śmiertelnie tym swoim krzykiem.

Okazała się dobrą dziewczyną, bo na pewno niechętnie okłamywała ojca, ale musiała ufać Robertowi, jeśli zdecydowała się przemilczeć jego wizytę. Starł się jednak nie przypisywać tym faktom zbyt wielkiego znaczenia.

Bez względu na to, co wytrąciło generała Barretta z równowagi, Lucinda zdołała zaprowadzić go do domu, zanim odgłosy kłótni dotarły do uszu sąsiadów. Robert niechętnie zostawiał ją samą, ale jego obecność tylko pogorszyłaby sytuację. Poza tym musiał dopilnować pewnych spraw, o które nie dałby rady zadbać, gdyby generał kazał go aresztować.

Wymknął się więc dyskretnie na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. Kazał się wysadzić na tyłach Carroway House; nawet z niesprawną nogą potrafił przeskoczyć żywopłot i wspiać się po trejażu do swojej sypialni. Na wypadek gdyby ojciec wypytywał Lucinę, czy nie kręcił się w pobliżu wcześniej, przygotował sobie alibi. Zszedł na dół i udał się do swojego ogródka, gdzie ostentacyjnie zaczął podlewać róże. Szpiegujący go agenci siedzieli przez cały czas w krzakach po przeciwnej stronie ulicy i nawet nie zauważyli, że gdzieś wychodził. Gdyby nie zachowywał ostrożności, zmarnowałby róże wskutek zbytowego nawodnienia.

- Szkoda, że Cherlak nie przykłada się tak do nauki, jak ty do uprawy swoich róż - wycedził Tristan, który wyszedł, aby mu się przyjrzeć.



- Próbuję stwarzać pozory - wyjaśnił Robert, ruchem głowy wskazując w stronę obserwujących go szpicli.

- Czy Lucinda coś zauważyła?

- Nie pytałem jej o to - odpowiedział, prostując się. - Zresztą i tak to nie ma znaczenia. Ona wiele nam nie pomoże, bo uważa, że nie byłoby to w porządku, gdyby ufała mnie, a nie ufała Geoffreyowi.

Najbardziej złościło go, że nie widziała między nimi różnicy, ale postanowił pomyśleć o tym później.

- Ma rację.

- Może i ma, ale to znaczy, że będę musiał obrać trudniejszą drogę do celu.

Lord Dare ze świstem wypuścił powietrze.

- Mógłbyś nie gadać takich rzeczy.

- Jakich?

- Przede wszystkim mógłbyś nareszcie przestać myśleć tylko o sobie. Zaraz znowu powiesz, że to twoja sprawa i sam sobie dasz z tym radę, a my mamy się nie wtrącać.

- Owszem, dokładnie tak powiem - potwierdził Robert, rzucając konewkę za róg stajni.

- Pleciesz bzdury.

- Słucham? - Robert uniósł brew i założył ręce na piersi.

Tristan podszedł bliżej i położył mu rękę na ramieniu.

- Zastanów się nad tym, co mówisz. Gdzie chciałbyś znaleźć się jutro? A w przyszłym tygodniu? Jeśli nie dbasz o to, możesz nas trzymać z daleka od swoich spraw, ale jeśli ci jednak na tym zależy, jesteśmy tu, aby ci pomóc. - Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę głównego wejścia do domu.

Robert otrzepał spodnie z kurzu i podążył za nim. Jeszcze kilka tygodni temu nie znałby dokładnej odpowiedzi na pytanie brata. Jak mógł wiedzieć, co chciałby robić w przyszłości, jeżeli uważał, że nie zasługiwał na żadną przyszłość?

Ostatnio sprawa jeszcze bardziej się skomplikowała, zarówno jeśli chodziło o pytanie, jak i o odpowiedź. Gdzie chciał przebywać jutro? Wiadomo, że z Lucindą. A za tydzień? Także z Lucindą. Zatopiony w tych rozważaniach, zatrzymał się na ostatnim schodku, nie zwracając uwagi na Dawkinsa, który już otwierał mu drzwi.

Pomyśleć, że przeżył na tym świecie już dwadzieścia osiem lat! Z tego trzy lata przesłużył w armii brytyjskiej, a przez cztery wegetował na granicy życia i śmierci. Przez ostatnie dwa lata jego stan stopniowo się poprawiał, choć przypominało to raczej mozolne wygrzebywanie się na powierzchnię. Dopiero od kilku tygodni naprawdę czuł, że żyje. Nawet rzucane mu w twarz oskarżenia i szeptane plotki pobudziły tylko do życia jego gniew i zapomniany już instynkt samozachowawczy.

Zdążył także odkryć na nowo poczucie humoru i pociąg do kobiety, za co winien był wdzięczność Lucindzie. Jednak to, co odczuwał w stosunku do niej, było dalekie od wdzięczności. Przede wszystkim pożądał jej - chciał trzymać ją w ramionach, rozmawiać z nią, chronić ją czy choćby patrzeć na nią. Na pewno zaś nie chciał odstąpić jej komu innemu.

- Idziesz już, Mały? - zawołał Tristan.

- Zaraz przyjdę! - odkrzyknął. Może więc rzeczywiście miał powód, aby pragnąć uznania lorda Geoffreya Newcombe'a za winnego? Z kolei Lucindzie Guinevere Barrett pragnął powiedzieć coś, co nie przeszłoby mu łatwo przez gardło nawet przed gehenną więzienia w Chateau Pagnon. Chciał jej powiedzieć, że ją kocha, zaś od niej chciałby usłyszeć, czy mogłaby kiedykolwiek przynajmniej trochę go pokochać.

Aby się tego dowiedzieć, musiał najpierw ostatecznie, i to szybko, rozwiązać najbardziej palący problem. W tym celu zaś musiał zrobić coś, co jeszcze kilka tygodni temu nie przyszłoby mu do głowy - poprosić kogoś o pomoc!

Lucinda miała ochotę drzeć włosy z głowy. Zamiast tego musiała grzecznie siedzieć w gabinecie z rękoma złożonymi w małądyk i słuchać, jak ojciec przemierza nerwowymi krokami pokój, rzucając gromy na jej najlepszych przyjaciół.

- Porucznik Staeley melduje mi, że tym razem w książce wizyt brakuje kilku stron! Czy mam uwierzyć, że to zbieg okoliczności?

Oczywiście Lucinda wiedziała, że to nie był przypadek, ba, nawet widziała te strony, ale trzymała język za zębami. Musiała jednak przemyśleć tę sprawę, co nie było łatwe, gdy ojciec gniewnie wykrzykiwał nad jej głową. Nie rozumiała bowiem, dlaczego spośród wszystkich osób wpisanych do książki Robert uznał za podejrzanego jedynie Geoffreya. Czyżby przemawiała przez niego zazdrość? Na samą myśl o tym dostała gęziej skórki.

- Widocznie tym przeklętym Carrowayom udało się otumanić nawet tę biedną lady St. Aubyn! Miejmy nadzieję, że markiz St. Aubyn ma więcej oleju w głowie...

Podchodząc do sprawy logicznie, okoliczności nie wskazywały wyraźnie ani na Roberta, ani na Geoffreya. Robert przeżył trzy koszmarne lata w Chateau Pagnon, więc nie miał powodu, aby dopiero od ostatniego tygodnia rozpocząć nowe życie jako zdrajca. Geoffrey ze swej strony zadeklarował pomoc generałowi przy redagowaniu rozdziału o Salamance już cztery tygodnie temu. Nic więc dziwnego, że od tej pory częściej odwiedzał go w jego macierzystej formacji. Nie, stanowczo to, że informacje o kradzieży i rewelacje o Robercie tego samego dnia zostały podane do wiadomości publicznej, musiało być dziełem przypadku.

- W tej chwili nie będę już miał wyboru - grzmiał tymczasem jej ojciec. - Ze względu na ciebie starałem się, aby wątpliwości działały na jego korzyść, ale mamy tu następną kradzież w sztabie Gwardii Konnej, dokonaną w biały dzień i wyraźnie na jego zlecenie! Jakich dowodów jeszcze potrzebujesz, Lucindo?

Oszołomiona, zamrugła oczami.

- Przecież sam mówiłeś, że w czasie, kiedy zginęły te strony, co najmniej trzydzieści osób wchodziło do tego budynku.

- Czy i to ma być kolejnym zbiegiem okoliczności? Naprawdę oczekujesz, że w to uwierzę?

- Chyba znasz Georgianę i Evelyn równie dobrze, jak mnie? - zareplikowała. - Wiesz przecież, że żadna z nich nie jest złodziejką!

- Nie powiedziałem, że wyniosły te kartki dla siebie, ale przecież ten łotr jest bratem Dare'a! - warknął generał, otwierając szufladę biurka. Wyjął stamtąd kartkę papieru. - Najwyższy więc czas, aby odpowiedział na kilka pytań, i to w trybie oficjalnym.

- Zamierzasz go aresztować? - wykrztusiła, rada, że w odpowiednim momencie zdążyła usiąść.

- Na razie zamierzam wezwać go do sztabu Gwardii Konnej na przesłuchanie. Jeśli odmówi współpracy, wtedy, owszem, każę go aresztować.

- Nie! - Zerwała się nagle na równe nogi, wyrywając ojcu z ręki pióro.

- Zwariowałaś chyba, Lucindo? Oddaj to zaraz!

Nie powinna była odmawiać pomocy Robertowi. Potrzebował tylko trochę czasu, żeby albo rozwiązać zagadkę, albo uciec do Szkocji lub za granicę. Łza stoczyła się po jej policzku, bo naprawdę nie chciała, aby gdziekolwiek wyjeżdżał. Wolałaby mieć go przy sobie, tu, w Londynie.

- Lucindo!

- Ojczy, daj mu przynajmniej jeden dzień - poprosiła drżącym głosem. - Jeśli nie...

- A jeśli odmówię, to co? - burknął generał, z twarzą czerwoną ze złości.

- To nigdy więcej nie odezwę się do ciebie! - zagroziła, podczas gdy następna łza pociekła w ślad za pierwszą.

- Mówisz... poważnie? - W wyrazie jej twarzy generał dostrzegł coś takiego, że głos mu się załamał, a gniewna mina złagodniała.

- Owszem, jak najbardziej.

Augustus Barrett spuścił głowę, a gdy się na powrót wyprostował, wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek.

- Jeszcze kilka lat temu zamknąłbym go bez pardonu i przesłuchiwał aż do skutku, bez względu na konsekwencje - wyznał cichszym już głosem. - Teraz okazuje się, że muszę dać pierwszeństwo uczuciom mojej córki przed własną karierą i obowiązkami wobec ojczyzny.

- Tato...

- Dziś mamy środę. Daję mu czas do piątku w południe - oświadczył. - Radziłbym ci powiadomić go o tym terminie. Do tego czasu będziemy go obserwować, ale gdyby zdecydował się wyjechać, niech lepiej nie zabiera tych papierów ze sobą. Jeśli nie znajdziemy ich w Londynie, osobiście dopilnuję, żeby wpadł w nasze ręce.

- Dziękuję ci, tato - wyszeptała, wstając.

- Radziłbym ci także dać mu wyraźnie do zrozumienia, że najlepiej będzie, jeśli opuści kraj. Nie chcę go więcej widzieć w Anglii, bez względu na to, czy jest winny, czy niewinny.

Lucinda przyjrzała się ojcu badawczo. Jej gwałtowny protest na pewno uświadomił mu, że Robert był dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Generał miał więc swoje powody, aby pozbyć się rywala Geoffreya, którego wyraźnie faworyzował. Udzielił mu już przecież zezwolenia, aby poprosił ją o rękę.

Powinna była się z tego cieszyć, ale jakoś wcale jej to nie cieszyło.

- Robert jest niewinny! - oświadczyła stanowczo.

- Obyś się nie myliła, dla dobra was obojga!

Też miała taką nadzieję, bo gdyby musiał uciekać - nie była pewna, czy puściłaby go samego.

## 21

*Moje serce zabiło żywiej; oto wybiła godzina i nadszedł czas próby, która przesądzi, czy ziszczą się moje nadzieje, czy moje obawy.*

- Potwór, "Frankenstein"

Robert wchodził właśnie przez drzwi frontowe, gdy przybył posłaniec z Barrett House. Odebrał więc przesyłkę osobiście, co nie ucieszyło Dawkinsa. Nie miał jednak czasu zastanawiać się, czy nie zranił uczuć kamerdynera, bo rozpoznał nazwisko nadawcy i charakter pisma.

Jeżeli Lucinda przesyłała mu wiadomość przez jednego z lokajów swojego ojca, oznaczało to, że napisała list za wiedzą i zgodą generała. Serce zabiło mu mocniej, bo nie orientował się, co jeszcze generał mógł wiedzieć. Gdyby domyślił się, co go łączy z Lucindą...

List napisany był starannie i wyraźnie, pismo tu i ówdzie zdobiły niewielkie zakrętasy, co odbijało charakter autorki. Robert uśmiechnął się lekko, otwierając kopertę. Kiedy jednak przeczytał pierwsze zdanie: "*Robercie, mój ojciec wie o stronach wyrwanych z Księgi Wizyt*" - uśmiech od razu zniknął z jego oblicza. Ciąg dalszy też nie poprawił mu humoru. "*Wierzy święcie, że jesteś sprawcą obu kradzieży i nalega, żebyś osobiście stawił się w sztabie Gwardii Konnej na przesłuchanie*".

- Ho, ho, coś mi nie wyglądasz na zadowolonego! - zauważył Bradshaw, który właśnie schodził po schodach.

- Cicho, bo czytam! - ofuknął go Robert i wrócił do lektury listu.

"*Prosiłam go, aby dał ci czas do piątku w południe, żebyś mógł załatwić swoje sprawy. Zgodził się, ale zapowiedział, że jeśli po tym terminie jeszcze nie opuścisz Londynu, wyśle po ciebie żołnierzy. Kazał mi też powiadomić cię, że do tej pory będziesz pod obserwacją*".

- Od kogo to?

- Od Lucindy.

Bradshaw obrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami salonu. Po chwili wrócił, ale w towarzystwie Tristana.

- Mały, co się...

- Chwileczkę, niech doczytam do końca. - Robert ponownie nachylił się nad listem.

"*Proszę cię, Robercie, bądź ostrożny. I żebyś wiedział, że jeszcze cztery tygodnie temu Geoffrey nie przekraczał progu sztabu Gwardii Konnej. Twoja Lucinda*".

Po przeczytaniu podał list braciom, którzy zaraz wszczęli zażartą dyskusję, czy generał Barrett zwariował, czy też nie. On zastanawiał się nad czym innym - nad podpisem Lucindy. Czy użycie zwrotu "twoja" miało jakieś znaczenie, czy też stanowiło tylko grzecznościową formułkę?

- Dlaczego wspomniała o lordzie Geoffreyu i sztabie Gwardii Konnej? - dociekał Andrew, próbując wyrwać list Tristanowi, który machał nim w powietrzu.

- Chciała podsunąć nam pewną wskazówkę - wyjaśnił Robert.

- Jaką wskazówkę? - spytał Edward, który wraz ze swoim guwernerem włączył się do wymiany zdań.

- A ja myślałem, że ona nie chce nam pomóc! - wyznał Tristan, spoglądając uważnie na Roberta.

- Ona to znaczy kto? - nie rozumiał Cherlak.

- Widocznie zmieniła zdanie. - Robert wzruszył ramionami. Dla niego oznaczało to, że musi dowiedzieć się o lordzie Geoffreyu Newcombe czegoś więcej ponad to, że zamierzał poślubić Lucindę, awansować na majora i objąć dowództwo jednostki w Indiach.

- Dał ci wszystkiego półtora dnia! - gorączkował się Shaw. - Myśli, że w tak krótkim czasie dasz sobie radę ze wszystkim?

- Sądzę, że on oczekuje ode mnie, iż przed upływem tego czasu opuszczę Anglię - wycedził Robert. Ta interpretacja wydała mu się najbardziej logiczna. Bez względu na to, w jaki sposób Lucinda potrafiła przekonać generała, aby dał mu więcej czasu - utwierdziło go to w przekonaniu, że musi Roberta odsunąć od swojej córki.

- Nie możesz opuszczać Anglii! - zaprotestował Edward, tupiąc ze złości obiema nogami. - Czy ktoś mi wreszcie powie, o co tu, do diabła, chodzi?

- Edwardzie! - zgromiła go równocześnie połowa jego dorosłych krewnych.

- A właśnie, że będę tak mówił! Do diabła, powiecie mi, co się dzieje, czy nie?

Robert przycupnął przed chłopcem, biorąc go za ramię, podczas gdy Bradshaw dyskretnie odciągnął pana Trosta na stronę.

- Widzisz, mam pewne kłopoty - tłumaczył Robert ściszym głosem, wyrzucając sobie, że nie potrafił utrzymać Edwarda z dala od swoich problemów. - Próbujemy teraz wyjaśnić różne sprawy, żeby nie skomplikowały się jeszcze bardziej.

- Czy to ta sama sprawa, z którą miałeś kłopot wcześniej? - zagadnął Edward.

- Tak, ale już zbliżamy się do jej rozwiązania.

- Chciałbym ci jakoś pomóc...

Robert pieszczotliwie poczochnął ciemne włosy chłopca.

- Już mi pomagasz, przez to samo, że jesteś moim bratem.

Nagle Edward zarzucił mu rękę na szyję.

- Obiecuj, że nigdzie nie wyjedziesz! - zażądał.

Z każdą chwilą dogłębniej Robert uświadamiał sobie, co straci, jeśli pozostawi sprawę własnemu biegowi, a co - gdy ucieknie.

- Obiecuję - zapewnił, ściskając braciszka.

- No więc co robimy? - spytał Andrew, ustępując miejsca Georgianie, która też dołączyła do dyskutantów i chciała przeczytać list.

- Przede wszystkim nie stójmy na korytarzu - zwrócił uwagę Robert, kierując towarzystwo do salonu.

- Lucinda na pewno ciężko to przeżywa - zauważyła Georgiana, idąc prosto w stronę kanapy. Usiadła i jeszcze raz, dokładnie przestudiowała list. Kiedy skończyła, podniosła wzrok na szwagra.

- Ja też - odparł, siadając przy samych drzwiach.

Kiedy wszyscy już weszli do środka i drzwi zostały zamknięte, wyprostował się i niepewnie, mając na uwadze to, aby najbliżsi nie musieli odpowiadać za jego złą opinię, rzekł:

- No więc dobrze, zwracam się do was o pomoc.

- Powiedz, czego ci trzeba - odrzekł Tristan, ściskając rękę Georgiany tak, że ich palce się przeplatały.



Robert nabrał powietrza w płuca.

- Przede wszystkim potrzebuję kogoś, kto porozmawiałby z Geoffreyem, ale tak, by nie wzbudzić jego podejrzeń.

- W takim razie my wszyscy odpadamy - podsumował Shaw. - Może St. Aubyn?

- On mógłby się nadać - zgodził się Robert, marszcząc brwi. Następnie zwrócił się do Tristana: - Jutro przypada aukcja u Tattersalla, prawda?

- Tak, każdy może tam wejść - potwierdził wicehrabia.

- O to mi właśnie chodzi, aby móc go obserwować, samemu nie będąc widzianym.

- Musisz sam się w to pakować? - skrzywił się Bradshaw. - Przecież Dare albo ja też możemy na niego uważać, a ty lepiej siedź w domu.

- Nasiedziałem się już tyle, że mi do końca życia wystarczy - sprzeciwił się Robert. - Saint sam też może wzbudzić podejrzenia.

- Evie chętnie z nim pojedzie - podsunęła z uśmiechem Georgiana. - Już się zaoferowała, że zawsze nam pomoże, kiedy będzie trzeba.

- Może to nawet lepiej... - zaczął Robert, ale ugryzł się w język. Lucinda wprawdzie udzieliła mu cennej wskazówki, ale niedwuznacznie dała do zrozumienia, że nie zamierza się bezpośrednio angażować. - Zresztą, nic ważnego. To powinno wystarczyć.

- Poproszę Evie, aby przesłała Lucindzie wiadomość. - Wicehrabina, jak zwykle, wykazała się bezbłędną intuicją. - W gruncie rzeczy Evie i Saint powinni być przy tym, kiedy coś planujemy.

Z pomocą Tristana wstała ze swego miejsca i pośpieszyła do jego gabinetu. Po chwili lokaj z listem wyruszył w drogę, a Robert podsłuchiwał jeszcze, jak Georgie informowała Dawkinsa, że na kolacji będą dziś dodatkowe dwie osoby.

- Nie rozumiem - narzekał Edward, który siedział na podłodze przed Bradshawem i wyglądał dziwnie poważnie jak na swój wiek. - Dlaczego mamy śledzić lorda Geoffreya?

Tristan od razu niespokojnie się poruszył.

- Cherlaku, dlaczego nie idziesz przebrać się do kolacji?

- Bo też należę do rodziny i chcę wiedzieć, co tu się dzieje. Przecież nie będę wam przeszkadzał!

- Edwardzie, są pewne rzeczy, o których powinieneś wiedzieć, ale dopiero, gdy będziesz trochę starszy - próbował tłumaczyć Robert.

Duże, szare oczy chłopca wypełniły się łzami.

- Przecież mógłbym wam pomóc! - wyszeptał, jakby bał się mówić normalnym głosem.

Dla Roberta tego już było za wiele. Żadną miarą nie mógł pozwolić, żeby jego ukochany, najmłodszy braciszek płakał. Pokiwał więc głową.

- Posłuchaj, musimy śledzić lorda Geoffreya, gdyż podejrzewamy, że ukradł pewną rzecz i zrzucił winę na mnie.

- W jaki sposób mógł zrzucić winę na ciebie?

Andrew ze świstem wypuścił powietrze.

- To nic nam nie da - syknął.

- A nieprawda! - wtrąciła się Georgiana. - Chłopak zadał bardzo trafne pytanie. W jaki sposób udało mu się wszystko tak dobrze zgrać w czasie?

Robert odchrząknął. Na pewno łatwiej by mu szło wyjaśnianie pewnych kwestii, gdyby nie było przy tym Edwarda.

- Opowiedziałem pewnej osobie o moim... pobycie w Chateau Pagnon.

- Lucindzie? - Edward z rozpędu wskoczył mu na kolana. - Ona mogła to powtórzyć lordowi Geoffreyowi. Przecież mają się pobrać, prawda?

- Nie! - odburknął Robert, zanim ktokolwiek zdążył zastanowić się nad odpowiedzią. Przełknął ślinę i szybko się poprawił: - To znaczy, ona powiedziała o tym tylko jednej osobie, a mianowicie generałowi.

- A generał Barrett powtórzył to Geoffreyowi. Wszystko się zgadza! - upierał się Edward.

W salonie zapanowała cisza. Robert po części może i chciałby oskarżyć generała o rozpowszechnianie plotek, tym bardziej, że nie darzył go zbyt dużą sympatią, ale w końcu był to ojciec Lucindy!

- Barrett powiedział o tym któremuś z wyższych oficerów w dowództwie. Mógł to zrobić którykolwiek z nich.

Andrew z niedowierzaniem potrząsał głową.

- Tak, ale jeśli podejrzewamy lorda Geoffreya, to tylko on jeden mógłby wykorzystać w swoim interesie to, czego się dowiedział o tobie.

- Jaki wyższy oficer rozpowszechniałby takie wiadomości bez uprzedniego sprawdzenia? - wtrącił się Tristan.

- Pewnie i nie byłoby takiego - zgodził się Bradshaw, pociągając łyk koniaku z małego kieliszeczka. - Jeśli panują tu podobne zwyczaje jak w Admiralicji, to nikt nie wypuściłby z rąk takiej pikantnej sensacyjki, dopóki nie wykorzystałby jej doszczętnie dla kreowania własnej pozycji.

*To nawet miało sens!*

- Załóżmy więc, że generał Barrett nie mógł się już doczekać, kiedy wyda Lucinę za Geoffreya. Z tego by wynikało, że ufał mu na tyle, aby przekazać mu tę informację. Szkoda, że nie możemy sprawdzić tej wersji u źródła.

- My to raczej nie - zgodziła się Georgiana - ale Lucinda może.

- Nie będę przecież jej prosił, aby szpiegowała własnego ojca.

- Mały, bądź rozsądny!

- Jeśli pomoże nam zwabić Geoffreya do Tattersalla, to już i tak będzie dużo. - Nie podobał mu się taki obrót rzeczy, bo Lucinda nie była zachwycona kierowaniem podejrzeń na Geoffreya, więc nie wyobrażał sobie, jak zdołałby ją przekonać, aby wzięła swego ojca w krzyżowy ogień pytań. Równocześnie głupio mu było przyznawać się do tego nawet przed samym sobą, ale tęsknił za nią i każdy sposób przybliżający ją ku niemu wydawał mu się atrakcyjny.

- Nie jestem pewien, czy ona w ogóle powinna brać w tym udział - zaznaczył Andrew. - Jest w końcu córką człowieka, i który chce wsadzić Małego za kratki.

Po tych słowach wywiązała się dyskusja, czy Lucinda powinna być dopuszczona do udziału w spisku. Robert pozwolił krewnym się wygadać, bo

sam potrzebował czasu dla dokładnego przemyślenia wszystkich za i przeciw. Lucinda miała rację w jednym - chciał podejrzewać Geoffreya. Znienawidził bowiem tego przystojnego lalusia za to, że umiał zaskarbić sobie ludzką sympatię błahym draśnięciem w ramię i opowiastkami, w których na tle niepowodzeń innych żołnierzy sam kreował się na bohatera. Znienawidził go także dlatego, że wszyscy, z Lucindą włącznie, uważali go za lepszego kandydata na męża dla niej. Postanowił im udowodnić, że się mylą.

- To nas do niczego nie doprowadzi - parsknął zniecierpliwiony Tristan. - Pamiętajmy, że generał Barrett dał Małemu tylko półtora dnia. Nie cierpię, kiedy ktoś stawia mi ultimatum, ale muszę przyznać, że w atmosferze skandalu Barrett może praktycznie zrobić, co zechce.

- W takim razie złapmy lorda Geoffreya i wyciśnijmy z niego przyznanie się do winy - zaproponował Shaw ze śmiertelną powagą.

- To nic nie da - zaproponowała Georgiana z miną tak poważną, jakiej Robert jeszcze u niej nie widział. - Potrzebujemy dowodów i motywów przestępstwa, a na razie nie mamy ani jednego, ani drugiego.

Jako wicehrabina Dare i kuzynka księcia Wycliffe'a nie przywykła do sytuacji, z którą nie umiałyby sobie poradzić! Robert zaś spędził siedem miesięcy na łasce i niełasce żołnierzy nienawidzących Anglików.

- Zdobędziemy, czego nam będzie trzeba - zapewnił. - Nie mam zamiaru opuszczać Anglii, bo poprzednio potrzebowałem czterech lat, aby do niej wrócić.

Nagle drzwi się otworzyły.

- Mam nadzieję, że wszyscy zdrowi - upewniła się lady St. Aubyn, wmaszerowując do salonu, bez czekania na zaanonsowanie przez kamerdynera. Tuż za nią wśliznął się Saint, oboje byli w strojach wieczorowych.

Georgiana bez słowa podała przyjaciółce list od Lucindy. Markiz przeczytał go, zaglądając żonie przez ramię. Kiedy skończył, przeniósł spojrzenie na Roberta.

- Wnioskuje stąd, że jesteśmy tutaj, ponieważ potrzebujesz pomocy - podsumował, głaszcząc Evie po ramieniu. - Czy raczej naszej dalszej pomocy, ponieważ moja żona zdążyła już dla ciebie dopuścić się kradzieży z włamaniem.

- Tak, ale w dobrej sprawie - broniła przyjaciółki lady Dare.

- Przecież nie powiedziałem, że mam coś przeciwko temu - sprostował St. Aubyn z lekkim uśmiechem. - Opowiedziała mi o wszystkim, a najbardziej podobało mi się miejsce, gdzie schowała dowody rzeczowe.

- No wiesz, Saint! To poważna sprawa! - ofuknęła go zarumieniona Evelyn.

Mąż podprowadził ją do wolnego fotela, a sam przysiadł na poręczu. Zajrzał ponownie do listu.

- No więc, Robercie, czy wyprawiamy cię za granicę, czy ruszamy w pogoń za lordem Geoffreyem Newcombe'em? - zapytał.

- Łapiemy lorda Geoffreya - odpowiedział za brata Edward.

Od razu wszyscy zaczęli prześcigać się w rzucaniu pomysłami. Robert początkowo tylko słuchał, bo zafascynował go taki nagły wybuch aktywności i zaangażowania w jego sprawie. Tristan i Saint, każdy ze swej strony, próbowali zapanować nad powodzią argumentów, jakby zapomnieli, że jedynie on był odpowiedzialny za tę grę i jej ewentualny wynik.

- Teraz wszystko zależy od Lucindy - włączył się do dyskusji, a zrobił to tak głośno, że natychmiast zapadła cisza. - Musi namówić Geoffreya, żeby spotkał się z nią u Tattersalla, gdzie dołączą do nich Saint i Evie.

- I co my mamy tam robić? - zapytał markiz.

- Oglądać zaprzęgi i próbować namówić Geoffreya, żeby kupił sobie nowego wierzchowca.

- A dlaczego chcemy, żeby kupił sobie konia? - zainteresował się Edward.

- Wcale nam na tym nie zależy, chcemy tylko sprawdzić, czy ma pieniądze - wyjaśnił Robert, rzucając Saintowi porozumiewawcze spojrzenie. - Przy sposobności chcielibyśmy się także dowiedzieć, jakie ma plany na przyszłość, w razie gdyby Lucinda jednak dała mu kosza.

- Nie jestem pewna, czy on w ogóle bierze pod uwagę taką ewentualność - wtrąciła się Georgiana. - Lucinda jest taka szczerą i prostoduszną, że mogłaby...

- Mam powody, aby raczej sądzić, że Geoffrey nie będzie zachwycony jej odpowiedzią - stwierdził chłodno Robert.

- Przecież to jasne! - Saint strzepnął nieistniejący pyłek z kłapy granatowego surduta. - Ale co ty masz zamiar w związku z tym zrobić?

- Będę podsłuchiwał, dopóki się nie upewnię, że trafiłem na właściwy ślad, a wtedy zajrzę do domu Geoffreya. - Na użytek Edwarda Robert dodał jeszcze: - Co samo w sobie jest bardzo brzydkim postępkem i może być usprawiedliwione tylko w wyjątkowych okolicznościach.

- A my, co mamy robić? - spytał Andrew.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli przyłączycie się do mnie - zdecydował Robert. - Nie wiem, czy wystarczy nam czasu na dokładne przeszukanie jego domu, poza tym potrzebuję przynajmniej jednego świadka, aby potwierdził, że nie podrzuciłem tam skradzionych papierów.

- Na takiego świadka lepszy byłby ktoś spoza rodziny - zauważył Bradshaw.

- Już ja się tym zajmę - zaofiarował się Tristan. - W końcu nie na darmo ksiązę Wycliffe jest naszym długoletnim przyjacielem. Teraz będziemy mogli posłużyć się nim dla naszych celów.

- On przynajmniej wie, co ryzykuje. - Robert starał się uniknąć sytuacji, w której ktoś zostałby przypadkowo włączony do akcji. Za dużo już zdarzyło się takich "przypadków", jeśli chodziło o niego. Ponownie zwrócił się do Santa:

- Wy we trójkę będziecie zabawiać Newcombe'a długą rozmową, abyśmy mieli czas na przeszukanie jego domu.

- Jak dalece ogłędnie mamy z nim postępować?

- Jeśli to możliwe, wolałbym, aby nie zaczął czegoś podejrzewać, gdyż ma dostęp do Lucindy i generała Barretta.

St. Aubyn przytaknął, choć na jego twarzy odmalował się zawód.

- A jeśli niczego nie znajdziecie? - upewniał się na wszelki wypadek.

- O tym nie może być mowy! - zawział się Robert. - Do więzienia iść nie chcę, a kraju opuścić nie zamierzam.

Niebawem Dawkins zastukał do drzwi salonu, anonsując, że kolacja na stole. Wszyscy rzucili się więc hurmem do jadalni, tylko Georgiana została nieco w tyle. Widać było, że robi to celowo, więc Robert dotrzymał jej towarzystwa.

- Mam do ciebie dwa pytania - oznajmiła, biorąc go pod ramię.

Domyślał się, o co może go spytać, ale zachęcił ją gestem, przez uprzejmość dodając:

- Słucham?

- Po pierwsze, co zrobisz, jeśli znajdziesz skradzione papiery w rezydencji lorda Geoffreya Newcombe'a?

- Zamelduję o nim, komu trzeba.

- To znaczy, generałowi Barrettowi?

Przytaknął, licząc, że bratowa nie zauważy drgnięcia jego ramion.

- Tak, przecież to on oficjalnie prowadzi śledztwo.

- Ma również reputację, o której musi pamiętać. Wszyscy wiedzą o jego przyjaźni z Geoffreym i... - przez chwilę przechadzała się w milczeniu - ...antypatii do ciebie.

- I wzajemnie - dokończył oschle. - Z Barrettem dam sobie radę. - Po części zdawał się nawet tego oczekiwać! - A jakie jest twoje drugie pytanie?

- Skąd wiesz, że Lucinda nie przyjmie oświadczeń Geoffreya?

- Sama mi to powiedziała.

- Musi mieć do ciebie duże zaufanie.

- Potrafię uważnie słuchać - uśmiechnął się Robert.

Bratowa spojrzała na niego łagodnymi, zielonymi oczami.

- Oj, wydaje mi się, Robercie Sylwestrze Carrowayu, że potrafisz dużo więcej.

- Czas pokaże, jak jest naprawdę. - Podprowadził Georgie do jadalni, myśląc, że tego czasu ma bardzo niewiele.

Zanim dotarł do swego miejsca przy stole, mała rączka pociągnęła go za poję. Edward dawał mu znaki, aby jeszcze na chwilę się zatrzymał.

- O co chodzi? - spytał.

- Pomogłem ci trochę?

Robert przycupnął przed nim, starając się nie oszczędzać chorego kolana.

- Może nawet więcej, niż pomogłeś, Cherlaku, bo dostarczyłeś nam klucza do całego śledztwa.

- Czego dostarczyłem? - Chłopiec zamrugał oczami.

- Rozwiązania zagadki, czy generał Barrett powiedział lordowi Geoffreyowi o moim pobycie w Chateau Pagnon, czy nie. Ty nam to podpowiedziałeś.

Edward dumnie wypiął pierś.

- Bo widzisz, ja mam intuicję! - pochwalił się. - Ale o żadnym Chateau Pagnon nie wiedziałem. Co to jest?

Robert przyciągnął braciszka do siebie i mocno go uściskał.

- Umówmy się - szepnął mu do ucha. - Jeśli o tym, o czym dziś tu mówiliśmy, nie piśniesz słówka twoim kolegom ani panu Trostowi przynajmniej do piątku w południe, opowiem ci o Chateau Pagnon.

- Zgadzam się...

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Opowiem ci wszystko o Chateau Pagnon, ale za siedem lat.

Edward cofnął się, spoglądając na Roberta z niedowierzaniem.

- Dopiero za siedem lat?

- Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić, Cherlaku. - Wyciągnął do niego rękę.  
- Umowa stoi?

Po chwili wahania Edward z westchnieniem uściskał dłoń starszego brata.

- Stoi!



- Idziesz już się położyć? - zapytał generał Barrett, stojąc z ręką na klamce drzwi od swego gabinetu.

Lucinda spojrzała na niego z podestu schodów.

- Tak, bo czuję się trochę zmęczona.

Ojciec pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Mam kazać Helenie, żeby przyniosła ci kolację na górę?

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. - Weszła o kilka stopni wyżej.

- Lucindo!

- Słucham, tato?

- Proszę cię, przyjmij do wiadomości, że Robert Carroway najprawdopodobniej popełnił to przestępstwo. Musisz przygotować się na najgorsze.

Zwolniła kroku, bo sama dobrze nie wiedziała, dlaczego za każdym razem, kiedy ktoś wspomniał o możliwości uwięzienia Roberta Carrowaya, wpadała w panikę. Tym bardziej bolało, że takie rzeczy słyszała z ust własnego ojca, któremu do niedawna mogła ufać we wszystkim. Co się zmieniło? Czy to, że była osobiście zaangażowana w wynik tego przedsięwzięcia? Czy to, że chodziło tu o kogoś, na kim jej zależało? A może po prostu zrozumiała, że życie może być lekkie, łatwe i przyjemne tak długo, jak długo nie dzieje się nic szczególnie ważnego.

Któryś z dawnych frontowych towarzyszy generała wyraził raz obawę, że redagowanie jego wspomnień wojennych może okazać się zbyt przykre dla kobiety. Teraz doszła do wniosku, że istotnie, ta tematyka może powinna była ją szokować, ale cóż, gdy zawarte tam opisy nie robiły na niej żadnego wrażenia. Okropności wojny wstrząsnęły nią dopiero wtedy, gdy dowiedziała się prawdy od Roberta.

Wychyliła się przez balustradę schodów i z góry spojrzała na ojca.

- A niby dlaczego najprawdopodobniej? - zapytała, siląc się na obojętne brzmienie głosu. - Czy dlatego, że był torturowany, a mimo to przeżył? A co by

było, gdybym ci o tym nie powiedziała? Kogo wtedy uznalibyście za najbardziej prawdopodobnego podejrzanego?

Generał skrzywił się z niesmakiem.

- To nieważne, bo i tak wiem już o tym. Dziękuję ci, że mnie poinformowałaś, bo przyspieszyło to postępy w śledztwie.

- A może wiesz także, kto poinformował o tym resztę Londynu?

- Powiedziałem ci już, że to nieważne.

- Owszem, ważne. Czy nie przychodzi ci na myśl, kto z ludzi, którym o tym powiedziałeś, mógłby odnieść korzyść z wybuchu nowej wojny? A może ktoś potrzebował pieniędzy, które kto inny chciał zapłacić za takie dokumenty? Bo kto jak kto, ale Robert Carroway nie skorzystałby ani na jednym, ani na drugim. Myślę, że i ty wiesz o tym, bo inaczej nie dałbyś mu ani trochę czasu.

- Zrobiłem to dla ciebie.

Lucinda zaczerpnęła oddechu, nie do końca przekonana, czy naprawdę chce zadać to pytanie.

- A czy przypadkiem nie wspomniałeś Geoffreyowi o Chateau Pagnon i o Robercie? Na przykład, kiedy rozmawialiście o wojnie?

Generał otworzył usta ze zdziwienia, ale zaraz je zamknął.

- Czyżbyś podejrzewała Geoffreya?!

- Ależ skąd! - Lucinda błyskawicznie zaprzeczyła i zbiegła z powrotem na dół, bo wyczuła, że jeśli nie zmieni toku jego rozumowania, nie uzyska już od ojca żadnych informacji. Wiedziała też, że nikt inny poza nią tym bardziej ich nie uzyska. - Po prostu myślałam, że na początku naszej znajomości Geoffrey mógł być zazdrosny o Roberta. No, o to, że się przyjaźniły. A jak mógł lepiej się na nim zemścić, niż rozpuszczając o nim plotkę, która mogła go skompromitować? Tym bardziej, że usłyszał ją z wiarygodnego źródła?

- Lucindo, przecież to śmieszne. Jeżeli Robert Carroway jest niewinny, to im prędzej odpowie na nasze pytania, tym lepiej dla nas wszystkich.

- Nie dla Roberta - wyszeptała. Zakładając, że Geoffrey rzeczywiście nie puścił w obieg plotki o Carrowayu - mógł to zrobić którykolwiek z komilitonów jej ojca. Taki stary wiarus mógł nie zdawać sobie sprawy, że kolportuje nie pikantną sensacyjkę, ale wiadomość, która była w stanie zrujnować ludzkie

życie. A na kogo w takim przypadku najłatwiej wskazać, jeśli nie na Roberta? - Dobranoc, tatusiu.

- Dobranoc, Luce, ale żebyś wiedziała, że jakkolwiek zazdrosny mógł być Geoffrey, na pewno nie rozgadał tego, co ode mnie usłyszał. Ten chłopak umie trzymać język za zębami, rękę za to.

Lucinda, słysząc to, o mało nie spadła ze schodów, więc dla niepoznaki udała, że poprawia pantofel. A zatem Geoffrey znał tajemnicę Roberta, bo jej ojciec mu ją powtórzył!

Musiała koniecznie dać o tym znać Robertowi. Podświadomie żywiła nawet nadzieję, że czeka już na nią, ukryty w jej sypialni, serce biło jej tak szybko, iż obawiała się, że zemdleje. To, czego się teraz dowiedziała, nie oznaczało, że Geoffrey popełnił inne czyny, o które posądzał go Robert, ale nie był też tak całkiem niewinny, jak myślała.

Wmawiała sobie, że przez noc się nic nie stanie, a rano będzie musiała jakoś przekazać wiadomość Robertowi. Nie mogła już dłużej zachowywać neutralności, bo opowiedziała się po jednej ze stron.

## 22

Poświęciłem swoje życie, zarówno doczesne, jak pozagrobowe, aby go zniszczyć.

- Victor Frankenstein, "Frankenstein"

Tej nocy Lucinda prawie nie spała. Nie była bowiem w stanie zaprzestać poszukiwać rozwiązania zagadki: czy Geoffrey działał powodowany wyłącznie zazdrością, czy z innych, bardziej nikczemnych pobudek. Wstała wcześniej, wkrótce po wschodzie słońca i od razu usiadła za biurkiem. Napisała już połowę listu do Roberta i zastanawiała się, w jaki sposób mu go przekaże, kiedy zjawił się posłaniec z bilecikiem od Evelyn. Przyjaciółka napisała w nim:

*"Lucindo, Saint i ja bylibyśmy radzi, gdybyście wraz z lordem Geoffreyem zechcieli nam dziś towarzyszyć na porannej aukcji koni u Tattersalla. Najlepiej byłoby, gdybyś sama porozumiała się z lordem Geoffreyem i poprosiła go, aby zechciał ci asystować".*

Z treści listu jasno wynikało, że coś się szykuje. Najwidoczniej Robert zrozumiał jej wzmiankę o Geoffreyu jako deklarację gotowości do pomocy. Dobre i to. Z listu dowiedziała się jeszcze o godzinie i miejscu umówionego spotkania, ale Evie nie wspomniała o jego celu. Może tak było lepiej, na wypadek gdyby generał przejął korespondencję.

Lucinda ze smutkiem pomyślała, że nie może już włączać ojca w swoje przedsięwzięcia, ponieważ nie może mu ufać. Na dłuższą metę nie byłyby jednak w stanie wytrzymać takiej sytuacji. Szybko nakreśliła kilka słów do Evie, powiadamiając ją, że przyjmuje zaproszenie. Potem zabrała się do układania listu do Newcombe'a, na tyle przekonującego, by zgodził się jej towarzyszyć.

- Lucindo! - rozległ się głos ojca równocześnie z pukaniem do drzwi jej sypialni.

- Proszę, wejdź, tatusiu - zawołała, wpychając bilecik od Evie i swoją odpowiedź pod kalendarzyk, w którym notowała umówione spotkania towarzyskie. - O co chodzi?

- Mam rano ważne zebranie - oznajmił generał, rzucając okiem na jej biurko. - Przed wyjściem chciałbym się jednak upewnić, że pod moją nieobecność nie wydarzy się tu nic... niestosownego.

- A cóż miałyby się wydarzyć? - oburzyła się. - Może sobie wyobrażasz, że ucieknę z handlarzem ryb? Zapewniam cię, że nie uczynię nic podobnego. - Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. - Prawdę mówiąc, pisałam właśnie do Geoffreya, bo chcę go poprosić, żeby mnie dziś zabrał na aukcję koni u Tattersalla. Wiem, że szuka nowego konia do polowania, a ja może byłam wczoraj dla niego trochę zbyt szorstka.

- Jak to szorstka?

- No, bo... on wczoraj zaproponował mi małżeństwo.

Augustus Barrett uniósł brwi ze zdziwienia.

- Co takiego? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? A w ogóle... jaką mu dałaś odpowiedź?

- Że chciałam poczekać, aż zakończy się ta cała awantura z Robertem. - Odetchnęła z ulgą, że mogła powiedzieć prawdę, choćby niepełną. Życie i bez tego było dosyć zawikłane. - Obawiam się, że mógł potraktować to jako rekuzę, więc chcę dać mu do zrozumienia, że wcale tak nie jest.

- Cóż, nie mam do ciebie żalu o twoją lojalność ani o dobre serce - przyznał ojciec - aczkolwiek wolałbym, abyś staranniej dobierała przyjaciół.

Kiwnął jej głową, a wycofując się już w stronę drzwi, dodał jeszcze:

- Pozdrów ode mnie Geoffreya i spytaj go, czy przeczytał już rozdział.

- Dobrze, tatusiu.

Robert i Bradshaw stawili się u Tattersalla o kilka minut wcześniej niż Saint i Evelyn. Na szczęście przy zagrodach dla koni i pod namiotem aukcyjnym zebrał się już niemały tłum, w który mogli łatwo się wtopić. Dużo trudniejsze mogło się okazać podsłuchiwanie, ale Robert był gotów na wszystko i nie chciał słyszeć o rezygnacji.

- Gdzie mam usiąść? - spytał Shaw, kiedy już zostawili Tolleya i Zeusa pod opieką dwóch podobnych do siebie wyrostków.

- Jeśli możesz, to na galerii - poinstruował go Robert. - Musisz się upewnić, czy zanim Geoffrey tu dojedzie, zdążysz dotrzeć do jego domu, bo gdybyś nie zdążył, to nie tylko ja mogę mieć kłopoty.

- Oczywiście zrobisz to tylko wtedy, jeśli on powie coś, co go obciąży, prawda? - upewniał się Shaw. - I jeżeli uznasz, że to wystarczy, aby włamać się

do jego domu i poszukać tych papierów? W przeciwnym razie nie zrobisz tego, prawda?

Robert podniósł oczy na starszego brata.

- Mogę nie znosić Geoffreya, ale jeszcze bardziej nie zniósłbym myśli o aresztowaniu - przyznał.

- Tak i mnie się wydawało. - Shaw klepnął go po plecach. - No więc ruszam do boju. A ty, co będziesz robił?

- Ja tu zostanę, tak, aby nie rzucać się w oczy, ale być w zasięgu głosu.

Zbierał się już do odejścia, ale Bradshaw przytrzymał go za ramię, zanim zdążył zniknąć w tłumie.

- Powiedz mi jeszcze, skąd wytrzasnąłeś takie łachy? - zagadnął, uśmiechając się kącikiem ust.

- Znalazłem w kącie stajni. Nie chciałem, aby ktoś mnie poznał.

- O to możesz się nie martwić! - zaśmiał się brat.

Robert chciał wyglądać jak jeden z pracowników oporządzających konie w stajniach Tattersalla. W tym celu przebrał się w brudne łachy znalezione gdzieś w kącie, nasunął nisko na oczy znoszony kapelusz, a dla pewności pożyczył jeszcze od swego masztalerza Johna robocze buciory oblepione błotem i gnojem. Dobrze, że pasowały na niego i nie uraziły jego chorej nogi. W tym stroju był nierozpoznawalny, mógł więc swobodnie poruszać się po całym terenie, w czym pomagał mu wydatnie odstręczający zapach jego przebrania.

Starł się przebywać na obrzeżach namiotu aukcyjnego, skąd łatwiej mógł wypatrywać przybycia Santa i Evie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że napięcie nerwowe przeżywane na oczach tłumów ludzi normalnie już dawno doprowadziłoby do ataku panicznego lęku. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad swoją sytuacją i może dlatego nad nią panował.

Od razu zauważył Shawa na najbliższym balkonie, gdzie flirtował w najlepsze z ładną, młodą damą. Robert nie mógł powstrzymać uśmiechu, Bradshaw zawsze wiedział, jak najlepiej wykorzystać sytuację.

Akurat obszedł dookoła tereny aukcyjne, gdy przyjechali lord i lady St. Aubyn. Do ostatniej chwili nie wierzył, że zechcą zrobić to dla niego. Okazało się jednak, że ma lepszych przyjaciół, niż mu się wydawało i niż na to zasługiwał.

Saint zachowywał się zupełnie swobodnie, gdyż najwidoczniej miał lepsze zdolności aktorskie i częściej uciekał się do podstępu niż jego żona. Evie wciąż oglądała się za siebie i wypatrywała kogoś w tłumie, pewnie jego lub Bradshawa. Robert zaczął więc iść w ich kierunku, aby ich uspokoić, że wszystko jest w porządku. Trudno mu jednak było przepchnąć się przez tłum, gdyż goście niechętnie rozstępowali się przed masztalerzem. Musiał wiele razy przeproszać, zanim utorował sobie drogę.

- Dzień dobry jaśnie wielmożnym państwu! - wyrecytował, przytykając palce do ronda kapelusza.

Evelyn zasłoniła usta dłonią.

- Kto... Ach, wielkie nieba! Przestraszyłeś mnie śmiertelnie!

Za to Saint roześmiał się od ucha do ucha.

- Ależ od ciebie, chłopie, czuć! - stwierdził.

- To też należy do planu. Shaw siedzi tam na górze. A wy - zwrócił się szczególnie do markizy - udawajcie, że nas nie widzicie. Nas tu nie ma, pamiętajcie!

- Oczywiście, będę pamiętać - zapewniła Evie, wciągając nosem powietrze. - Lucinda przesłała mi wiadomość, że spróbuje przekonać lorda Geoffreya, aby ją tu zabrał. Od tamtej pory się nie odzywała, ale jestem pewna, że potrafi tego dokonać.

- Ja też.

A więc Lucinda zdecydowała się im pomóc! Im, to znaczy przede wszystkim jemu. Nie mógł otwarcie śmiać się jak głupi, jeśli miał wtopić się w tłum, ale z radości chciało mu się tańczyć i śpiewać. Oczywiście, jeśli miał być szczery, decyzja Lucindy oznaczała najwyżej to, że nie do końca ufała lordowi Geoffreypowi. Nie śmiałby nawet przypuszczać, że mogłaby przedłożyć jego nad "złotego młodzieńca" z najlepszego, londyńskiego towarzystwa. Nie była przecież głupia!

Z drugiej strony jednak popełniała błąd, pokazując się w towarzystwie człowieka, do którego nie miała już zaufania. Robert czuł się winny, że do tego dopuścił. Dał więc sobie słowo, że jeśli tylko Newcombe zacznie coś podejrzewać, pierwszy wycofa się z gry, nawet gdyby to oznaczało konieczność opuszczenia kraju. Za nic w świecie nie pozwoliłby, aby Lucindzie stała się krzywda.

Domyślił się, że przyjechała, zanim ją jeszcze zobaczył. Poczuł bowiem na skórze ciepły powiew, jakby owionął go niewidzialny wietrzyk. A kiedy odwrócił się, była już przy nim.

Miała na sobie głęboko wydekoltowaną suknię z muślinu, tak obcisłą, że uwydatniały się pod nią wszystkie krągłości jej figury. Robertowi zaschło w gardle, nie dziwił się, że Geoffrey tak jej nadskakuje. Nie dziwił się też sobie, że miał ochotę zmasakrować jego nienawistną gębę, bez względu na to, czy okazałby się zdrajcą, czy nie.

Tymczasem Evie już kiwała z daleka na tych dwoje. On też spróbował podejść bliżej. Obserwował, jak wymieniali powitalne uściski, jakby rzeczywiście przyjechali tu tylko na aukcję. Robert przyglądał się badawczo Newcombe'owi, jakby szukał jakichś zewnętrznych oznak wskazujących, że popełnił to, o co go podejrzewali. Jednak ten przystojny i sympatyczny młody człowiek wyglądał jak ideał nieskazitelnego, angielskiego dżentelmena.

Może gdyby Robert w swoim czasie wyglądał i zachowywał się bardziej dystyngowanie, bywalcy londyńskich salonów nie uwierzyliby tak skwapliwie w krążące o nim plotki. Teraz zaś, gdy jeszcze miał na sobie te zatechłe, robocze łachy, każdy dałby wiarę rzucanym na niego najcięższym kalumniom. Miał jedynie nadzieję, że nikt go w tym przebraniu nie rozpoznał.

- ...prezent na urodziny generała, ale wiesz, jaki on jest wybredny... - dowodziła Lucinda, trzymając Geoffreya pod ramię.

- Nie szkodzi, najważniejsze to zorientować się, kto hoduje dobre konie, nawet jeśli dziś żadnego nie kupimy - tłumaczył jej lord.

- Pierwsze słyszę o czymś podobnym - nie wytrzymał Saint, starając się podprowadzić Evie do pierwszego rzędu licytujących. - To, że hodowca wystawi jednego dobrego konia, wcale nie oznacza, że i inne ma równie dobre. Lucindo, jeśli ci się któryś koń spodoba, to go kupuj bez wahania. Najwyżej potem go odsprzedasz, jeśli nie będzie odpowiadał twemu ojcu. Czyż nie mam racji, lordzie?

- Proszę mi mówić Geoffrey, jeśli łaska. Ja jednak muszę ostrożnie zawierać transakcje, nie mogę pozwolić sobie na sentymenty.

- Prawda, jesteś przecież czwartym synem swego ojca, czy tak? - Markiz starannie dobierał ton głosu, starając się wypośredkować między współczuciem a pogardą. - Nie znam zbyt dobrze Fenleya, ale ludzie gadają, że trzyma was twardą ręką.



- Coś w tym jest - zachichotał Geoffrey. - Zawsze uważał, że "nadliczbowi" synowie powinni sami sobie radzić.

- To musi być przykre. - Lucinda spojrzała na niego ze współczuciem. - Z ciebie jednak musi być dumny, że tak świetnie sobie radzisz.

Robert miał ochotę ją ucałować, bo bezbłędnie podjęła grę. Wiedział już i ciągle dowiadywał się na nowo, że Newcombe dąży do awansu i związanych z wyższą rangą korzyści. Jeśli nie udałoby mu się dochrapać tych przywilejów przez małżeństwo, następną okazją do ich zdobycia mogłaby być tylko wojna. Oczywiście, gdyby się ożenił, musiałby znaleźć kogoś, kto nadawałby się do obciążenia winą za kradzieże, dlatego Robert znalazł się pod rękaw wyjątkowo dogodnym momencie.

Tymczasem Geoffrey błysnął swym zniewalającym uśmiechem i podniósł do ust rękę panny Barrett.

- Bardziej byłby dumny, gdyby zobaczył, że się ustatkowałem i zrobiłem karierę.

- Co to ma być za kariera? - zainteresował się Saint. - Jesteś jeszcze w służbie czynnej, prawda?

- Tak, ale nasze wojsko również stwarza wiele możliwości awansu. Upatrzyłem już sobie taką jedną i dostanę ją w swoje ręce. Tak samo jak ciebie, Lucindo - dodał lord z uśmiechem.

Robert całkiem poważnie rozważał możliwość pozbycia się tego drania, nawet gdyby nie był winien tego, o co go podejrzewał. Na razie jednak przysunął się najbliżej, jak tylko mógł, opierając się o koło stojącego obok wozu i nasuwając kapelusz nisko na oczy.

- Idę o zakład, że Carrowayowie woleliby, aby Robert nie obierał sobie kariery wojskowej - wycedził St. Aubyn.

- Jak możesz tak mówić? - Evie zarumieniła się. - Przecież Georgiana jest moją przyjaciółką!

- Kiedy to prawda.

- Muszę przyznać, że cała ta sprawa przysporzyła generałowi aż nadto kłopotów - ze spokojem stwierdziła panna Barrett.

Robert podniósł na nią oczy i napotkał jej spojrzenie, skierowane wprost na niego. Na chwilę serce mu zamarło, tymczasem Lucinda kontynuowała:

- Na przykład Robert jest moim przyjacielem i nie mam zamiaru się tego wypierać, ale nie oznacza to bynajmniej, że cieszymy się z tej sytuacji.

- O, pary zaprzęgowe zeszyły już z ringu! - wtrącił Saint, umyślnie zmieniając temat. Zaskoczył tym Lucindę.

- Tak szybko? - zdziwiła się, wyrywając rękę spod ramienia Geoffreya. - Czy mogę cię na chwilę przeprosić?

- Ależ proszę bardzo, tylko nie chodź nigdzie sama. Może przyślę ci twoją służącą?

- Pójdę z tobą, Luce - zgłosiła się Evie. - Chętnie bym coś przekąsiła.

Robert błyskawicznie ocenił sytuację i pierwszy oddalił się w stronę najbliższego budynku. Uliczka na jego tyłach zdawała się pusta, więc w nią skręcił. Po chwili dołączyły do niego Lucinda i Evie. Na ich widok nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Skąd, u Boga Ojca, wiedziałaś, że ja...

Zamiast odpowiedzieć, wspięła się na palce, złapała go za kłapy i pocałowała. Robert najchętniej porwałby ją w ramiona i mocno przytulił, ale zdawał sobie sprawę, że ma na sobie śmierdzące łachy, a ponadto usłyszał znaczące syknięcie Evelyn.

- Lucindo - wykrztusił, odsuwając się od niej. Pocałował ją jednak jeszcze raz, bo po prostu nie mógł zapanować nad sobą. - Uważaj, bo ktoś zobaczy...

- Ja już widziałam - zaznaczyła markiza z rozszerzonymi zdziwieniem oczami. - Od jak dawna to trwa?

- Myślę, że nie mamy teraz czasu, aby się nad tym rozwodzić - ucięła Lucinda, nie spuszczać wzroku z Roberta.

To, co zobaczył w jej orzechowych oczach, przejęło go większym lękiem, a zarazem nadzieją, niż wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich pięciu lat. Powiódł palcami po jej policzku.

- Wybacz mi, że cię w to angażuję. Wiem, że nie chciałaś brać udziału...

- Zmieniłam zdanie - przerwała mu w pół zdania. Następnie obrzuciła go wzrokiem z góry na dół i stwierdziła: - Wyglądasz... interesująco.

- Przepraszam cię, ale jeśli nie masz czasu, aby powiedzieć mi, co was łączy, to chyba tym bardziej na takie rzeczy - wtrąciła się markiza. - Musimy już wracać. Czy podśluchałeś tyle, ile ci było trzeba?

- Myślę, że tak, ale poczekaj jeszcze chwileczkę, Evie, dobrze?

- Ależ oczywiście! - Lady St. Aubyn wyduła wargi. - Będę tam na was czekać.

Cofnęła się do początku uliczki, założyła ręce na piersiach i ostentacyjnie odwróciła się plecami do pary zakochanych.

- Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? - Lucinda pociągnęła Roberta za rękaw.

- To dzięki tobie zyskałem jeszcze dzień, prawda? - wyszeptał, poszukując wzrokiem jej oczu.

- Obyśmy się nie mylili - odszepnęła - bo inaczej nie wiem, jak wytłumaczyłabym się przed ojcem.

- Właśnie, jeśli już mówimy o generale Barretcie, to chciałbym wiedzieć, czy... byłabyś tak dobra i spytała go jeszcze raz o źródło tych plotek? Nikt więcej nie musi o tym wiedzieć, ale mnie wyjaśniłoby to ostatnią wątpliwą kwestię.

- Chodzi ci o Geoffreya, prawda?

- Wybacz, Lucindo, ale naprawdę nie wiem, jak inaczej można by to...

Nie dała mu skończyć.

- Mój ojciec powtórzył Geoffreyowi to, co powiedziałam mu o tobie i Chateau Pagnon. Musiało to być tego dnia, kiedy poszedł na jakieś ważne zebranie. Jeszcze wtedy nie potwierdziłam, że dowiedziałam się o tym od ciebie, a on już wiedział to wcześniej.

Robert poczuł taką ulgę, że aż zrobiło mu się gorąco. Okazało się, że mieli rację co do Geoffreya, więc musiał się uśmiechnąć, choć nie był to odpowiedni moment. Wiedział przecież, jak ciężko przyszło jej zadać ojcu takie pytanie.

- Dziękuję ci.

- Kiedy ja to lubię! - wyszeptała.

- Co takiego lubisz?

- Jak się uśmiechasz. - Lucinda podniosła rękę i powiodła palcami po jego wargach. Wspięła się następnie na palce i pocałowała go, powoli i z rozmysłem, jakby delectowała się smakiem jego ust. - Musimy już wracać.

- A ja mam ważne sprawy do załatwienia. Zajmiesz go przez jakiś czas?

- Tak, ale uważaj na siebie. A gdybyś musiał uchodzić z kraju, to uchodź, tylko daj mi znać, gdzie cię szukać.

Robert dotknął pieszczotliwie jej policzka.

- To dzięki tobie mogę się uśmiechać - wyszeptał i odszedł, bo przecież musiał teraz włamać się do pewnego domu.

## 23

*Kiedy odkryłem, jaką dziwną moc posiadam w swoich rękach, przez dłuższy czas zastanawiałem się nad sposobem, jak ją wykorzystać.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

- Przestańcie się ociągać! - ofuknął Robert swoich wspólników, nerwowo krążąc wokół nich. - Nie chciałbym na dłużej zostawiać Lucindy w rękach tego łotra.

- Przypuszczam, że St. Aubyn i Evie są przy niej - skomentował oschle Tristan, nie spuszczać oczu z niewielkiego domu osłoniętego szpalerem krzewów. - Wolałbym też, aby nikt mnie nie przyłapał na włamaniu.

- Jego nie ma w domu, Dare, i o to właśnie chodzi. - Robert wskazał na maskę w kształcie głowy lamparta, którą brat trzymał w ręku. - No, jazda. Nakładamy maski i do roboty!

Ich trzeci towarzysz stał oparty o pień wiązu, ale nie obserwował domu, tylko przez ostatnie trzy minuty gapił się głównie na Roberta. Było to raczej denerwujące dla tego ostatniego, więc w końcu odwrócił się i warknął:

- O co chodzi?

Książę Wycliffe zadarł głowę.

- Po prostu próbuję przyzwyczać się do pewnych rzeczy - wycedził. - Na przykład do twego odzienia.

- Przecież ci powiedziałem, do stu tysięcy fur beczek, że to przebranie.

- A także do twego bogatszego słownictwa...

- Do tego zdążysz przyzwyczać się później. - Wyrzucił obie ręce w górę i zaanonsował: - Ja już ruszam. Wy dwaj możecie tutaj zagadać się na śmierć, ale nie oczekujcie po mnie, że będę tego słuchał.

Burcząc pod nosem, naciągnął na twarz maskę tygrysa i przeszedł na drugą stronę ulicy. Kiedy usłyszał, że Wycliffe i Tristan już go doganiają, przyspieszył kroku, starając się nie utykać, bo to najprędzej mogło go zdradzić.

- Gotowi? - spytał szeptem, sięgając do kołatki. - Zaczynamy od gabinetu, potem biblioteka, a na końcu sypialnia. Jeżeli tego tu nie będzie, rozwalę ten przeklęty dom!

Wspólnicy potwierdzili swoją gotowość, więc zastukał do drzwi. Otworzył im je kamerdyner - starszy, dostojnie wyglądający jegomość. Wystarczyło jednak, że na nich spojrzął, a już zaczął krzyczeć: - Złodzieje!

Robert odepchnął go i wdarł się do domu, ale stary sługa zamachnął się na niego laską. Robert zasłonił się ramieniem i wyrwał trzcinę z ręki kamerdynera.

- Właż do środka! - Wskazał mu drzwi garderoby.

- Ależ...

- Właż, nie gadaj! - powtórzył za nim jak echo Wycliffe, prawie podnosząc służącego i wpychając go do składziku. Z pokojów dla służby

wybiegli kolejni dwaj lokaje. Robert wycelował w nich laskę, jakby to był pistolet.

- Wy dwaj, do środka, tam, gdzie ten stary!

- Mają tu sześcioro służby - stwierdził Wycliffe, zdejmując chustkę z szyi kamerdynera.

- A was jest tylko trzech! - zauważył wyższy i potężniejszy z lokajów, zaciskając pięści.

- Nie przyszliśmy tu kraść! - warknął Robert, gdyż zaczynał już tracić cierpliwość. - Nie zrobimy nikomu krzywdy, jeśli nie będziecie nam przeszkadzać.

- Akurat!

Lokaj rzucił się na niego, ale Robert zatoczył laską krąg w powietrzu i trafił go w bok głowy. Służący padł jak kamień na podłogę, a wtedy Robert zwrócił się do jego towarzysza:

- Masz do wyboru: do garderoby albo leżeć plackiem!

Nieszczęśnik z grymasem niezadowolenia podniósł ręce do góry i wycofał się do wskazanego pomieszczenia. Tristan podniósł pod ramiona ogłuszonego lokaja i też tam go wciągnął.

- Następnym razem wybierz sobie kogoś mizerniej szej postury - wydyszał.

- Zostało ich jeszcze troje - podsumował Robert, kierując się przejściem dla służby w stronę kuchni. - Sprawdź na górze! - polecił Tristanowi, podczas gdy Wycliffe pilnował lokajów zamkniętych w garderobie. Nie przypuszczał, aby służący Geoffreya wiedzieli o jego postępkach, ale nie chciał dopuścić, aby uciekli i sprowadzili na pomoc całą Bow Street. Należało szybko przeszukać dom i opuścić go przed powrotem właściciela.

Kucharka wraz z podkuchenną zmywały w kuchni statki, ale nie trzeba było ich długo przekonywać, aby dołączyły do swoich kolegów. Równocześnie Dare zszedł na dół, przepuszczając przed sobą tęgą gospodynię, wyglądającą na wystraszoną. Po zamknięciu wszystkich służących w garderobie Wycliffe zabarykadował drzwi tego pomieszczenia od zewnątrz.

- Doskonale - wymamrotał Dare. - Szukajmy teraz tych diabelnych papierów.

- O, ten gniady wygląda nieźle - zauważył Geoffrey. Przysunął się przy tym tak blisko do Lucindy, że czuła na policzku jego oddech.

- Rzeczywiście bardzo ładny - zgodziła się, całą siłą woli panując nad sobą, aby się nie odsunąć. - Ale zaraz, czy ja go już nie widziałam na poprzedniej aukcji?

- Na pewno widziałas - potwierdził Saint - bo to on w zeszłym tygodniu zrzucił lorda Rayburne'a, a jeszcze wcześniej, tamtej jesieni, ugryzł syna Totleya.

- Oj, w takim razie dla ojca byłby zanedo narowisty.

Przed chwilą podejrziała Bradshawa, jak siedział na galerii, otoczony wianuszkami młodych dam o wątpliwej reputacji. Czuła się bezpieczna, bo Shaw uważał na nią z góry, a Saint też znajdował się pod ręką. Nie mogła jednak ani na chwilę zapomnieć, że młody człowiek stojący przy niej był już w jej domu, zdążył zawrócić jej ojcu w głowie i nagadać mu niestworzonych kłamstw, a ją nawet pocałował i proponował jej małżeństwo.

Równocześnie, jeśli ani ona, ani Robert nie pomylili się w osądzie, ten sam młody człowiek wykradł papiery, które nie mogły się przydać do innego celu poza rozpętaniem wojny. On też puścił w obieg plotkę, zdając sobie sprawę, jaką krzywdę może tym wyrządzić drugiemu człowiekowi - mało tego, liczył właśnie na to! Ciekawe, dlaczego za cel swoich działań obrał właśnie Roberta. Czy dlatego, że akurat nawinął się pod rękę, czy też Geoffrey przeprowadził uprzednio kalkulację i ocenił go jako łatwą ofiarę? W każdym razie miała wraz z Robertem zamiar wykazać mu, jak bardzo się myli.

Ten sam młody człowiek zauważył w tej chwili:

- Im bardziej narowisty koń, tym większa satysfakcja go okiełznać!

Lucinda nie spuszczała wzroku z zagrody dla koni. Wmawiała sobie, że Geoffrey wypowiedział tę myśl w znaczeniu ogólnym i nie zawarł w niej aluzji do żadnej konkretnej osoby. Wiedziała jednak, że wcale tak nie było.

- Lordzie Geoffreju, pan, zdaje się, chciałby zostać oddelegowany do Indii, prawda? - wtrąciła Evie w samą porę.

- Owszem, łaskawa pani. Wellington też tam służył i jakoś mu to nie zaszkodziło.

- I pewnie pragnąłby pan, aby małżonka panu towarzyszyła?

Geoffrey zwrócił zielone oczy na Lucindę.

- Oczywiście, spodziewam się, że będzie trwała przy mym boku.

Jak to, przecież jej ojciec wyraźnie dał mu do zrozumienia, że jej ewentualny wyjazd do Indii pozostawi jej wyborowi! Nie mogła jednak głośno zaprotestować, gdyż przyznałaby się tym samym, że podsłuchiwała. Swoją drogą ciekawe, że jeszcze zanim dowiedziała się o roli Geoffreya w skandalu z dokumentami, wcale nie zniechęcała jej wizja jego wyjazdu do Indii bez niej, nawet na wiele lat. Tymczasem na samą myśl, że Robert mógłby opuścić Londyn, wpadała w panikę!

Dobrze, że ta niezobowiązująca rozmowa, jaką teraz prowadzili, miała służyć tylko jako przykrywka. Lucinda zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Ach, Indie, słyszałam o nich tyle dobrego... Ta zachwycająca muzyka, te egzotyczne przyprawy! - Urwała, bo wpadła na pomysł, który mógł okazać się przydatny dla pozyskania dowodów. - Jestem pewna, że ojcu też się tam spodoba.

Przysięgłaby, że w fascynujących, szmaragdowych oczach Newcombe'a mignęło coś nieprzyjemnego, ale tak szybko, że nie była pewna, co właściwie widziała.

- Ależ oczywiście, że pan generał byłby u nas mile widzianym gościem - zapewnił ją skwapliwie. - Nie wydaje mi się jednak, aby mu się tam podobało. Gdzieżby wytrzymał bez tych starych dziadków, z którymi tak lubi wspominać dawne czasy?

- Za to miałby mnie i ciebie.

- Ba, pewnie, że autorytet wyższego oficera z taką reputacją, jak generał Barrett, podniósłby prestiż naszego domu. Tylko widzisz, Lucindo, twój ojciec się starzeje. Nie uważasz, że w Anglii miałby więcej wygód? Sama podróż przez ocean mogłaby być dla niego nadmiernie wyczerpująca.



Hm, to zabrzmiało ciekawie! Można było przypuszczać, że obecność generała, który swoją "reputację" zawdzięczał honorowi i uczciwości, mogłaby sprawiać kłopot świeżo upieczonemu majorowi, jeśli chciałby zbić szybki majątek na przemyśle, wymuszaniu czy spekulacji! Udała więc przerażenie.

- Wyczerpująca? To może nawet ja ledwie przeżyłabym taką podróż, a co dopiero mówić o wygodach?

Uśmiech Geoffreya sprawiał wrażenie przylepionego do jego warg.

- Może lepiej byłoby odbyć tę rozmowę w innym miejscu i czasie? - zasugerował.

- Ja tylko próbuję oswoić się z twoimi planami - wywinęła się gładko. - Widzę, że nie powiedziałaś mi o najważniejszych sprawach. Jeśli mamy się pobrać, mam chyba prawo wiedzieć, na przykład, w jakich warunkach będę musiała mieszkać.

- Jako córka generała przywykłaś chyba do żołnierskiego stylu bycia.

- Kiedy mój ojciec walczył na kontynencie, byłam jeszcze dzieckiem. Opiekowały się mną ciotki, a potem przebywałam na różnych pensjach dla panien. Tatuś nie chciał, abym podróżowała za nim w wojskowych taborach.

Lord Newcombe przyjrzał się jej uważnie.

- Ach, więc twoja zwłoka z odpowiedzią na moje oświadczenia nie ma nic wspólnego z kłopotami Carrowayów? - wycodził. - Ty w ogóle nie chcesz za mnie wyjść!

Lucinda zorientowała się, iż zabrnęła za daleko. Występek, o który go podejrzewała, sprawił bowiem, że złościło ją wszystko, cokolwiek powiedział. A niech to licho! Spróbowała dyskretnie się wycofywać.

- Bynajmniej nie miałam nic takiego na myśli. Chciałabym tylko najpierw jak najwięcej dowiedzieć się o tym, co mnie czeka.

- Popatrz, Lucindo, jaki ten gniady jest cudowny! - Evelyn próbowała zweksłować rozmowę na inny temat.

- Nie mogłaś już znaleźć lepszego miejsca na taką dyskusję? - ironizował Geoffrey, nie zważając na wysiłki markizy.

Lucinda zarzuciła więc wszelkie grzecznościowe formułki i dyplomatyczne uniki.

- Przecież sam się chwaliłeś, jak lubisz poskramiać narowiste konie - przypomniała. - Jak mam rozumieć tę aluzję?

Geoffrey mocno wpił palce w jej ramię.

- Odpowiedz mi, Lucindo - zażądał. - Czy kiedy zakończy się ta awantura z udziałem twego dobrego przyjaciela, przyjmiesz moje oświadczenia? Czy może niepotrzebnie traciłem czas, bo tylko bawiłaś się moim kosztem?

Teraz Lucinda nawet nie próbowała odgadywać znaczenia błysku w jego oczach. Newcombe nie odezwał się już ani słowem, tylko odwrócił się na pięcie.

- Geoffreju, dokąd idziesz? - zawołała za nim.

- Niech to grom spali! - syknął Saint. - Nie potraktowałaś go aby za surowo?

- Gdybym wdzięczyła się i szczebiotała, jeszcze szybciej poznałby, że coś jest nie w porządku - wyjaśniła. Równocześnie poszukała wzrokiem Bradshawa, ale i jego nie było tam, gdzie przedtem siedział. Pewnie w porę się ulotnił, aby ostrzec Roberta, że lord mógł już udać się w drogę powrotną do domu. - Niech to licho, jaka byłam głupia!

- Wcale nie - sprzeciwiła się Evie. - Masz rację, on tak czy inaczej domyśliłby się, że zatrzymujemy go bez żadnego szczególnego powodu. Dobrze, że Bradshaw w porę wyczuł, co się święci.

- Czym przyjechaliście? - zagadnął markiz, biorąc obie panie za ręce i odchodząc od ringów.

- Dwukólką. Czeka tam moja służąca, Helena... Boże, on chyba nie zrobi jej krzywdy?

- Nie przypuszczam, ale zanim zmusi ją, żeby wysiadła, zajmie mu to trochę czasu. Shaw przyjechał konno, więc ma nad Newcombe'em jakieś pięć, sześć minut przewagi.

- No więc co robimy? - spytała Lucinda, przeklinając w duchu własny nieopanowany język. Gdyby nie wypowiedziała o tych kilka słów za dużo, Carrowayowie mieliby więcej czasu na poszukiwanie dokumentów. A co będzie, jeżeli ich nie znajdą? To tak, jakby sama wydała wyrok na Roberta!

- Powiedziałaś, że twój ojciec miał dziś mieć jakieś zebranie - przypomniał Saint.

- Tak, w sztabie Gwardii Konnej.

- A zatem pojedziemy tam po niego. Jeśli Robert zdobył dowód zbrodni, musi mieć go komu pokazać.

- Tu też tego nie ma! - warknął Robert, odsuwając maskę na czubek głowy. Niech to licho porwie, w tym gabinecie panował taki nieskazitelny porządek, jakby nikt nigdy ani przez chwilę tu nie pracował. Oczywiście przeszukanie pozostawiło po sobie niemały bałagan. Tak samo książki w bibliotece wyglądały na nietkniętą ludzką ręką. Teraz leżały na podłodze poukładane w nieregularne sterty, ale Robert nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Ten łajdak, Geoffrey, narobił więcej szkód w jego życiu, niż on był w stanie wyrządzić w jego domu.

- W tej szafie też nie - zameldował Tristan, podnosząc się z podłogi.

W tym czasie Wycliffe przerzucał książki i papiery leżące na dębowej komodzie, ale i on niebawem potrzęsnał przecząco głową.

- To musi gdzieś tu być! - upierał się Robert, mieląc w zębach brzydkie przekleństwo. - Pomyślcie, gdybyście weszli w posiadanie papierów, które mogłyby albo przynieść wam wielkie pieniądze, albo wsadzić was do więzienia, na pewno chcielibyście mieć je na tyle blisko przy sobie, żeby nie natknął się na nie ktoś niepowołany. Nie chcielibyście natomiast, żeby znaleźli je wasi słudzy, ani też nie schowalibyście ich w takim miejscu, że rzucalibyście się w oczy, gdybyście chcieli je przynieść lub sprawdzić, czy nie zginęły, prawda?

- Skrytek, które spełniają te warunki, może być mnóstwo - zauważył lord Dare, wycierając dłonie o spodnie.

Tymczasem Robert próbował sobie wyobrazić plan domu Geoffreya. Nie była to żadna luksusowa rezydencja, gdyż mieściła się w małej, wynajętej kamieniczce. Wskazywało to na niezbyt korzystną sytuację finansową lorda, co nie przeszkadzało mu paradować w glorii zadufanego w sobie bohatera wojennego. Marzył mu się awans na majora, którego mógł dochrapać się przez

ożenek z córką wpływowego generała lub przez rozpętanie nowej wojny, aby odznaczyć się w boju.

- Jego mundur! - wypowiedział głośno swoją ostatnią myśl. - Jak myślicie, gdzie on może go trzymać?

- A co tu ma do rzeczy jego mundur? - nie rozumiał Tristan.

- Przecież on jest nadal w służbie czynnej - rzucił przez ramię Robert. - Na pewno kazał go odprasować i odłożyć na specjalną okazję. Pewnie nie pozwala nikomu go dotykać, bo to jego radość i duma.

- Myślisz, że trzymałby te papiery w mundurze? - powątpiewał wicehrabia, zmierzając do prywatnych apartamentów Newcombe'a. - Przecież one demaskują go jako zdrajcę!

- On myśli innymi kategoriami - przekonywał Robert. - Dla niego to droga do kariery i nie uważa tego za zdradę.

- Już mnie prawie przekonałeś, chociaż jeszcze nic nie znaleźliśmy! - Wycliffe gwizdnął po cichu.

- Po prostu dużo o tym myślałem - wyjaśnił Robert, otwierając drzwi sypialni.

Jak na skromne dochody właściciela, zadziwiła duża liczba szaf znajdujących się w tym apartamencie. Najwidoczniej lord Geoffrey wydawał większość swoich pieniędzy na garderobę.

- A ja myślałem, że to Georgiana ma za dużo strojów! - mruczał pod nosem Tristan, kierując się do ostatniej szafy po prawej stronie.

Robert otworzył następną i szybko przerzucił znajdujące się tam surduty, kamizelki, spodnie i bryczesy. Najwyraźniej lokator tego mieszkania przechowywał koszule gdzie indziej. Ukłękawszy, przeszukał jeszcze dolne szuflady, ale znalazł tam tylko pończochy i krawaty. Munduru nigdzie nie było.

W całym domu panowała taka cisza, że odgłos otwieranych drzwi frontowych zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Robert zerwał się na równe nogi i wyskoczył na korytarz, myśląc w duchu, że pomysł Bradshawa, aby wydusić prawdę z lorda Geoffreya, nie był wcale taki zły.

- Hej, gdzie są nasi włamywacze? - spytał Bradshaw scenicznym szeptem.

- Na górze! - odpowiedział mu Robert, wychylając się przez poręcz podestu.

- On już wyjechał od Tattersalla - raportował zdyszczanym głosem Bradshaw - i nie wyglądał na zadowolonego.

- A co z Lucindą?

- Została tam - odparł Shaw, równocześnie wspinając się po schodach. - Chyba się pokłócili, więc on się obraził i odjechał. Widziałem, jak szedł prosto do swego powozu, więc ma najwyżej pięć minut opóźnienia za mną.

- Hej, znalazłem coś! - zawołał Wycliffe.

Robert błyskawicznie zawrócił do sypialni. Książkę wyciągał właśnie spod łóżka nieduży, dębowy kuferek.

- Jest zamknięty - stwierdził Wycliffe, wyciągając go na światło. - Nie przypuszczam, aby klucz znajdował się w tym domu.

- Jeśli tam jest jego mundur, to Newcombe na pewno nosi klucz przy sobie - domyślił się Robert, przykucając, aby dokładnie obejrzeć zameczek. Od czasu jego ucieczki z Chateau Pagnon z jego munduru pozostały zaledwie strzępy spodni i koszuli poplamionej błotem i krwią. Gdyby udało mu się wynieść stamtąd kurtkę lub buty w dobrym stanie, pewnie by je spalił. Natomiast Geoffrey z dumą obnosił swój mundur, gdyż zawdzięczał mu pozycję społeczną, a w przyszłości także i pieniądze. Dlatego zaopatrzył kuferek w solidny zamek, mocniejszy, niż trzeba. - To na pewno jest to! - stwierdził, bo nie mogło to być nic innego.

- Potrafisz to otworzyć? - spytał Bradshaw, dołączając do reszty.

- Może jestem odludkiem, ale nie włamywaczem - mruknął Robert z krzywym uśmiechem. Może nawet potrafiłby wyłamać zamek, ale nie chciał tracić na to czasu, gdy Newcombe deptał mu po piętach. Wyciągnął z kieszeni pistolet.

- Po coś to przyniósł, Mały? - wymamrotał zaskoczony Tristan.

- Na wypadek nieprzewidzianych okoliczności - wycedził Robert, odwodząc kurek. Przynajmniej teraz ręka mu nie drżała, jak przedtem, kiedy nabijał broń zabraną z pokoju Bradshawa.

- Wystrzelę w dziurkę od klucza - zapowiedział, naciskając spust. Mimowolnie wzdrygnął się, gdyż huk w zamkniętym pomieszczeniu rozległ się

donośniej, niż pamiętał. Od czasu, kiedy ostatni raz miał broń w ręku, minęły prawie cztery lata, mimo to bezbłędnie trafił w cel. Kula rozłupała przednią ściankę kufka, a zameczek rozpadł się na części.

- Mam nadzieję, że nikt na zewnątrz tego nie usłyszał, jak myślisz, Mały?  
- dowcipkował Bradshaw. - Do wszystkich diabłów...

- Pośpieszmy się - przerwał mu Robert, podnosząc wieko. Wewnątrz, na samym wierzchu, leżał starannie złożony i nieskazitelnie odprasowany mundur rotmistrza. Kula przebiła tylko kurtkę po lewej stronie.

- Piękny strzał! - pochwalił Wycliffe, wyciągając kurtkę z kufra i strzepując ją. - Trafiłeś w samo serce.

Równocześnie dał się słyszeć szelest papierów wypadających na podłogę. Robert z wrażenia aż przymknął oczy i podziękował Opatrzności, bo jego przypuszczenia okazały się słuszne.

- Zobacz, co to jest - polecił bratu, grzebiąc w czeluściach kufra. Zgodnie z jego założeniem powinny się tam znajdować jeszcze mapy. Chciał znaleźć wszystko, nie tylko po to, aby oskarżyć Geoffreya, lecz także, aby zyskać pewność, że Anglia nie będzie musiała zaangażować się w następną wojnę przeciw Bonapartemu.

- Niech mnie grom spali! - wykrzyknął Tristan. - Tu są listy Anglików sympatyzujących z Napoleonem! Szkoda, że nie mamy jeszcze kilku dni czasu, bo moglibyśmy złożyć tym łajdakom wizytę.

Robert był tak zajęty grzebaniem w kufrze, że ledwo raczył obejrzeć się przez ramię.

- Mogą sympatyzować, z kim chcą, pod warunkiem, że nie wprowadzają niczego w czyn - rzucił.

Wreszcie namacał zwinięty w rulon arkusz pergaminu, wciśnięty pod paradny kordzik Geoffreya. Rozwinął go i rozłożył na wieku kufra. Miał przed sobą mapę Wyspy Świętej Heleny, z oznaczonymi punktami wysokościowymi i odległościami, jak również ze szczegółowym szkicem znajdującej się tam twierdzy.

- O Boże, mapy! - jęknął wicehrabia, obejmując Roberta ramieniem. - Znalazłeś je!

- Radziłbym teraz brać nogi za pas - wtrącił się Bradshaw. - Chętnie zostanę bohaterem, ale wolałbym nie trafić do więzienia za włamanie i naruszenie nietykalności cielesnej tutejszej służby.

- Zamknęliśmy ich w garderobie - wyjaśnił Tristan, zbierając papiery i wpychając je pod pachę.

Zbiegli ze schodów i opuścili dom głównym wejściem. Na razie nic nie zwiastowało przybycia Geoffreya, ale to, co zastały w domu, raczej by go nie uszczęśliwiło. Tolley i inne konie czekały na nich za rogiem, jednak zanim lord Dare dosiadł swojego wierzchowca, Robert go zatrzymał.

- Daj mi te papiery - zażądał, wyciągając po nie rękę.

- Zawiozę je do dowództwa Gwardii Konnej - zadeklarował Tristan. - Już ty lepiej nie zaprzataj sobie tym głowy, tylko schowaj się w bezpiecznym miejscu.

- Nie chcę, żebyś je tam zawoził.

- Słucham? - wycedził flegmatycznie Wycliffe.

- Lord Geoffrey zdobył je dzięki pomocy generała Barretta. Dalsza kariera generała legnie w gruzach, jeśli doniesiemy w sztabie, że tym poszukiwanym przez wszystkich zdrajcą jest jego przyszły zięć.

- A wydawało mi się, Mały, że nie przepadasz zbytnio za generałem Barrettem...

- No, bo nie przepadam - potwierdził, odbierając papiery od brata i chowając je pod roboczą kurtkę masztalerza. - Kocham natomiast jego córkę!

Wiedział przecież, że kompromitując generała, wyrządzi krzywdę Lucindzie, do czego żadną miarą nie chciał dopuścić. Poza tym coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego osobiste animozje to sprawa między nim a generałem, i że bynajmniej nie pragnie zniszczyć człowieka powszechnie poważanego za swą uczciwość i poczucie honoru.

- To co, jedziemy do Barrett House? - niecierpliwił się Tristan.

- Nie, tylko ja tam jadę - oznajmił Robert, wskakując na grzbiet Tolleya. - Wy jedźcie do Carroway House i liczcie się z tym, że będziecie musieli świadczyć, iż uciekłem do Ameryki albo znalazłem te rzeczy w wojskowym kufierku Geoffreya.

- Jak chcesz, Mały - zgodził się niechętnie wicehrabia - tylko, na miłość boską, uważaj.

- Na pewno będę - obiecał Robert i cmoknął na Tolleya. Zdawał sobie sprawę, że jego dalszy los zależy od reakcji generała Barretta na otrzymane wiadomości, ale zdecydował się podjąć ryzyko. Gra szła bowiem o wysoką stawkę, wyższą niż przyszłość Geoffreya czy nawet jego własna. Stawką w tej grze była przyszłość Lucindy i jej szczęście.

## 24

*Opowieść, którą zapisałem, byłaby niekompletna bez tego zakończenia i zachwycającej katastrofy.*

*- Robert Walton, "Frankenstein"*

Po minach wartowników Lucinda poznała, że niechętnie widzą Evie w progach sztabu Gwardii Konnej, nawet w towarzystwie córki generała Barretta. Obecność St. Aubyna też nie poprawiła im humoru, więc Lucinda, o dziwo, odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała, że generał wprawdzie tu był, ale już wyszedł. Na pewno nie byłby zachwycony, widząc swą córkę w takim towarzystwie.

- W takim razie na pewno jest w domu - myślała głośno, kiedy Saint pomagał jej wsiąść z powrotem do kariolki. - Może to nawet i lepiej. Porozmawiam z nim i spróbuję przemówić mu do rozsądku. Gdybyśmy wszyscy na niego naskoczyli, od razu poczułby się zagrożony.

- Może nie powinnaś sama stawać z nim oko w oko? - wyraziła wątpliwość Evie, a troska wyźłobiła bruzdy na jej czole.



- Chciałabym się tylko upewnić, czy ma już wyrobione zdanie na ten temat - uspokoiła ją Lucinda. Miała nadzieję, że Robert w swych planach przewidział także kogoś, kto da jej znać, że znalazł papiery i bezpiecznie wy dostał się z domu Newcombe'a.

- Nie wiem, czy wiesz, na jakie ryzyko się narażasz - perorował Saint, równocześnie obserwując ulicę przed sobą. - Kiedy raz otwarcie oskarżysz Geoffreya, nie będziesz mogła się z tego wycofać. A Robert... cóż, nie wygląda mi na takiego, co potrafi dochować wierności. Czy jesteś pewna, że...

- Michaelu, ona to wszystko już wie - przerwała mężowi markiza, kładąc rękę na jego dłoni.

Lucinda była jej wdzięczna za wyrazy poparcia, ale dobrze wiedziała, co oznacza rzucenie oskarżenia na Newcombe'a. Jeżeli miała jakieś wątpliwości, to tylko w stosunku do Roberta. Wierzyła, że potrafi zatrzymać Geoffreya, ale obawiała się, czy potem znów nie zamknie się w sobie i nie powróci do swojej samotni.

- Na pewno nie chcesz, żebyśmy ci towarzyszyli? - dopytywała się Evie.

Lucinda podniosła oczy i zamrugła, bo powóz akurat zatrzymał się przed jej domem.

- Na pewno - potwierdziła.

- Jeśli tamci znajdą to, czego szukają, na pewno zawiozą to zaraz do dowództwa Gwardii Konnej - dodał Saint. - Wtedy pewnie twój ojciec będzie musiał tam pojechać, żeby zapoznać się z dowodami.

- Postaram się trochę go na to przygotować - odrzekła Lucinda, wysiadając z powozu razem z Heleną.

- Zatem powodzenia. My pojedziemy do Carroway House, bo tam zaczną się dziać najciekawsze rzeczy. - Markiz cmoknął na konie, zawracając je na podjazd.

Ballow otworzył drzwi swojej panience, a odbierając od niej szal, od razu uprzedził:

- Pan generał jest w gabinecie, ale widzi mi się, że stało się coś złego...

Co mogło się stać? Przecież było jeszcze za wcześnie na cokolwiek! Lucinda zebrała w garść spódnice i popędziła do gabinetu ojca. Drzwi jednak zastała zamknięte, więc w nie za-bębniła.

- Tato, muszę z tobą porozmawiać!

Usłyszała odgłos jego ciężkich kroków i zgrzyt przekręcanego klucza. Odruchowo cofnęła się, widząc wyraz jego twarzy, ściągniętej i zastygłej w gniewie.

- Ja z tobą też! - wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby, przepuszczając córkę przed sobą.

- Co się stało? - spytała, ale od razu dech jej zapało, bo przy oknie, opierając się o parapet, stał lord Geoffrey. Zwróciła się więc do niego, błyskawicznie szukając w myśli odpowiednich słów: - Geoffreju, ty tutaj? Dlaczego zostawiłeś mnie samą u Tattersalla? A w ogóle co tu robisz? Tato, co się dzieje?

- Właśnie wychodziłem. - Newcombe sztywno się skłonił i minął ją, idąc do drzwi. Przez myśl jej przemknęło, że podczas gdy on przebywał w jej domu, Robert zyskał nieco więcej czasu na przeszukanie jego mieszkania.

- Czy cię czymś obraziłam? Powiedziałam ci coś niegrzecznego? - próbowała go zatrzymać.

Odwrócił się do niej twarzą, stojąc już w drzwiach.

- Zawiodłem się na tobie - wymamrotał. - Miałem o tobie lepsze pojęcie.

Zasepiona, odprowadzała go wzrokiem, jak przechodził przez hall i kierował się ku głównemu wyjściu. Kiedy się odwróciła, poczuła na sobie spojrzenie ojca.

- Działaaś za moimi plecami - stwierdził ze smutkiem. - Czas, który ci dałem, wykorzystałaś, aby skrzywdzić bliskiego mi człowieka, którego uważam za przyjaciela. Miałem nadzieję, że dla ciebie będzie on kimś więcej niż przyjacielem.

- Cóż on ci naopowiadał, na miłość boską?

Geoffrey nie mógł wszak wiedzieć o wszystkim, bo gdyby wiedział, pojechałby wprost do domu, zamiast wylewać żale przed jej ojcem. Nagle przyszła jej do głowy myśl, która ją zmroziła - może nie trzymał tych papierów w domu albo ukrył je tak, że nikt nie mógłby ich znaleźć? W takim wypadku nie spieszyłby się, bo wiedział, że dobrze je zabezpieczył.

- Co mi naopowiadał? - Generał podniósł głos, nie fatygując się nawet, aby zamknąć drzwi gabinetu. - Ano to, że razem z twoimi tak zwanymi

przyjaciółmi prowadziłaś grę, aby zdjąć odium kradzieży dokumentów z Roberta Carrowaya, a jego obraliście sobie jako kozła ofiarnego!

- Ja?

- Mało tego, Geoffrey domyślił się, że Carroway będzie próbował podrzucić mu dowody rzeczowe, zwłaszcza odkąd zorientował się, że nie będzie mógł pozbyć się ich bez naszej wiedzy...

Musiła przyznać, że lord Newcombe miał mocne nerwy, a bajeczka, którą zmyślił, miała pozory wiarygodności i trudno byłoby ją zakwestionować.

- Tato, za tym się kryje więcej, niż sobie wyobrażasz.

- Niż ja sobie wyobrażam? Ach, więc trzydzieści lat służby w siłach zbrojnych jego królewskiej mości i trzy lata pracy w sztabie Gwardii Konnej nic nie znaczą w porównaniu z waszymi nikczemnymi gierkami?

- To nie tak...

- Proszę mi wybaczyć, wielmożny panie, ale nie mogę pana wpuścić! - dał się słyszeć przerażony głos Ballowa.

Lucinda odwróciła się w miejscu, w samą porę, aby zobaczyć, jak Carroway odepchnął kamerdynera i wkroczył do hallu. Najpierw serce radośnie jej zabiło, ale po chwili uświadomiła sobie, że nie ma się z czego cieszyć, bo gdyby znalazł papiery - na pewno pomknąłby z nimi od razu do sztabu Gwardii Konnej.

- Co ty tu robisz? - spytała drżącym głosem. - Nie powinieneś...

- Lucindo. - Zatrzymał się przy niej, ale wzrok skierował na jej ojca. - Muszę z panem generałem zamienić słówko na osobności.

- Wynoś się z mojego domu, łajdaku! Nie nadużywaj mojej cierpliwości - zagrzemiał generał.

- Luce, poczekaj na nas w bibliotece - szepnął do niej Robert, przysuwając się bliżej.

- A wszystko jest w porządku? - upewniała się, dotykając jego rękawa.

- Niedługo będzie.

Odczekał, aż odeszła, i ponownie zwrócił się do jej ojca:

- Będziemy tak rozmawiać na korytarzu czy może wejdzie-my do gabinetu?

- Nie mamy o czym rozmawiać, Carroway. Nie zmuszaj mnie, abym kazał cię wyrzucić. Miej choć tyle godności, żeby wyjść samemu.

- Chętnie stąd wyjdę, ale jeszcze nie teraz. - Zachowując pozory spokoju, Robert wskazał gestem drzwi do gabinetu. - Chodźmy do środka, panie generale.

Generał Barrett oszacował wzrokiem przybysza, trzy cale różnicy wzrostu i dwadzieścia pięć lat różnicy wieku przemawiały na jego korzyść. Skrzywił się, jakby gryzł cytrynę, ale kiwnął głową.

- Dobrze, ale tylko dwie minuty! - warknął.

Robert jednak przewidywał, że potrwa to dłużej. Wszedł do gabinetu za generałem, zamknął drzwi od wewnątrz na klucz i gestem wskazał fotel.

- Proszę, niech pan usiądzie.

- I tak nic mnie nie przekona, że nie jest pan zdrajcą, cokolwiek pan powie! - zarzekł się generał. - Radzę więc panu... chyba że zamierza pan mnie zabić, ale zważywszy na to, ilu byłoby świadków, to raczej nierozsądne... niech pan opuści ten dom, a najlepiej niech pan w ogóle wyjedzie z kraju. Tyle tylko mogę dla pana zrobić, a i to wyłącznie przez wzgląd na Lucindę.

- W roku 1814... - nie zważając na jego słowa, Robert usiadł wygodnie na jednym z krzeseł i skupił wzrok na zagraconym blacie biurka - dowodził pan jedną z dywizji oblegających Bajonnę.

- Przecież wiem o tym, nie musi mi pan tego przypominać.

- Owszem, muszę, bo Napoleon był już wtedy pokonany i obie strony ogłosiły zawieszenie broni.

- O tym też wiem...

- Wiedział pan także, że generał Thouvenot nadal bronił się w Bajonnie i nigdy by się nie poddał. Mało tego, zasięgnął pan języka u francuskich dezertów, że Thouvenot zamierza zaatakować.

- To były niesprawdzone informacje.

- W takim razie, dlaczego wysłał pan patrol, aby w środku nocy rozeznał rozmieszczenie francuskich okopów? Czy dlatego, że wiedział pan, iż nikt nie będzie zmieniał pozycji?

- Zgadza się, ale co to ma...

- Ma, panie generale, bo ja dowodziłem tym patrolem. - Robert siłą woli starał się zapanować nad sobą, zaciskając pięści, aby nie podnosić głosu. - Piętnastu angielskich żołnierzy przeciwko tysiącowi Francuzów! Większość moich ludzi poległa, zanim zdążyła użyć broni. Mnie tylko pobito do nieprzytomności, ponieważ ich dowództwo kazało brać oficerów żywcem, aby móc ich przesłuchać.

Twarz generała stężała i ze zwykle czerstwej kompleksji przybrała odcień szary.

- Doniesiono nam, że ani jeden ze zwiadowców nie uszedł z życiem - wykrztusił.

- Jednemu z nich to się udało, ale jakim kosztem! Po dwudziestu dniach Thouvenot, pokonany przez pana, zgodził się przyjąć do wiadomości abdykację Bonapartego i wojna się skończyła, ale nie dla mnie. - Oparł się na łokciach i pochylił do przodu, wytrzymując spojrzenie stalowoszarych oczu generała. - Twierdza Chateau Pagnon nigdy się nie poddała, a zresztą armia angielska nawet nie próbowała jej zdobyć. Francuski wywiad nadal działał, planując zorganizowanie ucieczki Bonapartego. Mnie wypytywano między innymi o pana i pańską rodzinę, ponieważ ich plany obejmowały także zabójstwa lub szantaż brytyjskich dowódców.

- I pan...

- Nie powiedziałem im ani słowa, ale po siedmiu miesiącach zdałem sobie sprawę, że dłużej nie wytrzymam ani tortur, ani tego, co tam widziałem i nigdy nie zapomnę... Postanowiłem wtedy sprowokować ich, aby mnie zabili. Prawie im się to udało i sądząc, że nie żyję, zrzucili mnie z murów. Na szczęście po dwóch dniach odnaleźli mnie hiszpańscy partyzanci i zmarnowali mnóstwo bandaży, aby mnie poskładać do kupy.

W rzeczywistości sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej, ale nie widział sensu w opisywaniu drastycznych szczegółów. Chciał tylko przekonać generała Barretta, że nie był zdrajcą. Resztę wolał zachować dla siebie, bo nie chciał się z nikim dzielić swoimi przeżyciami.

- A zatem obciąża mnie pan winą za to, co się panu przydarzyło? - wymówił generał powoli, schrypniętym głosem, jakby mu nagle zaschło w gardle. - To dlatego pan...

- Owszem, obciążam pana - zgodził się Robert. - Ale nie pragnę zemsty ani tym mniej następnej wojny. - Wzdrygnął się przy tych słowach. - Nie życzylibym nikomu tego, co mnie spotkało.

- No więc...

- ...no więc teraz niech pan mnie uważnie posłucha, jeśli nie przez wzgląd na mnie, to na Lucindę. Tylko niech mi pan nie przerywa, zgoda?

- Chyba tylko po to, aby się pana pozbyć! - burknął generał szorstko, ale bez przekonania.

- Pozbędzie się pan, ale najpierw niech pan mi powie, na ile wcześniej te dokumenty zginęły ze sztabu, zanim rozeszły się pogłoski o ich kradzieży?

- Na dzień naprzód - odpowiedział Barrett ze zwężonymi złością oczami.

- A po jakim czasie, odkąd powiedział pan lordowi Geoffreyowi o moim uwięzieniu w Chateau Pagnon, rozeszły się o tym wieści?

- Ja nie...

- Proszę mi natychmiast odpowiedzieć!

Robert mógł poznać po oczach generała, że naprawdę zastanawia się nad odpowiedzią.

- Mniej więcej po dwunastu godzinach, może nawet wcześniej.

- Rzeczywiście, świetny byłby ze mnie kozioł ofiarny, ale ja tego nie zrobiłem.

- Bo myśli pan, że to zrobił Geoffrey?

- Nie myślę, tylko wiem. - Robert nabrał w płuca dużo powietrza, wyjął zza pazuchy złożone w kostkę dokumenty i mapy, po czym położył je na biurku generała. - Znalazłem je kilka minut temu w wojskowym kufierku rotmistrza. Jeśli trzeba, książę Wycliffe może to poświadczyć.

- Pan sam je tam podrzucił! Geoffrey dopiero co uprzedzał mnie, że będzie pan próbował obciążyć go winą.

- A niby dlaczego miałbym to zrobić? Co bym na tym zyskał?

- Niech mnie grom spali! - zaklął generał. - A co zyskałby Geoffrey?

- Przecież jemu się marzy dowództwo garnizonu w Indiach, a tak, jak sprawy stoją, jest kiepskim żołnierzem, tylko z dobrym nazwiskiem. Mógłby uzyskać awans dzięki ożenkowi z Lucindą, ale tylko wtedy, kiedy ona się na to zgodzi. Tak czy inaczej, potrzebował jakiegoś zabezpieczenia, które mu dają te papiery. Albo je sprzeda i zrobi na tym duże pieniądze, albo rozpęta nową wojnę. Jedno i drugie pomogłoby mu uzyskać to, czego chce.

- Na czym więc miała polegać pańska rola?

Robert wzruszył ramionami.

- Byłem akurat pod ręką i nie cieszę się zbyt wielką popularnością, poza tym rywalizowałem z nim o uczucia Lucindy. Najważniejsza jednak jest w tym pańska rola, generale.

Ojciec Lucindy zerwał się na równe nogi.

- Pan mnie oskarża o...

- O nic pana nie oskarżam, ale dzięki panu Geoffrey zyskał dostęp do sztabu Gwardii Konnej i każdemu, kto chciał słuchać, przedstawiał pana jako swojego mentora. Może to mieć dla pana nieprzyjemne konsekwencje.

- Ten Newcombe już tu był - mruknął generał jakby do siebie. - Skarżył mi się, że Lucinda wraz z przyjaciółkami uknuły spisek, aby ratować pańską reputację, a pogrążyć jego. Wpadłem w złość, ale przypomniałem sobie, że obie przyjaciółki Lucindy powychodziły za sławnych w swoim czasie nicponi. Weźmy takiego Dare'a czy St. Aubyna... Trudno mi było więc zrozumieć, co mogły mieć przeciwko takiemu miłemu chłopakowi jak Geoffrey. Tym bardziej, że Lucinda go lubi. Albo przynajmniej lubiła.

- Prawda, kiedyś go lubiła - potwierdził Robert, wstając. - Ma pan więc przed sobą odzyskane papiery i moją wersję wydarzeń, którą może pan porównać z wersją Geoffreya, myśląc przy tym o swojej reputacji. Poczekam w bibliotece, dopóki pan nie podejmie decyzji, jak z tym postąpić.

- A pan sobie wtedy spokojnie zdyskredytuje najpierw Geoffreya, potem mnie i uśmieje się z nas wszystkich?

- Na pewno tego nie uczynię, gdyż nie chciałbym sprawić przykrości Lucindzie. - Przerwał, bo był ciekaw, czy ton jego głosu zdradza, jak ważna jest

dla niego ta kwestia. - Podporządkuję się każdej decyzji, jaką pan podejmie. Proszę tylko o jedno. Jeśli pan uzna, że należy mnie obciążyć winą za tę zbrodnię, niech pan przynajmniej dopilnuje, aby moja rodzina została oczyszczona ze wszystkich podejrzeń.

Nie wiedział, co by to miało znaczyć w chwili, gdyby żołnierze zapukali do jego drzwi, ale był przekonany, że wybór w tej kwestii powinien należeć do generała Augustusa Barretta. A w ostatnich latach problemy dobra i zła, słuszności bądź nieprawości, nabrały dla niego wielkiego znaczenia.

Wyszedł z gabinetu generała, zamykając za sobą drzwi. Lucinda czekała na niego w bibliotece. Siedziała na kanapie z rękami złożonymi w mały kłosek, a wzrokiem utkwionym w przestrzeń za oknem. Kto jej nie znał, pomyślałby, że zachowuje olimpijski spokój, podczas gdy naprawdę rozsadała ją napięcie. Można to było poznać po zbiegających się palców, tak zaciśniętych, że kostki przeświecały przez skórę.

- Lucindo! - odezwał się cicho od progu.

Od razu poderwała się na równe nogi, podbiegła do niego i wbiła palce w materiał jego rękawów, przyciągając go ku sobie.

- Co tam się dzieje? - domagała się odpowiedzi. - Znalazłeś te papiery? Dopiero co był tu Geoffrey. Nie słyszałam wszystkiego, co powiedział ojcu, ale próbował...

Robert nachylił się ku niej i nakrył jej usta swoimi. Pulsowało w nich ciepło i życie, czyli coś przeciwnego do utrzymanego w czarnych barwach obrazu, jaki przed chwilą odmalował jej ojcu.

- Znalazłem te papiery - szepnął jej do ucha, odgarniając niesforny kosmyk miedzianobrazowych włosów.

Lucinda zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno, drżąc na całym ciele.

- Dzięki Bogu! - wyszeptała. - Tak się niepokoiłam! Kiedy zobaczyłam Geoffreya tutaj, pomyślałam... A właściwie sama nie wiedziałam, co mam o tym myśleć!

Robert cofnął się nieco, aby lepiej przyjrzeć się jej twarzy. Zaczynał już zapominać, jak szare i beznadziejne wydawało mu się życie, zanim ją poznał, dopiero jej uroda i uczuciowość ubarwiły jego jałową egzystencję. Gdyby plotki o nim zaczęły krążyć rok temu, po prostu wyjechałby za granicę, bo nic wtedy



nie miało dla niego znaczenia. Dopiero Lucinda natchnęła go nową nadzieją i sprawiła, że wszystko wokół stało się konkretniejsze. Wprawdzie ona sama wydawała mu się tak krucha i eteryczna, że obawiał się, iż zaraz rozwieje się jak dym, ale wiedział, że naprawdę jest silna, a przy rym kochająca i szczerą.

Bardzo chciał powiedzieć jej, jak ją kocha, ale miał skrupuły, gdyż wydawało mu się to nie w porządku wobec niej. Chciała przecież wyjść za mężczyznę stanowiącego jego dokładne przeciwieństwo - miłego i przystojnego, podobającego się jej ojcu.

- Robercie, o co chodzi? - wyszeptała, marszcząc brwi.

- Nic takiego - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. - Zostawiłem wszystko twojemu ojcu, bo wydaje mi się, że następny ruch należy do niego.

- Co mu powiedziałeś?

- Tego na razie nie mogę ci powtórzyć. To sprawa między nami - żołnierzami.

Usłyszała, jak za jej plecami generał Barrett odchrząknął. Oboje odwrócili się ku niemu, przy czym Robert obejmował Lucindę w tali, a ona jego za ramiona. Chciał się cofnąć, ale Lucinda splotła palce na jego szyi, nie wypuszczając go z objęć.

Generał trzymał w rękach plik skradzionych dokumentów, gdy oznajmił:

- Lucindo, musimy z Robertem pojechać w jedno miejsce.

Serce jej zamarło, a pod palcami poczuła wzrastające napięcie mięśni Roberta, który jednak nie ruszał się z miejsca. Nie rozumiała, o czym mówili i co jej ojciec zamierzał zrobić. Bała się wypuścić Roberta z objęć w obawie, że drugi raz go nie zatrzyma.

- Dokąd chcecie jechać? - spytała.

- Do sztabu Gwardii Konnej, aby...

- Ach, nie, tato! Robert z pewnością tego nie zrobił!

Ojciec uspokajającym gestem wyciągnął do niej rękę.

- Teraz już i ja to wiem - zapewnił, a przenosząc wzrok z Roberta na nią dodał: - Lucindo, czy zrobiłabyś coś dla mnie?

Po raz pierwszy w życiu Lucinda miała ochotę zapytać, co takiego miałyby zrobić, zanim się na to zgodziła. Przypomniała sobie jednak, że dotąd zawsze ufała ojcu, więc odpowiedziała:

- Ależ oczywiście.

- Przypuszczam, że reszta spiskowców czeka teraz w Carroway House?

- Tak się umówiliśmy - przytaknął Robert.

- Dobrze więc, Lucindo, chciałbym, abyś pojechała do Carroway House i przekazała obecnym tam panom, żeby odszukali lorda Geoffreya Newcombe'a. Nie muszą robić nic innego, tylko sprawdzić, gdzie on teraz się znajduje, i przesłać wiadomość o tym do Carroway House. Robert i ja wkrótce tam będziemy.

- Na pewno, przyrzekasz?

- Przyrzekam. - Ponownie odchrząknął. - Może bywam czasem opieszawy, ale działam w dobrych intencjach.

- Idę po kapelusz - oznajmiła Lucinda i pobiegła na górę.

- W dobrych intencjach? - powtórzył Robert. - Po prostu zrozumiał pan, czym to się może dla pana skończyć.

- Jeśli okaże się, że to była moja wina, chętnie poniosę konsekwencje. W każdym razie na pewno nie pozwolę Geoffreyowi z tym uciec i przynajmniej w ten sposób uratuję twarz.

Robert nie spodziewał się takiej reakcji. W najlepszym razie oczekiwał, że Newcombe niespodziewanie wyemigruje do Australii lub Ameryki, a papiery dziwnym trafem znajdą się z powrotem w sztabie. Przez całe lata obserwował generała Barretta, licząc, że znajdzie dowód jego bezduszości, tchórzostwa czy czegokolwiek, co przyczyniło się do wysłania patrolu wprost w zasadzkę przeciwnika. Tymczasem okazało się, że - być może - osądził go zbyt surowo.

W drzwiach znów pojawiła się Lucinda, zdyszana i drżąca z przejęcia.

- Biorę Helenę, dwukólkę i ruszamy! - oznajmiła.

- Tylko uważaj! - przestrzegł ją Robert. Nie spodziewał się, że zatrzyma się w pół drogi i zawróci od drzwi. Złapała go za włosy, aby ściągnąć jego głowę niżej, i mocno go pocałowała.

- To ty uważaj! - szepnęła i wybiegła.

- Aha.

Generał zmierzył wzrokiem Carrowaya, który odwzajemnił mu się chłodnym spojrzeniem. Mógł sobie wyciągać wnioski, jakie chciał; Lucinda też mogła dowolnie interpretować zachowanie obu panów, ale tylko oni wiedzieli o swojej wspólnej tajemnicy.

Generał Barrett kazał sobie osiodłać konia i obaj pojechali w stronę siedziby dowództwa Gwardii Konnej. Po drodze żaden z nich się nie odzywał - Robert nie miał o czym mówić, a generał miał dużo do myślenia.

- Otrzymywaliśmy sprzeczne informacje - przypomniał sobie nagle, patrząc przed siebie. - Doniesiono nam, że Thouvenot może próbować odwrotu przez Saint-Etienne. Dlatego potrzebne mi było rozpoznanie ruchów wojsk i rozmieszczenia dział. Inaczej nigdy nie wysłałbym na taki zwiad pojedynczego patrolu.

Nie próbował się usprawiedliwiać, bo Robert i tak nie przyjąłby tego do wiadomości. Obecnie skinął tylko głową i rzekł:

- To, co panu powiedziałem, w jaki sposób opuściłem Chateau Pagnon, niech zostanie między nami.

Dojechali akurat do siedziby dowództwa Gwardii Konnej, gdy generał odparł:

- Zgoda, ale na razie lepiej będzie, jeśli pan poczeka na zewnątrz. W tym gmachu nie cieszy się pan zbyt dużą sympatią.

- Nigdy nie zależało mi na popularności w szeregach Gwardii Konnej - oznajmił Robert, zsiadając z Tolleya. Zauważył przy tym podejrzliwe spojrzenia wartowników, lecz nie zwracał na nie uwagi. - Zaczekam tutaj.

Generał Barrett wmaszerował do budynku, ściskając w ręku odnalezione papiery. Robert zaś doszedł do wniosku, że czuje się zdecydowanie lepiej, mając przy boku wiernego Tolleya, w razie gdyby potrzebował szybko uciekać. Kwatera główna Gwardii Konnej, z ogrodzonymi placami musztry, jak na jego gust zanadto przypominała więzienie. Miał zresztą nadzieję, że generał posiada zdolność przekonywania, a potem się naradzą, co zrobić z Geoffreyem. Sam zaś będzie miał dużo czasu, aby dopilnować, żeby Lucinda nie ulokowała niewłaściwie swoich uczuć i nie próbowała udzielać lekcji komuś nieodpowiedniemu.

## 25

*Oddałbym życie, aby uczynić ją szczęśliwą.*

*- Victor Frankenstein, "Frankenstein"*

- Naprawdę Mały pojechał do sztabu Gwardii Konnej? - nie dowierzał Tristan. - Dobrowolnie?

Lucinda próbowała złapać oddech. Nigdy dotąd nie powoziła w takim tempie, ale nawet gdyby konie miały skrzydła, dla niej i tak pędziłyby zbyt wolno. Wystarczyło, że zarówno Robert, jak i jej ojciec potrzebowali pomocy, którą ona miała zorganizować.

- Ojciec obiecał, że przyjadą tutaj, najszybciej jak będą mogli. Prosił, żebyście pomogli ustalić, gdzie znajduje się Geoffrey.

Do braci Carrowayów i Georgie dołączyli Evelyn i Saint, księżę Wycliffe też z nimi pozostał. W ozdobionym draperiami, porannym saloniku robiło się więc coraz ciasniej.

- Proponuję, żebyśmy wyruszyli w parach, każda dwójka w inną stronę - podsunął Bradshaw. - Wtedy z tej dwójki, która go znajdzie, jedna osoba będzie mogła wrócić do nas z wiadomością, a druga zostanie, żeby go pilnować.

- Dobry pomysł - zgodził się lord Dare. - Wycliffe może jechać ze mną, Shaw i Andrew razem, Saint i...

- Tylko mnie nie pomijajcie! - Lucinda założyła ręce na piersiach. - Są przecież miejsca, które doskonale mogę sprawdzić.

- Możemy sprawdzić - poprawiła ją Evie.

- Ja też chcę jechać! - głośno domagał się Edward.

W tym momencie do drzwi zastukał Dawkins.

- Dopraszam się łaski jaśnie wielmożnego pana - rzekł, wyprężając się po żołniersku - jeśli mógłbym w czym pomóc, to zgłaszam się na ochotnika. Myślę, że ci, co służą w stajni i na pokojach, też ze mną pójdą.

- Co mamy zrobić, róbmy szybko - doradził Wycliffe. - Wystarczy, że Newcombe dotrze do domu, a od razu się domyśli, że znaleźliśmy papiery. Do tej pory może już znajdować się w połowie drogi do Bristolu.

- Nie przypuszczam - zaproponowała Lucinda. - Musi być strasznie pewny siebie, jeśli potrafił skierować podejrzenie z powrotem na Roberta. Ucieczka oznaczałaby przyznanie się do winy. Obawiam się, że może próbować jeszcze bardziej nam zaszkodzić. - Zbladła, gdy dodała: - Na przykład przekonać Bow Street, że Robert jest zdrajcą i należałoby go zabić!

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - przestrzegł Tristan, choć jeszcze bardziej spochmurniał m twarzy. - Dobrze więc, Dawkins, zostaniesz tu i będziesz odbierał napływające wieści. Masztalesze i lokaje posłużą mm jako gońcy, ale wydaje mi się, że Georgie powinna zostać w domu.

- Ani myślę, pojedę z Evie i Lucindą! - oświadczyła wice-hrabina.

- To ja zabieram Edwarda - zadeklarował się Saint, czochrając czuprynę chłopca.

- A dokąd pojedziemy? - dopytywał Edward.

- Ja sprawdzę u White'a - podjął się Wycliffe - bo połowę Carrowayów już wyrzucili z klubu i z towarzystwa.

- Więc my weźmiemy na siebie resztę. - Tristan poklepał Andrew po ramieniu. - I jego dom, w razie, gdyby jeszcze tam był.

- Jeszcze Bond Street - podsunęła Evie, a Lucinda ją poparła. Rzeczywiście, to byłoby bardzo w stylu Geoffreya przywieźć jej stamtąd upominek, w razie gdyby udało się obciążyć winą Roberta. W dodatku o tej

porze spaceruje tam połowa modnych pań z Mayfair, które chętnie przychyliłyby ucha sensacjom kolportowanym przez przystojnego lorda.

- I Piccadilly - dorzucił Saint.

- A ja przeczeszę Covent Garden - zdeklarował się Bradshaw, naciągając rękawiczki do jazdy konnej.

Wszyscy udali się w stronę stajni. Lord Dare pomógł Georgianie wsiąść do dwukółki, a Lucinda tymczasem zerknęła ku różanym grządkom. Zauważyła, że jeden z krzewów wypuścił już pąki. Uśmiechnęła się, bo odkąd związała się uczuciowo z Robertem, sama czuła, że rozkwita.

Wicehrabia podał jej rękę przy wsiadaniu i przestrzegł:

- Tylko uważajcie, bo jeśli Geoffrey był gotów zdradzić ojczyznę, to równie dobrze mógłby skrzywdzić którąś z was.

- Niech spróbuje! - odparowała Lucinda. Ujęła w ręce lejce i cmoknęła na parę siwków, które od razu ruszyły kłusem. - Cieszę się, że możemy coś zrobić - dodała po pełnej napięcia chwili ciszy. - Najgorsze byłoby takie bezczynne siedzenie i czekanie na wiadomości.

Usadowiona na tylnej ławeczce Evie nachyliła się ku swoim przyjaciółkom i zagadnęła Georgianę:

- Zgadnij, co dziś widziałam u Tattersalla?

- Evie, przecież wykonujemy ważne zadanie! - skarciła ją Lucinda, czując, że się rumieni.

Lady Dare chciała jednak wiedzieć.

- No, coś takiego widziała?

- Dwa gołąbki, które się całowały. I nie tylko! Tak się obejmowały, że aż omdlewały.

- Wcale nie omdlewaliśmy! - zaprotestowała Lucinda, choć policzki jej płonęły.

Georgie spojrzała na nią z pewnym zaskoczeniem, ale i ze zrozumieniem.

- Ty i Mały? - wymówiła, jakby dopiero zaświtało jej w głowie.

- Nie wiem... jak do tego doszło - płatała się Lucinda. - On jest taki... niezwykły, dużo bardziej, niż mu się wydaje...

- Mogłaś mnie przynajmniej uprzedzić! - zganiła ją wice-hrabina. - Czy to coś poważnego?

Czy coś poważnego? Chyba tak, jeśli nie mogła przespać ani jednej nocy, nie śnić o nim, ani przeżyć dnia, nie myśląc o nim. Musiała myśleć o nim poważnie, bo gdyby został zmuszony do wyjazdu z kraju, gotowa była towarzyszyć mu albo podążyć za nim. Odpowiedziała jednak wymijająco:

- Myślę, że to sprawa między mną a Robertem.

- Luce, nie możesz przecież...

- Czekaj, bo już jesteśmy na miejscu - zauważyła z ulgą. - Geoffrey wyjechał od nas na swoim kasztanie.

- Zajedźmy w tę uliczkę, a wracać będziemy piechotą.

Na razie nie widziały nigdzie kasztana Newcombe'a, ale od tej ulicy odchodziło wiele bocznych uliczek i zaułków, gdzie jeździec mógł zostawić konia. Dojechały do końca i Lucinda zatrzymała powóz. Wraz z Evelyn zeskoczyły na ziemię, natomiast Georgiana ostrożnie się zsunęła.

Czujna i napięta, Lucinda ruszyła wzdłuż ciągu handlowego. Chciała być pierwszą osobą, która złapie Geoffreya, bo przecież to on próbował zniszczyć Roberta. Niby zalecał się do niej, całował i proponował małżeństwo, a równocześnie planował przekazanie tajnych informacji do Francji i rozpętanie nowej wojny. Wojny, w której inni ludzie mogli tak samo ucierpieć jak Robert.

- Wolniej, Luce! - wołała za nią Evie, idąc pod rękę z Georgie.

- Nie chcę, żeby nam uciekł! - odkrzyknęła, odwracając się za siebie. Jednak kiedy znowu spojrzała naprzód, zatrzymała się w miejscu tak gwałtownie, że idące z tyłu przyjaciółki o mało nie wpadły na nią. - Tam! - syknęła.

W wejściu do sklepu ze słodyczami zamajaczyły poły szarego surduta Geoffreya. Trzy przyjaciółki błyskawicznie wycofały się w najbliższą boczną uliczkę.

- Czy jesteś pewna, że to był on? - zagadnęła lady Dare.

- Owszem, tak.

- Dobrze - zdecydowała lady St. Aubyn. - Z Georgie nie będziemy mogli wracać biegiem, więc wy dwie tu zostańcie, a ja pobiegnę zawiadomić Dawkinsa. Wrócę najszybciej, jak tylko będę mogła.

Markiza przyspieszyła kroku, a Georgiana pociągnęła Lucindę naprzód.

- Nie możemy spuścić go z oka - instruowała. - Jeśli zdoła zniknąć, zanim reszta naszych tu dotrze, będziemy musieli zacząć całe poszukiwania od początku.

Lucinda wzięła głęboki oddech, próbując opanować przyspieszone bicie serca. Czuła się odpowiedzialna nie tylko za siebie, wszak zaledwie kilka tygodni dzieliło Georgianę od terminu rozwiązania, a w tym stanie silne emocje nie były dla niej wskazane.

- Może lepiej ty tu zostaniesz, a ja pójdę za nim? - zaproponowała.

- Nie, pójdziemy razem.

- A może byśmy tak wszyscy poszli się przejść? - U wylotu uliczki rozległ się głos Geoffreya.

Boże, tylko nie to! Lucinda obawiała się przede wszystkim o Georgianę, ale okazało się, że niepotrzebnie. Wicehrabina wyglądała raczej na rozzłoszczoną niż przestraszoną. Nic dziwnego, Robert zajmował w jej sercu miejsce szczególne, a Newcombe teraz mu zagrażał.

- Ach, Geofffreju, jak dobrze, że cię widzę! - zaszczębiotała, siłąc się na spokój. - Georgie poczuła się trochę słabo. Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie aż tak bardzo, aby odmówić nam pomocy?

- Ależ oczywiście, chętnie dotrzymam paniom towarzystwa! - Skłonił się, a jednocześnie przysunął bliżej. - A gdzież się podziała lady St. Aubyn?

- Poszła powiadomić Dare'a - wyjaśniła Lucinda. - Pomyślałyśmy, że dla Georgie będzie wygodniej wrócić do domu ich powozem.

- Bardzo dobry pomysł. Może byśmy wstąpili do kawiarni Dulcego, aby usiąść sobie wygodnie i przy stoliku poczekać na odsiecz?

Lucindzie nie podobał się jego sposób mówienia, ale przypuszczała, że w miejscu publicznym nie odważy się popełnić żadnej podłości. Lady Dare tymczasem pozwoliła mu się wziąć pod ramię i podprowadzić z powrotem do głównej ulicy.



Lucinda nie sądziła ani przez chwilę, że lord jej uwierzył, ale jak długo brnął w kłamstwie, zyskiwały na czasie, a czasu właśnie potrzebowały najbardziej. W ciągu najbliższych kilku minut co najmniej siedmiu mężczyzn powinno wyruszyć im z pomocą, chyba że, nie daj Boże, coś nieoczekiwanego wydarzyło się w sztabie Gwardii Konnej! Poczła ucisk w gardle, gdy spróbowała sobie wyobrazić, że Roberta mogli już wtrącić do jednej z ciemnych piwnic tego budynku.

Wydawało się jednak, że generał mu wierzy, cokolwiek powiedział. Tyle tylko, że jej ojciec nie był jedynym dowódcą Gwardii Konnej! Modliła się więc w duchu: Boże, spraw, żeby z Robertem wszystko było w porządku. Równocześnie pilnie śledziła ruchy Geoffreya, aby wszyscy wyszli z tej opresji cało - no, może z wyjątkiem samego lorda!

Na razie weszli do kawiarnianego ogródka i zajęli miejsca przy stoliku. Na innych gościach tego lokalu musieli zrobić takie wrażenie, jakie Newcombe zaplanował - wyglądali na zakochaną parę w towarzystwie dystygowanej przyzwoitki. Niemniej jednak, kiedy Geoffrey przysunął swoje krzesło bliżej do Lucindy, całą siłą woli zmusiła się, by pozostać na miejscu. Musiała przecież udawać, że cieszy się z jego pomocy! W którymś momencie poczuła, że coś twardego dotyka jej boku, a kiedy spojrzała w tamtą stronę - rozpoznała wyraźny zarys pistoletu w kieszeni lordowskiego surduta.

- Siedź spokojnie, Luce - syknął Newcombe. - Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Co ty robisz? - wyszeptała, poznając po rozszerzonych źrenicach Georgie, że zauważyła to samo, co ona.

- Po prostu czekam, żeby zobaczyć, kto po was przyjedzie. Prawdziwy mężczyzna musi strzec swojej zdobyczy.

- Za pomocą pistoletu?

Nie zważając na jej słowa, wolną ręką lord skinął na kelnera.

- Czy moglibyśmy poprosić o herbatę i ciasteczka?

- W tej chwili służę jaśnie wielmożnemu panu!

- Geoffreju, przecież to śmieszne! - oponowała. - Jeszcze wczoraj rozmawialiśmy o małżeństwie!

- To ja rozmawiałem o małżeństwie, a ty przez cały czas świetnie się moim kosztem bawiłaś. Na pewno wiesz, że podczas naszej bytności u Tattersalla włamano się do mojego domu.

- Naprawdę? To straszne! Mam nadzieję, że powiadomiłeś policję?

- Oczywiście. Na szczęście moi służący potrafili podać wyczerpujący opis jednego z napastników. - Przeniósł spojrzenie na Georgie. - Przykro mi, ale ten opis w zupełności odpowiada wyglądowi pani szwagra, Roberta. Musiał chyba całkiem postradać rozum. Mam nadzieję, że uda się go bez kłopotu doprowadzić na przesłuchanie, bo nie chciałbym, aby trzeba było go zastrzelić jak wściekłego psa!

Lucinda nie czuła już strachu, tylko przemożną chęć spoliczkowania lorda. Jakże ucieszyłaby się, gdyby ten triumfalny uśmiech zniknął na zawsze z jego lalusiowatego oblicza!

- Jeśli go tkniesz, nie dożyjesz nawet wyroku sądu! - syknęła.

- Ależ, moja droga, takich ludzi jak ja nie stawia się przed sądem! My otrzymujemy tylko podziękowanie z rąk księcia regenta za godne spełnienie obywatelskiego obowiązku. Tacy jak ja awansują i robią majątek, wszystko zgodnie z planem.

W tym momencie zza rogu wypadł galopem Augustus Barrett, po bokach mając Tristana i Bradshawa. Nie pojawił się natomiast Robert. Boże, co się stało z Robertem?

- Cóż to, panowie zapomnieli o powozie dla naszej drogiej lady Dare?

- Najwidoczniej źle mnie zrozumieli.

- Odejdź od stołu, Newcombe! - ryknął ojciec Lucindy.

- Ach, generał Barrett! Cóż tam znów się stało? - Geoffrey uniósł brew, udając zdziwienie. - Proszę się uspokoić, drogi panie, my tu sobie z pańską córką ucinamy miłą pogawędkę. Zapewniam, że z zachowaniem wszelkich zasad.

Goście przy sąsiednich stolikach zaczęli już szeptać i spoglądać po sobie. Lucinda natomiast nie spuszczała wzroku z ojca, chcąc jakoś mu dać do zrozumienia, że Geoffrey ma broń. Lord Dare z kolei wyglądał bardziej na rozżłoszczonego niż na przestraszonego i tylko przyglądał się z troską poblądłej twarzy swojej żony.

Lucinda zmusiła się do uśmiechu.

- Tato, na miłość boską, wyglądasz, jakbyś spodziewał się co najmniej strzelaniny! A my tu sobie tylko spokojnie rozmawiamy.

Wicehrabia zbladł jak płótno, a generał wysunął do przodu szczękę. Wynikało stąd, że zrozumieli zawołowane przesłanie, które im przekazała.

- Geoffrey, to ci nic nie da! - przekonywał generał opanowanym tonem. - Jedź lepiej z nami, bo my też chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

- Dziękuję, panie generale, ale mnie tu całkiem wygodnie. A gdzie się podział ten twój braciszek spod ciemnej gwiazdy, Dare? Po tym, co na mnie nagadał...

- Przez ciebie zatrzymali go w dowództwie Gwardii Konnej! - napadł na niego Tristan. - Widocznie ktoś już zdążył oskarżyć go o włamanie do twego domu. Powinieneś zaraz jechać z nami, żeby wszystko odszczekać!

- Kiedy on naprawdę się do mnie włamał, najpewniej po to, aby podrzucić mi te papiery, które wykradł ze sztabu.

- Odłóż pistolet, Geoffrey, to porozmawiamy. - Generał wyciągnął przed siebie obie ręce na dowód, że nie ma broni.

Wokół nich goście zaczęli już uciekać od stolików i gromadzić się po obu stronach ulicy. Po niedługim czasie w kawiarni pozostali tylko: Lucinda, Georgiana i Geoffrey z pistoletem. Lucinda wołała już, że mierzył w nią, a nie w przyjaciółkę. Widocznie nawet zdeklarowany zdrajca nie odważyłby się zamordować wicehrabiny w błogosławionym stanie.

- Ja tu zostanę, ale pozwól Georgianie odejść! - wyszeptała.

- Dlaczego, tak mi miło siedzieć w towarzystwie dwóch pięknych pań! Chyba pani na nic się nie uskarża, nieprawdaż, lady Dare?

- Skądże, w głowie mi się kręci od tego gorąca, które bije od pana! - odcięła się Georgie. - Niech pan zabierze tę pukawkę, bo jeśli któregoś z nas coś się stanie, będzie pan wdzięczny, że umiera się tylko raz!

- Coś podobnego, czyżby uprzejmości się już skończyły? Co za szkoda! A zapowiadało się takie przyjemne popołudnie!

- Zaraz będzie jeszcze przyjemniejsze! - Głos Roberta rozległ się bezpośrednio za nim.

Newcombe nagle opuścił głowę, jakby się kłaniał. Lucinda nie od razu zauważyła, że ta nagła pokora spowodowana była naciskiem lufy pistoletu Roberta na jego potylicę.

- Zastrzelę ją, Carroway! - zagroził Geoffrey, odrzucając na bok dobre maniery.

- Pójdiesz do więzienia, Newcombe, albo od razu do piekła - oznajmił z przeraźliwym chłodem w głosie Robert. - Wybór należy do ciebie.

Lucinda poczuła, że nacisk lufy na jej żebra powoli słabnie.

- Georgiano, za mną, szybko! - zachęciła ściszym głosem, by nie rozdrażnić żadnego z mężczyzn. Obiegła stół dookoła, podźwignęła przyjaciółkę za rękę do pozycji stojącej i odciągnęła ją do tyłu. W jednej chwili Dare zasłonił obydwie swym ciałem, a ojciec chwycił ją mocno za ramię.

- Lucindo, nic ci się nie stało? - zadudnił tubalnym głosem.

Nie spuszczała oka z Roberta i Geoffreya, którzy zamarli w bezruchu jak posągi.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Robercie, nic mi nie jest! - powtórzyła głośniejszym głosem.

- Rzuć tę przeklętą pukawkę! - wycedził Robert przez zaciśnięte zęby.

- Dobrze, Carroway, wygrałeś! - warknął Newcombe. - Możemy przecież porozmawiać po dżentelmeńsku.

- Nie przypuszczam, abyśmy mogli. - Robert nie wyglądał na człowieka, który z czymkolwiek skończył. Stał nieruchomo, jakby nie oddychał, tylko całą uwagę skupił na siedzącym przed nim mężczyźnie.

- Mały, nie rób tego! - wyszeptał ledwo dosłyszalnie Tristan.

Lucinda dopiero teraz zdała sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo naraził się Geoffrey. Popęłił grzech główny - zagroził ludziom, na których Robertowi zależało.

Ach, nie, tylko nie to! Postąpiła krok naprzód, ale zaraz poczuła mocniejszy nacisk ręki ojca na swoim ramieniu.

- Zostań tu! - polecił.

Oswobodziła się z tego uchwytu i wolno posunęła się o jeszcze jeden krok. Robert się nie poruszył, nadal trzymał pistolet przystawiony do głowy lorda. Ścisnął go w rękę tak mocno, że zbieleły mu kostki palców.

- Robercie - wymówiła cicho, podchodząc do przeciwnego końca stolika i kładąc dłonie płasko na jego blacie. - On pójdzie do więzienia i ty to sprawiłeś. Sam to powiedziałeś.

Robert nerwowo poruszał szczęką.

- Mierzył do ciebie z pistoletu! - wychrypiął.

- Tak, ale nic mi nie zrobił.

- Słyszysz, Carroway? Nic jej nie zrobiłem, na rany boskie!

- Zamilcz, Geoffrey! - uciszyła go Lucinda, starając się zachować spokojny ton głosu. - Nie bój się, Mały... to znaczy, Robercie, nic nie ujdzie mu płazem. - Nadal trzymając ręce przed sobą, obeszła stolik bokiem. - Jeśli go zabijesz, pójdiesz do więzienia, a ja nie chcę, żeby cię znowu zamknęli! - tłumaczyła. - Chcę, żebyś został tu, ze mną.

Geoffrey wydał z siebie jęśliwy skowyt, ale nagle ucichł, jakby dopiero teraz uwierzył, że groźba jest realna. Robertowi drgały napięte mięśnie szczęk, a Lucinda zdała sobie sprawę, że wokół zapanowała przerażająca cisza.

- Teraz już jesteśmy tylko my, Robercie. - Położyła mu rękę na ramieniu i powoli przesuwając ją, dopóki nie nakryła jego dłoni swoją.

- Wiem, wiem... - Z westchnieniem ulgi odprężył się, podniósł rękę trzymającą pistolet i obrócił ją tak, że Lucinda mogła odebrać od niego broń.

W tej samej chwili Geoffrey rzucił się razem z krzesłem na ziemię, pociągając ich dwoje za sobą. W trakcie krótkiej kotłowania pistolet wyleciał w powietrze, a Lucinda wycofała się w popłochu. Krzyknęła, kiedy Geoffrey przetoczył się na czworaki i z twarzą wykrzywioną złością rzucił się na Roberta.

Ten na szczęście zdążył zrobić unik i krótkim, dobrze wymierzonym ciosem zbił Geoffreya z nóg. Bez wahania przeszedł do kontrataku i pięścią wymierzył napastnikowi serię razów w żołądek, zebra i twarz.

- Jeszcze nigdy nie musiałeś walczyć o życie, prawda? - syczał, podnosząc lorda w górę za klapy surduta. - No, to już wiesz, jak to jest.

Pchnął Geoffreya tak gwałtownie, że ten przeleciał na drugą stronę stolika.

- Mały, przestań już! - Tristan i Shaw odciągnęli Newcombe'a na stronę. Ledwo oderwali go od Roberta, podbiegła do niego Lucinda i otoczyła go ramionami. Niech tam ludzie gadają i plotkują, ile chcą - nie dbała o to. On zaś, drżąc na całym ciele, przytulał ją coraz mocniej.

- Oddałbym życie za ciebie, Lucindo - wyszeptał.

- Nie chcę, żebyś za mnie oddawał życie. Chcę, abyś żył!

Z tymi słowami przyciągnęła ku sobie jego twarz i całowała go raz po raz. Dopiero kiedy zaczął odwzajemniać jej pocałunki, przestał drżeć.

- Kocham cię! - szeptała prosto w jego usta, przekonana, że sam nie zdobędzie się, aby jej to powiedzieć.

Tymczasem Robert ją zaskoczył.

- I ja cię kocham, Lucindo - odszepnął. - Chciałbym być takim, jakim zechcesz, abym był.

Zadarła głowę, aby spojrzeć w jego przepastne, szafirowe oczy.

- Już jesteś, Robertcie. Wcześniej też byłeś, tylko ja jeszcze o tym nie wiedziałam.

- Ale ja nie potrafię... być taki, jak inni mężczyźni - wykrztusił, wpatrując się w nią płonącymi oczami, które wlewały w jej serce płynny ogień. - To znaczy, będę próbował, ale...

- W lekcji trzeciej wykladałam panom, że sam wyglądasz to jeszcze nie wszystko - przypomniała, odgarniając mu kosmyk włosów znad lewego oka. - A lekcja czwarta uczyła, że mojemu ojcu należy okazywać taki sam szacunek za plecami, jak i prosto w oczy. Wiem, że nie przepadałeś za nim, ale okazywałeś mu więcej szacunku, niż Geffreyowi kiedykolwiek się śniło. Jesteś właśnie tym mężczyzną, na jakiego czekałam. Niepotrzebny mi jakiś mydłek, potrzebuję ciebie!

- Potrzebujesz mnie? - powtórzył i widać było, jak powoli z jego twarzy ustępuje napięcie. Jego miejsce zajął niepewny uśmiech. - Chyba musisz być głupia!

- Przeciwnie, dopiero teraz zmądrzałam.

Ponownie pochylił się nad nią i pocałował ją, czy raczej musnął ustami, lekko jak piórkiem.

- Jesteś tego pewna?

- Najzupełniej pewna.

Robert wziął głęboki oddech, a jego oczy rozjaśniły się i naabrały lazuruwej barwy.

- Wyjdiesz za mnie, Lucindo? Zostaniesz ze mną już na zawsze?

- Tak, wyjdę za ciebie i do końca życia będę trwać przy tobie - obiecała. - Nie mogłabym być szczęśliwa z nikim innym.

- Wydaje mi się, że bez ciebie nie mógłbym nawet oddychać...

U ich boku pojawił się Tristan.

- No i bez twojej pomocy powiędłyby mu wszystkie róże! - uzupełnił żartobliwie, ale błysk w jego oku mówił więcej niż uśmiech na twarzy.

- Otóż to właśnie - zgodził się z bratem Robert, obejmując Lucindę mocniej w tali i podnosząc ją do góry. - To ty przywróciłaś mnie do życia!

Otarła z policzka nieoczekiwaną łzę. Sama się sobie dziwiła, że płacze, zamiast się cieszyć, że w ramionach Roberta znalazła szczęście i nadzieję.

- Myślę, że jesteśmy kwita, bo to ty nauczyłaś mnie, co to znaczy naprawdę żyć.

W tym czasie dołączyła reszta sprzymierzeńców. Saint musiał mocno przytrzymać Edwarda za ramię, bo chłopak rwał się, żeby kopnąć w głowę klęczącego Geoffreya. Na twarzach obecnych malowało się zaskoczenie wymieszane w różnych proporcjach z aprobatą. Ojciec Lucindy bynajmniej nie wyglądał na nieszczęśliwego. Najwidoczniej to, co usłyszał w swoim gabinecie, wywarło na nim silne wrażenie.

Robert stawał się coraz bardziej rozpromieniony, aż Lucinda, równie rozradowana, zapytała go o przyczynę tak dobrego humoru.

- Kolano przestało mnie boleć - oznajmił. - Dokonałaś cudu!

- Przypomnę ci o tym, kiedy będziesz musiał zatańczyć na naszym weselu.

Po raz pierwszy, odkąd go znała, roześmiał się szczerze i swobodnie. Liczyła, że teraz będzie częściej słyszała jego śmiech i zdąży przyzwycząić się do tego. Wprawdzie Robert wyraził obawę, że nie będzie podobny do innych mężczyzn, ale Lucinda zdawała się tym nie przejmować. Wiedziała, że nieraz jeszcze będą nawiedzać go przykre wspomnienia, ale nie wątpiła, że razem lepiej poradzą sobie w ciężkich chwilach. Najważniejsze, że chciała mu pomóc i była zdecydowana towarzyszyć mu, kiedy poczuje się na siłach wyjść na światło dzienne. Obejrzała się na Evie i Georgianę, które stały obok trzymając się za ręce, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Przyjaciółkom udało się wcielić w życie swoje zamierzenia. Przeprowadziły wymyślone przez siebie lekcje, a w ich trakcie wybrały sobie życiowych partnerów. Jak na pomysł zrodzony z nudów w deszczowy dzień, efekty okazały się znakomite. Lucinda znów podniosła oczy na Roberta, a on delikatnie ją pocałował. Sama musiała więc przyznać, że plan został wykonany nadspodziewanie dobrze.